

Tadeusz KostECKI

SMUGA GROZY

Łomianki 2009

Tadeusz KostECKI:

Smuga grozy:

Projekt okładki Mikołaj Jastrzębski

Edycję opracowano na podstawie publikacji na łamach "Gazety Białostockiej" 1959-

1960

Copyright by Krystyna Pisarska, Warszawa 2009 Copyright for this edition

by Wydawnictwo LTW

ISBN 978-83-75-65-003-7

Wydawnictwo LTW

ul. Sawickiej 9, Dziekanów Leśny

05-092 Łomianki

tel./faks (022) 751-25-18

www.ltw.

com.pl

e-mail: wydltw.

com.pl

DOM NA WZGÓRZU

Szosa czerniała żyłami głębokich pęknięć, miejscami nawierzchnia była całkowicie pokruszona - wóz podskakiwał niczym na piargach, ale trafiały się również odcinki, gdzie pokrywająca gładki asfalt wilgoć lśniła jak zamarła toń rzeki.

Autostrada prowadząca do samotnej leśniczówki, zagubionej wśród lasów?

Na mapie nie było żadnych innych obiektów, które by mogły wchodzić w rachubę.

Napierwszy rzut oka toni miało sensu, ale jakiś sens musiał przecież być.

Wy tłumaczenie przyszło znacznie później: wśród przerzedzonych drzew mignęła przysadzista kopa szarego betonu.

Bunkier.

Kolejne wyskakiwały po obu stronach drogi.

Linia hitlerowskich umocnień.

Nie brakło ich w tych okolicach.

A więc arteria strategiczna.

Jasne.

To było jasne, natomiast wszystko inne.

Przytknął nowego papierosa do elektrycznej zapalniczki.

Palił bez przerwy od wielu godzin.

Całe podniebienie oblepiał mdły nalot nikotyny.

Przełyk suchy i chropowaty, niemal bolesny.

Ale cóż z tego?

Musiał palić.

II

Długo wycierał ręce.
Wpierw szmatką, potem pakułami, wreszcie znowu szmatką.
Zwinął kłębek i wrzucił na sarnę skrzynki.
Z boku majaczyła biała plama słupek kilometrowy.
Cyfry nie było widać.
Wcisnął sprzęgło, zawarczał starter - wszystko w porządku.
Wóz ruszył.
Ostre światła reflektorów przecinały skłębiony przednikem zderzaka mrok.
Przybierał już granatową głębię.
Zielonkawy świeciły wskazówki zegara.
Przyduśił pedał gazu aż do deski.
W równomierne sapanie motoru wdarło się alarmujące stukanie.
Niedotarty motor zaczął się przegrzewać.
Nie.

zwolnił jednak.

Tłoki?

Trudno.

Tu chodziło o ważniejsze rzeczy.

Nie zdawał sobie sprawy, że to trwało aż tak długo.

Było

późno.

Cholernie późno.

Wóz szarpał konwulsyjnie jak chory organizm.

Tu już aniśladu bunkrów.

Jednolite ściany drzew powleczone nieprzeniknioną czernią.

Las zastygł w bezruchu, niemy i tajemniczy.

Żadnych odgłosów poza hałasem motoru.

Przed szklami reflektorów gęstniała mgła.

Smuga światła drażyła tunel.

Ciemność i cisza odbarwiały poczucie rzeczywistości jakby gdzieś na samym krańcu realnego świata.

Albo w ogóle poza jego granicami.

Tunel biegnący w nieznaną.

Palce leżące na kierownicy dłoni zacisnęły się kurczowo.

Nonsens.

Wszystko było realne.

Niestetyż nadto realne.

Krew.

Wszędzie krew.

Jaskrawoczerwone plamy na polerowanym metalu.

Zbroczone rękawiczki paliły żywym ogniem.

Nieprawda: nie było dużo krwi.

Zresztą nie o nią chodziło.

Zamierający oddech, który nagle zgasł jak zdmuchnięty płomień świecy.

Ostre rysy woskowej żółtej twarzy zapadają się w głąb.

Rlus sardonius.

Koniec.

Całe wieki nie zatrać wspomnienia tej chwili.

Trwało krótko,

a przecież decyzja nie przyszła od razu.

Nie mogła przysnąć.

Może byłoby lepiej.

potrzęsnał ociężałe głowę, niedopałek wyleciał przez odchyloną szybę bocznego okienka.

Skierka rozdmuchanego pędem żaru zakreśliła w mroku czerwony łuk, znikając w tyłu.

Nie było innego wyjścia.

Stało się, co się musiało stać.

Ta śmierć była nieuchronna.

Musiała nastąpić w każdym wypadku.

Zresztą późno narefleksje.

Nie istnieje taka moc, która by potrafiła odwrócić bieg minionych zdarzeń.

Jeden zakręt, drugi.

Szosapięła się dość ostro pod górę.

Zegar fluoryzował jak sygnał ostrzegający o niebezpieczeństwie.

Znowu gaz.

Jak

daleko jeszcze?

Było znacznie bliżej, niż przypuszczał.

Niemal bezpośrednio po minięciu następnego zakrętu ukazały się niewyraźne kontury wysokiego budynku.

Leśniczówka?

Przypominało to raczej masyw średniowiecznego zamczyska.

Zahamował przed grubymi prętami bramy.

Najeżone ostrzami kolczastego drutu ogrodzenie zdumiewało swą wysokością.

Pod maską coś bulgotało.

Chłodnica?

Na to jednak nie miał żadnej rady.

Przynajmniej narazie.

Jednolicie ciemnej bryły budynku nie rozjaśniało najmniejsze światło.

Znowu rzut oka natarczywego zegara.

Ba..

o tej porze.

III

Wściekły harmider ujadania.

Jakieś niewyraźne plamy kłębiły się po tamtej stronie tuż przy ziemi.

Psy i nikt więcej?

Ponownie nacisnął klakson.

Tym razem nie odrywał palca.

Przeciągle wibrowało wycie syreny.

Minęła jednak długachwila, zanim w mroku zaczęły ocieżać kroki.

Chybotliwie drgała poświata latarni.

Wyłączył reflektory i zapalił światła wewnętrzne wozu.

Nachylił głowę w taki sposób, by odbłask padł na jego twarz.

Uważał za konieczne, by można było dokładnie dojrzeć.

Jeżeli choć część tego, co usłyszał, odpowiadała prawdzie.

Barczysta postać przywarła do prętów bramy.

Spod nastroszonych brwi błysnęło nieufnie obmacujące spojrzenie.

- Doktor Jerzy Kostrzewa - oznajmił głośno.

Słowa zabrzmiały tak, jak zabrzmieć powinny, chłodno i spokojnie.

- Zawiadomiłem oswoim przyjeździe telegraficznie.

Powinno było wystarczyć.

Nie wystarczyło jednak.

Człowiek po tamtej stronie nie sięgał do rygli.

Przestępował z nogi na nogę.

Seria niezdecydowanych pochrząkiwań.

- Hmm.

telegraficznie - widać było, że nie wie, co ma dalej czynić.

Kostrzewa powstrzymał odruch zniecierpliwienia.

Niezwykłość sytuacji sprawiedliwiła niejedno.

- Przybywam na zaproszenie magistra Lesiewicza - głos wciąż tak samo równy

wyraźny.

- Zastałem go?

Długa pauza, jakby odpowiedź wymagała natężonych rozważań.

- Jest.

Właściwie.

nie - nieokreślony ruch głowy, który niczego nie oznaczał - nie ma go.

Skrzyżowane na kierownicy ręce leżały bez ruchu.

Jest i niema niejasne i dwuznaczne.

Ale był przygotowany naznaczniedziwaczniejsze niespodzianki.

- Nie przyjechał jeszcze?

-Przyjechał.

Ale.

- znowu chwila zastanowienia.

-Proszętu poczekać.

Ja zaraz.

- powolny obrót i odszedł w głąb podwórza, roztopiając się w ciemnościach.

Pozostawiona w niewiadomym celu latarnia pełgała zamierającym płomykiem.

Psy rzucały się wściekle na ogrodzenie.

Raz po raz bolesny skowyt kwitował zetknięcie się z kolcem.

Ogrodzeniem musiało pochodzić z niezbyt dawnego czasu.

Inaczej na pewno zapamiętałyby, że kłuje.

IV

Co u licha - poruszył się niecierpliwie poszedł spać?

Wreszcie jeden z prostokątów okien spłynął światłem.

W parę sekund później zajarzyły się dwa następne.

Widmowe zręby żywiły się, nabierając cech czegoś bardziej rzeczywistego.

Ku bramie zbliżały się dwie sylwetki.

Ta druga znacznie niksza.

Jakby cień rzucany przez brylowatą postać człowieka o krzaczystych brwiach.

W niepewnym świetle latarni zalśnił mdłym złotem szyk galonów.

Nad wykładanym kołnierzem mundurowej kurtki twarz porwana głębokimi zmarszczkami.

Szczupły, przygarbiony, około pięćdziesiątki.

Poznał go od razu, choć widział po raz pierwszy w życiu.

- Pan inżynier Zawadzki?

-Tak, ale.

- ton zupełnie zrozumiałego zdziwienia.

Kostrzewa powtórzył prezentację.

- Nie wiem, czy magister Lesiewicz uprzedził o moim przyjeździe.

Depezo wałem zresztą.

- Oczywiście - uprzejmy głos kulturalnego człowieka.

Oczekiwaliśmy pana.

Miał pan przyjechać znacznie wcześniej.

Jakaś awaria?

- Awaria.

Zgrzyt odsuwanych rygli.

Kostrzewa wprowadził wóz do środka.

Mocny uścisk dłoni.

Mocniejszy, niż mógł oczekiwać od nieznanego człowieka.

- Oczekiwaliśmy pana - powtórzył Zawadzki jak zbawienia.

Liczyliśmy wprost godziny, bo.

Drugi mężczyzna manipulował w milczeniu przy ryglach bramy.

Szerokie bary, twarz bez wyrazu.

Może senna, może tępa znatury.

Koszula szeroko rozchełstana na piersiach.

Najprawdopodobniej dozorca.

- Beczka dynamitu z podpalonym lontem - ciągnął dalej Zawadzki.

- Brzmiało nieco melodramatycznie.

Ale mniej więcej odpowiada naszej sytuacji.

Raczej nawet więcej niż mniej.

Przynajmniej według tego jak my ją oceniamy.

Zdzisław opowiedział panu o wszystkim?

- Nie.

Naszkićował całą historię jedynie w ogólnych zarysach.

Szczegóły miałem usłyszeć tu, na miejscu.

Zawadzki przesunął ręką po czole.

- Prawda.

Tak właśnie zostało pomiędzy nami ustalone.

Zachodzą bowiem pewne okoliczności.

- Nie zdołałem się dowiedzieć, czy już przyjechał.

- Owszem.

Wczoraj rano.

Ale dziś po południu wyszedł i dotychczas nie wrócił.

Zaczynamy się o niego niepokoić, bo jednak w tych warunkach.

- Jeżeli chodziło o jakąś dalszą wyprawę.

- Nie - jakby nagły błysk dziwnego spojrzenia.

Trwał jednak tak krótko, że Kostrzewa nie był pewny, czy mu się nie wydawało - "mała przechadzka po lesie", to wszystko.

- Przechadzka w nocy?

- Otóż to.

Zresztą gdy wychodził, było całkiem widno.

Okolo piątej.

Ale od zapadnięcia zmroku siedzimy jak na rozżarzonych węglach.

Noc - powtórzył.

- A dziś jest właśnie piątek.

- Czy tendzień ma jakieś szczególne znaczenie?

- Niestety.

Jak najbardziej szczególne - przystanął.

Palce

kręciły machinalnie złocisty guzik mundurowej kurtki.

- Wtedy był też piątek.

- Ale.

- Kostrzewa zerknął niepewnie na człowieka, który po zamknięciu bramy siedł obok nich, pilnie słuchając.

Zawadzki zauważył to spojrzenie.

- Józef jest u nas od wielu lat.

Możemy mówić przy nim swobodnie - jakby udzielał referencji o kimś nieobecny.

- On wie wszystko.

- Wszystko?

Kostrzewa wpatrzył się w ciemność.

Przez chwilę trwało milczenie.

- Lesiewicz powiedział mi - podjął po przejściu kilku kroków - że niebezpieczeństwo będzie zagrażać dopiero trzynastego, to jest pojutrze.

Z tego właśnie powodu ustaliliśmy datę mego przyjazdu dziś.

- Trzynastego - Zawadzki pokiwał głową - zgadza się.

To zaszło trzynastego.

Ale wtedy trzynastego wypadło akurat w piątek.

Myśleliśmy, że chodzi o datę.

Teraz jednak, gdy Zdzisław

zniknął.

- Więc nie wiadomo, czy groźba niebezpieczeństwa dotyczy tożsamości dnia, czy daty?

- Nie.

Cóż można poradzić na mechanizm kalendarza?

-

bąknął niezrozumiale.

- Na wiele rzeczy niemożna poradzić szarpnął kołnierzyk, jakby go nagle zaczął dusić.

Doszli do budynku.

Pierwszewrażenie nie myliło: był rzeczywiście nadspodziewanie wielki jak na swe przeznaczenie.

Kilka stopni, dalej spękana płytatarasu.

Obszerny hol.

Mrugająca gdzieś usufitu żarówka nie była w stanie rozproszyć gęstniających po kątach ciemności.

Józef zniknął.

Kostrzewa nie zdołał zauważyć momentu,

w którym to się stało.

-Pozwolipanze mną.

Zawadzki prowadził na górę.

Głucho stukwały podeszwy.

Betonjako tworzywo wewnętrznych schodów?

Poręcze ciężkie i niezdarne, z masywnego żelaza.

Być może była to nawet stal.

Architektmusiał mieć zły dzień, projektując wnętrze tego domu.

Weszli do dużego pokoju.

Mimo że paliły się wszystkie światła, pozostał również dość mroczny.

Umeblowanie wskazywało

na coś w rodzaju gabinetu.

Zawadzki zrobił zachęcający gest w stronę rozłożystego

klubowca pokrytego mocno zniszczoną skórą.

- Bardzopan jest zmęczony, doktorze?

- zapytał z wahaniem.

- W każdym razie nie do tego stopnia, bym nie zdołał wysłuchać wszystkiego, co macie do powiedzenia.

-Musi pan być zmęczony- skonstatował matowo -po takiej drodze.

-Jednak w sytuacji, kiedy być może chodzi o każdą godzinę.

- podsunął Kostrzewa.

10

- Tak.

Kto wie, czy nawet nie o każdą minutę.

- Nowięc, tym bardziej.
- Słusznie - zatrzymał się jeszcze na progu.
- Może jednakże pan przedtem kolację?
- Jakoś wytrzymam.
- W takim razie zaraz sprowadzę panu resztę.
Wyszedł.
Kostrzewa wstał.

Fotel tylko z pozoru zapowiadał wygodę.
Wyłazące ze wszystkich stron sprężyny uwierały boleśnie.
Rozpoczął powolną wędrówkę po pokoju.
Reszta?

Lesiewicz wspomniał jeszcze tylko o Świrskim.
Ale określenie: "reszta" niemożliwością dotyczyć jednej osoby.
Wzruszył ramionami.
Czas pokaże.

Prawdopodobnie zresztą nie tylko to jedno będzie odbiegało od przewidywań.
Nagle znieruchomiał.

Przeraźliwy krzyk wpadł w senną ciszę.
Co to?

Znowu.
Jakby w nie ludzkiej męce albo w ostatecznym przerażeniu.
Przypadł ku oknu.

Na zewnątrz?
Raczej chyba tak.
Przyłgał twarzą doszyby, wyteżając oczy.
Ale po tamtej stronie leżał nieprzenikniony mrok.
Światło drgnęło i zaczęło przygasać.

V

Zawadzki zapukał i nie czekając na odpowiedź, otworzył drzwi.
Uważał to za zupełnie naturalne.
Chyba tu nie trzeba tracić czasu na ceremonie.
Okazało się jednak, że trzeba.

- Co o?
- cofnął się gwałtownie.
Mętne zazwyczaj oczy Świrskiego płonęły niedobrym ogniem.
Tak jak w tych czasach, gdy.

Prawa rękaw bocznej kieszeni marynarki.
Wiedział, co w tej chwili obejmują jej palce.
Ale nawet gdyby nie wiedział, wystarczyłoby jedno spojrzenie.
Kieszeń odstawała w bardzo charakterystyczny sposób.
- Zwariowałeś?

- syknął ostro.
Przez głowę przemknęła myśl, którą w następnej chwili uznał za niedorzeczną.
Ręka wynurzała się powoli z kieszeni.

Niespuszczał z niej oka.
Jakże to niezmiernie długotrwałe, zanim ukazała się pusta.

11.

- Sam zwariowałaś - twarz Świrskiego złagodniała.
- Włazić bez uprzedzenia w sytuacji, gdy.
 - Pukałem przecież.

Wydał wargi.

- Cóż z tego?

Każdy może pukać.

Zawadzki wciągnął głęboko powietrze do płuc.

- Nonsens.

Musisz się wziąć ostro w garść.

Tamten patrzył na niego spod przymrużonych powiek.

- Łatwo powiedzieć.

Jakby tu w ogóle to było możliwe.

- Zastanów się człowieku - rzucił ostro - do czego w końcu dojdiesz.

Niewiele brakowało, byś domnie wygarnął.

- Niewiele - przyznał obojętnie Świrski.

- Więc cóż z tego?

Nie wygarnąłem przecież.

Zawadzki podszedł tuż do niego.

- Palec na cynglu, kula w lufie, bezpiecznik odsunięty.

-Zgadzasz się.

Czyż można inaczej w takich warunkach?

- Żałuję, że ci dałem broń.

-Gdybyś odmówił, nie pozostałbym tu ani chwili.

- Może byłoby lepiej dla ciebie.

-Może.

Któż jest w stanie przewidzieć, co lepiej, a co gorzej.

Teraz już za późno na bezprzedmiotowe dyskusje.

Ani nie oddam pistoletu, ani nie wyjadę.

Niemam zwyczaju wycofywać

się z gry, skoro już biorę w niej udział.

- Gra.

- Zawadzki nagle spojrział przez ramię poza siebie.

- Diabli wiedzą, jak to wszystkowypadnie.

Świrski przysiadł na brzegu krzesła.

- Wykładaj więc swoje sensacje.

-Sensacje?

Znowu nawał wątpliwości.

Kompletnie ubrany, broń w kieszeni.

Właściwie dlaczego?

- Nie łączyłbyś przecież bez potrzeby po nocy.

-Słusznie.

Otóż przyjechał.

Jest chirurgiem i od czasu do czasu zajmuje się sprawami kryminalnymi.

Czyni to zresztą najzupełniej prywatnie.

- Prywatnie - parsknął.

- Wierzysz w duchy?

- Zdzisław wierzy.

Rozpracował go jak najdokładniej.

- Rozpracował - głośne strzepnięcie palcami - i znalazł,

czego nie szukał.

12

- To już potem.

-Znalazł- powtórzył zuporem - dziękuję za takie powiązanie.

Zupełnie jakby gasić płomień dynamitem.

Tamta historią się zgadza?

- Nie wiem.

-Widziałeś go i nie wiesz?

- Sam zobaczysz też nie będziesz wiedział.

Fotka da się równie dobrze dopasować do Marka Aureliusza, jak i do Dzyngis-chana.

- Nie chodzi teraz o popistwęj edukacjihistorycznej - sarknął.

- Wolałbym, żeby to wszystko działo się przed wiekami, aleniestetydzieje się właśnie teraz.

Co wie o sprawie?

- Twierdzi, że Zdzisław opowiedziałmu oniej tylko w grubszych zarysach.

-Nie jesteścgo pewien?

- Czego tu można być pewnym?

-Fakt.

- Zresztą, gdy Zdzisław wróci.

-O ile w ogóle wróci.

Co teraz ptaszyna porabia?

- Siedzi w gabinecie i czeka na nas.

-A jeżeli nie siedzi nie czeka?

- Co maszna myśli?

-Słuchaj!

- złapał go porywczozą ramię.

- Co?

- dalszesłowa zamarzy na ustach.

Przeciągły, ledwo dosłyszalny odgłos, jakby ktoś niezmiernie ostrożnie skradał się korytarzem.

Słyszał gozresztą już niepo raz pierwszy.

Nawet wciągu dzisiejszej nocy.

Świrski zajrzał mu nagle głębokow oczy.

- Z kimtu przyszedłeś?

-Z nikim.

Ogarnęło go przygnębienie.

A więc jużdo tego doszło.

Aleto było zupełnie zrozumiałe.

- Bzdura!

Odtrącił goi jednym skokiem wypadł na korytarz.

Rękaznowu wkieszeni.

Wyraz twarzy świadczył, że wystarczy najbliższy powód, by zaczął strzelać.

Zawadzki wybiegł za nim.

- Stefan, opamiętaj się!

13.

Szczęknął przekręcany wyłącznik.
Korytarzalała powódźjaskrawego światła.
Świrski popędził ku schodom.

Przystanął,

spojrzał w dół, zawrócił.

- Szlag byto.

wciąż nie wyjmował ręki z kieszeni.

- Widzisz przecież, że nikogo nie ma - zauważył tonem perswazji Zawadzki.

- Teraz - znowu zaklął.

- Aleco było przed chwilą?

- Nie wierzęw ludzi znikających podpodłogą.

- W tym domu w różne cuda możnauwierzyć.

- Nie było nikogo.

Machnął niecierpliwie ręką.

- Gadałdziad do obrazu.

Sam przecież słyszałeś, że ktoś
szedł.

Musiałeś słyszeć.

Nie zaprzeczaj.

- Myszy.

- Nie mam zaufania do myszy, które spacerują w miękkich
pantoflach - zamyślił się.

- Powiadasz: nikogo.

Szedłeś tu po

ciemku?

- Nie.

- Właśnie.

A gdyśmy wybiegli na korytarz, światło byłozgaszone.

Myszy wycedził -były podobno nawet takie, które
zeżarłykróla.

Z nami pójdzie łatwiej.

Zawadzki spuścił głowę.

Zgaszenie światła stanowiło argument nie do odparcia.

Ktoś przekręcił wyłącznik.

- Nierozumiem - mruknął bezradnie.

- Ja także nie- roześmiał się.

- Przypuszczam, że gdy wreszcie zrozumiemy, będzie już po nas - skierował się z powrotem
dopokoju.

- Musimy iść do gabinetu przypomniał Zawadzki.

- Pójdziemy.

Muszę jednak przedtem załatwić pewną
ręcz.

VI

Nalał więcej niż trzy czwarte szklanki i wychylił, nie odrywając szkła od ust.

Zawadzki obserwował go z dezaprobatą.

"Ręcz, którą

musiał załatwić.

"

- Za dużo pijesz.

-Za dużo piję - potwierdził niczym wierne echo.
-I co z te-
14
go? Muszę pić.
Tylko topozwała mi zachować jakieś tam resztki formy.
-Jeżeli swój stan nazywasz formą.
- Powiedziałem: resztki.
Może być gorzej i z całą pewnością będzie gorzej.
Prztyknął palcem w szyjkę butelki, nadsłuchując szklanego oddźwięku.
- Ile powiemy temu tam?
-Tylko tyle, aby zrozumiał całą historię.
Świrski zamyślił się.
- A jeżeli będzie chciał wyciągnąć wszystko?
-Może sobie chcieć.
Nie wiadomo zresztą, czy podejmie się prowadzenia tej sprawy.
- Wolałbym, żeby zrezygnował.
Trudno o bardziej idiotyczny pomysł niż ściąganie tu właśnie jego.
- Zgodziłeś się.
-Zdzisław.
On nawet skałę potrafiłby przekonać.
Zresztą nie widziałem innego wyjścia.
Zgodziłbym się na współpracę z samym diabłem.
- No więc.
-Teraz jednak nie wiem, czy diabeł nie byłby lepszy.
Pewnie jakiś wścibiński typ.
Zawadzki popatrzył na niego spod oka.
- Obawiasz się, że.
-Niczego się nie obawiam -przerwał zgryźliwie.
Czasobaw przedszkioletami w szafie należy do przeszłości.
Drogomusiałem za to zapłacić.
Bardzo drogo.
Zawadzki odwrócił głowę, patrząc w kąt.
Drogo zapłacił, to prawda.
Ale z jakiego powodu ma o to pretensję właśnie doniego?
Dotknął ramienia Świrskiego.
- Musimy iść.
On już długo czeka.
- Chodźmy - ruszył ociężałym krokiem.
-Po drodze zabierzemy Jerzego.
Byli już na korytarzu.
- Ontu też potrzebny jak dziura w moście.
-Lichowie, kto z nas jest tu potrzebny.
- Słusznie.
Może nikt.
Choć w takim wypadku nie byłoby
15.

kogo mordować.

Może również nie miałby kto mordować - dorzucił głucho.

Zawadzki jakby się nagle potknął.

- Co masz na myśli?

- Nic - burknął ze złością.

Gada się, aby gadać.

Mam ważyć każde słowo, zanim je wypowiem?

Do drzwi pokoju Kopankiewicz doszli w milczeniu.

Napukanie odezwał się głos Kopankiewiczowej.

Brzmiał jakoś dziwnie.

- Kto tam?

Musieli długo tłumaczyć, zanim zazgrzytał przekręcany w zamku klucz.

Trudno było pogodzić tego rodzaju ostrożności z pełnym stanowczą energią charakterem pani Loli.

- Coś państwa przestraszyło?

- zapytał Zawadzki.

- Nie można by tego nazwać w ten sposób - zaprzeczyła znikłym uśmiechem.

- Jeżeli o mnie chodzi, to można - sprostował Kopankiewicz.

- Gdy tuż pod drzwiami łązi ktoś, kogo nie ma.

Świrski spojrzał znacząco na Zawadzkiego.

- W korytarzu?

- Właśnie.

Ona też słyszała - wskazał ruchem głowy na żonę.

- Jakby.

coś miękkiego - powiedziała z namysłem i jakby akurat do nas.

Zapytałam: kto i ponieważ nie było żadnej

odpowiedzi, otworzyłam drzwi.

- Nie były wtedy zamknięte na klucz - wtrącił Kopankiewicz.

- Właśnie - potwierdziła.

- Wyjrzałam niemal w tej samej

chwili, gdy szuranie zamarło przed naszym progiem.

Nie zobaczyłam jednak nikogo.

- Ani pod drzwiami, ani nigdzie - uzupełnił mąż.

- Trudno

sobie wprost wyobrazić, w jaki sposób ten ktoś zdążył zniknąć.

Zniknął jednak.

Pani Lola zmarszczyła brwi.

- Topewnie jakiś szczur.

Nie cierpię szczurów.

- Przed kilkoma minutami słyszałem dla odmiany o myszach - śmiech Świrskiego zabrzmiał nieozgrzytliwie.

Niewierzę ani w jedno, ani w drugie.

16

- Ja takżenie zawtórował Kopankiewicz.

W rezultacie trudno by zaliczyć cały ten seans do specjalnych przyjemności.

- W tym domu często słychać różne szmery - zabrał głos milcząco dotychczas Zawadzki.

- Być może mamy do czynienia z jakąś wadliwością przewodów wentylacyjnych. Przy sposobności każe to zbadać, by was uspokoić.
- , - Dużo rzeczy należałoby zbadać, aby nas uspokoić - stwierdził matowo Świrski.
- I kto wie, czy w rezultacie zostałoby wynajmowana uspokojeni.

Kopankiewicz przygładził dłonią włosy.

- Wracam zaraz po tej

konferencji.

Tymczasem uważaj - powiedział do żony.

- Na co?

- zapytała cicho.

- W ogóle.

Postaram się wrócić jak najprędzej.

Odchodząc, usłyszeli, jak zamykała drzwi na klucz.

- Szczury - przeciągnął Świrski.

Kopankiewicz nie odpowiedział.

Było oczywiste, że chciał go tylko uspokoić - ale w takim razie jak wytłumaczyć to, co zaszło przed paroma minutami?

- Dobrze, że ten Kostrzewa w końcu przyjechał.

Świrski, który pozostał w tyle, przekładając coś szybkim ruchem z kieszeni do kieszeni, znowu się z nim zrównał.

- Okaże się przy zamykaniu.

Kopankiewicz spojrzał na niego zaskoczony.

- Wątpi pan w jego zdolności?

- Wręcz przeciwnie.

Nieludzki krzyk dobiegł z dworu.

Kopankiewicz przesunął końcem języka po wargach.

- Niełatwo się do tego przyzwyczaić.

- Do wielu rzeczy niełatwo się przyzwyczaić.

- światło żarówek zaczęło migotać i przygasać - cholera z tą elektrycznością zaklął - doprowadza mnie do białej gorączki.

- Zaraz zgaśnie - Kopankiewicz obserwował podejrzliwie wiszący u sufitu klosz.

- Nie znoszę ciemności w czterech ścianach obcego domu

- stwierdził ochryple Świrski.

Zawadzki ujął go pod ramię.

17.

- Nerwy.

Musisz trochę spauzować - obydwaj wiedzieli,
o czym mówi.

-Nerwy- wyszarpnął ramię.

- Owszem.

Tylko że płaczesz

przyczyniły skutkami.

Światło jednak nie zgasło.

VII

Kostrzewa podbiegłku nim.

Mieli takie miny, jakby nic niesłyszeli, ale to przecież nie było możliwe.

- Ten krzyk.

Zawadzki potrząsnął głową.

- Bardzoprzykra historia, ale bez znaczenia.

-Jednak.

- Biedny szaleniec, najzupełniej zresztą nieszkodliwy dla
otoczenia.

Ojciec Józefa, tego gajowego, który otwierał panu
bramę.

- Nie wiem, jaktam tą nieszkodliwością - niski mężczyzna,

co najmniej dziesięć lat młodszy od obu przybyłych, podszedł do Kostrzewy.

-Słuchając jego wrzasków, człowiek w końcu nabiera ochoty, żeby samemu zawyc.

Kopankiewicz - wyciągnął rękę.

- Jerzy Kopankiewicz - powtórzył znaciskiem świadczącym, że nazwisko powinno wszystko
objaśnić.

Kostrzewie jednak nieobjaśniło nic.

Lesiewicz nie wspomniał ani słowem

o żadnym Kopankiewicz.

-Mój przyjaciel jest znanym autorem powieści kryminalnych - oznajmił Zawadzki.

Kopankiewicz zmrużył ironicznie oczy.

-Jak widzisznie bardzo znanym.

Kostrzewa bąknął ni to, ni owo.

Nie znosił niezręcznych sytuacji.

- Stefan Świrski - olbrzym o mięśniach porośniętych tłuszczem.

Rysy twarzy rozlane.

Worki pod oczami.

Czaszka zupełnie naga.

Znowu uderzała wprost fotograficzna dokładność opisu Lesiewicza.

Ale uścisk pulchnej dłoni nadspodziewanie twardy.

- Dokompletu brakujetylko Zdzisława - zauważył Kopankiewicz.

-Tak.

Ale chyba nie będziemy na niego czekać.

Zawadzki spojrzał pytająco na Świrskiego.

18

- Nie będziemy - Świrski utkwiał nieruchomy wzrok w ciemności leżącej na szybach.

- Nie możemy czekać.

- A więc - Zawadzki położył obie ręce na oparciu fotela.

-Co panu właściwie Zdzisław powiedział o sprawie?

Kostrzewa poprawił się w fotelu.

Znowu jakaś sprężynaugiatała zebro.

- Że ktoś wam grozi śmiercią i że zamach nastąpi prawdopodobnie trzynastego.

-Tylko tyle?

- Tylko.

Gdyby nie doktor Zieliński, który jest moim bliskim przyjacielem, nie sądzę, że bym zaryzykował przyjazd na podstawie tak ogólnikowych danych.

Zapewnił mnie jednak, że pan Lesiewicz nie należy do ludzi lubiących wyolbrzymiać niebezpieczeństwo.

- Tak - potwierdził zgrzytliwie Świrski - to prawda.

On nigdy nie lubił przesadzać, mówiąc o rozmiarze niebezpieczeństwa.

Raczej go nie dostrzegali.

Długa pauza.

Czas przeszły zabrzmiał jakoś złowieszczo.

Ton świadczył, że został użyty jak najbardziej świadomie.

"Makabra" - pomyślał Kostrzewa.

Tu wszystko tchnęło makabrą.

Potem zaklął w duchu.

Nerwy?

Co, u licha.

Stanowczo nie był w najlepszej formie.

- W jaki sposób grożono?

- zapytał po chwili.

Głos jeszcze chłodniejszy niż zwykle.

VIII

- Ostrożnie - zawołał, widząc, w jaki sposób Zawadzki wyjmuje kopertę z portfela - nie można tak.

Ale leniwe ruchy Zawadzkiego były w dalszym ciągu niedbałe.

- Ma pan na myśli odciski palców i tym podobne?

- Oczywiście.

Lekkie wzruszenie ramionami.

- Niestety nic z tych rzeczy.

- Skąd pan wie?

- Kostrzewa wprost nie mógł patrzeć, jak odciski palców Zawadzkiego rozpląszczały się na papierze.

- Wszystkie trzy listy były badane przez ekspertów.

- Więc w tej sprawie toczy się dochodzenie?

- Nie.

Doszliśmy do wniosku, że nie dałoby wiele.

Ale jeżeli

19.

chodzi o niektóre czynności.

Krótko mówiąc, skorzystałem

z kumoterskich chodów w milicji.

-Rozumiem - nie bardzo zresztą rozumiał.

Pomimo zapewnień ujął róg koperty tak delikatnie, jak to

było możliwe.

Eksperci?

Różnie to z nimi bywa.

Zwykła, tania koperta, jakie można dostać w każdym kiosku.

Nie było co szukać znaków wodnych ani żadnych innych cech szczególnych.

Znacek naklejony w prawym rogu koperty, bez użycia dodatkowego kleju.

Dziewięćdziesiąt dziewięć osób nasto w taki właśnie sposób nakleja znaczki.

Jeśli do tego nadawca manipulował wrękawiczkach.

Stempel pocztowy "Zielona Góra".

Data sprzed dwóch tygodni.

Adres wypisany namaszynie.

Rysunek czcionek przejrzysty, krawędzie liter odbite bardzo wyraźnie.

Te czcionki nie mogły być długo w użyciu.

Nigdzie śladu jakiegokolwiek starcia metalu.

Arkusze papieru złożony na czworo.

Lichy gatunek używany powszechnie do maszyny.

"Podły morderco!

Nie myśl, że czaspokrył twoją nieludzką zbrodnię pajęczyną zapomnienia.

Dni twoje dobiegają końca.

Gdy zegar odmierzy trzysta lat, pójdiesz tam, gdzie czekają na ciebie ludzie, których podstępnie

wysłałeś na śmierć.

"

- Pajęczyna zapomnienia - Kopankiewicz zaglądał Kostrzewie przez ramię.

- Secesja w tandetnym wydaniu.

Ite metafory.

Weźmy choćby zegar odmierzający lata.

Nie ma to jakbyć anonimowym autorem.

Gdybym ja pozwolił sobie na coś

podobnego.

- Otrzymałem identyczny list - Świrski podał taką samą kopertę.

- Jakby odbity przez kalkę.

- Żaden z listów nie został odbity przez kalkę - stwierdził

niepotrzebnie Zawadzki.

To było widać przecież na pierwszą rzut oka.

- List adresowany do Zdzisława także nie.

- Styl humorystyczny - Kopankiewicz tarł podbródek - ale jeżeli to nie jest kawał.

Świrski zagwizdał przez zęby.

- Nie jest kawał.

- Chyba nie - Zawadzki bawił się bezmyślnie portfelem.

-

List do Zdzisława został wysłany dla odmiany z Rzeszowa.

Kostrzewa ostrożnie wyglądał zmiętoszoną kopertę.

Ten

20

sam papier, ta sama maszyna.

Stempel pocztowy "Lublin".

Data o dwa dni późniejsza niż na liście adresowanym do Zawadzkiego.

- Kiedy został wysłany list do Lesiewicza?

Zawadzki pokiwał głową.

- Owszem zwróciliśmy na to uwagę.

O trzy dni później niż ten.

Ktoś jeździł po Polsce i wrzucał listy do skrzynek pocztowych.

Kostrzewa wyjął lupę.

Rzędy pisma nie były idealnie równe.

- Nowe czcionki, ale stara maszyna - powiedział Zawadzki.

Kostrzewa nie odrywał oczu od soczewki.

- Opinia ekspertów?

- Twierdzą, że czcionki zupełnie nie są starte, natomiast jeżeli chodzi o drążki.

- Owszem.

Drążki niewątpliwie chwiejne, przez co rzędy pisma wychodzą trochę nierówno.

Ale to wcale nie dowodzi, byśmy mieli do czynienia ze starą maszyną.

- Jeszcze raz porównał obie kartki i schował lupę - erika model pięćdziesiąt siedem - oznajmił z przekonaniem - czcionki fabryczne.

- Jest pan tego pewien?

- zapytał z podziwem Zawadzki.

- Jak najbardziej.

Niemyślcie - uśmiechnął się lekko - zechcę udawać magika, który na pierwszy rzut oka rozpoznaje wszystkie marki świata.

Ale pismo akurat tej maszyny miałem już okazję badać.

Czy istnieją podstawy do traktowania tych gróźb poważnie?

Zawadzki schował wreszcie portfel.

- Tak.

Istnieją takie podstawy.

Świrski strzelił palcami.

- Jeszcze jak.

Kopankiewicz pokręcił głową:

- Na mój gust coś to za bardzo powieściowe.

- Czy podejrzewają panowie, kto jest autorem tych listów?

- Nie - Zawadzki potrząsnął energicznie głową.

- Absolutnie nie.

Oczy Świrskiego przygasły i patrzyły bez wyrazu gdzieś w przestrzeń.

- Podejrzewać można wiele - mruknął - ale co z tego?

Po twarzy Zawadzkiego przemknął nikły cień.

21.

- Kogo podejrzewasz?

Wzruszył ramionami.

- Nikogo- pogładził wyłóg swej marynarki.

- Wszystkich.

Czyż to nie obojętne?

Kostrzewa skierował z powrotem wzrok na kartki.

Nikogo wszystkich.

Słowa raczej nie miały głębszego znaczenia. Ale w tonie, w którym zostały wypowiedziane, było niewątpliwie coś szczególnego.

Rozbieżność do oceny sytuacji?

Być może nie tylko w tym.

- Trzydzieści lat - podkreślił palcem w powietrzu.

- Co właściwie zaszło przed trzydzieści lat?

TEN, KTÓRY NIE POWRÓCIŁ, I TEN, KTÓRY NIE PRZYBYŁ

Zawadzki popatrzył w sufit.

Świrski z nagłym zainteresowaniem zaczął oglądać swe paznokcie.

Byli wyraźnie zakłopotani.

Na twarzy Kopankiewicza wyraz napiętej ciekawości.

On chyba również nie wiedział.

- No, więc.

- Zawadzki odchrząknął, ale głos w dalszym ciągu był matowy od chrypki - pewna nasza akcja, która pociągnęła za sobą ofiary w ludziach.

- Jakiego rodzaju akcja?

- Zbrojna.

- Trzydzieści lat temu?

W październiku czterdziestego szóstego?

- Tak - potwierdził szorstko Świrski - właśnie wtedy.

- Przeciwno dywersantom?

- Nie - zmarszczki na twarzy Zawadzkiego jakby nagle pogłębiły się jeszcze bardziej.

- Nie przeciwno.

Kostrzewa drgnął.

Trudno było nie zrozumieć.

Jeszcze nietak dawno wstałby, ruszył do samochodu i, nie bacząc na zmęczenie i noc, odjechał.

Ale lata pracy w Komendzie Głównej, wszystko, co widział i słyszał, dało mu tyle do myślenia, że odszedł z milicji.

Po prostu nie mógł firmować własnym nazwiskiem tego, co się tam działo.

Zresztą nie jeden z jego kolegów podzielał ten punkt widzenia, tyle że oni byli z zawodu tylko milicjantami, nie mieli dokąd odejść.

On miał.

- A więc tak zwana akcja dywersyjna?

- W akcie oskarżenia tak się to nazywało - potwierdził sucho Świrski.

- Ale wtedy można było oceniać rzecz z rozmaitych punktów widzenia.

My za nasz punkt widzenia zapłaciliśmy tyle, ile wypadło z rachunku.

Nie wszyscy zresztą jednakowo krótko błąsk oka wyraźnie pod adresem Zawadzkiego.

- Kwestia szczęścia - mruknął Zawadzki, nie patrząc na nikogo.

-Może sprytu, może.

jeszcze czego innego.

Krótko mówiąc, ja i Zdzisław odbyliśmy długoletnie szkolenie w miejscuzamkniętym, Jerzy natomiast doczekał się amnestii, przebywając w znacznie bardziej zdrowotnych warunkach.

- Tu?

- zapytał machinalnie Kostrzewa.

Zawadzki przytaknął milczącym ruchem głowy.

- I teraz któraś z ówczesnychofiar.

- rozmyślał na głos Kostrzewa.

- Wykluczone- Świrski przeszedł się ciężko po pokoju.

-

Absolutnie wykluczone- stanął przy oknie, bębniąc palcamiw metalowy parapet.

- Dlaczego?

-Nonsens - nie odwracał głowy.

- Nie pisze się listówzza

grobu.

- Zginęli wszyscy?

-W każdymrazie dziś już nikt nie żyje.

Nie znaczy, że akurat

w czasie akcji,ale.

Mnie i Zdzisława ujęto po upływie długiegoczasu.

Wtedy już nie stawianotych spraw na ostrzu noża.

Kostrzewa splótł ręce na kolanach.

- Po trzynastu latach- mówił jak w transie Kopankiewicz.

Był mocno wstrząśniętyi nawet nie usiłowałtego ukrywać - powraca fatalny dzień.

Fatalna data.

Kostrzewa podniósł z wolna głowę.

"Fatalnadata"?

Jakby zaprziesunięciem niewidzialnej dźwigni obraz uległnaglej zmianie.

Tu musiało być coś nie tak.

II

- Pomoże pan nam?

- zapytał Zawadzki.

- Tak.

O ile to będzie w mojej mocy.

Potwarzy Zawadzkiego przemknął trudny do rozszyfrowania wyraz.

Prawe ramię Świrskiego lekko drgnęło.

Wciążwpatrywał się w leżącą na dworze ciemność.

- Śmierć - podjął znowu Kopankiewicz -czyhająca w każdym miejscu i w każdej chwili.

Tylko niewiadomo, w jakimmiejscu i w jakiej chwili.

To..

nie jest łatwe -jakoś bokiemspojrzałku drzwiom prowadzącym na korytarz.

24

Zawadzki uczynił ruch,jakby chciał usiąść w fotelu.

Nieusiadł jednak.

Strzepnąwszy jakiś pyłek ze skórzanego oparcia,

wyprostował się na powrót.

- Nic nie jest łatwe.
Kostrzewa usiłował wczuć się w klimat.
Jakoś mu się nieudawało.
Półśłówka, niedopowiedzenia.
Mogły nie znaczyć nic, mogły znaczyć bardzo wiele.
Chcieli, żeby się włączył do sprawy?
Nawet codo tego nie miał pewności.
Lesiewicz wprowadzono świadczył, że występuje w imieniu ich wszystkich, ale to miało miejsce przed tygodniem.
Teraz go nie było.
Zniknął.
Kto wie, jak dalece sytuacja z tego powodu uległa zmianie.
I co najważniejsze: w jakim sensie?
Skoro jednak już się zdecydował.
- Czy jest pewne, że z uczestników ówczesnej akcji nikt już nie żyje?
- zapytał wreszcie.
Zawadzki westchnął.
- Niestety.
Zupełnie pewne.
Ta rzecz została dokładnie sprawdzona.
- Ilu ludzi mogło wchodzić w rachubę?
- Trzydziestu.
- Dwudziestu dziewięciu - sprostował przez ramię Świrski.
- Rudy zginął dwa dni wcześniej.
- Prawda.
Dwudziestu dziewięciu zgodził się Zawadzki.
- Zaczęliście ich poszukiwać już po otrzymaniu listów z pogrozkami?
- Tak.
Ale przecieżnie tylko my.
To byłoby nie do pomyślenia.
"Chody w milicji" - pomyślał Kostrzewa.
Ale nawet gdyby trafiono dokomend w całym kraju, ustalenie losów dwudziestu dziewięciu ludzi w ciągu kilku dni nie było raczej możliwe.
- A jeśli ktoś ukrył się pod cudzym nazwiskiem?
- Nie wierzę - rzucił Świrski.
- Wyraziłem się może niezupełnie ściśle.
- Zawadzki mówił jakby z wahaniem.
- Teraz w związku z tymi listami tylko sprawdzaliśmy.
O tym, że z całego oddziału nieocalał nikt poza nami trzema, wiedzieliśmy już od dawna.
- W takim razie może rodzina którejś z ofiar?
Świrski odwrócił się powoli od okna.
- To już bardziej prawdopodobne.
25.

- Co panom na ten temat wiadomo?

Zawadzki rozłożył ramiona w geście bezradności.

Świrski

podszedł bliżej.

- Cóż może być wiadomo?

Rodzina to niezmiernie rozległe
pojęcie.

Któż zresztą jest w stanie zaręczyć, że nie mamy do czynienia choćby z przyjacielem któregoś z poległych?

Kostrzewa wyciągnął nogi zmęczonym ruchem.

- W ten sposób rzeczywiście lista osób podejrzanych wydłuża się w nieskończoność.

- Masował powoli kolano.

Długie godziny za kierownicą dawały osobie dotkliwie znać.

- Czy nie domyślają się panowie, z jakiego powodu ten ktoś
tak długoczekał na zapowiedzenie swej zemsty?

- Trzynaście lat - zawołał w podnieceniu Kopankiewicz.

- Tamto zaszło trzynastego.

A jeżeli symbolistyka feralnej trzynastki?

Świrski obrzucił go pobłażliwym spojrzeniem.

- Trzynastka?

Dzisiaj mamy jedenastego.

A Zdzisław.

III

Wracali ze wszystkich stron.

Po dwóch, po trzech.

Niektórzyz latarniami, w rękach innych połyskiwały reflektory dużych latarek elektrycznych.

- Nic?

- pytał Zawadzki, choćby to czysto retoryczne pytanie.

Wystarczyło spojrzeć na ich twarze.

- Nic.

Przygarbił się.

Kopankiewicz raz po raz ocierał czoło.

- Zaczyna naprawdę zakrawać na tragedię.

Świrski pomrukiwał coś pod nosem.

Był ponury jak leżąca

dookoła noc.

Ludzie pochrząkiwali, wycierali głośno nosy, przytupywali,
by strącić przywarte do obuwia pecyny błota.

Pachniałopotem

i parującą tkaniną.

- Żadnych śladów?

Żadnych.

Możeście przegapili?

Zaprzeczał z oburzeniem:

- Jakżeby.

Cał po calu.

Nalewane przez Józefa kieliszki z grubego szkła migotały

26

zielonkawo.

Jakby zgodnie rytuałem splunęli jeden po drugim odchodzili z powrotem w ciemność.

Ostatni przyszedł barczysty chłop o niechlujnie skołtunionych włosach.

Zawadzki podskoczył ku niemu.

- I jak tam, Koryciuk?

Odstawił z brzękiem latarnię.

- Dolazłemaż do Zgniłych Moczarów.

Przez cały czas prawie na samych kolanach.

On tamtędyza Boga nie.

Chyba żeby powietrzem.

- To zamykakraż - powiedział apatycznie Zawadzki.

- Szukano wszędzie, gdzie się dało, i najmniejszego śladu.

- Jeżeli szedł cały czas pomchu.

- wtrącił Kopankiewicz.

Śmiech Koryciuka wypłynął jakby z głębi przepaścistego miecha.

- Na mchu też pozostają ślady, panie.

I na liściach.

Wszędzie, gdzie człowiek stąpnie.

A tu ani ani.

- Musiał przecież którąś iść.

- Musiał - tak jakinni wypił podsunięty przez Józefa kieliszek i tak samosplunął.

- Rzecz jasna, że tak.

Ale tam, gdziejapatrzyłem, nie przeszedł, jak Bóg na niebie.

- A tam gdzie patrzyli inni?

- Kto może odpowiadać za cudze oczy?

Tylko żeto wszystko ludzie odmaleńkości zwyczajnilasu.

Ptakaby wytropili, a cóż dopiero człowieka.

- Uważacie, że wartoprzepatrzeć jeszcze raz za dnia?

- zapytał Zawadzki.

- Tam, gdzieśmy dziś szukali?

- Tak.

- To już jak pan nadleśny uważa.

Ale po mojemunic nie da.

Potem ion odszedł.

Stali jeszcze na podwórzu, choć deszcz padał coraz grubszymi kroplami.

Trudno było się jakoś zdecydować na powrót do domu.

Kostrzewa przypalał papierosy od niedopalków poprzednich i wypalone za ledwie w połowie rzucał nasphywający wodą beton.

- Wszedł i zaraz zabramą rozplynał się jak mgła - mruknał Kopankiewicz.

- Moi ludzie.

- zaczął Zawadzki.

- Wierzę twoim ludziom, ale nie wierzę w cuda.

27.

-Ja także nie - poruszył się ostro Świrski.

Dotychczas stał bezruchu, przypominając zwalisty pień.

- Mech, liście, ziemia.

Mnie nie trzeba pouczać o takich rzeczach.

Aleistnieje podłoże, na którym w czasie deszczu nie pozostawia się śladów.

-Jakie?

- zapytał szybko Kopankiewicz.

- Beton.

-Szukanie tropów na podwórzu.

- przeciągnął zawiedziony.

- Podwórze?

- strzepnął wodę z kołnierza kurtki.

-Pomimo

wszystko niezgłupiałem jeszcze do reszty.

- Powiedział pan: beton - Kopankiewicz był wyraźniestrapiony.

-Powiedziałem.

Ale beton jest nie tyłkotu.

- A gdzie jeszcze?

-Szosa.

Dziwne, że żaden z nas dawno już nie wpadła to
rozwiązanie- w mroku błysnęły białkajego oczu.

Kostrzewa był przekonany, że spojrzenie było przeznaczone właśnie dla niego.

Uwaga również.

Błogosławił ciemności skrywające jego twarz.

Wyszło rzeczywiście głupio.

No cóż, od samego początku zdawał sobie sprawę ze swej wyjątkowo słabej kondycji.

Każde nerwymają jakiś tam kres wytrzymałości.

Pozanim człowiek staje się czymś w rodzaju galarety.

Przełknął cicho ślinę.

- Była mowa o spacerze po lesie -uwaga zabrzmiała zupełnie zdawkowo.

-W jakim celu miałby iść szosą?

-zawtórował Kopankiewicz.

Świrski przeciągnął ręką po mokrej czaszce i obejrzał dłoń,
jakby się spodziewał zobaczyć na niej coś więcej niż wodę.

- Czyja wiem.

- powiedział z namysłem.

-Przypuścimy, że

miał tam umówione z kimś spotkanie.

- Z kim?

Zawadzki otrząsnął się nagle jak zmoczony pies.

- Cholerny prysznic.

Macie zamiar stać tu do rana?

- zawołał nieoczekiwanie głośno.

Wypadło jakoś nienaturalnie.

Jakby chciał w ten sposób nie dopuścić do odpowiedzi Świrskiego.

W tej samej chwili buchnęło przeraźliwe ujadanie.

Psy rzuciły się ku ogrodzeniu.

Józef podniósł latarnię:

28

- Może.

Pobiegli za nim.

Przez zakopane szkła odbłask padał na odległość niespełna półtora metra.

Kostrzewa sięgnął do kieszeni.

Smuga jaskrawego światła przecięła czerń nocy.

Zatoczył reflektorem szerokie półkole.

Ostrymi konturami zarysowały się pnie drzew.

Jeszcze raz przejechał światłem.

Na otwartej przestrzeni nie było nikogo.

Ale tam w gąszczu?

Czekali, niemal wstrzymując oddech.

Psy powoli zaczęły cichnąć.

- Nic - szepnął Kopankiewicz.

- Durne kundły - wybuchnął Zawadzki - że też nie możecie ich nauczyć, żeby nie podnosiły alarmu bez przyczyny.

Józef zakołysał głową.

- W lesie zawsze się znajdzie przyczyna.

Boto brak różnej zwierzyny?

- Zwierzyna.

- Świrski podszedł tuż do kolczastego ogrodzenia.

- Być może tylko.

IV

Za dnia dom sprawiał nie mniej ponure wrażenie.

Być może w pewnej mierze powodował to deszcz spływający poszybami.

Pomimo wczesnej pory zastał wszystkich w jadalni.

Twarz Świrskiego jeszcze bardziej przypominała rozmoczoną bułkę.

Oczy przekrwione i mocno podpuchnięte.

Niewątpliwie jakieś problemy z nerkami.

Skóra na gładko wygolonych policzkach Zawadzkiego miała niezdrowy, szarawy odcień.

Wątroba, choroba wieńcowa.

O mało się nie roześmiał na głos.

Jakby tu przyjechał leczyć domowników.

Tylko Kopankiewicz był prosto niewyspany.

- Ani na chwilę.

- kurczowo walczył z atakami ziewania - nie mogłem przestać rozmyślać.

- Tu nie brak tematów do rozmyślań - zauważył Świrski, mieszając głośno łyżeczką w szklance.

- Być może Zdzisław doszedł do wniosku, że lepiej opuścić leśniczówkę na czaskrytyczny.

.. - Palce Świrskiego wypuściły łyżeczkę.

- Sześćdziesiąt pięć kilometrów na piechotę?

- Mógł spotkać na szosie jakiś samochód.

- O ile zdołałem zaobserwować, samochody na tej szosie

29.

stanowią niezmiernie rzadkie zjawisko.

Ale niewykluczam, że mógł spotkać.

Chociażby.

- Zawadzki wstał raptownie, odsuwając z hałasem krzesło.

- Jak pan uważa, doktorze, czy nie należałoby o zniknięciu Zdzisława zawiadomić milicji?

Kostrzewa postawił ostrożnie szklankę na spodku.

- Powinno się zawiadomić.

- Ja też jestem tego zdania, nie chciałem jednak bez porozumienia.

..Chodź - dotknął ramienia Świrskiego.

Pomożesz mi kręcić korbą tej piekielnej maszyny.

Olbrzym podniósł się niechętnie.

- Jakbyś sam nie potrafił - wyszedł jednak z nim razem.

Kostrzewa upił herbaty.

- Jak to właściwie było z tą wycieczką Lesiewicza?

Kopankiewicz zastanowił się.

- W ogóle nie wiedziałem, że zamierza wypuścić się gdzieś dalej.

Ale rozmawiałem z nim bardzo krótko.

Akurat Lola zawołała mnie nagórę.

Rozumie pan: drobne trudności z rozpakowaniem waliz.

Sporo było z tym roboty, bo okazało się, że pewne rzeczy wetknąłem nie tam gdzie trzeba i nie mogliśmy ich znaleźć.

W rezultacie zajęło to nadspodziewanie dużo czasu.

Może godzinę, może nawet więcej.

Gdy zszedłem ponownie, Zdzisława już nie było.

- Lola?

- przeciągnął pytająco Kostrzewa.

- Moja żona.

- Nie uprzedzono pana o grożącym tu niebezpieczeństwie?

- Owszem, Jerzy ostrzegł, że może dojść nawet do jakiejś

katastrofy.

- I pomimo to przywiózł pan małżonkę?

- Przywieźć?

- zakrztusił się.

- Och.

od razu widać, że pan jej nie zna.

Nie należy do kobiet, które by można przywozić.

- znowu spochmurniał.

- Swoją drogą ani na chwilę żadne z nas nie przypuszczało, że zastaniemy aż tak makabryczną sytuację.

Nie znaleźmy żadnych szczegółów.

Usłyszałem je poraz pierwszy dopiero wczorajszej nocy.

- Dawno pan zna Lesiewicza?

Dość dawno.

Poznałem go przez Jerzego.

Jakiego to rodzaj człowieka?

- Jak bytu powiedzieć.

30

- Chodzi mi o jego odwagę.

- Uważany jest za wyjątkowo odważnego.
- W takim razie pańskie przypuszczenie do jego ucieczki.
- Tak - spojrział bezradnie - rozumiem.

Ale jakież może być inne wytłumaczenie tego zniknięcia?

- Niestety- Kostrzewa pogładził końcem palca obrus - mogą być inne.
- Wrócił Zawadzki.
- Załatwione.

Porucznik Kosiorek będzie tu z ludźmi za dwadzieścia minut.

Przywiozł z sobą psa.

- Kopankiewicz odetchnął z niekłamana ulgą.
- Skoro mają psa policyjnego, z całą pewnością odnajdą trop.

Prawda, panie doktorze?

- Kostrzewa nie odpowiedział od razu.
- Chyba tak.

V

Po twarzy Zawadzkiego przemknął cień zakłopotania.

- Nie posiadamy żadnych planów zabudowań.

Rozumiemy, że chciałby pan zbadać teren.

- Chciałbym - potwierdził krótko Kostrzewa.
- Wobec tego nie pozostaje nic innego, jak metoda, hm.

wizualna - teraz już się uśmiechał.

Ale uśmiech ten nie czynił wrażenia naturalnego.

- Oprowadzimy pana.

Kostrzewa wyjął z kieszeni bloczek.

Metoda wizualna?

Nie było to na pewno najlepsze rozwiązanie, skoro jednak nie istniało inne.

- Spróbuję sporządzić coś w rodzaju szkicu z naszej wycieczki.

Zobserwując hol, biegły w obie strony dość szerokie korytarze, zapewne przez całą długość budynku.

- Od czego zaczniemy?

- zapytał Zawadzki.

- Przede wszystkim interesującym wejściem.
- Jasne.

Oprócz tego jest tylko kuchenne.

Ale ono raczej nie wchodzi w rachubę.

- Dlaczego?

- Zamyka się o zmroku na trzy spusty.

Wyjaśnienie niezabrzmiało zbyt przekonująco.

31.

- Czy główne drzwi pozostają w nocy otwarte?

-Nie.

Kostrzewa przesunął wzrokiemposkomplikowanym systemie zamków i rygli.

Było tego zdumiewająco dużo.

- Chętnie rzuciłbym okiem na tamto wejście.

-Oczywiście.

Ruszyli w prawo.

Zawadzkiatrzymał się przy pierwszych
drzwiach.

- Kancelaria nadleśnictwa.

Otworzył drzwi na oścież.

Kostrzewa zajrzał do wnętrza.

Biurko, duży stół -jedno i drugie zasłane stertami papierów,parę krzeseł, żelazna szafa
pod ścianą.

Wąskieokna umieszczone wysoko ponad podłogą, nie na tyle jednakwysoko, by wejście
mogło sprawiać trudność.

Zawadzki zauważył spojrzenieKostrzewy - wszystkie okna na parterze zaopatrzone sąw
stalowe okiennice.

-Jakaś nowa inwestycja?

- Nie,spadek po Niemcach.

Po przeciwległej stronie korytarza znowudrzwi.

- Łazienka - wyjaśnił zupełnie niepotrzebnie Zawadzki.

Sąsiednich drzwi natomiast nie otworzył.

- Podręczny skład nasion.

Kostrzewa milczał.

Może skład nasion, może coinnego.

Niebyło jednak powodu żądać, by te drzwi otworzono.

Ale szkic sporządzony na podstawie czyichś słów nie miał większej wartości.

Dwa stopnie w dół i drzwi zamykające korytarz.

Weszli dozdzumiewająco obszernej kuchni.

Olbrzymi piec kuchenny zajmowałcałą szerokość jednej ześcian.

Na drugiej rząd zlewozmywaków, nad którymi mdło połyskiwały metalowe krany.

- Wystarczyłoby dla dość licznego garnizonu- zauważył Kostrzewa.

-Sądzę, że tylko nieznacznie się pan myli, doktorze -powiedział Zawadzki.

Pomimo otwartegookna i rozwalonych na całąszerokość
drzwi,prowadzących na dwór, pachniałomocno czadem.

Spodpłyty raz po razbuchały gęste kłęby gryzącego dymu.

Tęga kobieta wniezagannie czystym fartuchu męczeńskim
ruchem ocierała twarz.

- Życ się odechciewa z tąkuchnią.

32

Zawadzki pokiwał z ubolewaniem głową.

- Przyślę zduna.

Westchnęła.

- Ale jeżeli znowuma tylko zatykać dziury - szkoda roboty.

Tu trzeba wszystko rozwalić do ostatniegokafla i postawić nanowo.

Tyle jużrazy panunadleśniczemu mówiłam.

- Jaktylko dostaniemy kredyty -Zawadzki odchrząknął.

Tymczasemjakoś.

Kostrzewa przeszedł przez kuchnię i, minawszy małą sionkę, wyszedł na zewnątrz. Wejście znajdowało się o jakieś dwa metry od węgła. Z tarasu nie można byłoby dostrzec wchodzącego. Z frontowych okien również. Słowa Zawadzkiego, że to wejście nie wchodzi w rachubę, stawały się coraz bardziej niezrozumiałe.

- Czy te drzwi rzeczywiście zamyka się zaraz po zmroku?

- Poleciałem, żeby zamykać - powiedział Zawadzki.

- Czy Marianna tego pilnuje?

- Tak - bąknęła nieprzekonująco, patrząc gdzieś w bok.

Dym wypływał spod płyty niemal bez przerwy.

Kostrzewa wciągnął powietrze i zakrztusił się.

- Kolację gotuje się również na kuchni?

- Wszystko na niej - przetarła ręką fartucha zażawione oczy.

- Pod wieczór człowiek niczym uwędzona ryba.

- Musimy palić przez cały dzień ze względu na ciepłą wodę w boilerze - dorzucił

Zawadzki.

Kostrzewa zakasłał.

Dym drapał ostro w gardło.

Zamknięta trzyspusta?

Zaczadziałyby chyba.

Kto wie, czy nie zostawały otwarte nawet wtedy, gdy szła spać.

- Gdzie pani sypia?

Wskazała ręką.

- Ale tam - zażenowany uśmiech - nie bardzo porządnie.

Było porządnie.

Tę sam ostry zapach dymu.

Niewiele mniej gryzący niż w kuchni.

Wąskie okienko nie przepuszczało zbyt dużo powietrza.

Zagwizdał cicho przez zęby.

Sytuacja stawała się coraz jaśniejsza.

Drzwi wychodząca na ogrodzone ze wszystkich stron podwórze.

Dozorca nocny, psy.

W tych warunkach nawet najbardziej kategoryczne polecenia musiały padać w próżnię.

Z jednej strony stalowe okiennice, z drugiej - otwarte.

te przez całą noc drzwi.

Był przekonany, że zostawiała je otwarte.

O obronności fortecy zawsze decyduje jej najsłabszy punkt.

A na ten słaby punkt nie było innej rady poza całkowitą przebudową kuchennego pieca.

Na półkach rząd szklanek.

Jedna w srebrnej podstawce.

Zawadzki roześmiał się cicho.

- Dziwactwa starszego wieku, doktorze.

Lubię pić herbatę

z własnego naczynia.

Zpowrotem korytarz.

W kuchni było już nic więcej do

oglądania.

Minęli hol, zagłębiając się w lewą część korytarza.

- Podręczne składziki - wskazywał Zawadzki mijane drzwi.

Nie uczynił jednak najmniejszego gestu, by którekolwiek z nich otworzyć.

Kostrzewa z trudem powstrzymywał się od wzruszenia ramionami.

W tych warunkach poznanie rozkładu pomieszczeń stawało się czysto iluzoryczne.

Dotarli do końca korytarza.

Znowu zamykająca go metalowa płyta.

Masywna kłódka przetknięta przez otwory potężnych skobli.

Otwory zamków oklejone paskami papieru.

Wyblakłe odbitki jakichś

pieczęci.

Kostrzewa patrzył ze zdumieniem.

- Jeszcze jedno wejście i do tego opieczętowane?

- Nie - zaprzeczył Zawadzki - zapasowa klatka schodowa bez wyjścia na zewnątrz.

- Opieczętowane?

- powtórzył Kostrzewa.

- Miny - Zawadzki nie wiadomo po co zniżył głos.

- Te

schody, prowadzą również do piwnicy.

- Miny?

Po piętnastu latach?

- To było trudne do uwierzenia.

Zawadzki rozłożył bezradnie ręce.

- Interweniowałem we wszystkich możliwych instancjach.

Żeby pan widział, doktorze, jakisiek w tej sprawie nagromadził stos korespondencji.

Osobiście zresztą również.

Nie należało specjalnych przyjemności mieć coś takiego pod nogami.

Opieczętowali, obiecali, że usuną.

Na tym się skończyło.

Prosiłbym jednak o dyskrecję.

Sam pan rozumie.

- Ludzie o tym nie wiedzą?

- Niektórzy nie, inni jakoś zdążyli zapomnieć.

Nie byłoby

dobrze, gdyby rozmowy na ten temat nowu odżyły.

I bez tego nie brakuje w tym domu powodów do paniki.

Kostrzewa obejrzał uważnie kłódkę.

34

Usuniętych pasków i naklejenie ich z powrotem nieprzedstawiałyoby zbyt wielkich trudności, jednak kłódkę raczej uniemożliwiła wejście z tamtej strony.

- Oglądał pantę klatki schodowej?

- Tylko zajrzałem.

Na samym początku mego urzędowania.

Zobaczywszy jednak, co się święci, wołałem nie ryzykować.

Sporo tam tego świństwa.

Wystarczyłby jeden nieostrożny ruch, budynek wyleciał w powietrze.

Znam się na tym coś niecoś - zakończył z nikłym uśmiechem.

- Więc dopiwnicy - powtórzył Kostrzewa - i gdzie dalej?

- Aż do trychu.

Drzwi tej klatki schodowej na każdym z pięter zostały zabezpieczone w taki sam sposób.

Również odpowiednia część piwnicy.

Stanowiona zupełnie odrębne pomiesz

czenie.

- W rezultacie znak zapytania na wysokości całego budynku - stwierdził dawkowo Kostrzewa.

- Można by to itak nazwać - potaknął Zawadzki.

Znowu ten sam zupełnie nieprzekonujący uśmiech.

Kostrzewa ze zniechęceniem zamknął notes.

Co się naprawdę kryło za opieczętowanymi drzwiami?

Co się kryło za drzwiami "podręcznych składzików"?

Trudno twierdzić, by gospodarz ułatwiał mu zorientowanie się w terenie.

A tak właściwie to z jakiego powodu?

VI

Deszcz zaczął ustawać.

Teraz były to już tylko coraz rzadsze krople.

- Gdyby panchciał obejrzyć podwórze.

Owszem, Kostrzewa chciał obejrzyć podwórze.

Kopankiewicz wyjrzał ze stołowego:

- Nie zaszkodzi trochę odetchnąć świeżym powietrzem.

Zjawiał się również Świrski.

Ziewanie rozdzierało mu szczęki:

- Skisnąćtu można.

Kopankiewicz popatrzył na niego spod oka.

- Na co jak na co, Alena nudy nie może pan narzekać - powiedział niemal z oburzeniem.

Świrski wzruszył ospale ramionami.

- Mogę.

Agonia też bywa niekiedy nudna.

35.

Podeszli do ogrodzenia.

Pełne dwa i pół metra wysokości - oznajmił Zawadzki.

-

No i jeżeli chodzi o gęstość splotu.

Kopankiewicz dotknął ostrożnie stalowego kolca.

-Nieźle.

Przeleźć przez takie coś.

- Zawracanie głowy - Świrski przytknął paznokciami w drut

-wystarczy zwykła drabinka.

- Ktoś, kto nosi pod pachą drabinę?

- przeciągnął Zawadzki.

- Niekoniecznie pod pachą.

Różne bywają drabiny, zresztą powiedzmy: nożyce.

Albo choćby kawał chojaka wyciętego tuż obok.

Żadna filozofia.

-Jak jest z psami?

- zapytał Kostrzewa.

Świrski miał rację.

Dla kogoś, kto chciałby za wszelką cenę

tu wejść, ogrodzenie nieprzedstawiało specjalnej przeszkody.

Zawadzki machnął ręką.

- Sam pan widział wczorajszej nocy.

Na psy nie ma coliczyć.

Zwariowane bydłeta.

Szczekająz byle powodu.

Nic ich nie obchodzi, kto częstuje kielbasą.

- Czyli gdyby ktoś usiłował dostać się od zewnątrz.

- Kopankiewicz nagle zmarmotniał.

- Z zewnątrz?

- Świrski przystanął.

-To nie jest nigdzie powiedziane.

Zawadzkiutkwiał w jegotwarzy ciężkie spojrzenie.

- Co masz na myśli?

-Nic- splunął na wilgotny beton nic specjalnego.

- Podniósł kołnierz swejkurtki.

-Znowu zaczyna łać.

Jeżelimacieochotę na prysznic.

- zawrócił powolii ruszył ociężałym krokiem w kierunku domu.

Zawadzki śledził go wzrokiem, dopóki

nie zniknął za drzwiami.

- Nerwy - powiedział cicho - cóż zresztą dziwnego?

Od

chwili, gdy Zdzisław zaginął.

- Zupełnie zrozumiałe - stwierdził Kopankiewicz; W tej sytuacji każdemu w końcu odbije.

-Kontynuujemy obchód?

- Zawadzki popatrzył pytająco na Kostrzewę.

- Rzeczywiście zaczyna padać mocniej.

Kostrzewa zgarnął kurtkę na piersi.

- Jeżeli deszcz panu nieprzeszkadza, wolałbym kontynuować.

Człowiek jednak inaczej się czuje, gdy choć pobieżnie

36

zna terenewentualnej akcji.

Diabli wiedzą, co się może wydarzyć w najbliższym czasie.

- Słusznie - Zawadzki nasunął głębiej na czoło czapkę, przyczym z denka jej pociekła
nikła strużka wody.

- Ten ktoś teżprawdopodobnie będzie zwracał uwagi na pogodę.

Ruszyli dalej.

- Służbowa oficyna - Zawadzki wskazał bryłę budynku.

-Kto w niej mieszka?

- zapytał Kostrzewa.

Zanim jednak Zawadzki zdążył odpowiedzieć, z wąskichdrzwi
budynek wyszła kanciasta postać człowieka, który otwierał wczorajszej nocy bramę.

- Ja - oznajmił dudniącym głosem - i mój biedny stary.

Zmieścilibyśmy się tu i wdzięcioro.

Ale kto by tam chciałmieszkać w ociekającym wodą bunkrze.

- nie patrząc na nikogo, poszedł w głąb podwórza.

- Nieszczęśliwy człowiek - westchnął Zawadzki.

- Bombarzniejsza całą jego rodzinę w strzępy.

Na ich oczach zginęły cztery najbliższe osoby.

Wtedy właśnie jego ojciec stracił rozum.

VII Kostrzewa coraz niespokojniej spoglądał na zegarek.

- Co u licha z tą milicją?

- Mogłom wypaść akurat coś pilniejszego - powiedział Kopankiewicz.

Zawadzki potrzęsła głową.

- Porucznik Kosiorek to uosobienie punktualności.

Znamgo pod tym względem dobrze.

Zawiadomiliśmy przecież.

A tuż - wygarnął zegarek spod mankietu - przeszło godzina spóźnienia.

Zupełnie do niego niepodobne, -W końcu niewytrzymał.

- Zapytam, w czym rzecz - podszedł do telefonu.

-Halo?

No co u diabła?

-kręcił wściekle korba, stukając w widełki.

-Halo -krzyczał coraz głośniej.

Wreszcie odwiecił zniechęconym ruchem słuchawkę -jakieś uszkodzenia na linii.

- Wesoło - Kopankiewicz poskrobał się z zakłopotaniem w podbródek.

- Telefonnie działa, milicja nieprzyjeżdża.

Icodalej, szary człowieku?

- Jako sobie poradzimy - Zawadzki otworzył okno.

- Jest tam gdzie Koryciuk?

37.

- Co pomoże sławetny Koryciuk na przerwaną linię?

-

mruknął z powątpiewaniem Kopankiewicz.

- Pojedzie na rowerze - rzucił przez ramię Zawadzki.

- Co

u licha z tym Koryciukiem?

Znowu się wychylił.

- Już idę - dobiegł głos z podwórka.

Zawadzki opadł na krzesło.

- Cholerne komplikacje.

Będzie musiało potrwać o wiele

dłużej.

- Pewno - wydał wargi Kopankiewicz.

Sześćdziesiąt pięć

kilometrów tam i tyleż z powrotem.

- Na szczęście skrótami prawie o połowę bliżej.

Ale tak nie

dowiemy się niczego przed wieczorem.

Nie mogę zrozumieć,

dłaczego ten Kosiorek nieprzyjeżdża.

Wszedł gajowy w brudnej kurtce mundurowej.

Wytarte rękawy świeciły dziurami na łokciach.

Włosy skołtunione, wzrok

niezbyt rozgarnięty.

- Pan nadleśny mnie wołał?

- Nie - sarknął ze złością Zawadzki.

- Archanioł Gabriel.

Włóczycie się nie wiadomo gdzie i trzeba na was całymi godzinami czekać.

- Byłem tuż pod oknem.

- Nie przejął się.

Widać było, że

jest przyzwyczajony do wybuchów zwierznika.

- A co pan

nadleśny chciał?

- Weźmiecie rower i pojedziecie do miasta.

Wiecie, gdzie

jest powiatowa komenda MO?

- A kto by niewiedział?

- Nowięcójdziecie tam do porucznika Kosiorka.

Gdybyście go niezastali w komendzie, skoczycie do prywatnego mieszkania, Ogrodowa trzy.

Wiecie, gdzie jest Ogrodowa?

- Jakoś się dopytam.

- Doręczycie mu list i żeby zaraz odpisał.

Tylko wszystko

na pełnym gazie.

To bardzo pilna sprawa - nachylił się nad biurkiem, skreślając w pośpiechu kilkasłów.

Zakleił kopertę.

- Na wszelki wypadek napisałem wam tu oba adresy.

Aha, jeszcze jedno, w drodze powrotnej wpadnijcie do Urzędu Pocztowego i poproście o natychmiastową naprawę telefonu.

Do czego to podobne, żeby nadleśnictwo było odcięte od świata.

38

- A z kim mam tam rozmawiać?

- Z naczelnikiem Borzęckim.

Zapamiętacie?

Przestąpił niepewnie z nogi na nogę.

- Ja tam donazwisk nie bardzo.

I bo to taki będzie chciał zemną gadać?

Lepiej żeby pan nadleśny dał jakiś list.

Zawadzki sięgnął z rezygnacją po długopis.

Pisał przez chwilę.

Adresna kopercie wykaligrafował drukowanymi literami.

- Tylko nie popłączcie listów.

I żadnego tam łażenia poknajpach.

Macie wrócić - znowu spojrzął na zegarek najpóźniej o dziesiątej.

- O dziesiątej nie darady.

Szmat drogi.

- Powiedzmy o jedenastej.

A jak nie, to pogadam z wami inaczej.

Powijściu gajowego w kancelarii zapanował przeciągły milczenie.

- A co będzie do jedenastej?

- zapytał Kopankiewicz.

- Czas pokaże - Zawadzki machinalnie przesunął ręką powłosach.

- Być może tylko zwykła kolacja, być może zupełnie co innego.

VIII

Kostrzewa przyglądał się z niedowierzaniem kobiecie, która weszła razem z Zawadzkiem.

Zawadzki powiedział w czasie obiadu: "Żona prosi o wybaczenie, żenie zeszła, ale czuje się nieszczególnie".

Żona?

Ta mogła mieć najwyżej osiemnaście lat.

Zawadzki sprawiał przy niej wrażenie zgrzybiałego starca.

Następna chwila rozwiązała resztki wątpliwości.

- Zosiu, pozwól, że ci przedstawię naszego sławnego gościa.

Doktor Kostrzewa, moja żona.

- Bardzo - zająknęła się - bardzo się cieszę, że pan zechciał przyjechać.

Tyle o panu słyszałam - była wyraźnie zażenowana.

Spojrzenie niebieskich oczu tak samo dziecinne jak cała twarz.

Kostrzewa skłonił głowę w poprawnym ukłonie.

Osiemnaście lat i pięćdziesiąt kilka.

Co właściwie skojarzyło tę parę?

Siedząc przy stole, obserwował dyskretnie panią domu.

Niewątpliwie przystojna, może nawet więcej niż przystojna.

Wielkie oczy, długie rzęsy, niewątpliwie bez śladu tuszu.

Brak jakiegokolwiek makijażu był po prostu dumiewający.

Delikatna cera,

39.

świeża i prawdziwa.

Wzrokprzeważnie utkwiony w talerzu.

Mała, grzeczna i bardzo nieśmiała dziewczynka.

Nie zachowywała się jak pani domu.

Raczej jak gość naprzyjęciudla nastolatek.

Pucułowała dziewczyna, która podawała do stołu, zwracała się do wszystkich rozkazy do Zawadzkiego i widać było, że taki zwyczaj panuje w tym domu.

Świrski pobrzękiwał gniewnie łyżeczką.

- No dobrze.

Herbata herbata, ale jeżeli chodzi o coś mocniejszego?

- Napijają państwo nalewki?

Zawadzki powiódł pytającym spojrzeniem dookoła.

Lola zaprzeczyła z oburzeniem.

Kopankiewicz zająknął się, ale zgaszony ostrym spojrzeniem swej żony podziękował zrezygnacją.

Kostrzewa odmówił stanowczo.

W ciągu najbliższych godzin alkohol niewchodził w rachubę.

Od zachowania jak największej

trzeźwości umysłu mogło zależeć niezmiernie wiele.

- No, aleja owszem - oznajmił kategorycznie Świrski.

- Sam do siebie?

- zapytał z wyrzutem Zawadzki.

- I co z tego?

Jaknie ma chętnych, centrala też musi wystarczyć.

Zawadzki nie ukrywając dezaprobaty, postawił przed nim karafkę i kieliszek.

Świrski spojrział na szlifowane szkło.

- Mniejszego już nie znalazłeś?

- nie czekając na odpowiedź, nalał sobie wódki.

- Zdrowie abstynentów - wychylił jednym haustem.

- Dobrze, że go przyokazji nie połknąłem.

Ztakimi miniaturami trzeba zachować jak najdalej idącą ostrożność.

- Sięgnął po karafkę.

- Swoją drogą wypadałoby, żebyś dotrzymał gościowi towarzystwa.

Gospodarz jesteś czy nie?

Zawadzki położył obieręce na obrusie, patrząc na nie z taką uwagą, jakby je widział po raz pierwszy.

- Jeszczeby tylko tego brakowało, żeby się po alkoholu rozkleił do reszty.

Szczególnie teraz, gdy.

- urwał.

- Ty równieżnie powinieneś pić.

To..

to bardzo niedobrze.

Gardłowy śmiech Świrskiego zabrzmiał jakoś zupełnie niewesoło.

- Niedobrze?

Masz rację, jest bardzo niedobrze.

I wielu

ludzi robi wiele rzeczy, których stanowczo nie powinno robić.

Być może właśnie dlatego.

- przytknął kieliszek do ust.

40

Na schodach rozległy się ciężkie kroki.

Ktoś biegł pośpiechem.

Oczywysztych skierowały się ku drzwiom.

- Co znowu - zaczął Zawadzki, alewłaśnie w tej chwili dopokoju wpadł, głośno sapiąc, Koryciuk.

-O, nie - Kopankiewicz z hałasem odstawił swoją szklanę.

- Mimo wszystko nie zmusicie mnie do uwierzenia w ponaddźwiękową szybkość tutejszych rowerów.

Zawadzki zerwał się z krzesła.

- Dlaczegoście zawrócili?

- zapytał ostro.

-Mówiłem przecież.

Koryciuk odchrząknął.

- Ani sposobu przejechać.

-Jak to?

- Woda - bąknął lakonicznie.

-Co znaczy: woda?

- huknął Zawadzki.

-Gadajcie po ludzku.

- A bo - podrapał się z zafrasowaniem w kark -już na dziesiąty kilometr zalane dokumentnie.

Ścieżki, szosa, wszystko.

Głęboko na chłopa, albo i lepiej.

Próbowałem tak i owa, ale gdzie tam.

Trzeba by chybakrypać.

A i toniewiedzieć jakby wyszło.

Wreniczym w jakimś ganie.

Znaczy się pewno Błotnistawylała.

A możei tepomniejsze też.

Zawadzki przełknął głośno ślinę.

- Powódź?

Koryciuk pokiwał głową.

- Na to wychodzi.

-Dlaczegoście nie próbowali przez Wkręte?

Może tamtędy dałoby radę.

- A bo to nie próbowałem?

- Ściągnął wargi jak do splunięcia, zreflektował się jednak.

-Jakże nie.

Ale tam jeszcze głębiej.

I przez Wkręte, i przez Paździory, i przez Zgniłe.

Wszędzie wody aż strach.

Dookoła, krótko mówiąc.

Co względem tego teraz pan nadleśny każe?

Zawadzki zastanowił się.

- A cóż mogę kazać?

- wykonał ręką płynny, nieokreślony gest.

-Chyba żeby.

- potarł czoło -jakaś łódź.

Koryciuk zamrugał powiekami.

- Łódź?

- powtórzył.

-A niby skąd ją wytrzasnąć?

Nad Błotnistą to ludzie mają, ale jak do tych ludzi?

41.

- Możecie odejść.

I co teraz?

spojrzał tępo w odległy kąt
pokoju.

- Wyspa oblana zewszystkich Stron wodą - zaczął cicho, niemal jak przez sen,

Kopankiewicz.

- Odcięta od całego świata.

Ani milicji, ani lekarza, ani żadnej pomocy.

nic.

Absolutnie

nic. Miejsce, gdzie diabeł mówi dobranoc.

- Wiele jest miejsc, gdzie diabeł mówi dobranoc - parsk- -

nał chropowatym śmiechem Świrski- i wcale do tego nie potrzeba powodzi.

Powiada pan: nic?

- spojrział na Kopankiewicza.

-Niestety - podniósł napełniony ponowniekieliszek w górę.

-Nie sądzę, żeby tak było.

Coś chyba zostało razem z nami odcięte od świata.

Woda.

- wpatrzył się w rozkołysany wkieliszkupełn - woda zmywa wszystkie ślady.

Zdzisław.

- pił wódkę drobnymi łykami - on już teraz nie.

Et, co tam.

- postawił ostrożniekieliszekna obrusie.

-My wszyscy.

W tej samej chwili zgasło nagle światło.

-Cooo.

Ja się boję- rozedrgany, pełen paniki głos pani

Zosi.

- Spokojnie, kwiatuszku -perswadował tubalnym szeptem

Zawadzki.

- Zaraz zapalimy świece.

- Ale.

dlaczego zgasło?

- czuło się, że lada chwila wybuchnie płaczem.

- Przecież słyszałaś, co powiedział Koryciuk.

Powódź obaliła

pewno któryś ze słupów.

Trudno - błysnął chwiejny płomyk zapalki.

- Powódź?

- sapnęła Świrski, brzękając szkłem.

-Być może

co innego.

Człapanie rozdeptanych pantofli.

- Bo to proszę pana nadleśnego światło zgasło - oznajmiła

zprzejęciem dziewczyna, wpadając do pokoju.

- Nie może być - sarknął ze złościąZawadzki.

- Przynies

świece.

- Boję się - powtórzyła ze łzami w głosie pani Zosia.

- Dużo świec - zawołał Zawadzki - najednej nodze!

PARTIA BRYDŻAI INNE RZECZY

Pomyśl właściwie wyszedł od pani Zosi.

Nie wspomniała wprawdzie obrydzu, oświadczyła jednak, że za żadne skarby nie będzie siedziała samotnie w swoim pokoju przy świeczce.

"Razem to zawsze jakoś różniej.

"

- Jak razem, to znaczy brydż - powiedział Kopankiewicz.

- Nie będziemy przecież ciągleo powodzi.

Słyszałem już o weselszym sposobie spędzania czasu.

- Może być brydż, ale żebyś nie wymyślał - zastrzegła się pani Lola.

- I nie ma mowy o żadnej partii fixe.

Będziemy grać, jak karty wskażą.

- Nigdy nikomu nie wymyślałem - obruszył się niezbyt szczerze Kopankiewicz.

- Jestem łagodny jak baranek.

Odblask płomienia sześciu świec, osadzonych w dwóch żelaznych kandelabrach, rzucał chwiejne światło na karciany stolik.

Twarze grających tonęły w cieniu.

Pod ścianami wielkiego pokoju zalegał niemal zupełny mrok.

Pani Zosia siedziała tuż przy mężu, raz po raz dotykając policzkiem rękawajęgokurtki.

Nie patrzyła w karty, nie interesowała się przebiegiem rozgrywek.

"Nie umiem grać w brydża - oznajmiła na samym wstępie.

- I karty mnie nudzą.

" Kostrzewa grał z Kopankiewiczem, siedząc plecami do okna.

Kopankiewicz próbował żartami ukryć zdenerwowanie, co mu nie bardzo wychodziło.

Zresztą wszyscy byli podenerwowani.

- Cztery bez atutu - zapowiedział Kostrzewa.

Kopankiewicz skrzywił się współczująco.

- Jak się niema, co się mówi, to się leży, z kim się gra.

Ja..

- nagle twarz mu stężała.

Szklanym wzrokiem wpatrywał się w okno.

- To przecież.

- wyjąkał.

- Tam!

- niemal wrzasnął, gwałtownie zrywając się z krzesła.

Karty wypadły mu z ręki, spływając z suchym szelestem na stół.

- Tam - wskazał na okno.

- Twarz!

Wszyscy skoczyli na równe nogi.

43.

- Ratunku!

pisnęła zdławionym głosem pani Zosia.

- Nonsens oznajmiła kategorycznie pani Lola.

- Nie może być żadnej twarzy.

-Ale i onanie potrafiła opanować dygotania głosu.

Kostrzewa długim susem dopadł okna.

Coś jakby szaraplama

mignęła potamtej stronie szyby, znikając w następnej chwili.

Gwałtownym szarpnięciem otworzył okno.

Silne światło kieszonkowej latarki rzucało długi snop promieni.

Zatoczył powoli reflektorem.

Dookoła nie było nikogo.

Lśniącywilgocią, gładki beton podwórza.

Nic, za czym dałoby się ukryć.

Od parapetudo betonu przeszło cztery metry.

Ściana gładka, pozbawiona jakichkolwiek występów.

Drabina?

Ani śladu żadnej drabiny.

- Cztery metry - powiedział na głos.

- Żadnych możliwości,

żeby ktoś mógł sięgnąć głową do tego okna.

- Cztery metry- powtórzył Świrski, który już stał za jego plecami.

- A przecież ja też widziałem coś, co mogłobyć twarzą.

- Twarz - Kopankiewicz przesunął grzbietem dłoni po czole.

- To była z całą pewnością twarz.

Widziałemdokładnie.

Rozpłaszczona na szybie.

Oczy otwarte i błyszczące.

Niktmi niewmówi, że to złudzenie.

Jestemprzytomny.

Zawadzki obejmował ramieniem drżącą żonę.

-Wykluczone.

Może jakiś nocny ptak zwabiony światłem.

- To nie był ptak- Kopankiewiczzwilżył wargi końcemjęzyka.

- Twarz.

- Niedługo uwierzemy w czterometrowychwielkoludów.

-

Śmiech Zawadzkiego zgrzytnął niczym pilnik po szkle.

Świrski podszedł ku stojącemu na uboczu stolikowi.

- W wiele rzeczyniedługo zaczniemy tu wierzyć - wyjął ostrożniekorek z kryształowej karafki.

Kostrzewa milczał, nie odchodząc od okna.

Nie ma czterometrowych ludzi.

Niebyło sposobu wspięcia się natę wysokość.

A przecież coś naprawdę mignęło potamtej stronie.

Coś, czego nie potrafił zrozumieć.

- Gramy dalej?

- zamknął powoli okno.

- A cóż nam innego pozostaje?

- Kopankiewicz pochylił się nad stolikiem i zaczął pedantycznie układać karty.
Czynił to zdumiewająco długo.

Być może, aby opanować drżenie rąk.

Pani Zosia ukryła twarz w dłoniach.

44

- Błagam was, nie rozchodźmy się teraz.

Miałabym po tym wszystkim iść do naszego pokoju?

- Nie ma się czego bać.

- Pani Lola przesadnie swobodnym ruchem zajęła miejsce w swoim fotelu.

- Liść, może jakaś ćma albo sowa, czy coś w tym rodzaju.

- wzięła karty, rozkładające w wachlarz.

- Grać to grać - Świrski z hałasem usiadł przy stoliku - grajmy więc, dopóki pozwolą nam w ogóle cokolwiek robić.

Powiedział pan, doktorze, cztery bez atutu?

- Tak.

Kostrzewa skupił się z trudem.

Tamto za oknem nie dawałomu spokoju.

Co to było i jakie miało znaczenie?

II

Kopankiewicz spojrzał z ostentacyjną zazdrością na szklanekę w metalowej podstawce, stojącą przed Zawadzki.

- Dla gospodarza prawdziwa herbata, gościom zaś wystarczy rumianek.

Aleja naprawdę nie jestem chory.

Słowo honoru.

Zawadzki uśmiechnęła się.

- Rzeczywiście trochę za słaba.

- Słaba?

- Kopankiewicz skrzywił się żałośnie.

To żadne określenie.

Powiedzmy: napar rumianku dla niemowlęcia.

- W takim razie może się zamienimy?

- Bardzo chętnie!

- zawołał entuzjastycznie Kopankiewicz.

- Zresztą nadmiar esencji szkodzi podobno na serce, a, jak słyszałem, ostatnio poniekąd nawala.

Poświęcę się więc w imię dobra publicznego - sięgnął skwapliwie po podsuwaną przez Zawadzkiego szklanekę.

- To jest herbata - podniosła ją, wciągając powietrze nosem.

- Ooo.

- nagle pobladł.

- A to znów co takiego?

- Co się stało - spojrzał na niego rozbawionym wzrokiem Zawadzki.

- Czyżby jeszcze nie dość mocna?

- To.

- jeszcze raz powąchał plyn i niezmiernie ostrożnie postawił szklanekę na stole.

- Ona.

- wlepił wzrok w szklanekę.

- Ona pachnie gorzkimi migdałami.

- Co za fletuchy te dziewczyny - Zawadzki wciąż jeszcze nie zdradzał przejęcia.

- Nicim się nie chce porządnie umyć.

- Gorzkie migdały - powtórzył głucho Kopankiewicz.

Tak

właśnie pachnie cyjanek potasu.

- Trucizna?

- pani Zosia wykonała paniczny gestrękoma,

o mało nie strącając swego nakrycia.

- Trucizna?

- zaczęła podnosić się z krzesła, jakby zamierzając uciec z pokoju.

Zawadzki przytrzymał ją:

- Zosieńko.

- Cyjanek potasu?

- Kostrzewa sięgnęła po szklanę w metalowej podstawie.

Nachylił się nad nią.

Tak, zapach gorzkich

migdałów był wyraźny i bardzo intensywny.

- Rzeczywiście trochę to podejrzane - rzucił w martwą ciszę
zapadłą przy stole.

- Trochę?

- Świrski wydał wargi.

- Nonsens.

Co tu może być

podejrzanego?

Gorzkie migdały - znaczy cyjanek potasu.

Jasnej niedwuznaczne.

Czemu by zresztą nie?

Taki sam dobry sposób jak i każdy inny - przytknął kieliszek nalewki niemal do samego nosa -
to przynajmniej pachnie tylko alkoholem i owocami.

Niczym więcej.

Tak jak powinna pachnieć ucziwa wódkadomowej roboty.

Otonauczka, aby nie ryzykować picia herbaty i innych lur.

Zdrowie - wykonał kieliszkiem gest w kierunku okna.

- Zdrowie tego, który chce nam pomóc w powiększeniu grona aniołków.

- Wypił i znowu sobie nalał, - Zdrowie tych pięciu minut, które nas jeszcze dzielą od
dwunastej.

III

- Prosiłbym o jakąś niewielką buteleczkę.

Należy ją dobrze

wyparzyć.

Korek również - powiedział Kostrzewa.

- Buteleczkę?

- Badawczy wzrok Zawadzkiego był ciężki
i nieruchomy.

- Po co panu buteleczka?

- Spróbuję przeprowadzić analizę tej herbaty.

Ostatecznie

zapach gorzkich migdałów niekoniecznie musi oznaczać cyjanek potasu.

Po twarzy Zawadzkiego przemknął trudny do rozszyfrowania wyraz.

- Analiza?

- powtórzył jakby z pewnym wysiłkiem.

-Tutaj,
bez żadnych przyrządów, bezodczynników?
Tochyba niemożliwe.
- Sądzę, że możliwe - uśmiechnął się Kostrzewa.
- Na wszelki wypadek zabrałem z sobą wszystko, co do takiej analizy potrzebne.
- Podręczne laboratorium?
- spojrzalna niego z niekłamanym podziwem Kopankiewicz.
Widać było, że wciąż jeszcze niemoże przyjść do siebie po doznanych przed chwilą wstrząsach.
- Coś w tym rodzaju.
Na polecenie Zawadzki pucołowata dziewczyna przyniosła butelkę.
- Dobrze ją wyparzyłaś?
- zapytał Zawadzki.
- No jakże.
Cztery razy wrzątkiem, że aż para buchała.
Cud, że szkłonie pękło.
Kostrzewa skorzystał z sposobności.
- Poproszę tu bliżej panienkę.
Podeszła z ociąganiem.
- A bo co?
- obrzucała go nieufnym spojrzeniem.
- Nic wielkiego.
Jak panience na imię?
- Kazimiera - odburknęła opryskliwie.
- Jakby to pan niewiedziały.
- Naprawdę niewiedziały - uspakajający uśmiech Kostrzewy nie poskutkował.
Oczy jej biegały na wszystkie strony niczym spłoszone myszy.
- A więc, panno Kaziu, jak to było właściwie z tą herbatą pana nadleśnego?
- A jak miało być?
Zwyczajnie.
W czym rzecz?
Wpadła tam coś, czy jak?
- spłoszyła się jeszcze bardziej.
- Bo jak nieprzykryte, ani rusz upilnować, a przykrywać znów pan nadleśny nie pozwala.
Powiada, że potem cuchnie ścierką.
- Może i coś wpadło.
Chodzi nam o to, kiedy mianowicie mogło wpaść.
Czy panna Kazia zaraz po nalaniu herbaty przyniosła ją tutaj.
- No jakżeby.
Rzecz jasna, że zaraz - wyczuł w jej głosie coś jakby moment wahania.
- Może jednak nie byłoby tak bardzo zaraz?
- bezskutecznie siłował za jej uciekające ustawicznie oczy.
- Proszę sobie przypomnieć.
Tu chodzi o bardzo ważną rzecz.
- Gadaj - huknął niecierpliwie Zawadzki.
- Jak będziesz zgagać, to się dosądniego dnia nie pozbierasz.
Policzki jej spłonęły krwistą czerwienią, potem zszarzały.
- No więc - palce szarpały nakrochmalone płótno fartucha

- upłynęła jakaś tam malutka chwilka, herbata zresztą była za gorąca, żeby ją przynieść.
- Za gorąca - prychnął Zawadzki - co za cholerna bzdura!
O jaką malutką chwilkę chodzi?

Mów wreszcie po ludzku, coś

wtedy robiła!

Westchnęła, zerkając ze strachem ku Zawadzkiemu.

- Bo.

jak raz przysła kuma z Dębowa i przyniosła paczkę.

A żepodłoga w kuchni świeżo umyta, a na dworze błocko, żestrach, wyszłam do niej do sieni.

Miałam znowumyć całą podłogę?

Zresztą co to trwało.

Może nawetaniminuty.

- Znam ja wasze minuty - grzmiał dalej Zawadzki.

-Czy przez cały czas była panna Kazia zeswą kumą w sieni?

- wtrącił pytanie Kostrzewa.

-Nnie.

- zająknęła się - weszliśmy do służbowego, bobyła bardzo zmachana i chciała ociupinę przysiąść.

- A więc poszłyście do służbowego - powtórzył Kostrzewa.

-

Drzwi nadwór były wtedy otwarte?

- A kto by je zamykał.

Tam możnazaczadzić.

- Czy w tym czasie Marianna była w kuchni?

-Nie, spała w służbowym.

Głowa ją bolała, zresztą herbatę

to jużzawsze ja.

- A więc - skomentował ironicznie Świrski - kumoszki rajcują w pokoiku, drzwi na oścież, każdy, komu ochota, proszębardzo.

Cyjanektocyjanek, jakieś inne świństwo dlaczego by

nie - wszystko według programu.

- Cyjanek?

- wytrzeszczyła oczy.

A to znów co takiego?

-

widać było, że nie rozumie.

Zdumienie z całą pewnością nie było udane.

- Głupstwo- uspokoił ją Kostrzewa.

- Niech się panna Kazia nie przejmuj.

Proszę nam teraz powiedzieć, czy dla pananadleśnego naląła więcej esencji niż do innychszklanek?

- To jużzawsze tak.

Pannadleśny krzyczy, żeby jak najmocniejsza.

- W porządku- zabębnił palcamipo serwecie.

- Czy w momencie, jak panna Kazia nalewała herbatę, szklanka pana nadleśnego była już umieszczona w podstawce?

-Tak.

Jeszcze jedno: przypuśćmy, że rozmowa z kumą trwałanie48

co więcej niż jedną minutę.
Herbata przez ten czas musiała trochę ostygnąć.
Tutaj zaś otrzymaliśmy ją bardzo gorącą.

Jak to

wytłumaczyć?

- Bo nie gadałyśmy więcej niż minutkę.

-A może - tym razem udało mi się spojrzeć jej w oczy -panna Kazia po prostu dołała wrzątku?

Znowu się zaczerwieniła.

- Kapinkę dołałam.

Bo jak niegorąca, to pannadlesny wydziwia.

- Aha.

Rozumiem.

To byłoby na razie wszystko.

Dziękuję.

- Mogę już iść?

-Idź!

- krzyknął Zawadzki.

-Ale jeżeli jeszcze raz pozostawisz kuchnię bez dozoru, toniech cię ręka boska.

Niemal wybiegła.

- Pozostawi.

- Świrski z uwagą nalewał wódkę do swego kieliszka.

-Możesz być zupełnie spokojny.

Przy każdej okazji i bezokazji też.

Tym razem nikt niewypił trucizny, bo cyjanek podjeżdżał jak wszyscy diabli, ale co będzie, gdy naleją czegoś, conie ma żadnego zapachu?

IV

Kostrzewa zakorkował butelkę.

W szklance pozostała jeszcze mniej więcej trzecia część zawartości.

- A co zrobić z resztą?

- spojrzał pytająco Zawadzki.

Świrski wzruszył ostro ramionami.

- Pytanie.

Do zlewu i zlewwyparzyć.

Zresztą - machnął z rezygnacją ręką - to wszystko i tak nic nie pomoże.

Zawsze znajdą jakąś pałkę, żeby nam dać łeb.

Tak - przesunął kieliszek z miejsca na miejsce - on na pewno znajdzie.

- Kto?

- Zawadzki podniósł głowę.

-Kto?

- Nie wiem - strzepnął jakiś okruch z serwety.

- Może nie wiem.

Kostrzewa wstał.

Znowu niedopowiedzenia, każące domyślać się jakiejś ukrytej treści.

Jakiej?

Labirynt pytańników rósł i gęstniał niemal z każdym wypowiedzianym przez

Świrskiego zdaniem.

- Herbatę w szklance należy przykryć spodkami schować w jakimś miejscu, do którego nikt nie miałby dostępu.

Wszyscy państwo jesteście świadkami, że płyn w butelce pochodzi wła49.

śnie z tej szklanki.

Teraz chciałbym, żeby ktoś asystował przy analizie, którą zamierzam przeprowadzić.

Będzie to stanowisko w rodzaju rękopisu tożsamości płynu, no i

moich manipulacji, dla władz sądowno-śledczych, gdy już będą mogły objąć dalsze dochodzenie.

Kopankiewicz poderwał się gwałtownie.

- To może ja?

Ostatecznie jako niedoszła ofiara mam chyba prawo.

- jeżeli już mowa o ofiarach - mruknął Zawadzki to, prawdę mówiąc, ja miałem nią być.

Nikt nie mógł przewidzieć, że

zechce się panze mną zamieniać.

Pani Zosią zasłochała:

- Boże.

gdybyś to wypił.

Boże.

Świrski oparł ciężko łokieć o blat stołu.

- Wszyscy mamy być ofiarami - masował końcami palców skronie - a przewidzieć.

Są tacy, którzy wiele rzeczy potrafią przewidzieć.

Choćby fakt, że pan Kopankiewicz lubi mocną herbatę i że gospodarz będzie się musiał z nim zamienić.

- Dziękuję - mruknął słabym głosem Kopankiewicz, bezskutecznie usiłując się uśmiechnąć.

- Ale ja przecież nie biorę bezpośredniego udziału w tej grze.

- Bezpośredni, pośredni - Świrski strzelił głosem palcami.

-

Być może już samo przebywanie w tym domu predestynuje każdego do roli aktywnego.

przepraszam chciałem powiedzieć:

pasywnego partnera.

- Dziękuję - powtórzył Kopankiewicz.

- Szczerze mówiąc,

mogę się zrzec tego zaszczytu.

Kostrzewa trzymał butelkę tak ostrożnie, jakby w każdej chwili groziła jej eksplozja.

- Idziemy.

Aha - przystanął już w progu - byłbym zapomniiał.

Łyżeczkę i lejek proszę dokładnie wyparzyć i następnie umyć.

Może pan - zwrócił się do Zawadzkiego - zechce przypilnować, aby nie było żadnych niedopatrzeń.

Z cyjankiem nie ma żartów.

VKopankiewicz obserwował czynności Kostrzewy z rosnącym podziwem.

- Nawet mikroskop?

50

- Powiedzmy raczej: mikroskopik.

Ale w wielu wypadkach potrafi on zastąpić nawet bardzo duży przyrząd.

Monotonnie syczał płomień palnika.

Kostrzewa w skupieniu wkraplał odczynnik do probówek.

Coraz bardziej marszczył brwi.

Coś w tym wszystkim było nie tak.
Sprawdził jeszcze raz, powtarzając skrupulatnie wszystkie czynności od samego początku.
Wynik dokładnie ten sam.
Długą chwilę regulował okular mikroskopu.
Może refrakcja da tu coś innego?
Nie dała jednak.
Zaklął.
Kopankiewicz nachylił się nad stołem.
- Aż tak silny roztwór cyjanku?
- Silny?
- Kostrzewa zdmuchnął płomień palnika.
- W tymsek, że nie ma żadnego.
- Nie ma w herbacie cyjanku?
- Widać było, że nie jest w stanie tego zrozumieć.
Ale Kostrzewa też nie rozumiał.
- Nie ma.
- A ten zapach gorzkich migdałów?
- Tak - Kostrzewa dotknął machinalnym ruchem krawędzi gorącej jeszcze próbówki.
- Owszem, zapach gorzkich migdałów jest.
Ale cyjanku ani śladu.
- Więc co w takim razie znaczy zapach?
- Czyżawiem.
Może prawdziwe migdały.
Nie, raczej nie mamy tu do czynienia z wywarem.
Pewne ślady kwasu wskazują na produkt syntetyczny.
Powiedzmy: olejek do ciast.
- Ale - Kopankiewicz zamrugał oczyma - skąd się wziął olejek w herbacie?
- Tak - Kostrzewa milczał przez dłuższą chwilę.
To jest rzeczywiście pytanie.
Teraz - sięgnął z namysłem po arkusz papieru - sporządzimy coś w rodzaju protokołu.
- Pomimo negatywnego wyniku analizy?
- Cóż, negatyw może być w pewnych wypadkach pozytywnie odwrotnie - wciąż jeszcze zamyślony odkręcał długopis.
Zanim jednak zdążył przystąpić do pisania, za drzwiami załomotał odgłos szybkich kroków po schodach.
Nadsłuchiwał z rosnącym niepokojem.
Ten ktoś wprost pędził.
Drzwi otworzyły się z trzaskiem.
Do pokoju wpadł Zawadzki.
Był blady i dyszał ciężko.
- Prędzej - zachrypiał.
- Ktoś jest w mojej kancelarii.
Ktoś

obcy.

Pomimo okiennic i zamkniętych drzwi pociągnął Kostrzewę za rękaw.

- Prędzej!

Może go jeszcze zdążymy dopaść.

Ma pan broń?

- Zazwyczaj daję sobie radę bez broni- rzekł dyplomatycznie Kostrzewa.

Już gnali po schodach.

Zatrzymali się dopiero przed drzwiami kancelarii.

- On tam jeszcze musi być - szepnął Zawadzki, ujmując opartą ościanę korytarza dubeltówkę.

Odsunął bezpiecznik.

Tylko w jaki sposób wyłamać drzwi?

Taka gruba blacha.

Chyba palnikiem.

Kostrzewa nacisnął klamkę.

Drzwi ustąpiły.

Kopankiewicz

cofnął się odruchowo o krok.

Zawadzki wymierzył lufy w ciemną głąb pokoju.

- Stój, ręce do góry!

Reflektor kieszonkowej latarki w rękę Kostrzewy rzucał potok jaskrawego światła.

W pokojunie było nikogo.

Kostrzewa,

nie gasząc latarki, podszedł do okna.

- Tak - wpatrzył się w prostokąt wykrajanej szyby - jasne.

Zupełnie bez przekonania oświetlił dostępną reflektoracząc podwórza.

Jak to od razu było do przewidzenia, nie dostrzegł nic zastanawiającego.

Świetlisty krąg falował na spływającym wodą betonie.

Gdyby nawet ktoś pozostawił odciski stóp,

deszcz splukałby je w mgnieniu oka.

- Pusto - oznajmił Zawadzkiemu, który podszedł palcem na cynglach dubeltówki.

- Jak zawsze - Kopankiewicz dopiero teraz zaryzykował przekroczenie progu.

Kostrzewa odwrócił się ku niemu.

Na podwórzu nie było

czego szukać.

Przynajmniej z okna.

- Ma pan na myśli to, co mignęło zaszybami w czasie brydża?

-Nietylko -zaprzeczył.

- Ktoś, kto szura pantoflami i kogo

nie ma -opowiedział o krokach korytarza.

Kostrzewa wysłuchał niedowierzaniem.

- Nie widzę w tym sensu.

Być może ulegli państwo złudzeniu?

- Inni również słyszeli.

Zawadzki bawił się klapką bezpiecznika.

52

-Ja osobiście podejrzewam, że źródło tych tajemniczychszmerów leży w wadliwych przewodach wentylacyjnych - powtórzył swą wersję.

Powracając jednak do tajemniczego gościa, który odwiedził ten pokój. zużył trzy zapalkizanim wreszcie zdołał zapalićstojące nabiurku świece, alezdenerwowaniejego było w tych warunkach zupełnie zrozumiałe.

- No więc cóż - Kopankiewicz przysiadł na brzegu krzesła w taki sposób, jakby był gotów w każdej chwili zerwać się narównie nogi.

Razpo raz rzucał podejrzliwe spojrzenia w kierunku okna.

- Wyciął szybę, wszedł, załatwił, co miało załatwienia, i powędrował świat.

- Wyciął szybę -Zawadzki położył dubeltówkę wpoprzekblatu biurka, nie wypuszczając jej jednak z rąk - to wcalenie takie proste.

Proszę nie zapominać o okiennicach.

- Nie chce pan chyba powiedzieć, że były zamknięte zapytał Kopankiewicz.

-Były zamknięte.

- Pancerne okienniceze stalowej blachy?

To przecież niemożliwe.

- Były zamknięte - powtórzył zmęczonym głosem Zawadzki.

Kostrzewa otworzyłokno i w świetle latarki przyjrzał sięokiennicom.

Stalowe płyty grubości dwóch milimetrów, czopyprzetykane do wewnątrz i zamocowane kołkami -otworzenieich z tamtej strony nie wydawało się prawdopodobne.

- Kto zamykał okiennice?

-Józef.

Zamyka je każdego dnia, gdy tylko zaczyna sięściemniać.

- Być może dzisiaj zapomniął właśnie o tym oknie.

-Wykluczone.

Wie przecież jakie grozi nam niebezpieczeństwo.

- Wie?

- aż drgnęli, tak niespodziewanie rozległ się ochryply głosŚwirskiego,który stanął nagle w drzwiach.

- Z tego wynika, że wie więcej niżkażdy z nas.

No..

- potarł podbródek- może nie każdy.

Kostrzewaspojrzał naniegoz ukosa.

Nikt nie słyszał, jakszedł korytarzem.

Zazwyczaj jego ciężkie kroki odbijały się donośnym echem.

Teraz musiał iść cichojak cień.

Dziwne.

Świr53.

ski wszedł do pokoju i opierając się o krawędź biurka, przesunął dookoła pytającym spojrzeniem.

- Co oznacza to nadzwyczajne posiedzenie nadzwyczajnej komisji śledczej?

- Ktoś wlaź tutaj pomimo zamkniętych okiennic wyjaśnił Zawadzki.

- Pomimo zamkniętych okiennic?

- Świrski wsadził obie ręce do kieszeni kurtki.

-Bzdura.

Kilka razy opowiadano mi już

bardziej prawdopodobnych historii.

- Ja również nie uważam, by otworzenie tych okiennic od zewnątrz było możliwe - powiedział Kostrzewa.

- A jednak je otworzył- wybuchnął Zawadzki.

-Wykroił szybę?

Wykroił.

Chodził po pokoju?

Chodził.

Proszę - wypuścił wreszcie z rąk dubeltówkę i ująwszy świecznik, przybliżył światło do podłogi.

- Widać przecież, że chodził.

Patrzcie!

Wzrok wszystkich skierował się ku podłodze.

Na gładkiej tafli były wyraźne ślady pozostawione przez mokre podeszwy.

- Chodził - z ust Świrskiego przy każdym słowie wionął mdły odór alkoholu.

-I to rzeczywiście nie są twoje buty.

Gdzie

jednak powiedziane, że nie wszedł po prostu drzwiami?

- A to?

- Zawadzki podniósł świecę, w taki sposób, by oświetlić okno.

-Po cóż byw takim razie ciął szybę?

- Powiedzmy, wszedł drzwiami, awyszedł oknem?

Kostrzewa w milczeniu pokiwał głową.

To brzmiało zupełnie rozsądnie.

Zawadzki postawił świecznik na biurku.

- Tak, tak czy inaczej - mruknął z rezygnacją - zniknął bez śladu.

Przykro mi, że przerwałem doktorowi dokonywanie analizy.

- Analiza zrobiona!

- zawołał triumfalnie Kopankiewicz.

Zawadzki drgnął i obrócił się ku niemu całym ciałem.

- Zrobiona?

- twarz jego jakby nagle szarzała.

- Ależ tak.

I wiecie, co się okazało?

Nikt by nie zgadł.

Świrski ziewnął półgębkiem.

- Wiadomo co.

Cyjanek na kilogramy.

- Wręcz przeciwnie - po minie Kopankiewicza widać było, że z góry smakuje sensację, jaką wywołają następane słowa.

Ani

śladu żadnej trucizny.

Zawadzki aż się ku niemu przychylił.

54

- A zapach cyjanku?

- Zapach gorzkich migdałów skorygował pouczająco Kopankiewicz.

- Cóż, gorzkie migdały to znaczy gorzkie migdały.

Raczej zresztą olejekdo ciast - wszystko to takim tonem, jakby to właśnie on dokonał tego odkrycia.

- Jeżeli w jakiejś potrawie poczujemy zapach czosnku, najprawdopodobniej będzie to również prawdziwy czosnek, a nie strychnina, jak można by przypuszczać na podstawie wiadomości z toksykologii.

- Olejek do ciast - Świrski zagwizdał przeciągle.

- Ależ cudękanie z tej ziemi.

I żeby mi kto wytłumaczył, z jakiego powodu trafił do herbaty.

Bo gdyby chodziło o truciznę.

Cotam - machnął ręką.

- Tu wielu rzeczy nie da się zrozumieć.

Zawadzki przeszedł kilka kroków i przystanął.

Miał dziwnierozlazłe ruchy.

Jakby go nagle zbudzono z głębokiego snu.

- Ale ten - zawołał nieoczekiwanie głośno - ten, kto był tu, w kancelarii.

Może.

może ukrył się gdzieś w pobliżu.

Trzebaby przeszukać podwórze.

- Podbiegł do okna.

- Józef - wrzasnęła całe gardło - Józef.

No, co u diabła?

Wymarlitam wszyscy?

Po chwili wśród szumu deszczu rozległ się czyjś głos.

Ale tonie był głos Józefa.

- Jestem.

- Dawać tu Józefa.

Tylko już.

Natychmiast.

Szybkie kroki zapluskwały po mokrym betonie.

Kostrzewa patrzył w zamyśleniu na stertę papierów zalegających biurko.

Dlaczego dopiero teraz i dlaczego akurat Józef.

Przecież jeżeli chodziło o przeszukanie podwórka, wystarczyłby którykolwiek z gajowych.

A w takich sytuacjach każda sekunda miała swoją cenę.

Czyżby nagły pomysł Zawadzkiego miał związek zrelacją Kopankiewicza o wyniku analizy?

A jeżeli tak, to jaki?

Minęła dłuższa chwila, zanim do kancelarii wbiegł Józef.

- Gdzie się u licha podziewacie?

- huknął Zawadzki.

- Nigdy was nie ma pod ręką, jak jesteście potrzebni.

Coś jakby wymiana porozumiewawczych spojrzeń.

- Byłem.
przy bramie.

Kostrzewa spojrział nieznacznie na gumowe buty Józefa.

Suche.

Na podwórzu woda niemal po kostki.

Nie, nie mógł być przy bramie.

W każdym razie przed chwilą.

Ani nigdzie na zewnątrz budynku.

Wyrastał jeszcze jeden znak zapytania.

Roz55.

miar gumiaków?

Przesunął wzrok na ślady odcisnięte na podłodze.

Nie, to nie wchodziło w rachubę.

Byłyznacznie większe.

- Zabierzcie, kogo tylko zdołacie - mówił szybko Zawadzki - i przeszukajcie zaraz całe podwórze.

Ktoś obcy był tutaj uciekł.

Kto wie, czy nie przywarował w jakimś kącie, czekając na okazję.

Tylko już!

Józef zniknął.

VI

Kostrzewa starannie odrysowała arkusz papieru ślady.

- Szkoda zachodu - skomentował sennie Świrski.

- Na pewno się okaże, że stopy nie pasują do nikogo w obrębie stu kilometrów.

Tu wszystko zawsze tak.

- Stopy?

- Kostrzewa jeszcze raz ocenił wzrokiem zarysy śladów.

- W tym sęk, że stopy nie mają nic wspólnego z tymi podeszwami.

Nosił obuwiemco najmniej okilkana numerów większe.

Po prostu nim pływał.

Towidac sposobu, w jaki odcisnęły się kontury.

- Wobec tego po co je odrysowywać?

- zdziwił się Kopankiewicz.

- Cóż - Kostrzewa złożył pedantycznie arkusz i schował do kieszeni.

- Jeżeli znajdziemy buty, do których ten rysunek będzie pasować.

- Nic nie znajdziemy - Świrski przeciągnął się leniwie.

- Tu

w ogóle nikt nic nigdy nie znajdzie.

Tylko nas znajdą, gdy przyjdzie odpowiednia chwila.

Tak już jest.

- Zginęło coś?

- zapytał Kostrzewa.

Zawadzki podszedł do żelaznej szafy i sprawdził zamek.

- Nawet nie próbował go otwierać.

- Nawet nie szedł w tamtą stronę - Kostrzewa wskazał linię śladów.

- Od okna drzwiom i z powrotem.

Albo od wrotnie.

Ale nigdzie w bok.

Miałem raczej na myśli jakiś dokument leżący na biurku albo na stole.

Zawadzki ani spojrzał.

- Nie ma tam absolutnie nic, co by mogło zainteresować kogoś obcego - stwierdził obojętnie.

- Może jednak.

- Nie.

Wyłącznie korespondencja w sprawach nadleśnictwa.

I to taka, do której każdy może mieć dostęp.

Ważniejszą zamykam w szafie.

56

- W takim razie po diabła tu włąził?

- zapytał Kopankiewicz.

Świrski zasiadł wygodnie na krześle i założył nogę na nogę.

-Jeszcze jeden idiotyczny kawał.

Wchodzi, spaceruje, znika.

Ale nie mogę powiedzieć, żeby to wszystko specjalnie mniebawiło.

- Wszedł, chcąc coś zabrać, ale został spłoszony i uciekł przez okno - rozmyślał

Kopankiewicz.

-To już bardziej prawdopodobne - stwierdził Kostrzewa.

Zawadzki podniósł powoli głowę.

- W całej kancelarii nieprzechowuję nic takiego, żeby się oplacało włamanie.

W szafierównież nic.

Kopankiewicz oparł na kolanach splecione dłonie.

- W takim razie nic nie rozumiem.

-A kto tu coś rozumie?

-zawtórował Świrski.

VII

- Proszę nam opowiedzieć, w jaki sposób stwierdził panobecność kogoś obcego w kancelarii?

- powiedział Kostrzewa.

- Tylko możliwie jak najdokładniej.

W tego rodzaju historiach każdy najdrobniejszy szczegół może niekiedy wiele wyjaśnić.

- Chciałem wejść, żeby trochę popracować - rozpoczął Zawadzki.

- Wkładam klucz.

Nie wchodzi.

Myślę sobie: może zapomniałem zamknąć drzwi, choć nie zdarza mi się to prawie nigdy, szczególnie ostatnio.

Naciskam klamkę -zamknięte.

I wówczas usłyszałem w pokoju czyjeś kroki.

W tych warunkach to jednak.

Pobiegłem na górę po broń.

Trzymając palec nacynglu nabitej loftkami dubeltówki, czułem się wiele pewniej.

Znowu próbuję otworzyć.

Nic ztego.

Zacząłem się dobijać do drzwi.

Po tamtej stronie jakiś ruch.

- Kroki?

- wtrącił Świrski.

- To właśnie sprawiało wrażenie kroków.

W każdym razie usłyszałem, że ten ktoś był jeszcze w kancelarii.

-Jak długo trwała pańska nieobecność?

- zapytał Kostrzewa.

- Nie wiem, ale chyba bardzo niedługo.

To wszystko szłopiorunem.

Świrski roześmiał się kpiąco.

- A tajemniczy ktoś nic, tylko chodzi sobie tam i z powro57.

tem. Pięć minut dla zdrowia w cudzej kancelarii.

Wspaniale -klepnąłeś z rozmachem wkołano.

- Tylko tak dalek i zaczęw końcuwierzyć w cuda zainscenizowane dla rozproszenia monotonii deszczowych wieczorów.

-I bezpośrednio potempobiegł pan do mnie?

- Kostrzewa

obrać w palcach długopis.

- Tak.

Natychmiast.

- Droga po schodach tam i z powrotem zajęłanajwyżej trzy minuty.

Może nawet jeszczemniej.

Przez ten czas ten ktoś zdążył otworzyć drzwi, wykroić szybę i opuścić kancelarię.

Cóż,wszystkie te czynności mogły się doskonalezmieścićw ramachtrzech minut.

Tylko dlaczego włamywacz otworzył drzwi, ułatwiając przecież w ten sposób pościg?

- Właśnie - Świrski podniósł znacząco rękę.

- Dlaczego?

Kostrzewa rozmyślałprzez chwilę.

- Czy zaalarmował pan kogoś, stwierdziwszy za pierwszym razemobecność obcego w kancelarii?

- Nie - Zawadzki przesunął ręką po czole.

- Nikogo nie spotkałem, biegnąc po broń.

Zresztą jakoś mi to niewpadło do głowy.

Myślałem, że samzdołam go złapać.

- Różne myśliwpadają niekiedy człowiekowi do głowy mruknałsentencjonalnie Świrski.

Wrócił Józef.

- Nie ma nikogo obcego.

-Szukaliście wszędzie?

- Nie przepuściliśmy żadnego miejsca, gdzie ktoś mógłby się ukryć.

I psy.

- Nie szczekały?

-Nie.

Koryciuk był cały czas przybramie i mówi, że żaden ani otworzył pyska.

Kostrzewa przesunął oczyma po gumowych butach.

Teraz lśniły wilgocią.

Musiało tak być z chwilą,gdyprzekroczył próg domu.

- Wy przecież również byliście przez cały czas przy bramie - powiedział bez żadnego nacisku.

Nie potrafił ukryć nagłego zakłopotania.

- Ttak - bąknął - ale.

Miałem na myśli ten czas,co byłemtutaj.

Mógł właśnie wtedy próbowaćprzejsć przezbramę.

-Z każdym słowem odzyskiwał pewność siebie.

58

- Mógł - Kostrzewa odłożył długopis na stertę papieru.

-Czy to wy zamykaliście okiennice?

-Ja.

-Jesteście pewni, że nie zapomnieliście zamknąć okiennic właśnie w tym pokoju?

- Nie mogłem zapomnieć.

Pan nadleśny powtarza każdego dnia.

I zresztą czy to ja sam nie wiem, że trzeba.

-Jednym słowem z całą pewnością były zamknięte?

Walnął się w pierś potężnym kułakiem.

-Jak Bóg na niebie.

VIII

Szedł powoli, oświetlając kolejno każdy ze stopni.

Na żadnym nie dojrzał niczego, co mogłoby przypominać świeżo odcisnięte mokrych podeszew, ale niewyraźne smugi biegnące wzdłuż niektórych stopni były niewątpliwie zastanawiające.

Tak jakby ktoś zacięrał gumową podeszwą pozostawione przez siebie ślady.

Buty Józefa nie dawały Kostrzewie spokoju.

Dlaczego były suche?

Gdzie przebywał i co robił w momencie, gdy go zawołano do kancelarii?

Ooo -nagle przystanął, pochylając się nisko.

Grudka błota?

Wydłubał ją ostrożnie z zagłębienia u podstawy żelaznego poręcza, podtrzymującego poręcz.

Tak niewielka, że łatwo było ją przeoczyć.

Tym bardziej w braku odpowiedniego oświetlenia.

Niewiele latarek mogło dorównać siłą światła reflektorkowi Kostrzewy.

Roztarł grudkę na dłoni.

Błoto było zaschnięte, ale pochodziło z bardzo nieodległego czasu.

Suche buty Józefa.

Teraz popędził na górę, nie patrząc pod nogi.

Ślady straciły nagle znaczenie.

Gdyby chodziło właśnie o jego pokój?

Nie zamknął go przecież, wybiegając razem z Zawadzkiem.

Gwałtownym szarpnięciem otworzył drzwi.

Podbiegł do stołu.

Zaklął zdławionym głosem.

Probówki z herbatą zniknęły.

Patrzył wzamysleniu na opustoszałe podstawki.

W jakim celu zabrano płyn, który nie zawierał nic, poza niewinnym zapachem olejku?

Gdyby uczyniono to, zanim wykonał analizę, można bysnuć pewne podejrzenia.

Ale tak?

Potrząsnął ociężałą głową.

Znowu coś, czego nie był w stanie pojąć.

Diabli nadali taką łamigłówkę.

Na okno wszystko to

59.

razem nie miało najmniejszego sensu.

Ale jakiś tam sens musiał w tym przecież tkwić.

Ktoś, kto włamuje się tylko po to, aby pospacerować od okna do drzwi, i wycina szybę, choć mógłby zupełnie swobodnie wyjść na korytarz.

Nabita broń stojąca tuż obok drzwi, zamkniętych przez włamywacza.

I wreszcie kradzież płynu, który został dokładnie zbadany?

"Zaraz - wetknął zęby długopis.

- Trzeba sobie odtworzyć przebieg zdarzeń
dzisiejszego wieczoru.

"

Zawadzki, gdy tu przybiegł, aby ich wywołać, nie wiedział, że
analiza została już skończona.

Powiedział zresztą tym w czasie rozmowy w kancelarii.

Człowiek, który ukradł próbówki, również nie mógł jeszcze wiedzieć.

A jeżeli - obgryzał zapamiętaledługopis - Zawadzki wywołał ich właśnie po to, aby
umożliwić komuś, najprawdopodobniej zresztą Józefowi, zabranie próbówek?

Mokre ślady na podłodze i wycięta szyba, to wszystko nietrudno do zainscenizowania.

Ale cel?

Wciąż nie był w stanie dopatrzeć się jakiegokolwiek.

Nie, tu nie mogło chodzić o zabranie próbówek.

Raczej o podmianę ich zawartości.

Coś, co pachniało gorzkimi migdałami, powinno w tej sytuacji zawierać cyjanek potasu.

Nie zawierało go, gdy herbata znalazła się na stole.

Gdyby jednak zdążono przeprowadzić zamianę przed zakończeniem analizy.

Potem, gdy już dowiedzieli się o jej wynikach, tego rodzaju manipulacja straciłaby oczywiście
sens.

Tak, to mogłoby być wytłumaczeniem.

Ale czego dotyczyła ta gra?

Spojrzał na zegarek.

Późno.

Był zmęczony.

Niezaszkodziłoby parę godzin snu.

Licho wie, jaki będzie następny numer programu.

Zaczął się rozbiierać.

Tym razem nie zapomniał o zamknięciu drzwi.

Przekręcił dwukrotnie klucz w zamku.

Z przyzwyczajenia sięgnął do tylnej kieszeni spodni, by jak zawsze przełożyć pistolet pod
poduszkę.

Nagle pobałdł, kieszeń była pusta.

Dygocącymi z podniecenia rękoma wyszarpnął sufladę nocnego stolika.

Wystarczyło jedno spojrzenie.

Tu również nie było broni.

Wścikłym ruchem ściągnął poduszkę.

Nic.

Przerzuciła zawartość walizki.

Mało prawdopodobne, ale przecież jakiś tam bardzo nikły cień nadziei.

Nadzieja zgasła bez śladu.

Pistoletniknął.

Czuł wilgoć występującego na czole potu.

Z gołymi pięściami przeciwkogrozie wzbierającej w murach tego ponurego domu?
Minęła dłuższa chwila, zanim zdołał się opanować.
Zupełnie jakby nie oczekiwany nokaut.
Oparł łonie o blat stołu.
Prawdopodobnie w czasie tego szaleńczego biegu po schodach.
Niejednokrotnie wpadał na siebie.
Musiałnie zauważyć.
Wąskie stopnie, ludzie gnający na złamanie karku.
Nie brakło okazji, by sięgnąć do cudzej kieszeni.
Pytanie Zawadzkiego o broń.
W tej sytuacji właściwie był niesprawiedliwie, ale.
przecież to właśnie on biegł tuż za jego plecami.
Jeden zręczny ruch i po wszystkim.
Czy rzeczywiście tym, kto biegł bezpośrednio za nim, był Zawadzki?
Nie oglądał się.
Nie przyszło mu wtedy do głowy.
Może akurat Kopankiewicz?
Cóż właściwie o nim wiedział?
Autor powieści kryminalnych, ale to również wynikało tylko z jego własnych słów.
Nigdyo nim nie słyszał.
Nie czytał żadnej z jego książek.
Licho wie kim był naprawdę.
Na pozór stał poza całą historią.
Jaka jednak była jego rzeczywista rola?
A jeżeli pistolet skradziono wcześniej, w jakimś innym momencie tego dnia?
Choćby po obiedzie, gdy skupili się przy oknie, smętnie obserwując deszcz, spływający po tafli kamizelki i chmur?
W takim wypadku krąg osób, które mogłyby ukraść pistolet, ulegał niepomernemu rozszerzeniu.
Świrski - ten był najbardziej tajemniczy od samego początku.
Kopankiewiczowa, kobieta tak energiczna, że nie zawahałaby się przed żadną ostatecznością,
gdyby uważała, że jest niezbędna.
Dziewczęcapani Zosia?
Ta raczej nie wchodziła w rachubę.
Puciołowata Kazia chyba także nie, choć kręciła się prawie przez cały czas postołowym.
Józef?
Człowiek, który potrafi chodzić suchą nogą po wodzie.
Niewyraźny typ.
On chyba również przychodził wtedy pociąg do stołowego.
Tak, na pewno przychodził.
Kłeska - pistolet zniknął i nawet nie wiadomo kiedy.
Nagle błysnęła alarmująca myśl: a jeżeli nikt go nie ukradł, tylko sam wypadł, kiedy zbiegali na dół?
Wystarczyłaby niezapięta kieszeń i jakiś gwałtowniejszy ruch.
Zdarza się przecież.
Wyszedł z powrotem na schody.
Tu nie trzeba było drobiazgowych poszukiwań.
Pistolet nie szpilka, która może wpaść w jakąś szparę.
Po paru minutach zatrzymał się zrezygnowany.

Pozostawała Jeszcze jedna możliwość: odskoczył od betonu i spadł na dół, pomiędzy zawieszone płaszcami wieszaki.

Kostrzewa przetrzą-

61.

sał je długo i bardzo skrupulatnie, przyświecając sobie latarką.
Niepozostał żaden kąt, gdzie by niezajrzał.

Koniec - zgasił latarkę - kropka.

Znalazł się w paskudnej sytuacji i na to nie było żadnej rady.

Opanował go przypływ bezsilnej wściekłości.

Ja mu.

zaciśnięcie pięści.

Potem ochłódł.

Niby komu?

Powlókł się na górę.

IX

Przez szparę nad progiem wpływała rozrzedzona smuga światła.

Ktoś jeszcze śpi?

Kostrzewa odtwarzał w myśli rozmieszczenie pokoiów.

Aha, ten zajmował Świrski.

Przystanął z wahaniem na podeście.

Podejść bliżej?

Potem ruszył cicho w głąb korytarza.

Bo jeśli ten pistolet to właśnie Świrski.

Przez drzwi przebijał gwar stłumionych głosów i brzęk szkła.

Podszedł całkiem blisko i pochyliwszy się, przytknął ucho do zamka.

Tym drugim był niewątpliwie Zawadzki.

"Niepowinieneś pić" i wspólne libacje po nocach?

Jakoś się tonie zgadzało, ale w tym domu niemal nic się nie zgadzało.

Nie dołączył do tego, co mówili.

Odnosił jednak wrażenie, że zachęcającym do picia był tym razem Zawadzki.

.Jeszcze tylko tego brakowało, bym się do reszty rozkleił przez wódkę.

"Notak.

Libacja na cześć rozbicia przeciwnika?

Przeciwnik?

Przybył tu na ich wezwanie, aby im pomóc.

Nie, to było niezupełnie tak.

Wezwał go Lesiewicz, który jakby rozplynął się w powietrzu.

Teraz sytuacja stała się tak zagmatwana, że ani rusz pojąć, kto jest po tej stronie barykady, a kto po tamtej.

Ani nawet

co stanowi tę barykadę.

Klamka drgnęła.

Ledwo zdążył odskoczyć.

Nie słyszał, żeby

ktos podchodził do drzwi.

Otworzyły się.

Na korytarz wyrzucił Zawadzki.

Nie był zbyt zdziwiony obecnością Kostrzewy tuż za progiem.

Obrzucił go przeciągłym spojrzeniem.

Oczy miał lekko przekrwione, pachniało od niego słabo alkoholem.

- Aaa.

to pan doktor.

Szedł pan do nas?

Prosimy dalej -

odstąpił, dając przejście.

Kostrzewastał nieruchomo.

- Dziękuję.

szukałem pewnej rzeczy, którą zgubiłem, gdyśmy biegli do kancelarii.

- Rzeczy?

- powtórzył pytająco Zawadzki.

62

- Notesu - odpowiedział szybko Kostrzewa.

Uważał, że lepiej nie wspominać zaginięcia pistoletu.

Jeżeli zabrał go któryś z nich, sami dobrzewiedzieli, o co chodzi.

- Notesu - powtórzył Zawadzki.

Jakaś szczególna intonacja w głosie?

Może tylko się tak wydawało.

Gdy człowiek jest wytracony z równowagi, wydaje się niejedno.

Kostrzewa był niewątpliwie wytracony z równowagi.

I zdawał sobie z tego dokładnie sprawę.

- Tak - powiedział bez wahania - taki niewielki - zilustrował ruchem ręki - w czarnej plastikowej okładce.

- Zawierał jakieś notatki o naszej sprawie?

- zapytał jakbyz przestrachem Zawadzki.

Kostrzewa jednak nie zdołał się połapać, jak dalece przestrach ten był prawdziwy.

- Nie.

Niestety to, co wiem dotychczas o sprawie, w zupełności wystarczy pamięć.

Zbyt mało materiału, by zaszła potrzeba notowania.

Po suchych wargach Zawadzkiego przemknął przelotny grymas.

- No.

choćby wynik analizy aromatycznej herbaty.

- To zostanie stwierdzone w odrębnym protokole - powiedział chłodno Kostrzewa.

Zawadzki przymknął oczy.

- Protokół?

To brzmi niezmiernie.

urzędowo.

Ale cóż?

Czemu nie.

Powracając jednak do notesu, jestem pewien, że się w końcu znajdzie.

Nie mógł zginąć w domu.

Czy to bardzo dotkliwa zguba?

- Dostyc.

Spoza ramienia Zawadzkiego wyjrzał Świrski.

- Co tak plotkujecie pod drzwiami?

Proszę do środka.

Jakieś tam trzęcie naczynie się od biedy znajdzie.

Wódki także wystarczy.

Pod tym względem zapasy tego domu są na szczęście niewyczerpane.

Kostrzewa skłonił się z przepaszającym uśmiechem.

- Dziękuję, ale dziś jestem piekielnie zmęczony.

Może innym razem.

WŚCIEKŁY KOT

- Cholera!

Szlag by to trafił.

- zabrzmiało za oknem.

Kostrzewa podniósł wzrok znad notatek.

Bo jednak prowadził je, choć jak dotychczas nie dawały mu absolutnie nic.

Z podwórzadobiegła nowa seria przekleństw.

Świrski?

Tak, to był niewątpliwie on.

Co go znów tak rozzłościło?

Klął bezprzerwy, coraz to głośniej.

Ale nie było w tym nicspecjalniealarmującego.

Raczej coś wrodzaju zakłopotania.

W takisposób przeklina człowiek, który zabrnąłw kolący gąszcz i niemoże się z niego wydostać.

Ale tu rzeczjasna nie mogło chodzićo podobną sytuację.

Głos rozlegał sięgdzieś w obrębie podwórza, a na jednolitym betonie nicnie rośnie.

- Pomóście.

Tym razem już coś jakby cień przestachu.

Kostrzewa podeszedł do okna.

O co właściwie chodziło?

Nie dostrzegł jednakŚwirskiego.

Musiał znajdować się gdzieś poza polem widzenia.

-Weźciego.

Przecież.

Prędeej.

Odgłos jakichś kroków, potemna dole ostro trzasnęły drzwi.

- Odrzuć!

To już nie Świrski.

Naglepowietrzem targnął huk wystrzału.

Kostrzewa popędził na dół.

Co do licha?

Jakaśnowa sensacja?

Przystanął na tarasie, rozglądając się dookoła.

W pobliżubramy stała grupka ludzi.

Świrski zgarniał kurtkę na piersiachi klął ochrypłym głosem.

Józef manipulował pałkaprzy czymśleżącym na ziemi.

Stąd nie było widać przy czym.

W rękachZawadzkiegotowa do strzału dubeltówka.

Lufy wycelowanewłaśnie w to,co leżało na ziemi.

Scena niezrozumiała i coraz

bardziej niepokojąca.

Kostrzewa przeskoczył za jedynymzamachem wszystkiecztery stopnie tarasu.

Co tam mogło się stać?

Kilka długichsusów i był już na miejscu.

Od szarego tła betonu odcinało

się pręgowane futerko.
Rdzawa plamarozlewała się corazszerzej.
- Kot -oznajmił Świrski -jakaś dzika bestia.
Ni stąd, ni zowąd skoczył mi na piersi.
Tfu - splunął ze złością.
- Żeby mnie mógł sobie dać rady ze zwykłym kocurem.
Gdyby nie Jerzyze swoją dubeltówką.
Idiotyczna sytuacja.
Drapał pazuramijk wściekły.
- Wściekły - zawtórował niczym głuche echonachylony nadesztywniałym zwierzęciem Józef.
-Właśnie.
Świrski nagle pobladł.
- Co takiego?
Niechcecie chyba powiedzieć, że.
Zawadzki dotknął końcem luf puszystego futerka.
Milczałdługą chwilę.
Ściągnięte brwi tworzyły niemal jednolitą linię.
- Podrapał cię do krwi?
- zapytałwreszcie, patrząc gdzieś bok.
- Dobrze sobie - Świrski rozchełstałszerokokoszulę na piersiach.
- Do żywego mięsa.
Nawet policzek - przejechał ręką potwarzy i zademonstrował kropelkikrwi na palcach.
- No, proszę.
Podziwiającie.
- Hmm.
- Zawadzki pochylił się jeszcze niżej.
Teraz niemożna byłodojrzyć wyrazu jego twarzy.
Nieruchome oczyŚwirskiego były wpatrzone w gęste płatypiany, okalające pyszczek zwierzęcia.
- Wściekły- mruknął ochryple Józef.
Wyprostowała się.
Świrski przełknął głośno ślinę.
- Czy.
- ręcejego wykonywały jakieś bezsensowne ruchy -macie tu coś przeciwko wściekliwości?
Zawadzki wzruszył lekko ramionami.
- Skąd.
Ale niema powodudo niepokoju.
W każdej aptece.
- Apteka - Świrski wciągnął ze świstem powietrze.
- To taksamo jakbyś powiedział "na księżycu".
- Cóż.
- Zawadzki wciąż nie patrzył na niego.
-Mam nadzieję, że w najbliższymczasie woda opadnie.
Wtedy będzieszmiał w ciągu paru godzin, cotrzeba.
Może nawet jesczepredzej - dopiero teraz zamknął klapę bezpiecznika ipodniósł lufę dubeltówki.

Kostrzewa patrzył w przestrzeń.

Najbliższy czas?

Nic na tonie wskazywało.

Komunikaty powodziowe odbierane przez szarotkę Kopankiewicza nie brzmiały bynajmniej optymistycznie.

Kilka dni.

Gdyby nawet tylko parę.

Policzek.

To mogło

pójść z piorunującą szybkością.

Trwało ciężkie milczenie.

Świrski wpatrywał się niewidzącym wzrokiem w czubki swych butów.

Na łysinie lśniłygrube

krople potu.

- Nie mamy żadnej pewności, że bynaprawdę wściekły podjął po chwili Zawadzki.

- Trzebaby przeprowadzić badania.

Świrski odchrząknął, ale głos jego i tak zabrzmiał bardzo ochryple.

- Skoczył na mnie.

-Więc cóżz tego?

Coś go akurat podrażniło.

Kotto nie

jagnię.

Szczególnie tu, w lesie - słowa jednak zabrzmiałyjakoś

mdło i niepewnie.

- Wściekły - Świrski byłteraz niezmiernie blady.

Na czole

nabrzmiała sina żyła.

- Czyja nie mam oczu?

- Po co zaraz zakładać najgorszy wariant?

- Palce Zawadzkiego kręciły bezmyślnie rzemień dubeltówki.

Nie mażadnych podstaw.

-Piana.

- Piana - Zawadzki stuknął paznokciem wluwę, jakby chcąc sprawdzić, czy stal nie uległa pęknięciu.

- Nie widziałeś nigdy

zmydlonego konia?

- Konia tak - Świrski znowu dotknął zadrapańna policzkach.

- Ale jeżelichodzi okota.

Zawadzki zarzucił dubeltówkę na ramię.

- Wracajmy do domu - powiedziałz wysiłkiem.

- Nic tu niewystoimy.

To..

- czubekjego buta znieruchomiałjednak w odległości kilku centymetrów od skrwawionegościana, jakby natrafiwszy na niewidzialną przeszkodę - zakopać gdzieś za ogrodzeniem.

Tylko zaraz.

I żeby nikt nie dotykał gołymi rękami.

Józef tarł zaciekle końcem swejpałki o wilgotny beton.

- Samwiem.

-Aha, jeszcze jedno.

Całeto miejsce polejcie lizolem.

Nie

żałować lizolu - spojrzął na Świrskiego i dodał szybko - strzeżo66

nego i tak dalej.

- próba uspokajającego uśmiechu wypadła jednak zupełnie żałośnie.

W ponurym milczeniu poszli przez podwórko.

II

Wsparty obalustradę tarasu Kopankiewicz patrzył na nich wyczekująco.

- Co zastrzelanina?

I co macie takie miny, jakby.

Zasłowość nowego?

- Kot rzucił się na Stefana - odpowiedział Zawadzki.

-Wście.

- zagryzł szybko wargi.

-No.

kot.

Pisarz spochmurniał do reszty.

- Wściekły?

- uzupełnił niedopowiedziane słowo.

Ręka Zawadzkiego jakby coś odrzuciła w powietrze.

- To.

to jeszcze nie wiadomo.

- Wiadomo - sprostował głucho Świrski- właśnie tak.

Kostrzewa wydobył z walizki pudełko ze środkówami patrolowymi.

Przebierał w nim z powątpiewaniem.

Co to właściwie mogło dać?

Wścieklizna.

Chyba żeby to potraktować jako psychoterapię.

Być może samoczynność opatrywania zdoła podnieść pacjenta na duchu, pomagając mu w jakimś tam sensie przetrwać chwile oczekiwania na prawdziwą pomoc.

Świrski jednak odmówił miejsca.

- Po co?

Jak żyję, nie słyszałem maściach na wściekliznę.

Pan chyba też.

Kostrzewa nie nalegał.

To było zupełnie beznadziejne.

III

Czas płynął z żółcią powolnością.

Z każdą chwilą atmosferą stawała się coraz cięższa.

Świrski w milczeniu pił kieliszek zakieliszkiem.

Wszyscy udawali, że tego nie widzą.

Zawadzki raz po raz atakował telefon.

Raczej chyba tylko po to, żeby coś zrobić.

Znowu wezwał Józefa.

- Musimy za wszelką cenę znaleźć jakąś łódź.

Zrozumcie, żetę chodzi o każdą godzinę.

Kostrzewa bezmyślnie wpatrywał się w ociekającą wodą szyby.

Tak.

O każdą godzinę.

A ile ich jeszcze upłynie, zanim dostaną surowicę?

Józef zaszurał gumową podeszwą o podłogę.

67.

- Łódki nie rosną na drzewach.

Nad rzeką pewno że je ludzie mają.

Aletu.

Nawet najmarniejszego koryta.

W tej samej chwili w drzwiach zaczerniała masywna postać Świrskiego.

Rozmawiał przyciszonymi głosami, mógł jednak
coś usłyszeć.

Czy usłyszał i ile?

Otworzył usta, jakby chcąc coś powiedzieć.

Nie powiedział nic.

Podszedł do stołu, opadł ciężko i jakoś bezwładnie na krzesło.

Bez słowa sięgnął po karafkę.

Zawadzki krzątał się nerwowo przy czymś w kredensie.

Prawdopodobnie nie miał tam nic do roboty.

Kostrzewa nie odrywał oczu od okna.

Żaden z nich nie patrzył na Świrskiego.

Milczeli.

Cóż tu zresztą można było powiedzieć?

Kopankiewicz cichutko, niemal na końcach palców, jakby w obecności kogoś ciężko chorego, przemknął się do stołu;

bezszelestnie zajął przy nim miejsce.

On również nie powiedział ani słowa, strzelając od czasu do czasu ukradkowymi spojrzeniami w stronę Świrskiego.

- Słuchałam właśnie komunikatu powodziowego - zaczęła pani Lola, wchodząc do stołowego.

Widocznie nie wiedziała
jeszcze o niczym.

- Ech.

kchch.

- zakasłał gwałtownie Kopankiewicz, przygłośnym akompaniamentem szurania krzesłem.

-Rano.

tego.

słuchaliśmy razem.

Zapowiadają opadnięcie wód - mówił gorączkowym pośpiechem, by nie dopuścić żony do głosu.

-Tak.

zupełne opadnięcie.

Ogólnie rzecz biorąc, można uważać, że już po powodzi.

W najbliższym czasie można będzie

wszędzie przejechać.

Oczy pani Loli wyrażały bezmierne zdumienie.

- Co?

- bąknęła niepewnie.

-Przecież.

Pani Lola splotła leżące na stole ręce tak mocno, aż pobieleły kostki palców.

- Wściekły kot - szepnęła.

- Co za okropnie szczęście.

Tym bardziej że jeżeli chodzi o sytuację powodziową.

- Tak - Kopankiewicz zwiesił nisko głowę - wygląda bardzo nie dobrze.

Kto wie ile jeszcze dni.

A tu przecież.

- I co teraz będzie?

- zapytała cicho pani Lola.

- Nie wiem - Kopankiewicz obejrzał z uwagą widelec i odłożył go z powrotem.

- Nie wiem.

68

- Nikt nie wie - wybuchnął Zawadzki - ale.

Kostrzewa spojrzął na puste krzesło pani Zosi.

Od rana była niewidoczna.

Zawadzki pewno opowiedział jej o tym, co się stało, i wolała nie stykać się ze Świrskim.

Zupełnie resztą zrozumiałe.

Może i lepiej, że nie wychodził ze swego pokoju.

Nie każdy jest w stanie wytrzymać tego rodzaju napięcie.

Jakiś atak histerii, czy coś w tym rodzaju, jeszcze bardziej utrudniłby sytuację.

Pani Zosia zaś sprawiała wrażenie figurki zkruchej porcelany.

IV Gdzieś w oddali trzasnęły drzwi.

Kostrzewa spojrzął pytająco.

- Biblioteka?

- Tak - potwierdził Zawadzki - chyba biblioteka.

- Co on może tam mieć do roboty?

- zapytał Kopankiewicz.

- Pewno chce sobie coś poczytać, żeby choć na chwilę zapomnieć o tym, co mu grozi - powiedziała pani Lola.

Kostrzewa patrzył w obrus.

Poczytać?

To nie brzmiało przekonująco.

Alkohol - owszem.

Ale lektura.

Nagle przed oczyma stanął złocony tytuł jednej z książek.

Jeżeli by akurat ona miała stanąć tę lekturę.

Wybiegł pośpiesznie z pokoju.

W wydawnictwie popularno-medycznym musiał być niewątpliwie również rozdział poświęcony wścieklicznie.

Nietrudno było sobie wyobrazić, w jaki sposób ujmował tę kwestię autor, piszący w początkach bieżącego stulecia.

Świrski właśnie wychodził z biblioteki.

Oczy nieruchome i bezmyślne, niczym u człowieka pogrążonego w lunatycznym śnie.

Szedł prosto na Kostrzewę i gdyby tennie ustąpił mu drogi - musieliby się zderzyć.

Kostrzewa popatrzył w ślad za nimi i wpadł do biblioteki.

Było coraz gorzej.

Na stole właśnie ta książka.

Otwarta akurat na rozdział traktującym o wścieklicznie.

Niektóre zdania podkreślone czerwonym ołówkiem.

Kto je podkreślił?

Nigdzie w pobliżu nie było żadnego ołówka.

Przebiegł szybko wzrokiem wyraźny, miejscami podkreślony kursywą tekst.

"...o ile miejsce zakażenia wściekliczną znajduje się blisko ośrodków mózgowych, surowicę należy bezwzględnie zastosować"

wać natychmiast.

Nie ma żadnego ratunku, gdy wściekła nazaatakuje już mózg.

Przerazające męczarnie.

Jedyną pomocą, jakiej można udzielić choremu, jest stosowanie środków uśmierzających, które zresztą przeważnie nie skutkują.

Morfina.

"

Morfina?

Tekturowe pudełka w apteczce na ścianie łazienki zawierały jej więcej niż potrzeba dla uśmiercenia pół tuzina osób.

Cóż z tego, że nibyto zamknięta?

Kluczyk leżał na apteczce i każdy z domowników doskonale o tym wiedział.

Jeżeli więc

Świrski poszedł tam.

Przebycie drogi do łazienki stanowiło kwestię kilku sekund.

Nacisnął klamkę.

Zamknięte.

Załomotał gwałtownie do drzwi.

- Proszę otworzyć!

To ja, Kostrzewa.

Niech pan otworzy!

Nie przestawał się dobijać.

Żadnej odpowiedzi.

A przecież ktoś był w środku.

Cienko zadzwoniło szkło.

Otwiera ampułki?

Zawahał się.

Wyważenie drzwi zajęłoby zbyt wiele czasu.

Bo

jeśli on tam tymczasem.

Co tchu na górę.

Sięgnięcie na oślep w głąb walizki.

Nie potrzebował szukać.

Wszystko leżało dokładnie na swoim miejscu.

Płaskie etui z czarnej skóry.

Droga powrotna przypominała karkołomne wyczyny na narciarskiej skoczni.

Kluczkowił w zamku od tamtej strony.

Ale to niestanowiło specjalnej przeszkody.

Długie szczypczyki odziwnym kształcie ujęły koniec klucza i obróciły go w mgnieniu oka.

Szczęk odskakującej sprężyny.

Szklanka dotykała już warg Świrskiego.

Jeden szybki ruch poleciała do wanny, rozpryskując się w kawałki.

Powoli obrócił ku Kostrzewie głowę.

To była twarz martwego człowieka.

- Dlaczego pan mi przeszkodził?

- Bezkrwiste wargi poruszały się powoli i z wysiłkiem.

- Potem.

potem już nawet morfina nie przyniesie ulgi.

Czyż pan sam tego nie wie?

- Przypomniałem sobie o pewnym lekarstwie.

-Lekarstwie na wściekliznę?

- Tak.

-I na jakielicho to kłamstwo?

Miał rację.

Nieistnieje żadne lekarstwo na wściekliznę pozasurowicą.

Bywają jednak wypadki, gdy kłamstwo awansuje do
rzędu najwyższych cnót.

- Niepowiedziałem, że może wyleczyć.

To byłoby zbyt śmia-

70

łe twierdzenie.

Jednak działa w pewnym sensie hamująco nawędrówkę jadu w organizmie.

W żrenicach wyraz rosnącego natężenia.

Potem oczyznouwprzygasły.

Potrząsnął chwiejnie głową.

- Nie wierzę.

-Jakież mógłbym mieć cel, wprowadzając pana w błąd?

Zacisnął palcena krawędzi porcelanowej umywalni.

- Nie wiem.

Sam pan zdaje sobie sprawę, że śmierci takprzyjdzie z całym arsenałem męczarni.

- Sięgnął po drugąszklankę, napełnił wodą i wychyliłjednym haustem.

Potemznowu podstawił ją pod odkręcony kran.

Przez długą chwilepatrzył zwahaniem na strumień wody.

- Dobrze - odstawiłszklankę na obramowaną niklem półeczkę.

-Zażyję topańskie.

lekarstwo.

Kostrzewa zabrał go ze sobą.

Lepiej nie zostawiać go ani nachwilę samego.

Kto wie, co mogłoby mu wpaść do głowy. Odmierzył ze skupionym wyrazem twarzy krople.

- Proszę to wypić!

Usłuchałbezsprzeciwu.

-I naprawdę działa hamująco?

-wciąż jeszcze niedowierzenie.

- Naprawdę?

Zakorkował z powrotem buteleczkę.

Był to silny środekdziałający uspokajająco i nasennie.

Dopókinie mapewności.

- Co dalej?

OczyŚwirskiego przywarły do brunatnego osadu na dnie
opróżnionej szklanki.

- Teraz do łóżka.

Kilka godzin spokojnegosnu.

Jutrozobaczymy.

Jestem przekonany, że będzie się pan czuł o wiele lepiej. Odprowadził go do pokoju i
wyczekał, aż równy oddech

oznajmił o głębokimśnie pacjenta.

Wychodząc, zamknął za sobą cicho drzwi.

Powinien spać ażdo świtubez przebudzenia.

Józef popatrzył naniego ze zdziwieniem.

może była to
nawet podejrzliwość.
- Teraz, po nocy do lasu?
71.

- To nie będzie daleka wycieczka.

Chciałbym tylko obejrzeć

bliżej tego kota.

Na od dawnaniegolonej twarzy pojawił się wyraz głębokiego zastanowienia.

- Kota?

Też coś.

Bo to go znajdę po ciemku?

- Sam znajdę.

Zapamiętałem dobrze miejsce, gdzieście go

zakopali.

Z niechęcią zaczął odsuwać rygle.

-Ano, to już jak pan tam uważa.

Ja wkażę razie ręki do

tego nie przyłożę.

Mruczał jeszcze coś niezrozumiale, gdy Kostrzewa wychodził przez bramę.

Mruczał również, gdy wracał z pakunkiem, owiniętym
szczelnie w arkuszfolii.

Pakunek był niewielki.

Głowa kota nie

zajmuje zbyt dużo miejsca.

Podniósł latarkę.

Przezroczyste opakowanie nie ukrywało

zawartości.

- Co?

- soczyste spluniecie świadczyło dobitnie o jego uczuciach.

-Tę zakażoną padlinę do domu?

W końcu wszyscyśmytugotowi pozarażać się wścieklizną.

Kostrzewa spojrzał na niego i powiedział.

- Bez obaw.

Jestem lekarzem i wiem, co robię.

To zabrzmiało z dobitną ostrością, a jednak właśnie miało być.

Typ zasłużył na stanowczą odprawę.

Co on sobie właściwie

wyobraża?

Po dotarciu do swego pokoju Kostrzewa zamknął starannie

drzwi, zapalił wszystkie posiadane świece, przyklejając je stearyną, gdzie się dało.

Ale tego wszystkiego było jeszcze za mało, by odpowiednio oświetlić okularnym mikroskopu.

Latarka?

Tak, to rozwiązywałoby do pewnego stopnia sprawę.

Na szczęście zabrał ze sobą zapasowe baterie.

Praca trwała długo w noc.

Brak wprawy utrudniał zadanie.

Pierwszy lepszy weterynarz z zapadłej wioski zrobiłby to znacznie prędzej.

Tylko że tu nie było weterynarza.

Pracował powoli, sprawdzając ze skupioną uwagą każdą poszczególną czynność.

Od czasu studiów uniwersyteckich nie miał do czynienia z czymś podobnym.

Zwierzę to jednak nie to samo co człowiek.

Wszystko jakby w wielokrotnie zmniejszonej

odbitce.
Łatwo było o pomyłkę.
Nie wolno doniej dopuścić załadną cenę.
Mogłaby pociągnąć za sobą zbyt tragiczne skutki.
Wreszcie osiągnął pewność.
Wynik sekcji nie budził już najmniejszych wątpliwości.
Wątpliwości natomiast budziło co innego.
Jeszcze raz obudził Józefa.
- Z pewnych względów muszę obejrzeć resztę
tej padliny.
Ale możecie być spokojni.
Nikomui niegrozi zakażenie.
Tym razem otworzył bez słowa.
Widocznie poprzednia naučka odniosła właściwy skutek.
Świtało, gdy Kostrzewa mógł z czystym sumieniem uznać badanie za definitywnie
skończone.
Noc upłynęła bezsennie, ale zagadka wściekłego kota przestała istnieć.
A rozwiązanie jej było zdumiewające.
VI
W pokoju Świrskiego było pełno dymu.
Przy stole siedział Zawadzki inie wypuszczając papierosa z ust, zerkał ku rozciągniętej na
łóżku postaci.
Popielniczkę wypełniała sterta niedopałków.
- Śpi - szepnął na widok wchodzącego Kostrzewy.
Przytknięty ostrzegawczym ruchem palec do warg, nakazywał zachowanie ciszy.
- Sen dla tego biedaka to jedyne lekarstwo.
Jedyne, na jakie nas w tych warunkach stać - ale przecież jego własny szepł nie brzmiał tak
cicho, jakby można było oczekiwać.
- Kiedymogą nastąpić pierwsze objawy wściekliczny?
Kostrzewa zmrużył wesoło oczy.
- Nigdy.
Wtej samej chwili Świrski uniósł nabrzmiałe powieki.
- Co?
- widać było, że z trudem zbiera myśli.
- Ach.
tak policzki nagle szarzały, dolna szczęka opadła.
Już sobie przypomniał.
Kostrzewa podszedł szybko i położył mu rękę na ramieniu.
- Wszystko w porządku.
Kot nie był wściekły.
Zawadzki pokijał głową.
- Jestem tego samego zdania.
Po diabła wyobraź sobie Bóg wie co, jeżeli nie ma żadnej pewności.
Kostrzewa skrzyżował ręce napiersiach.

- Owszem - głos jego brzmiał czysto i radośnie.
- Mamy
 - pewność.
 - Zawadzki popatrzył
 na niego spod oka.
 - Wierzę, że tak jest.
 Zanim jednak zostaną przeprowadzone odpowiednie badania.
 - widocznie Józef nie zdążył mujeszcze zameldować o zdarzeniach dzisiejszej nocy.
 - Kostrzewa roześmiał się.
 - Było mu niezmiernie lekko naduszy.
 - Odpowiednie badania zostały już przeprowadzone.
 - W jaki sposób?
 - Sam je przeprowadziłem.
 - Zawadzkiwpatrywał się w niegoszeroko otwartymi oczami.
 - Jakże.
 - bez narzędzi?
 - Naszcześnie miałem wszystko, co było do tego potrzebne.
 Świrski usiadł gwałtownie na łóżku.
 - Bezwiednym ruchemwyciągnął przed siebie rękę, jakby chcąc coś złapać.
 - Potem ramiona mu opadły.
 - I..
 - zwilżył końcemjęzyka wargi - stwierdził pan, że nie
 - był wściekły?
 - Oczy błyszczały mu gorączkowo.
 - Na pewno?
 - Tonie ulega najmniejszej wątpliwości.
 - Przyjmuję pełnąodpowiedzialność za wynik sekcji.
 - I jeżeli tylko nie przyjdzie jakieś zakażenie.
 - przesunął uważnymwzrokiem po strupachna twarzy Świrskiego - nie, raczej nic nie wskazuje
 - na infekcję.
 - W rezultacie sprawę kota możemy uważać zacałkowicie wyczerpaną.
 - Skoczył jednak na mnie.
 - Świrski pomimo wszystko nie
 - śmiał wierzyć w prawdę.
 - Skoczył, tofakt - Kostrzewa przysiadł na krawędziłóżka.
 - To stanowiło drugą niewiadomą, którą musiałem w tym równaniu rozwiązać.
 - Rozwiązałem ją.
 - Kot miał wszelkie powody, żeby skoczyć.
 - Miał wszelkie powody do wściekłości i furii.
 - Wściekłości -podkreślił naciskiem - nie zaś wścieklizny.
 - Jakie powody?
 - głosZawadzkiego odzyskał normalne
 - brzmienie.
 - Kostrzewa uśmiechnął się.
 - Poparzenie wylotu odbytnicy żrącą substancją raczej nie
 - wpływa kojąco.
 - Żrąca substancja - Zawadzki miał taką minę, jakby przeczuwał.
 - Podejrzewa pan, że ktoś to zrobił rozmyślnie.

- Stwierdzam tylko fakt.

Ale na ogół zwierzęta rzadko siadają z własnej woli na terpentynie czy czymś podobnym.

- Żrąca substancja podogonem - rozmyślał na głos Świrski

-ładny gips.

Nawet jagnię wpadłoby w furję.

To durnaczy również pianę na pysku?

- Nie bardzo.

Dla pewności przeprowadziłem analizę tej piany.

Wynik wprost zaskakujący: mydliny.

- Mydliny?

- powtórzył w osłupieniu Świrski.

-Jak żyję, niesłyszałem, żeby koty żarły mydło.

-Ja równieżnie.

Niemniej fakt pozostaje faktem.

Świrski przetarł podpuchnięte oczy.

- Co tam - zawołał entuzjastycznie - mydliny, poparzony odbyt.

Być może dziwne, ale przecież nie wścieklizna.

Te męczarnie, których oczekiwałem w każdym ułamku sekundy, nieprzyjdą nigdy - złapał oburącz dłoń Kostrzewy.

- Gdyby nie pan, doktorze.

gdyby nie pan- nagle ochłonął, zawstydzony widocznym swym wybuchem - ten koszmar, dzięki panu rozwiązał się i zniknął bez śladu.

To było.

nocóż.

było niełatwo

- wziął z nocnego stolika paczkę papierosów.

Otwierał ją niezmiernie długo.

Kostrzewa odwrócił pospiesznie głowę, udając, że niedostrzega roztrzęsionych rąk.

MARTWY PUNKT

Inscenizacja za inscenizacją.

O ile ostatecznie można by odbiedy uwierzyć w to, że kropla aromatycznego olejku trafiła przypadkowo do szklanki herbaty, to już obraz kota siadającego w żrącej substancji i nurzającego pysk w gęstej pianie mydlanej był absolutnie nie do przyjęcia.

Czyjeś ręce musiały go w ten sposób spreparować, ktoś musiał wypuścić szalejące z bólu zwierzę akurat w momencie, gdy Świrski wyszedł sam na podwórze.

Od stwierdzenia, kto to był, zależało być może rozwiązanie całej zagadki.

Ale w jaki sposób to stwierdzić?

Zawadzki uśmiechnął się przeprasząco.

- Rozumiem, że to może być bardzo ważna okoliczność, ale niestety nigdy nie interesowała mnie kwestia kotów na naszym podwórku.

W ogóle nie wiem, są jakieś czy też nie mamy żadnego.

Józef spluwał pogardliwie.

- Kot?

A skąd niby mam wiedzieć?

Włesienie brak tego draństwa.

Niszczą zwierzynę, ze strach.

I w jaki sposób ją wytępić, skoro nawet najmarniejszej strzelby człowiekowi nie dają?

Ten z całą pewnością nie nasz.

Nigdy takiego nie widziałem w obejściu.

Może z któregoś leśnictwa, one potrafią wędrować całymi kilometrami.

Może z lasu.

Najpewniej z lasu.

Koryciuk długo zastanawiał się z filozoficzną miną.

- A bo ja wiem- oświadczył wreszcie - pewnikiem przyleciał jakiejś gajówki albo od chłopa.

Boto gdzie brak tego dobrego?

I przegowate, i bure, i różne.

A teraz, gdy ludzie uciekali przed wodą, to nie tylko, że kota, ale nawet krowinę mógł nie jeden pozostawić na łasce boskiej.

Nasz toon nie był.

Przyuważyłbym przecież.

Puciołowata Kazia patrzyła na Kostrzewę wilkiem od czasu rozmowy o pachnącej herbacie.

- Czy ja wiem, skąd wyskoczył?

Wściekły zwierzę to gna, gdzie

go oczy poniosą.

- Nie był wściekły - zaprzeczył Kostrzewa.

76

Widocznie wszystkie nowiny rozchodziły się wśród mieszkańców tego domu z jednakową szybkością.

Skrzywiła się niechętnie.

- Nie?

Jakbym go nawet własne oczy nie widziała.

Po uczoneму to może inaczej, a po naszymu.

Ale u nas nigdy takiego nie było.

- Nigdy?

- Od czasu, jak ja nastalam, to nie.

Ale nie służę tu dawno.

Dopiero bez mała kwartał.

Marianna będziemogła panu dokumentnie powiedzieć co i jak.

- Owszem, widziałam tego, co go pan nadleśny zastrzelił-oświadczyła Marianna - nigdy takiego nie mieliśmy.

A chwalićBoga na Wielkanocbędzie już osiemlat, jak tu jestem.

NaszBuruś - wskazała grube kocisko, śpiące spokojnie na ławie -i zaden więcej.

Zresztą po co by?

Myszy się u nas nie trzymają.

- Z nieba - zakonkludował Kopankiewicz, który z nudówasystowałprzy większości tych rozmów -alboraczej z piekła - dorzucił po chwili.

- Tajemnicza zbrodnia piekielnego kocura.

Nieuważa pan, że byłby to wspaniały tytuł kryminalnej powieści?

- Wspaniały - potwierdził z roztargnieniemKostrzewa.

-W każdym razie jak najbardziej odpowiedni do tej historii.

- Tylko że niebo i piekło jako miejsce pochodzenia nie stanowią danych, które by w jakiś bardziej konkretny sposób ułatwiły identyfikację?

-W tym właśnie sęk - cień uśmiechu znikł z warg Kostrzewy.

- Utknęliśmy jakbyw martwym punkcie?

-W jak najbardziej martwym - przyznał apatycznie Kostrzewa.

-Wszystkie drogi prowadzątu absolutną próżnię.

Więździeje się coś, czego absolutnie nie potrafimy zrozumieć.

Anicelu, ani sensu, ani konsekwencji.

Ale przecieździeje się.

- Z nieba, z piekła?

Nie - prychnął Świrski, gdy Kopankiewicz w czasie obiadu powtórzył mutę rozmowę - znikąd.

Kotznikąd.

Zapach gorzkich migdałów, gość odwiedzający kancelarię.

Tu wszystko jest znikąd.

II

Kto właściwie stanowił problem numer jeden wtym zespole?

Zawadzki?

Jeżeli on, nie było nadziei, by zechciał puścić pa77.

rę z ust.

Świrski?

Jego ustawiczne niedomówienia zdawałyby się wskazywać, że wie coś więcej, niż mówi.

Warto by porozmawiać nim w cztery oczy.

Człowiek, który nieustannie pije.

Wyczekał na moment, gdy Świrski będzie sam w swoim pokoju.

Zawadzki akurat pracował w kancelarii.

Kopankiewicz wystukiwał coś na maszynie.

Raczej nie groziło niebezpieczeństwo, by ktoś przeszkodził.

- No, jak się pan czuje?

Pachniałonikotyną trochę słabiej alkoholem.

Odkorkowana butelka stała zresztą na stole, obok napełnionej do połowy szklanki.

Widocznie Świrski uważał, że naczynia o mniejszej pojemności niewchodzą w rachubę.

- Aaa - spojrzał na niego nieco mętnym wzrokiem - mój zbawca.

Proszę bardzo - wskazał zachęcającym gestem krzesło.

- Jestem niezmiernie wdzięczny, że zechciał mnie pan odwiedzić.

Samotność to niezbyt dobra pożywka dla rozmyślań.

Szczególnie dla niektórych rozmyślań.

Łyknij pan kropelkę dla kompanii?

- nie czekając na odpowiedź, podszedł do nocnego stolika, na którym stała druga szklanka.

- Ale rzeczywiście tylko kropelkę - Kostrzewa popatrzył naślady słodkiej nalewki na dnie szklanki.

Zawadzki?

Być może zresztą kto inny.

Niewiele wiedział z tego, co siedziało w tym domu.

- Krople należy odmierzać w medycynie - roześmiał się

Świrski - ale jeżeli chodzi o wódkę.

- Nie mam zbyt mocnej głowy - zastrzegł się Kostrzewa.

- Nie chciałbym jej sobie zbyt zaproszyć.

- Nie wierzę, żeby pan nie miał mocnej głowy.

W wiele rzeczy nie wierzę - napełnił obie szklanki aż po same brzegi.

- No, co tam, pijmy!

- wychylił szklankę do dna.

Kostrzewa łyknął niewiele więcej niż trzecią część.

- Jak widać, coś pan nawala, doktorze - zauważył z dezaprobatą Świrski.

- Kiedy ja naprawdę mogę.

- Niech będzie i tak - Świrski znowu sięgnął po butelkę - nie lubię komuś wlewać przemocą do gardła - wypił i przytknąwszy paznokciem w szkło, nad słuchiwał w skupieniu odgłosu.

- Pytał pan, jak się czuję.

Czuję się, owszem.

Jak śliwkaw.

kompo78

cię. Czy zresztą tutaj można czuć się inaczej?

- podniósł szklankę.

- Pijmy, bo cóż nam właściwie innego pozostało?

- Bywałem już w różnych sytuacjach - podjął po kilku kolejkach.

- Niektóre z nich.

po prostu trudno sobiewyobrazić, jak bardzo paskudne.

I nigdy nie czułem się tak podle jak teraz.

- Nerwy - stwierdził prowokująco Kostrzewa - nic zresztądziwnego.

Po tej historii z wścieklizną.

Tomusiał być piekielnie mocny wstrząs.

Każdego wyprowadziłby zrównowagi.

- Tak - Świrski wlepiłoczy w szklanę.

- Pewnie, że mocny.

Ale przecież nie tylko to.

Coś, co czyha po kątach.

- długo zapalał papierosa, zaciągnął się nim kilka razy i odłożył na popielniczkę.

- Nie potrzebuję chyba panu mówić, jak wyglądało wtedy, przed trzynastu laty.

Śmierć, cóż.

Człowiek zdawałsobiedoskonale sprawę, że każdej chwili może przyjść jego kolej.

I żeby choć co.

Proszę mi wierzyć: najmniejszego wrażenia - znowu przytknąłw szklanę.

Potem przez długą chwilę trwałwpatrzony w powierzchnię rozkołysanego płynu z takim skupieniem, jakby odzwierciedlała jakieś tajemnicze, jemu tylko wiadome obrazy.

- Uważali mnie w naszym oddziale za twardziela.

To miało swój ciężar gatunkowy.

Poważny ciężar, proszęmi wierzyć.

Niech pan weźmie pod uwagę, że tam wszyscy musieli być twardzi.

- Opróżnił szklanę jednym haustem, niezwracając uwagi, czy Kostrzewa mu towarzyszy.

- A teraz.

nie, teraz nikt by mnie taknie nazwał.

Tu śmierćdepcze po piętach

- zniżył głos doprzejmującego szeptu.

- Depcze - powtórzył, zerknąwszy jakoś podejrzliwie ku drzwiom.

- Ja panutomówię.

Wyczuwam takie rzeczy przez skórę.

Było w jego głosie coś, co nie pozwalało przejść doporządku nad ostatnimi słowami.

- Zauważył pan coś szczególnego?

- Śmieszne.

Jakby tu wszystko nie było szczególne.

Wie pan

- unióśł butelkę i popatrzyłw zamyśleniu pod światło na jej zawartość - można śmierci iść na spotkanie.

można ją czuć przez cały czas u swego boku jak wierną towarzyszkę.

To nie byłoby dla mnie czymś nowym.

Ale gdy czyha podstępnie zaplecami.

gdynie można jej spojrzeć ani razu woczy.

I niewiadomoscąd, i nie wiadomo gdzie, nie wiadomo w jaki

79.

sposób.

- Chlusnął z rozmachem wódkę do swojej szklanki.

Długie bryzgi poleciały na serwetę, znacząc ją ornamentem ciemnych plam.

- To jest naprawdę więcej, niż człowiek potrafi znieść - umilkł.

Ręceszukały czegoś niewidocznego na stole.

Kostrzewa uniósł szklankę.

Przez chwilę zawisła w powietrzu.

Odstawił ją, zanim dotknęła ust.

Ten człowiek dobiegał kresu wytrzymałości nerwowej.

Stwierdzenie tego nie wymagało wiedzy medycznej.

Wystarczył jeden rzut oka.

Był już nasamej krawędzi.

Być może nadszedł moment, by poruszyć zasadniczy temat?

- Wie pan.

- zaczął z zastanowieniem - pańskie słowa o tym, co było przed trzynastu laty, nasunęły mi jeszcze jeden problem - miał taką minę, jakby mu to dopiero teraz przyszła myśl.

Ale słowa Świrskiego odegrały jedynie rolę pretekstu, który ułatwił podjęcie tej kwestii.

Podjąłby ją zresztą w każdym wypadku.

Tylko poto przecie żuprzyszedł.

- Czynie domyślasie pan, dlaczego autor anonimów tak długo czekał na.

- szukał przez chwilę odpowiednich słów - na rozpoczęcie swej akcji?

Symbolistyka feralnej trzynastki nie przemawia mi jakoś doprzekonania.

- Ta uwaga miała zabrzmieć lekko i wnieść trochę odprężenia do ponurej atmosfery.

Nie wypadła jednak tak, jak zamierzał.

I nastrój nadal przygniatał ciężarem ołowiu.

- Trzynastka - Świrski nie odrywał oczu od obrusa.

- Trzydzieści lat.

trzynastego października.

Kopankiewicz ustawicznie nawraca do tej wersji.

Chyba jest całkiem przekonany, że w tym właśnie należy szukać wytłumaczenia.

- A pan?

- Ja? - potarł czoło.

- Niezmiernie łatwo powiedzieć: bzdura.

Ale tu.

Tu wiele rzeczy można by nazwać bzdurą.

I tragizm może być bzdurny, i śmierć.

wszystko.

Feralna trzynastka?

- powtórzył.

- Czy ja wiem - zamyślił się - chyba jednak tonie ma żadnego znaczenia w tej sprawie.

Kopankiewicz.

no, on we wszystkim szuka.

jakby to nazwać.

czegoś w rodzaju kankany do powieści.

Nie, źle się wyraziłem, nie chodzi o kankanę.

Raczej efektów.

Tak, właśnie efektów.

I pod tym kątem ocenia zdarzenia.

Ażycie to przecież niepowieść.

- Niekiedy jednak - Kostrzewa nagle zajął mu głębokim oczyma.
- niekiedy jednak bardzo ją przypomina.

Prawda?

80

Żadnej reakcji.

Ani w oczach, ani na twarzy.

Wyraz jej nieuległ nawet najmniejszej zmianie.

Czyżby strzał w próżnię?

Być może zresztą nieprzenikniona maska.

W rezultacie wychodziła jedno.

Ponawianie próby nie miało sensu.

Żadnych szans.

- Jaki więc pańskim zdaniem może być rzeczywisty powód aż tak długiej zwłoki?

- Czy ja wiem - rozmazywał lśniący na serwetce alkohol w zawiłą figurę geometryczną
- mogło ich być całe dziesiątki.

No, założmy, że ten ktoś czekał na okazję, żeby dosięgnąć całej naszej trójki za jednym zamachem.

- Zjazd w nadleśnictwie?

Ale przecież to nastąpiło już po otrzymaniu przez panów anonimowych gróźb.

Potrząsnął głową.

- Nie w tym rzecz.

Zjazd?

Nie chodzi przecież o jedno miejsce.

Tylko.

Ostatecznie nie można zapominać, że Jerzy był dowódcą i rozkaz podjęcia wypadu pochodził właśnie od niego.

Kostrzewa bezskutecznie usiłował wyłuskać z tych słów jakiś sens.

- Nie rozumiem.

- Powiedzmy jakąś tam hierarchia w realizacji planów zemsty.

- To wciąż jeszcze nic mi nie mówi.

- Nie?

- podniósł powoli oczyma.

Były zamglone i nieprzezroczyste.

Ach, prawda.

Pan przecież nie wie.

My dwaj.

tak.

nas przez cały czas mógł dosięgnąć.

Ale jeżeli chodziło o Jerzego.

- Jego nie?

- Chyba nie.

- Dlaczego pan tak uważa?

- Bo - wyduł wargi - w tej puszczy, to jakby gdzieś na samym końcu świata.

Przywarowali zniknąć.

My sami nie wiedzieliśmy, że żyje.

A on, tamten.

- Nie wiedzieliście?

- Nie.

Kostrzewa wybębnił na stole rytm jakiegoś niezmiernie skomplikowanego marsza.

To mogło w rezultacie zaprowadzić diabli wiedzą jak daleko.

81.

- Kiedy się dowiedzieliście, że Zawadzki tutaj przebywa?
-Dopiero w tym roku.
Kostrzewa zapalił papierosa,by zyskać nieco naczasie.
Wiadomość zabrzmiała wprost zdumiewająco.
Należało się do niej
w jakiś sposób ustosunkować.
-Przez całe tedwanaście lat żaden z was niespotkał go anirazu?
- zapytał jeszcze dla pewności.
Słowa pijanego człowiekabywają niekiedy płynne jak woda.
A Świrski był już dobrze pod
gazem.
- Ani razu- potwierdził.
- Ani ja, ani Zdzisław, ani nikt z naszych wspólnych znajomych.
Nikt.
Trudne douwierzenia, aleprawdziwe.
I żebynie to, że Zdzisław zobaczył go przypadkowow Warszawie, nie wiedzielibyśmy
dotychczas.
Jeżeli tamtenszedł po naszych tropach właśnie po nich trafiłdopiero do Jerzego?
Czyż nie mogło takbyć?
- Mogło -Kostrzewa zamyślił się.
Ale rozmyślania dotyczyły
zupełnie innego tematu.
III
Kopankiewicz wpadł z impetem do stołowego.
- To już diabli wiedzą co takiego.
- raz po raz rzucał niespokojne spojrzenie w głąbkorytarza - co ta Lola.
-zanimktokolwiek zdążył otworzyć usta, wybiegł z powrotem.
Po chwili powrócili oboje.
Tym razem Kopankiewicz zamknął drzwi.
- Myślałemjuż.
No, bo w takiej sytuacji.
Zawadzki zmarszczył brwi.
- Stało się coś?
Kostrzewa patrzył wyczekująco.
Powód ich wzburzenia musiał być całkiem niezwykły.
Szczególnie jeżeli chodziłoo,panią
Lolę.
- Nic specjalnie groźnego - bezskutecznie usiłowała zachować zwykływswoją spójność.
- Ale.
- Dla mnie wystarczająco groźne - Kopankiewicz napił sięwody.
- Bojeżeli komuś nagle podtykająpod nos nabity pistolet.
- Nabity pistolet- oczypani Zosi stawałysię coraz większe.
-Boże.
- przytuliła się do męża, jakbyszukając u niego obrony.
82
- Nie wiemy przecież, czy był w rzeczywistości nabity Stwierdziła rzeczowo pani
Lola.

-Nie - sarknął ze złościąKopankiewicz - o takich rzeczachczłowiekdowiadujesz się zazwyczaj dopiero wtedy, gdy kule jużwylecą z lufy.

Alechyba nie przypuszczasz, że ktoś grozi w ciemnym korytarzu pustym pistoletem.

- Pistolet, ciemny korytarz - Świrski zmrużył kpiącooczy -a przecież na szczęście widzimy obojepaństwazdrowych i całych.

-Nie wierzypan w ten pistolet?

- zapytała chłodno pani Lola.

Była już całkowicie opanowana.

- Skądże znowu - wciąż ten sam drażniący ironiczny ton.

-Kompletuję tylko serię tutejszych niewypałów.

A więc do herbatyzakropionej olejkim i kota z pianą mydlaną na pysku dochodzi teraz z kolei pistolet, który nie strzela.

- Któryniewystrzelił - sprostował Kopankiewicz.

- To niejest to samo.

I...

wcale nie mam pretensji, że nie wystrzelił.

Świrski odsunął się wraz z krzesłem nieco od stołu i wyciągnął nogi nacałą długość.

- Nikt nie ma pretensji.

Po prostujesteśmy nieco zaintrygowani.

Przynajmniej ja.

- Powiedzcieżwreszcie, oco chodzi!

- zawołał porywczozawadzki.

-Czyż niewidzicie,co się dzieje z Zosią?

Na pewno jestprzekonana, że tuż zaprogiem czyha jakiś złoczyńca z pistoletem w garści-głaskał ją uspakajająco poramieniu.

- Złoczyńca z pistoletem?

- oczy Świrskiego szukały czegośna suficie.

-Proszę się nie obawiać.

To byłoby zbyt uproszczone.

I do tegoza progiem.

Tego, co tугrozi, nie można dostrzec ot tak zwyczajnie na własneoczy.

- A więc - zaczął wreszcie Kopankiewicz - wystukiwałemwłaśnie szkic nowej powieści.

Przy takiej okazji obowiązujechwila ciszy.

Nawet Lola ją do pewnego stopnia respektuje.

I nagle te przekłete szmery tuż pod samymi drzwiami.

"Myszy"- powiadam, no bo, biorąc na zdrowy rozum, co by innego mogło być?

Potem cisza.

Ale po jakiejś tamchwili patrzę i oczomniewierzę:klamkazaczynasię poruszać.

Oślupiałem.

Prawdęmówiąc, Lola też znieruchomiała.

A klamka powolutku ugina się coraz niżej.

Jeszcze jakiś tam ułamek sekundy do pokoju

wejdzie ktoś, kto niewidzialny wędrował po korytarzach.

Jakoś nie mogłem znieść tej myśli.

Krótko mówiąc, nerwy nie wytrzymały.

Wrzasnąłem na całe gardło: "Kto?"

".

- Wrzasnął - wtrąciła pani Lola - ale w tym nie było żadnego słowa, które można by zrozumieć.

-Może - .

zgodzi się potulnie.

- Powiedziałem już, że nerwicznie wytrzymały.

A więc wrzasnąłem i jednym susem do drzwi.

Miałem dość wszystkich tych tajemniczych historii.

Szarpnąłem klamkę.

Nie stawiała oporu.

W tym momencie nikt jej nie trzymał z tamtej strony.

Pchnąłem gwałtownie drzwi.

Byłem gotów na wszystko.

Niech się dzieje, co chce.

Nie zastanawiałem się nad tym, czy mi coś grozi i co mianowicie.

Szlag mnie po prostu trafił z wściekłości.

W korytarzu nie było nikogo.

-Jakże to może być?

-jęknęła pani Zosia, tuląc twarz do kurtki męża- - Ktoś naciskał klamkę.
i nikogo?

- To znaczy: nie dostrzegłem nikogo - poprawił się Kopankiewicz - bo jednak ktoś był.

Odgłos miękkich kroków.

Cóż.

tam dalej było prawie zupełnie ciemno.

Wpadłem więc, Lolaza mną i pędzimy co tchu, aż nagle przy tym zakręcie korytarza obok łazienki.

- znowu upił łyk wody -krótko mówiąc, lufa pistoletowa wycelowana prosto w twarz.

- Dostrzeżliście ją pomimo ciemności?

- wtrącił Świrski.

- Nie było zupełnie ciemno.

A więc jakby nas ktoś w ziemię wkopał.

- Pistolet, akto za pistoletem?

- zapytał Kostrzewa.

- W tym sęk, że osoba właściciela pozostawała niewidoczna.

Ten ktoś był niewidoczny, wystawiając tylko rękę trzymającą pistolet.

- Mówił coś?

-Nie.

To nie było zresztą potrzebne.

Widok wylotu lufy pistoletu jest już sam w sobie dostatecznie wymowny.

Nietrudno było zrozumieć, że wystarczy jeden krok dalej, aby otrzymać kulę w sam środek czoła.

- Może i nie -mruknął Świrski.

Nie był już ani kpiący, ani ironiczny.

-Jakto?

- spojrzając niemu zezem Kopankiewicz.

-Po cóżby w innym wypadku groził bronią?

- Nie wiem- Świrski przejechał dłonią po swej łysinie.

- Tu

84

nigdy nie można przewidzieć, jakie konsekwencje wynikną z danego zdarzenia.

Na ogół są dość nieoczekiwane.

logika.

- potrzęsnał głową.

- Nie, logika z tym wszystkim nie ma nic wspólnego.

Może więc i w tym wypadku.

- Może.

Na wszelki wypadek wołałem jednak nie próbować.

Gdyczłowiekowi śmierć zagłada prosto woczy, na ogół traciocotę do eksperymentów.

Ja ją właśnie w tym momencie straciłemdoszczętnie.

- Gdy patrzy w oczy, to jeszcze nie najgorsze - powiedział bardzo cicho Świrski.

-Co zaszło dalej?

- ponaglił Kostrzewa.

Prowadzonaw tensposób relacja mogła trwać diabli wiedzą jak długo.

A tu być możekażda chwila miała swoją cenę.

- Staliśmy bez ruchu, mając przed oczyma wycelowany pistolet.

-W jakiej mniej więcej odległości?

- To byłpiekielnie blisko.

Może jakiś metr albo nawetmniej.

Przypuszczam, że w razie strzału znaleźlibyście osmalenie prochem na naszej skórze.

- Nie byłoby żadnych osmaień - uśmiechnął się lekko "Kostrzewa.

-Jaki to był pistolet?

- Automatyczny.

Marki nie dostrzegłem.

Zresztą prawdę mówiąc w tym momencie nie bardzo miałem głowę, by się zastanawiać nad takimi szczegółami.

- Duży pistolet?

-Chybaraczej dość duży.

Może wydał mi się większy, niż w rzeczywistości.

Strach ma wielkieoczy.

- A ręka?

-Co, ręka?

- nie zrozumiał sensu pytania.

- Czy zauważył pan jakieś szczegółydotyczące jej wyglądu. Zastanawiał się przez chwilę.

-Chyba w rękawiczce.

- Z całą pewnością w rękawiczce - potwierdziła z przekonaniem pani Lola.

- Czarna rękawiczka glace.

- Glace?

- powtórzył z niedowierzaniemKostrzewa.

Użycierękawiczki, która musiałaby utrudnić manipulowanie bronią zupełnie nieprzemawiało mu do przekonania.

- Może Jednabawełniana?

85.

- Nie była bawełniana.

Ani z zamszu.

Ani z żadnego innego materiału.

Tylko właśnie gładce.

- Jest pani zupełnie pewna?

Bo jednak w ciemnościach.

- Jestem zupełnie pewna.

- Och, jeśli chodzi o szczegóły garderoby.

- znowu próbował wdrzeć się zrozwickłym komentarzem Kopankiewicz.

Kostrzewa jednak do tego nie dopuścił.

- Czym się skończyła ta historia?

- W pewnym momencie pistolet zniknął.

- A jego właściciel.

- Również.

- Słyszeli państwo, jak uciekał?

- Nie.

To wszystko w tym najdziwniejsze.

Był, nie ma, kropka.

Żeby choć odgłos jednego jedyne kroku.

- Nie było żadnych kroków - zawtórowała pani Lola - zniknął pistolet, zniknął jego właściciel, sprawa skończona.

Staliśmy jeszcze przez chwilę i potem.

- Potem - wpadł jej w słowo Kopankiewicz - cotu dużogadać, pośpieszny odwrót w bezpieczne zacisze czterech ścian naszego pokoju.

- Ja niebiegłam - zastrzegłam się pani Lola.

- Biegłaś kochanie.

Ale mało kto na naszym miejscu postąpiłby inaczej.

Ja przynajmniej nie odczuwałem ani cienia ochoty do bohaterkiego pościgu i tym podobnych wyczynów.

Wręcz przeciwnie.

Klucz na cztery spusty i siedzieliśmy cicho jak myszy pod miotłą.

Twarz pani Loli spłonęła ciemnym rumieńcem.

- On miał broń - powiedziała cicho, wlepiając oczy w swój talerz - a my tylko goleręce.

- Tak - westchnął Kopankiewicz - to decydowało.

Kostrzewa analizował w myśli opisywaną scenę.

W jaki właściwie sposób należało rozumieć jej znaczenie?

- Jak długo pozostali państwo w swoim pokoju?

- Długo - Kopankiewicz miał nieco zawstydzoną minę.

- Chyba co najmniej pół godziny.

Jakoś zabrakło nam inwencji, by wyjść na korytarz.

- Pół godziny?

- Kostrzewa gładził kołnierzem palca obrus.

Przed półgodziną nie było jeszcze w tym pokoju nikogo.

Nie

86

wiadomo, co robił w tym momencie Zawadzki, niewiadomo, co było ze Świrskim.

A gdzie akurat przebywał Józef?

Sprawdzenie alibi byłoby jednak nie do pomyślenia.

W grę mógł wchodzić każdy z nich albo też ktoś zupełnie inny.

Ręka w rękawiczce glace -przesunął wzrokiem po wielkich jak spore bochny dłoniach Świrskiego, potem popatrzał na wąskie rasowe ręce Zawadzkiego.

- Czy ręka trzymająca pistolet była duża.

-Nie zauważyłem - przyznał z ubolewaniem Kopankiewicz- pistolet zaprzętał moją uwagę bez reszty.

- Nie była duża- wyjaśnił pani Lola - raczej nie.

Kostrzewa poprawił się na krześle.

A więc Świrski nie mógłbyć w tym wypadku brany pod uwagę.

Tym bardziej Józef, o ich rękach nikt w żadnej sytuacji nie mógłby powiedzieć, że są małe.

Zawadzki?

Ale również i jego rąk nie potrafił sobie jakoś wyobrazić w lśniących rękawiczkach glace.

IV

Kopankiewicz już z samego rana przyniósł swą szarotkę dostołowego.

Bateria zresztą działała bez zarzutu.

- Znak czasu - uśmiechał się smętnie.

- Odbiornik baterie -jedyna więź łącząca z zewnętrznym światem.

- Niestety całkiem jednostronna - skrzywił się Świrski.

-Cóż robić.

Lepsza taka niż żadna.

Komunikaty powodziowe nadawano kilka razy dziennie.

Nie brzmiały bynajmniej pocieszająco.

Pani Zosia była w rozpacz.

- Zupełnie jak na bezludnej wyspie.

-Niezupełnie bezludnej - sprostował znacząco Świrski.

-Być może byłoby lepiej, gdyby była nieco bardziej bezludna.

- W końcu zabraknie nam świec, zabraknie żywności i zabraknie wszystkiego - widać było, że pani Zosia tylko z trudem powstrzymuje łzy.

-Niczego nam nie zabraknie - pocieszył ją Zawadzki - woda opadnie najpóźniej za parę dni, my zaś moglibyśmy odbiedy przetrwać nawet kilkumiesięczne oblężenie.

- Przetrwać.

To jednak nie jest takie proste - uwaga Świrskiego zabrzmiała jakoś bardzo nieprzyjemnie.

- Czy rzeczywi-

87.

ście jesteśmy odcięci ze wszystkich stron?

- Długą chwilę stał przed wielką mapą zawieszoną na ścianie.

-No dobrze - kreślił tępą stroną ołówka po mapie -tu woda -jasne.

Ta waszacała Błotnica, czy jak jejtam.

Tu- ołówek wędrował dalej - powiedzmy, że również dotarła.

Ale żeby wszędzie?

- Sam przecież słyzałeś komunikaty.

-Komunikaty - mruknał lekceważąco.

Kostrzewa również nie dałby głowy, że nie istnieje żaden sposób komunikacji.

Był jeszcze bardzo wczesny świt, gdy następnego dnia podchodził do bramy.

Znowu strzelając pod brwi spojrzenie Józefa.

- Do lasu?

Tam jeszcze zupełnie ciemno.

I najbardziej zdawkowy ton własnego głosu.

-Ależ nie.

Mały spacer kłókoła ogrodzenia.

Na wszelki wypadek wołałbym sprawdzić, czy nie ma czegoś podejrzanego.

A przecież właśnie do lasu i wcale nie dookoła ogrodzenia.

Nie potrzebował szukać podejrzanych rzeczy na zewnątrz.

Leśniczówka dawała pod tym względem wprost nieograniczone możliwości.

W lesie było rzeczywiście ciemno.

Szczególnie w bardziej zagęszczonych miejscach.

Kostrzewa zaklął, wpadając w jakąś dziurę.

Długą chwilę masował nogę w kostce.

Bolała jak wszyscy diabli.

Cała wyprawa miałaby się skończyć w ten sposób?

Konieczniew chciał sprawdzić pewnerzeczy.

Kto wie, czy ich wyjaśnienie nie rozwikła zarazem wielu innych.

Cośw rodzaju swoistej reakcji łańcuchowej.

Ale aby to osiągnąć, trzeba było przejść ładnych parę kilometrów.

Zrobił niezdarnie jeden krok, potem drugi.

Kuśtykał jak kaleka, ale od biedy jakoś szło.

Po pewnym czasie ból prawie ustał.

Pod podeszwami natiast zaczęło coraz bardziej soczyście chlupotać.

Jeszcze nie woda, ale już przecież nie twardy grunt, na którym można postawić pewnie nogę.

Przypomniał sobie zarysy mapy, tu nie było żadnego bagna.

Docierał więc do obszaruzalanego przez powódź.

Zrobiło się już zupełnie widno.

Wśród kępek mchu połyskiwały kałuże.

Zwolnił kroku, potem przystanął.

Rozejrzał się z wahaniem.

A jeżeli w ogóle nie da się tędy dojść do szosy?

Gdzieś

88

poza nim rozległ się cmoknięcie.

Nasłuchiwał z uwagą.

W tej sytuacji należało zachować jak najdalej posuniętą ostrożność.

Znowu ten sam dźwięk.

Chyba w okolicy kępkidrzew, która przed chwilą minął.
Nie był pewny, ale raczej tam.
Potem już tylko zwykłe odgłosy lasu.
Szum potracanych wiatrem gałęzi.
Podniecony świergot niewidocznych ptaków.
Aletamto.
Podobno spotykano tu niekiedy łosie.
Ale łośnię zastygłoby w miejscu, czując bliskość człowieka.
Nie odwracał głowy.
Słuchał.
Wciąż trwała cisza.
Nie miał już jednak wątpliwości.
Ktoś sunął za nim jak cień.
Być może od samego nadleśnictwa.
Miękki mech ułatwia bezszelestne przemieszczanie się z miejsca na miejsce.
Tu jednak było mokro i właśnie dlatego.
Teraz ukryty w gąszczu czeka na okazję.
Okazję do czego?
Wzdłuż pleców nieprzyjemnie zamrowiło.
Lesiewicz wyszedł do lasu i nie wrócił.
Pewno już nigdy niewróci.
To nie był dobry las.
Przełknął ślinę.
Żeby pistolet.
W ogóle jakaś broń.
Choćby solidna pałka.
Nie miał nic.
Gołe pięści nie dawały zbyt wiele szans.
Właściwie nie dawały żadnej.
Ale wystawanie w miejscuteż nie prowadziło do niczego.
Dopóki będzie tu trwał, tamten nie da znaku życia.
Jasne.
Za to gdy ruszy dalej.
Atak od tyłu?
Świadomość podobnej ewentualności wykluczałaby swobodę ruchów.
Trzeba coś postanowić.
Tylko co?
Ten ktoś oczywiście ma złe zamiary.
Inaczej nie ukrywałby się w taki sposób.
Wesoło.
A jeżeli w ogóle nie ma nikogo?
Jakaś strącona wiatrem gałąź.
Nie wierzył w gałąź.
Ale ostatecznie to nie było zupełnie wykluczone.
Słuch często płata figle.
Wyobraźnia również.
Szczególnie w momentach podniecenia.
On był podniecony.
W rezultacie licho wie.
Tak dawno po raz ostatni przebywał w lesie.

Wielkomięski zgiełk fatalnie przytępia zdolność selekcjonowania dźwięków.

Fakt.

Trzeba sprawdzić, co jest z tą kępką.

Za wszelką cenę.

Wędrownica pomiędzy drzewami z kimś, kto depta po piętach, nie miała sensu.

Sprawdzić?

Jeżeli jednak tamten był uzbrojony.

Tajemniczy ktoś w korytarzu miał pistolet, którym zastopował Kopankiewiczów.

Jeżeli to właśnie on tkwił w gąszczu?

Pomyśl przyszedł nagle.

Nie był najlepszy, ale jedyny możliwy do zastosowania w tej sytuacji.

Wieczne pióro z etui z czarnego plastiku.

Tylko pióro.

Ujęte jednak w wodę 89.

wiedni sposób mogło w pewnej odległości imitować stalową lufę.

Moment zaskoczenia też miał niewątpliwie swoje znaczenie.

Tak czynaczej trzeba zaryzykować.

Nagłym susem skoczyłw kierunku podejrzanej kępy

- Kto tam?

Wyłaź!

Podniesione pióro wycelował pomiędzy gałęzie.

- Wyłazić!

Nic. Nie drgnął ani jeden liść.

Omyłka?

W gruncie rzeczy

wolałby, żeby tak.

Wiecznepióro, mogłoby wydawać się komuśpistoletem, ale w razie jakiejś rozgrywki nie zastąpiłoby nawetpięści.

Znowu skoczył.

Pośliznął się na mokrym mchu i o małonie runął.

Zdołał jakoś jednak zachowaćrównowagę.

Na czołowystąpiły kropelki potu.

Jeszcze by tylko tego brakowało.

Terazjuż wiedział, żeto nie była gałąź.

Pomiędzyliśmi załśniłydwapunktymi wcale nie przypominałyświętojańskichchrobaczków.

Znowu poderwał pióro.

Na szczęście nie wysliznęło się zpalców.

- Ręce do góry!

- wrzasnął na całe gardło.

Trzask gałęzi.

Jakaśniewyraźna sylwetka śmignęła zygzakiempomiędzy drzewami.

Pognał za nią.

Krótkibłysek triumfu:

więc jednak uwierzył w pistolet.

-Stój!

Gdzie tam.

Był znacznie szybszy.

I do tego musiał znać dobrze ten las.

Już go nie było widać.

Tylko coraz dalszy tupotszybkichkroków.

Kostrzewa oparł się o chropowaty pień.

Kontynuowanie pościgunie miało najmniejszego sensu.

Zapalił papierosa.

Kto i wjakim celu?

Na tojednak nie było odpowiedzi.

W każdym razie atak od tyłu przestał chyba grozić.

Chyba, boi codo tego nie miał przecież żadnej pewności.

Ruszyłdalej.

Cienka warstewkawody lśniąca wśród drzew, sięgała coraz wyżej.

Już łała się do butów.

Nawilgłemankiety spodni plaskałynieprzyjemnie ponogachprzy każdym kroku.

Wilgotny chłódciągnął od stóp aż po kark, znacząc drogę nawrotamifalujących dreszczy.

Tęskna myśl o butach zcholewami błysnęła izgasła po krótkiej chwili.

Niewiele by z nich przyszło.

Woda sięgała już połowy łydek.

Chyba jednak tędy nie dojdzie.

Zawrócić i próbować gdzie indziej?

Ba, ale gdzie?

Wszystko tu stanowiło dla niego księgę

90

zamkniętą na siedem pieczęci.

Pamiętał wprowadzić w ogólnych zarysach konfigurację mapy, ale mapa to nie teren.

Zresztą nieuwzględniono na niej przecież obszarów zalanych przez wodę.

Stracił już resztkę nadziei, gdy nie oczekiwane podeszwy dotknęły twardej nawierzchni.

Szosa.

Więc dotarł do niej mimo wszystko.

Stał długą chwilę, ciężko dysząc.

To nie była łatwa droga.

Już nie ocierał ciężkich kropeł spływających z czoła.

Cały był spocony jak mysz.

Mętna toń bulgotała w szerokim przesięku.

Tu już nie było słychać świergotu ptaków.

Niczym jakiś zamarły las wyrastający z mętnych wód tajemniczego jeziora.

Ale nie przyszedł tutaj, aby podziwiać groźny obraz powodzi.

Interesowały go wyłącznie słupy biegnące wzdłuż szosy.

Nie, tu nie było wśród nich żadnych wyrw.

Podtrzymywany przez szklane izolatory drut biegnący równymi liniami.

Być może gdzieś za zakrętem?

Zakręt znajdował się w odległości jakichś dwudziestu, najwyżej dwudziestu pięciu metrów.

Dwadzieścia pięć metrów to niedużo.

Tylko że w tym miejscu grunt znacznie się obniżał.

Jakże tam, przy zakręcie, mogło być głęboko?

Pływanie nie wchodziło w rachubę.

Woda kipiała dookoła jak w garnku.

Wir nawirze.

Gdyby wciągnęło pomiędzy drzewa - tokoniec.

Żadnej nadziei na wylądowanie gdziekolwiek na tym świecie.

Wahanie trwało długo.

Ostatecznie tylko po to tu przyszedł, żeby zobaczyć na własne oczy, jak jest naprawdę z przewodami.

Milczący telefon, martwe żarówki - różne mogły być tego przyczyny.

Miałby wracać z niczym?

Zachlupotała rozgarniana energicznie woda.

Może jakoś doła dobrnąć.

Nie powinno być chyba o wiele głębiej.

Po paru jednak krokach przekonał się, że właśnie było.

Szosa musiała opadać znacznie bardziej stromo, niż to przypuszczał.

Już bulgotało na wysokości ramion.

Bryzgi piany raz po raz uderzały w twarz.

Potem już była to woda.

Raz po raz zalewała oczy.

Cuchnący płyn wdierał się doust, zatykając oddech.
Odpluwał wysiłkiem.
Muł, żdźbła mchu i liści, jeszczejakieś inneświństwa.
Brnął bardzo powoli, ale przecież jakośbrnął.
Abytylko niezejść z szosy, bo wtedy.
Nagle zapadł w próżnię.
Plusnęło głośno, potem jużW uszach tylko ogłuszający szum.
Oczy przestały widzieć.
Zabra-
91.

kło tchu.

Towszystko zaszło tak nieoczekiwanie.

Zawirował nim jak kawałkiem drewna.

Otępiające uczucie bezradności nie trwało dłużej niż mgnienie oka.

Zaczął rozpaczliwie walczyć.

Żeby nie ten przeklęty wir.

Umiał przecież pływać.

Ogarnęła go nagle wściekłość.

Buty, ciężkie od wody ubranie, wszystko to krępowało ruchy.

Ramiona zaczęły już omdlewać.

Uniesiego właśnie tam, pomiędzy drzewa.

Wtedy już nic nie pomoże.

Oślepiony i bez tchu dał nurka na dno.

Wcale nie było tak głęboko jak przypuszczał.

Po prostu jakaś nieszczęsna dziura w nawierzchni.

Akurat na nią musiał trafić.

Stanął.

Szeroko otwartymi ustami łapał spazmatycznie powietrze.

Nawet ramiona wystawały ponad rozkołysaną powierzchnię topieli.

Pluł długo.

Cały przylepkoblepiony jakąś mazią.

Jakby się najadł błota.

Do zakrętu pozostawało już nie więcej niż parę metrów.

Tutaj wodą sięgała popacha, a tam?

Chyba jednak uda się dojść.

Jeżeli tylko znowu nie wpadnie w jakąś pułapkę.

Szedł dalej, pomagając sobie ruchami ramion.

Skłócone prądy atakowały jednocześnie ze wszystkich stron.

Niełatwo było utrzymać jaką taką równowagę.

Na szczęście stopy wciąż dotykały twardego betonu.

Szosa.

Tymczasem to było najważniejsze.

Spienione błoto zaczynało już łechtć podbródek.

Jeszcze parę chwiejnych kroków.

Stanął.

Był już na zakręcie.

Przetarł zalepione kleistą mazią oczy.

Wspiął się na palce.

Zakręt i cóż z tego?

Linia biegła dalej nieprzerwanym rzędem słupów.

Żaden nawet się nie pochylił.

Kostrzewa przypomniał sobie ich solidne podstawy z żelaza i betonu.

Nie łatwo byłoby je obalić.

Aleco u licha z tą linią?

Gdyby tak o jakiś metr, półtora w lewo miałby znacznie dłuższe pole widzenia.

Tylko że półtora metra mogło również oznaczać przydrożny rów.

A wtedy.

Ryzyko - już się przesunął w bok.

Co tu, w tym bigosie, właściwie nie było ryzykiem?

Podnogamiwciąż jeszcze twardo.
Chyba wystarczy?
Teraz gałęzie przestały zasłaniać.
 Omam nie gwizdnął, z ust jednak wypłynęła tylko zgęstniała od mułu ślina.
Przewody.
Z tamtego miejscanie było tego widać.
Zwisały faliście.
Końce tonęły w nieprzezroczystej wodzie.
 92
 Słupy, druty - w rezultacie wychodziło na jedno: linia została przerwana.
 Patrzył z rosnącym zaciekawieniem.
Przecież nie uzupełniona jedno.
Wiatr, jakaś gałąź przerwałyby przewody w ich najslabszym miejscu.
Mniej więcej gdzieś pośrodku odcinka.
Tu
 zaś tuż przy izolatorach.
Co spowodowało naruszenie praw fizyki?
 Odpowiedź nasuwała się sama: siły przyrody atakują na szerokim froncie.
Za to człowiek siedzący na słupie może operować tylko w zasięgu swego ramienia.
Przerwane?
Nie.
Przecięte.
Żywiol nie miał z tym nic wspólnego.
Jasne - ktoś.
 Zaklął dosadnie.
Kolejne: "dłaczego" powiększało serię pytań, na które wciąż nie potrafił znaleźć odpowiedzi.
Ktoś włazina słup, przecina druty.
Włazi?
To jednak nie było wcale takie proste.
Nie zrobił tego przecież przed powodzią.
Naprawa
 linii nie stanowiłaby wtedy specjalnego problemu.
A więc już po wylaniu rzeki.
 Wczoraj wieczorem komunikat powodziowy donosił, że woda zaczyna opadać.
Z tego wynika, że wtedy musiało tu być znacznie głębiej.
Mało prawdopodobne, żeby przyplłynął pływ.
Zupełnie nieprawdopodobne.
Przy tych wirach.
Podplynał jakaś łódź.
"Łódki nie rosną na drzewach" - powiedział
 Józef.
Jego rola w całej tej historii stawała się coraz bardziej zagadkowa.

DZIEŃ BYWA NIEKIEDY STRASZNIEJSZY OD NOCY

I

- Słyszałem, że pan podobno próbował przedostać się w pławdo miasta - zagadnął Świrski.

- Z całym szacunkiem dla odwagi.

Niesądzę jednak, by tego rodzaju wyczyn był konieczny.

Kostrzewa roześmiał się.

- To już lekka przesada.

Po prostu wybrałem się na mały spacer po lesie i spotkałam mnie ulewa.

Cóż dziwnego, że wróciłem przemoczony do nitki?

Świrski popatrzał uważą na ołowianą warstwę nisko zawisłych chmur.

- Mam nadzieję, że to nie grozi.

Nie lubię moknąć ani od góry, ani od dołu.

- Planuje pan jakąś dalszą wycieczkę?

- Owszem.

Nie mogę już dłużej siedzieć bez ruchu w tej przeklętej pułapce.

Powie pan: "nerwy puszczają", zgadza się - puszczają.

Zresztą, prawdę mówiąc - zniżył głos - nie mogę jakoś uwierzyć, byśmy rzeczywiście byli odcięci ze wszystkich stron.

Mapa.

Sam pan ją zresztą nieraz widział.

Patrząc nanią, wydaje się to jeszcze mniej prawdopodobne.

Postanowiłem sprawdzić osobiście.

Kostrzewa bynajmniej nie był zachwycony.

- To jednak poważne ryzyko.

- Ma pan na myśli - wodę?

- Nie tylko wodę.

Świrski pokwitował to porozumiewawczym zmrużeniem oka.

- Oczywiście, że nie tylko.

Ale ryzyko.

Na jakiej podstawie pan przypuszcza, że za ogrodzeniem grozi większe niż tu?

Kostrzewa milczał.

Po chwili Świrski sam znalazł odpowiedź na swoje pytanie.

- Zdzisław - twarz jego zmroczniała - prawda.

Wyszedł do

94

lasu i ktoś go.

Właśnie dotego lasu.

Kto?

- pocierał dłonią łysinę.

- Bo chyba nie pan, doktorze?

Kostrzewa wpatrzył się w mętną plamę kałuży pod swym stopami.

Makabryczny żart?

Ale to nie zabrzmiało jak żart.

- Nie - przymusił się do uśmiechu.

- Nie ja.

Z głębi podwórza nadszedł Koryciuk i jeszcze jakiś barczysty gajowy.

Obydwaj mieli w rękach sękatę pałki.

- Moja eskorta - wyjaśnił Świrski.

-Jerzy uparł się.

Ustąpiłem.

Że to niby strzeżonego.

I takdalej.

Az takimi rycerzami

chyba mi nic nie grozi.

Nie uważa pan, doktorze?

A propos:czypan zostaje w domu?

"Apropos", zresztą i beztego wszystko to, co teraz mówił,było niewątpliwie rozwinięciemzadanegoprzed chwilą pytania.

- Tak.

Chciałbym sobie przeanalizować pewne rzeczy.

- Mam nadzieję, że to nie będzie cyjanek albo wścieklizna.

-Jak mamy iść, to już wielki czas- przerwał mu bezceremonialnie Koryciuk.

- Szmat drogi, a gdy się zacznie ściemniać.

Świrski zmrużyłoczy.

- Niedobrze w waszym lesie po ciemku?

-W każdym razie niedobrze - strzyknął śliną przez zęby.

-A już jak powódź.

czy coś takiego.

- Właśnie.

Sądzę, że to "coś takiego" jest znacznie groźniejsze od wszelkich powodzi.

Iść, to iść - unióś rękę w pożegnalnymgeście.

- Powodzenia w analizowaniu, doktorze.

Mnie też pan powinien życzyć powodzenia.

Wyruszam oto jako badaczdróg.

- Powodzenia - powtórzył machinalnie Kostrzewa.

Odeszli.

Trwał długąchwile w bezruchu.

W uszach dźwięczałoecho głosu Świrskiego.

Nowa komplikacja?

W tej sytuacjimogła grozić diabli wiedzą jak dalekoidącymi następstwami.

Potem ruszył w kierunku swojego pokoju.

Niedobrze.

Wkładając klucz do zamka, uśmiechnął się goryczą.

Teraz, gdy jużna dobrą sprawę nie pozostało nic, co warto zabezpieczyć.

W twarzuderzyła fala gorącego powietrza.

Co u licha?

- spojrzął na otwarte okno.

-I skąd tutaki piekielny upał?

Nakorytarzu było znacznie chłodniej.

95.

Wszedł, pozostawiając drzwi otwarte na oścież.

Trochęprzeciagu.

Przeciag niewiele pomógł.

Po paru chwilach wilgotna od potu koszula zaczęła się lepić do ciała.

Zupełnie jak w łaźni.

Na dworze byłoduszno, aleprzecieżnie do tego stopnia.

Przecież chybaniemożliwe, żeby kaloryfer.

Było jednak możliwe.

Rozgrzany metal żeberek aż parzył.

Powariowali - szukał bezskutecznie tarczy regulatora.

Nie znalazł.

Widocznie regulowanospecjalnym kluczem.

Wybiegł pospiesznie.

W pokoju wprost nie można byłowytrzymać.

Gdzie się podział Józef?

Ta sprawapewno należała dojego właśnie kompetencji.

W końcu go znalazł w sionce kuchni.

Łykał powoli herbatę, trzymając oburącz szklanę.

Zeszlanki tej zresztą bił ostry zapachrumu.

- Palić w taki upał.

-Pan względem kaloryferów?

- domyślił się, z czym Kostrzewaprzychodzi.

-Chciałem w pańskim pokoju zamknąć, ale żeto wziął pan klucz ze sobą.

Klucz?

Niewątpliwie mieli podwójne.

Ale mały przyrządkwsunięty dyskretniew zamek uniemożliwiałotwieranie goprzez osobę niewtajemniczoną.

- Próba grzejników?

-Ano, próba.

Jak już mrozy, to za późno, żeby sprawdzić,czywszystko w porządku.

Przyjdędo panaza małe pięć minut zakręcę.

Gorąco?

-Jak w piekle - Kostrzewa otarł chustką mokre od potu włosy.

- Szlag moźeczłowieka trafić.

II

"Małe pięć minut" trwało przeszło godzinę.

Wreszcie przyszedł i wyłączył grzejnik.

Przebywanie w tym pokoju byłow dalszym ciąguniedo pomyślenia.

Rozgrzane żelastwo nieprędkoostygnie.

Kostrzewaposzedł do stołowego.

Nakrywająca do stołu Kazia zerkąła na niego cały czas spode łba.

Nie należało todo specjalnych przyjemności.

Mieszkańcy nadleśnictwa pozostawali niewidoczni.

Zapewne każdy siedziałw swoim pokoju.

W gabinecie duszno.

Wszystkie okna pozamykane na głucho.

Nie chciało się mu ich otwierać.

Powietrze przesycone było mdłym odorem nikotyny.

Wszedł na taras.

Tu jednak było najlepiej.

96

Usiadł na betonowej poręczy balustrady i zapalił papierosa.
Niebo przesłaniała gruba warstwa sinoszarych chmur.
Ciężkie niskie zdawały się wspierać na wierzchołkach pobliskich drzew.
Było parno i pachniało deszczem.
Nie padał jednak.
"Chyba niepan?"
" - nad tym nie można było przejść do porządku.
Pytanie nie padło przypadkowo.
Nie wierzyłw bezsenstego, co się działo w tym domu.
Jakaś tam konsekwencja rządziła zdarzeniami.
Cóż ztego, że nie potrafił jej przejrzeć?
Townicznym niezmięniało faktu.
Trzeba będzie ostrożnie wysondować Świrskiego.
Może najlepiej przy kieliszku.
Choćwłaściwie trudno określić, do jakiego stopnia alkohol rozluźniał hamulce woli tego człowieka.
A jeżeli w ogóle nierozluźniał?
Podpozorempijackiego zamroczenia łatwiej prowadzić z góryzaplansowanągrę.
Wyprawa do lasu na poszukiwanie dróg przezżalany powodzią teren.
Czy rzeczywiście poszedł właśnie po to?
Licho go wie.
Gdy wróci.
To zresztą nastąpi dopiero za paręgodzin.
Tymczasem zaś.
Jakiś ruchprzy bramie.
Stądnic nie było widać.
Ale chyba ktoś przybył, gdyż Józef przeszedł z kuchni, potrząsając pękiemwielkich kluczy.
Byćmoże jakaświadomość powodzi.
Być może o Lesiewiczu.
Czyjeś głosy.
Wśród nich jakby również ochrypłygłos Świrskiego.
To jednak niemożliwe.
Złudzenie.
Nie było to złudzenie.
Szedł ciężko po wilgotnym betonie.
Lśniące potemłysina i przerywany oddech świadczył, że musibyć mocno zmęczony.
Kostrzewa spojrzął naniego ze zdziwieniem.
- Zrezygnował pan z wyprawy?
Dopiero terazspozstrzegł siedzącego na balustradzieKostrzewę.
- Zapomniałem pewnej rzeczy.
- nie potrafił ukryć zmieszania.
-Musiałem zawrócić.
Trudno, kto nie ma wglowie.
- Rzecz warta paru kilometrów nadprogramowego marszu?
-Powiedz pan kilkunastu - sarknął ze złością - będzie znacznie bliżej prawdy.
Cóż.
- strzepnąłwielki liśćz rękawa kurtki zdarza się.
Przepraszam.

Właśnie te nadprogramowe kilometry zmuszają mnie do pośpiechu- wbiegł do domu.

Kostrzewa przeczekał chwilę i również wszedł do holu.

Rzecz, po którą wrócił Świrski?

Ciekawe.

Być może nawet bar-

97.

dzo. W drodze powrotnej z tą rzeczą łatwiej go będzie przyprzeć do muru.
Patrzył wyczekująco na podest pierwszego piętra.

Świrski

wyraźnie nie chciało tym mówić, ale.
Nagle drgnął.

Ktoś krzyknął przeraźliwie.
Dziki krzyk niemający w sobie nic ludzkiego.
Chybawłaśnie na pierwszym piętrze.

Świrski?

Musiałoby się stać coś strasznego.

Dojrzał go w tej samej chwili.

Zgięty w pół, głowa wtulona głęboko w ramiona.
Biegł w dół szaleńczym pędem.
Betonstopni dudnił jak pod ciężarospadającej lawiny.
Już nie krzyczał.

Spomiędzy zsiniałych warg wypadały strzępki nieartykułowanych dźwięków.

W wytrzeszczonych oczach wyraz osłupienia.

Tenczłowiek był skrajnie przerażony.

Co go mogłotał przerazić?

Zastąpił mu drogę.

- Co się stało?

Potrącił Kostrzewę tak mocno, że obydwoj zachwiali się nanogach.

Zamglone spojrzenie nieprzytomnego człowieka.

Kostrzewa złapał gotwardo za ramię.

- Proszę się opamiętać!

Zamrugał powiekami.

- Tam.

- zachrypiał - w moim pokoju.

Potrząsnął nim energicznie.

- Co jest w pańskim pokoju?

Niechże pan mówi po ludzku.

Wzrok Świrskiego jakby nieco przejaśniał.

- Zdzisław.

- Lesiewicz?

- Kostrzewa wciąż nicnie mógł zrozumieć.

- Tak.

Jego trup.

Na moim łóżku.

Straszne.

Kostrzewa odruchowo cofnął się krok.

- Co takiego?

To przecież niemożliwe.

- Widziałem na własne oczy.

Dotykałem.

Leży.

Zimny jak lód.

Kostrzewa zaczerpnął głęboko tchu.

Ze wszystkich niedorzeczności, jakie go tu spotykały, ta byłaby najbardziej niepojęta.

- Idziemy - pociągnął go za sobą, wbiegając pędem po schodach.

Dawał się prowadzić bezwolnie.
Drzwi były uchylone.
Wpadli do wnętrza.
- Trup?
- Kostrzewa rozejrzył się.
- Gdzie?
98
Świrski zamarł w bezruchu tuż za progiem.
- Był tam.
- ręka wyciągnięta sztywno w kierunku łóżka.
- Leżał.
Ale na łóżku nie było nikogo.
- Był - Kostrzewa podszedł bliżej.
- Był i nie ma.
Gdzie mógł się podziać?
- Nie wiem - Świrski dyszał ciężko.
- Był.
Nie jestem w stanie tego pojąć - powlókł się na chwiejnych nogach w ślad za Kostrzewą.
- Tu - stanął tuż przy łóżku.
- Widziałem przecież - ręce modelowały nad aksamitem kapy zarysy ludzkiej postaci.
- Jakbym dotknął bryły lodu.
Ale to był on.
Zdzisław.
- Bryła lodu?
- Kostrzewa spojrzał mimo woli na żeberka kaloryfera.
Tu również buchały żarem.
Machinalnym ruchem położył dłoń na kapie.
Nagły chłód przeniknął skórę.
Aż drgnął, tak stało się to nieoczekiwanie.
Złudzenie?
To jednak nie było złudzenie.
Przesunął powoli dłoń po aksamicie.
Dookoła wprost tropikalny upał.
Dlaczego więc ten materiał taki zimny?
Bo był zimny.
Różnica co najmniej kilkustopni.
Może więcej.
Lichowie co takiego.
- Trup.
- Świrski zaciskał palcami skronie - nie w tym przecież rzecz.
Niejednego widziałem.
Swoich.
Obcych.
Przyjaciół.
Dużo ich było.
I nigdy.
Ale tu.
w taki sposób.
Tomnie zupełnie ścięło z nóg.
Myśl Kostrzewy pracowała z gorączkowym wysiłkiem.

Słowanie dawały żadnego punktu zaczepienia.

Ale oprócz nich miało do czynienia z niewątpliwym faktem: coś lodowato zimnego w rozmiarze odpowiadającym mniej więcej ludzkiemu ciału leżało na tej kapie.

I to zaledwie przed chwilą, bo materiał nie zdążył się nagrzać.

Byłoi zniknęło.

W jaki sposób mogłozniknąć?

Od momentu, kiedy Świrski wypadł z pokoju, do powrotu, upłynęła jakaś minuta, najwyżej dwie.

Dwie minuty to niekiedy bardzo dużozczasu.

W każdym razie wystarczyłoby aż nadto do usunięcia zwłok.

Ale którądy?

Podszedł do okna.

Przeszło cztery metry do betonowej nawierzchni podwórka.

Wysokość jednak nie wykluczała tej drogi.

Jakaś kombinacja sznurów czy coś w tym rodzaju.

Zbadałparapet całpo calu.

Nie - schował lupeż powrotem

99.

do kieszeni - okno odpada.
Brak jakichkolwiek śladów.
Musiałyby przecież pozostać.
W takim razie co?

Prawa stronakorytarza w ogóle nie wchodziła w rachubę.
Stał przez cały czas w holu i zauważyłby z całą pewnością, gdyby coś przenoszono.
Lewaczęć natomiast pozostawała poza jego polem widzenia.
Mogliby tamtędy wynieść pokój.
Wynieść co dalej?

Żadnych innych drzwi pozaprowadzających zaminowaną klatkę schodową.
Nie wiedział, czy jest naprawdę zaminowana.
Ale potężna kłódka zabezpieczona pieczęciami zdawała się wykluczać również i tę drogę.
Kłódka, pieczęcie, to wszystko.
Czyż istnieją jednak rzeczy, które się rozplywają bez śladu w powietrzu?

III

- Co się tu dzieje?
- Zawadzki obrzucił pokój pytającym spojrzeniem.
- Mówiono mi, że ktoś krzyczał.
Kostrzewanie odrywał wzroku od czerwonej kapy.

Mówiono?

Ryk Świrskiego musiał z całą pewnością dotrzeć do najdalszych zakątków tego domu.
Zawadzki go nie słyszał.

Gdzie się wobec tego w tym momencie znajdował?

- Na tym łóżku.
- zaczął chropowatym głosem Świrski - leżał przedchwilą trup Zdzisława.
Oczy Zawadzkiego znieruchomiały.
- Zwariowałeś?
- Leżał trup Zdzisława - z jakąś nienaturalną dobitnością wymawiał każdą sylabę.
- Poczekaj!
- złapał go za ramię.
- Nie można przecież w ten sposób.

Jakby kamieniem w łeb.

Mówisz trup Zdzisławowi że jeszcze przed chwilą.

- Tak.

- No.

ale tu przecież nie ma żadnego trupa.

- Nie ma - powtórzył jak echo Świrski.

- Był.

Zniknął.

Niewiem.

Zawadzki zwilżył końcem języka wargi.

- Nic z tego wszystkiego nie rozumiem.

- Ja też nie - Świrski oparł się o ścianę, jakby w obawie, że runie na podłogę.

Ale.

to jest prawda.

100

Zawadzki milczał.

Sprawiał wrażenie ogłuszonego.

- Czy pan również to widział, doktorze?

- zwrócił się do Kostrzewy.

- Nie.

Gdy tu wpadłem, nie było już żadnych zwłok.

- Więc nie widział pan.

Tylko Stefan - nachylił się nad łóżkiem.

- A może ich nigdy nie było?

Gdyby coś ciężkiego leżało na łóżku.

W każdym razie jakiś ślad, jakieś wgniecenie.

Czyja wiem zresztą co.

Ale byłoby widać.

Tu nic nie widać.

Kapagładka.

Nigdzie najmniejszej zmarszczki.

- Kapa - Świrski wreszcie zdecydował się odejść od ściany.

- Cholerna bzdura.

- Dobrnawszy na miękkich nogach dostołu, napelnił szklankę wódką i wypił.

- Kapa.

Cóż z tego, że gładka?

To kwestia paru sekund.

- Wciąż pijesz - znaczące spojrzenie Zawadzkiego utkwili w odstawionej szklance.

- Piję - sarknął.

- I co?

- Dużo pijesz.

Bardzo dużo.

Ile już zdążyłeś dziś wypompować?

- W każdym razie zbyt mało, żeby się upić.

- Nie to miałem na myśli.

Ale dyć człowiek tak wlewa w siebie bez końca, niekiedy przychodzą na niego stany.
pewnego zamroczenia.

- Jakie znów stany?

- obruszyłeś.

- Co ty bredzisz?

- Nocóż.

Mówmy jak mężczyźni.

Wiesz chyba, co to jest delirium?

Widzi się wtedy rzeczy, których nie ma.

- Przymknij się - wzruszył ramionami.

- Delirium.

Niewmówisz mi, że widziałem to, czego nie ma - podniósł znowu butelkę, zawahał się i odstawił ją z powrotem.

- Widziałem to, co było.

A był trup Zdzisława.

- Alkohol - zaczął znowu Zawadzki.

Tamten jednak przerwał mu ostro:

- Przestań się wreszcie wygłupiać.

Alkohol i alkohol jak przeklęta papuga.

Co ma jedno do drugiego?

Nie zapominaj o im galopie potym zafajdanym lesie.

Wróciłem z niego tuż przed wejściem do pokoju?

Wróciłem.

Gdybym nawet chlał przez całą noc czysty spirytus, itak wywietrzałyby bez reszty.

A tuco?

Tych parę nędznych stopek.

Na więcej dziś ranonie starczyło czasu.

- Niech mu pan wytłumaczy, doktorze, że cała ta historia Ze 101.

zwłokami jest absolutnie niemożliwa - Zawadzki szukał pomocy u Kostrzewy.

Minęła dłuższa chwila, zanim ten odpowiedział.

- Niemożliwa?

- potrząsnął w zadumie głową.

-Wprost nie

uwierzyłby pan, jak wiele rzeczy na pozór niemożliwych okazuje się w końcu prawdą.

- Ale te zwłoki.

Czyżby i pan wierzył, że tu były?

- Nie mam wystarczających danych, aby w tej kwestii zająć jakieś stanowisko.

-Chyba pan żartuje?

- obmacywał róg kapy, jakby chcąc się przekonać, z jakiego materiału została zrobiona.

-Tu miałyby leżeć trup.

Leżał i zniknął.

Cholernie magiczna sztuczka.

Zniknął, łatwo powiedzieć.

Niby w jaki sposób?

Byłby pan w stanie wytłumaczyć?

- Nie byłbym w stanie - przyznał ze skruchą Kostrzewa.

-No właśnie.

- To jednak nie znaczy, że takiego sposobu nie było - zakończył Kostrzewa.

-Którędy?

Chyba nie wyrzucono go przez okno?

- Okno odpada - przyznał Kostrzewa.

- Obejrzałem Jęprzede wszystkim.

- Stał pan w holu?

-Tak.

I niewiedziałem, by obok podestu ktoś przechodził uprzedził jego pytanie.

-Jeżeli nie na prawo, to na lewo - wtrącił Świrski, trąc czoło.

Zawadzki wzruszył ramionami.

- Dokąd?

-Choćby na te zaminowane schody.

- Bzdura.

Nikt tam niewchodził odlat.

- To jeszcze nie powód, żeby nie miano wejść właśnie dzisiaj.

-W każdym razie musimy sprawdzić- Kostrzewa już oddłuższej chwili rozmyślało tym samym.

Potężna kłódka wisiała na swoim miejscu.

Długo badał pasek z pieczęcią.

- Takie coś nietrudno na chwilę zdjąć mruknął Świrski.

-Czy była odklejana?

- zapytał Zawadzki.

- Nie - Kostrzewa schował lupę do kieszeni.

Nic już nie rozumiał z tego całego zdarzenia.

102

- Zresztą - ciągnął dalej Zawadzki - jak sobie to właściwie wyobrażasz?

Weszli i zamknęli z powrotem kłódkę od środka?

- Nic sobie nie wyobrażam - westchnął Świrski.

- Ale wiem, co widziałem na własne oczy i czego dotykałem ręką.

-Jesteś trochę niezdrowszy.

- Nie jestem - sprostował łagodnie Świrski.
- Już nie.
I w chwili, gdy wchodziłem do tego pokoju również nie byłem.
- Musiałeś być - Zawadzki objął go w pól.
- Nie przejmuj się jednak.
Takie historie każdemu mogą się zdarzyć.
I mijają bez śladu.
Żebyś tylko zechciał trochę mniej pić.
Kostrzewa wciąż wpatrywał się w kłódkę.
Jedyna droga, która mogła wchodzić w rachubę.
Gdyby i ją wyeliminować.
Niemożna wyeliminować.
Cudów nie ma.
Czy można zamknąć kłódkę, znajdując się po drugiej stronie drzwi?
Rzecz jasna, żenie.
Zresztą pieczęcie.
Nie odklejano ich od bardzo dawna.
Taka manipulacja musi pozostawić pewne ślady.
Szczególnie jeżeli przeprowadzono ją zaledwie przed kilkunastoma minutami.
Tutaj było żadnych śladów.
Kłódka, skoble, pieczęcie.
Nagły błysk.
A jeżeli.
W pamięci stanął schemat pewnego urządzenia, z którym się kiedyś spotkał.
Więc może i tu.
Oczywiście mógł się mylić.
Ale to dawało w każdym razie pewien punkt wyjściowy.
Przestał się nagle interesować kłódką.
W tym domu lepiej nie zdradzać swoich myśli.
Diabli wiedzą, jak z tymi wszystkimi ludźmi właściwie było.
- Wspomniał pan, że swego czasu nadleśnictwo stanowiło część hitlerowskich umocnień?
- zwrócił się do Zawadzkiego.
- Chyba tak.
Już sam sposób budowy.
- Wobec tego może jakieś ukryte przejścia?
- Nic nie wiem o żadnych przejściach.
- Ukryte przejścia - ożywił się Świrski.
- To załatwiało by sprawę.
- Nie słyszałem, żeby tu jakieś było - powtórzył Zawadzki.
- O wielu rzeczach pewnie słyszałeś.
Ale to jeszcze nie dowodzi, że one nie istnieją.
- Nie zapominaj, że to pierwsze piętro.
- Nie zapominam - Świrski uczeplił się koncepcji podsunętej przez Kostrzewę jedynie dla odwrócenia uwagi od pancernych drzwi.
- W takim przeklętym bastionie wszystko możliwe.

Choćby ten dywan, który zasłania całą ścianę w moim pokoju.

Kto wie, czy właśnie pod nim.

- Pod nim jest gładka ściana.

-Chciałbym popatrzeć bliżej na tę ścianę.

Różne bywają ściany.

- Czemu nie?

Powrócili do pokoju.

Zawadzki odciągnął dywan.

Na tynkużadnej szczeliny czy choćby rysy.

Nie zważając na to, Świrski opukał zgiętym palcem miejsce przy miejscu.

Wszędzie jednolity odgłos świadczący o pełnym murze.

- No tak - głowa Świrskiego zwisa ciężko.

IV

- Tym razem przychodzę do pana jako do lekarza- oznajmił Świrski, zamykając za sobą drzwi.

Kostrzewa nie był bynajmniej zaskoczony tą wizytą.

Niemaljej oczekiwał.

- Chodzi panu o ewentualność złudzenia wzrokowego?

-Delirium tremens - sprecyzował.

- Tak się to chyba nazywa w waszym języku?

- Psychiatrio nie moja specjalność.

Jestem chirurgiem.

- Wiem.

Ale do tego, żeby stwierdzić, czy ktoś już widuje biały myszki, nie trzeba specjalisty.

-A jednak.

- Niech się pan nie wykręca - pochylił się ku niemu przezstół.

- Rozumiem: widział mnie pan w złej formie.

Powiedzieć takiemu prawdę, zaraz zacznie wyprawiać brewerie.

Morfina i takdalej.

Ale wbrew pozorom nie jestem histerykiem.

Proszę mi wierzyć na słowo.

- Wierzę.

-No chyba nie bardzo.

Ale zaręczam panu, że nie będzie żadnych brewerii.

A więc prosto z mostu, bez owijania w bawełnę: tak czy nie?

Kostrzewa milczał przez chwilę.

- Nie sądzę, żeby to było delirium.

Coś w tonie tych słów uderzyło Świrskiego.

- Czy.

czy pan to mówi jako lekarz?

- utkwiał badawczy wzrok w twarzy Kostrzewy.

Twarz tajemniczo była nieruchoma trudno było z niej cokolwiek odczytać.

104

- Nie sądzę, żeby to było delirium - powtórzył Kostrzewa.

- To jest wszystko, co mam w tej chwili do powiedzenia na ten temat.

Świrski wstał.

- Rozumiem i dziękuję.

To..

pomoże mi w jakimś tam sensie utrzymać się w siodle.

Ruszył ku drzwiom, mruczając coś do siebie, ".
a więc Zdzisław.
"- zdążył jeszcze usłyszeć Kostrzewa.
Potem stuknęły zamykane drzwi.
Niemał nie było słyhać kroków na korytarzu.
Zdumiewające, jak niekiedy cicho potrafił się poruszać.
Ale jeżeli chodziło o zamordowanie Lesiewicza, on był najmniej zewszystkich podejrzany.
Bo przecież gdyby było inaczej, cała historia ze zwłokami najego łóżku nie dałaby się już w
żaden sposób wytłumaczyć.
Minęło za ledwie kilkanaście minut, gdy do pokoju wpadł impetem Kopankiewicz.
- Co znowu za historie?
- Jakie historie?
- Kostrzewa nie był pewny, o co mu chodzi.
W tym domu ustawicznie działo się coś nowego.
- Te ze znikającym trupem Lesiewicza.
Kostrzewa wzruszył ramionami.
- Ja wszedłem na widownię już po zakończeniu seansu -oznajmił rozmyślnie lekkim
tonem.
- Najlepiej niech pan zapyta Świrskiego.
- Dziękuję za radę.
Myśli pan, że sam na to nie wpadłem?
- No więc?
- Aleon.
Lola mówi, że wszyscy tu powariowali.
- Wszyscy?
- uśmiechną się Kostrzewa.
- Już i na mnie przyszła kolej?
Speszy się.
- Nie miała oczywiście pana na myśli.
Ale Świrski.
Nieprzysięgłbym, czy z nim wszystko w porządku.
Jest jakiś.
dziwny.
- Być może.
Proszę jednak nie zapominać o jego przejściach.
Każdymby wstrząsnęły.
- Zapewne.
Gdy jednak człowiek dochodzi do stanu, w którym nie wie, na jakim świecie żyje.
A pan jak myśli, doktorze, Wytwór otumanionej wyobraźni czy prawda?
- Nie mam żadnego zdania.
- Pan?
patrzała niego niedowierzająco.
105.

- Więc cóż.
- Kostrzewa ujął ołówek i zaczął kreślić nabłoczku jakieś niemożliwe do odcyfrowania hieroglify.
- Świrski twierdzi, że nie tylko widział zwłoki, ale ich dotykał.
Zwłok jednak nie ma.
W jaki sposób mogły zniknąć?
Na to pytanie chwilowo nie widzę odpowiedzi.
W rezultacie na dwoje babka
 wróżyła.
 Kopankiewicz długo jeszcze dyskutował, wałkując każde wypowiedziane przez Kostrzewę słowo.
Raz po raz zrywała się krzesła i biegał podniecony po pokoju.
 - Boże,eliby choć na chwilę dopuścić, że to jest prawda.
Ledwo się go w końcu zdołał pozbyć.
Nadchodząca noc wymagała poczynienia pewnych przygotowań.

V

Powoli zamierały odgłosy dnia.
Jeszcze ktoś przeszedł po korytarzu na dole.
Zgrzytnęły zasuwane rygle.
Brzęknął łańcuch.
Ktoś gwizdał fałszywie znaną melodię.
 Kostrzewa czekał.
Tę grę należało rozegrać, nie dając zaglądać sobie w karty.
Sam zresztą jeszcze nie wiedział, co w nich miał.
Być może to, co uważał za atut, okaże się zwykłą blotką.
Wreszcie odgłosy ucichły.
Dom zatonął w sennej ciszy.
Kostrzewa przeciągnął się.
Czas.
I tak było już nadspodziewanie późno.
Gdyby go ktoś zastał przy wkładaniu wełnianego swetra, miałby niewątpliwie poważną wątpliwość co do jego zdrowych zmysłów.
W pokoju wciąż jeszcze panował nieznośny upał.
Ale tam mogło być zimno.
Teraz pantofle na sznurku.
Możność bezszelestnego poruszania się była nie do pogardzenia.
Do kieszeni wiatrówki wsunął skórzane etui.
Jego zawartość zachwycała by nawet najbardziej wybrednego włamywacza.
Latarka, aparat fotograficzny z fleszem.
Przygotowania były skończone.
Ręka ruchem przyzwyczajenia dotknęła tylnej kieszeni spodni.
Zaklął rezygnacją.
Trudno.
Być może zresztą nie spotka nikogo podrodze.
Być może w ogóle nie będzie żadnej drogi.
Nie miał przecież żadnej pewności, czy domysły odpowiadały prawdzie.
Bo jeśli okaże się, że skoble są osadzone na stałe.
 Jeszcze zatrzymał się w drzwiach.
Długą chwilę nad słuchiwał ze skupioną uwagą.

Wciąż trwała niczym niezmacona cisza.

Przekręcił dwukrotnie klucz.

Mały przyrząd włożony do zamka

106

był niewidoczny.

Nie można było otworzyć, nie znając sekretu.

Gdyby ktoś zjrzał w otwór, zobaczyłby koniec nieistniejącego klucza.

Całe urządzenie nienależało zresztą do zbyt skomplikowanych.

Parę ostrożnych kroków i był już przy kłódce.

Ta muterka?

Włożył miękkie rękawiczki z bawełny.

Lepiej nie pozostawiać biletów wizytowych.

Diabli wiedzą, jakimi środkami technicznymi rozporządza tamta strona.

Spróbował przekręcić mutrę w jedną stronę.

Ani drgnęła.

Próba poruszenia w odwrotnym kierunku również nie dała żadnego rezultatu.

Patrzył zaskoczony.

Omylił się.

Ale kapaw pokoju Świrskiego była przecież zimna.

I to coś, co spowodowało różnicę temperatur, zniknęło.

Nie istniała inna droga, którą mogliby wynieść ciało.

Niewierzył w zjawiska nadprzyrodzone.

Manipulował dalej.

Wciąż nic.

Zastanowił się.

Jeżeli sprężyna.

Nacisnął mutrę.

Poddała się pod palcem.

Ach, więc totak.

Ogarnęła go niezmierna ulga.

Zbyt wiele w tym domu zdarzało się rzeczy, których nie potrafił zrozumieć.

Dobrze, że przynajmniej ta nienależała do serii.

Teraz wyjęcie skobli - wraz z przelknięciem przez nie kłódka stała się już sprawą kilkunastu sekund.

Oczywiście nie trzeba było otwierać kłódki ani usuwać zabezpieczającego ją paskaz pieczęciami.

Sprężynowy mechanizm pozwalał otwierać drzwiczkę samolotową z obu stron.

Jasne.

Znalazł się na tajemniczej klatce schodowej.

Cichy szcęk pokwitował powrót skobli nadawne miejsce.

Nic już nie świadczyło, że ktoś kiedyś wszedł.

Wtedy odbyło się to prawdopodobnie w taki sam sposób.

Stał naważkim, pograżonym w zupełnym mroku podeście.

Pomimo braku okien, powietrze było świeże i czyste.

Ani śladu stęchlizny czy czegoś w tym rodzaju.

Widoczny system wentylacyjny działał bez zarzutu.

Reflektor kieszonkowej latarki rzucił długą smugę jaskrawego światła.

Szare stopnie z betonu biegły gdzieś w dół.

Śladystóp?

Owszem.

Tu nie zadawano sobie trudu, żeby je zacierać.

Ktoś szedł tędy tam i z powrotem.

Na pierwszy rzut oka trudno było stwierdzić liczbę osób, które pozostawiły ślady.

W każdym razie niewątpliwie więcej niż jedna.

Żaden z zarysów nie odpo-

107.

wiadał odciskom stóp pozostawionym w kancelarii.

Zbadatopóźniej.

Na pierwszym planie zasadniczy cel wyprawy: znalezienie zwłok Lesiewicza.

Schodził bardzo powoli i bardzo ostrożnie.

Zawadzką powiedział: miny.

Być może znajdowały się turzeczywiście.

Ktożresztą wie, jakie oprócz nich mogły czyhać pułapki.

Piwnica.

Po lewej stronie załśniła metalowa płyta.

Nawprost korytarza szerokości co najmniej trzech metrów.

Zwały rumowisk, odgarnięte pod ściany, stwarzały coś w rodzaju biegnącego środkiem wąwozu.

Ledwo się można było nim przecisnąć.

Wśród bezkształtnych odłamów tu i ówdzie ciemniejsze plamy żelastwa.

Miny?

Bardzo prawdopodobne.

Sprawdzenie jednak przedstawiałoby zbyt wielkie ryzyko.

Zresztą nieo to przecież teraz chodziło.

Jeszcze kilkakrokw i natrafiła drzwi zamykające dalszą drogę.

Taka sama stalowa blacha wzmocniona skrzyżowanym kątownikiem.

Nacisnął matową klamkę.

Zamknięte.

Otwarcie zajęło zbyt wiele czasu.

Zamek nie należał do specjalnie komplikowanych.

Tu było o wiele chłodniej.

Pachniało wilgocią.

Lodownia?

Okazało się jednak, że tylko przedsionek.

Parę stopni w górę iznowu drzwi.

Również stalowe i zamknięte naглуcho.

Korytarz był nieźle zabezpieczony.

Prawdopodobnie kiedyś stanowił podziemną linię komunikacyjną łączącą ośrodek dowodzenia z umocnionym punktem ogniowym.

W twarz buchnęła falamroźnego powietrza.

Pomimo grubego swetra i wiatrówki po całym ciele przebiegł nagły dreszcz.

Tym razem był to już dawny bunkier.

Teraz lodownia.

Warstwa trocin.

Przez sznurkowe podeszwy ciągnął dotkliwy chłód świadczący tym, że pod trocinami znajdowały się tafle lodu.

Przesuwał powoli światłem latarki.

To musiało być chyba ukryte niezbyt daleko.

Nikt nie przenosiłby trupadalej, niż jest to konieczne.

Zresztą nie mogli przecież przewidzieć, że zamaskowane przejście zostanie odkryte.

Na lewo od drzwi podłużny pagórek z trocin.

Nachyliwszy się, zaczął go ostrożnie rozgarniać.

Palce dotknęły czegoś twardego.

Zdjął rękawiczki, rozcierając zgrabiałe ręce.

Musiał być pewny precyzji swych ruchów.

Gołymirękoma?

Więc cóż.

Przykre, ale konieczne.

108

Podjął przerwana czynność.

„Jak bryła lodu”?

Zgadzało się.

Ale to nie był lód.

Pracował coraz wolniej i corazdelikatniej.

Złowaciące ciało ludzkie kruszy się łatwiej niż nadpęknięteszkło.

Wreszcie spod trocin wyjrzała kredowobiała twarz.

Poznał od razu Lesiewicza.

Szeroko otwarte oczy patrzyływ jakiśniewiadomy punkt.

Do pokrytej skrzącym szronem skóry przymarzły wparumiejscach trociny.

Na zdjęciu w ostrym świetle mogłoby to daćcienie zniekształcające wyrazistość rysów twarzy.

Nie wolno dopuścićdo żadnych zniekształceń.

Wszystko musi być wyraźnew sposób niebudzący żadnych wątpliwości.

Trzeba było usunąćtrociny.

Ale jak?

Nietrudno uszkodzićprzemarznątą tkankę.

Jakaś miękka szmatka.

Nie miał żadnej.

Z rezygnacją sięgnął po chustkę.

Użycie jej do tego celubudziło uczucie obrzydzenia.

Skoro jednak nie było nic innego pod ręką.

Paskudna robota.

Pomimo mrozu czuł wilgoć występującego na czoło potu.

Nie był w stanie uwierzyć, że minutowawskazówkaprawie się nie poruszyła.

Zdawałomusię, że minęły długiegodziny.

Zwinąwszy nawilgłą chustkę w ciasny kłębek, schował jąz ociąganiem do kieszeni.

Nie należało do specjalnychprzyjemności mieć coś takiego przy sobie.

Aleprzecież niemógłwyrzucić.

Pozostawienie jakichkolwiek śladów stanowiłoby niedopuszczalny błąd.

Gra weszła już w ostre stadium.

Odkopywanieresztyciała poszło już owiele łatwiej.

Sportowa kurtka.

Na wysokości lewej piersi ciemnapłama zamarzniętej krwi.

Przykłęknął,oglądając uważnie małą okrągłą dziurkę.

Niewątpliwie postrzał.

Brak drobinek spalonego prochu namaterialeświadczył, że strzelano z pewnej odległości.

Na podstawie pobieżnychogłędzin trudno było stwierdzić zjakiej mianowicie.

Drętwiejącymi z zimna palcami odpiął rogoweguziki.

Przy rozchylaniu kurtkii koszuli zachręściło, jakby łamał cienką tafelkę lodu.

Kaliber pocisku?

Obrzęk zniekształcającyotwór wlotowy uniemożliwiłwymierzenie średnicy kanału.

Pozostało już tylko zrobienieodpowiednich zdjęć.

Wycelował obiektyw na ranę.

Kilka ostrych rozbłysków flesza.

Potemfotografował całe zwłoki.

Z jednej pozycji, z drugiej, z dziesią109.

tej. Chodziło o uchwycenie wszystkich szczegółów.
Cofnął siębyzwiększyć zasięg aparatu.
Tło było nie mniej ważne.
Onowłaśnie stwarzało dowód na to, gdzie znajdowały się zwłoki.
Teraz trzeba przywrócić wszystko do stanu pierwotnego.
Miał trochę kłopotu z zapięciem zeszywniałej na blachękurtki.
Gdyznikła twarz, odetchnął z ulgą.
Obraz stracił charaktermakabry.
Reszta poszłaszybko.
Oceniałdzieło krytycznym spojrzeniem.
Wjednym miejscu należało trochę ująć w innymnadsypać.
Chyba wszystko w porządku?
Na pewno nie wymierzalitrocinowej mogiły na milimetry.
Wciągnął rękawiczki na zgrabiałe palce.
Utрудniały manipulacje przy zamkach, aleniemógł sobie pozwolić na pozostawianie odcisków
palców.
Znowu przedsiónek, potem korytarz.
Szedł na czubkach miękkich pantofli.
Licho wie, jak daleko sięga czujnośćstrony przeciwnej.
Ślady?
Szperał światłem po betoniepodłogi.
Wapienny pył sprzyjał wyraźnemu zaznaczeniu konturów.
Przystąpił do odrysowywania odcisków stóp.
Dwóch ludzi.
W kierunku lodowniszli jeden za drugim.
Jakiś metri trzy czwarte.
Jasne.
Tyle właśnie wymaga niesienie zwłok.
Ku klatce schodowejmaszerowali tuż za sobą.
Nie potrafił stwierdzić, w jakiej kolejności odbywały się te wędrówki.
Zbyt mała różnica w czasie.
Oba kierunki w ciągu tego samego dnia.
Logicznie rzecz biorąc - prawdopodobnie w ciągu jednej godziny.

VI

Co za piekielny upał - ściągnął z siebiepospiesznie sweter.
Przedchwilał biegun, teraz równik.
Przeponakoszula lepiłasię do pleców.
Zdjął ją również.
I takwciąż było mu jeszcze zagorąco.
Nagi do pasa wlewał z uwagą wywoływacz do kuwety.
Te zdjęcia musiały sięudać.
Kto wie, czy nadarzy się okazja, by jepowtórzyć.
Ręcepracowałyjednak mechanicznie.
Myśl zaprzętały bezreszty próby doszukania się sensu w tym wszystkim.
Mechanizm ostatnich zdarzeń stał się już jasny: zamrożone zwłoki Lesiewicza
przeniesionopodziemnym korytarzem do pokojuŚwirskiego, potem zaś tą samą drogą
odniesiono je z powrotem.
Ale po co?

Skoro je położono nałożku, to chyba właśnie po to, żeby je Świrskitam znalazł.
Gdy jednak znalazł, czym prędzej zainscenizowano dramatyczne zniknięcie.
Jedno przeczyło drugiemu.

Machinalnie podniósł rękę, by obetrzeć pot spływający z czoła.

Hm..

kaloryfery.

Sprawdzanie instalacji w taki upał?

Poza tym dlaczego grzejniki nie funkcjonowały nigdzie indziej tylko właśnie u Świrskiego?

Gdy się sprawdza przewody.

Tenpokój w ogóle nie wchodził w rachubę.

Po prostu nie mogli się do niego dostać, by wyłączyć centralne.

Józef o tym wspomniał zupełnie otwarcie.

Zamrożone zwłoki, buchające razem zeberka.

Czy te dwierzeczy nie stały przypadkiem w jakiejś ze sobą łączności?

Świrski zapowiedział swój powrót dopiero wieczór.

Nikt nie był w stanie przewidzieć, że zjawi się o parę godzin wcześniej.

Parę godzin tropikalnego powietrza.

Tak, do wieczora zwłoki w tej temperaturze musiałyby niewątpliwie ulec pełnemu odmrożeniu.

Jeżeli zaś zamrożono je tuż po śmierci albo wkrótce potem?

VII

Obraz zaczął się powoli przejaśniać.

To mogło mieć cel.

Świrski zastaje w swoim pokoju zwłoki człowieka, który jakby właśnie został zastrzelony.

Hibernacja powstrzymuje proces rozkładu komórek organicznych.

Ciało, stopień zakrzepnięcia krwi, nawet treść żołądka - wszystko znajdowałoby się dokładnie w takim samym stanie jak w momencie zamrożenia.

Nawet najbardziej dokładna autopsja nie byłaby w stanie wykazać, jak długo trup pozostawał zamrożony.

Lesiewicz został zastrzelony.

A jeśli rzecz, którą zapomniał zabrać ze sobą na wyprawę Świrski, był właśnie pistolet?

Wieleokoliczności z tym przemawiało.

Być może zamierzali tak to urządzić, by w chwili wejścia Świrskiego do pokoju akurat nikogo nie było w pobliżu?

Wszedł, nie wiadomo, co zrobił, potem zastaje się go obok zastrzelonego człowieka.

Tu mury są tak grube, że nie przepuszczą żadnego dźwięku.

Choćby tym dźwiękiem był nawet huk wystrzału.

Tożsamość pocisku?

To ostatecznie też można jakoś zorganizować.

Tym bardziej w domu, gdzie pistolety potrafią zniknąć w najmniej oczekiwanym momencie.

Piekielnie chytry plan, jeżeli rzeczywiście odpowiadał tym wysnutym z rozważań obrazom. Zwłoki zaginionego pojawiają się na widowni łącznie z człowiekiem, który, jak wszystko wskazuje, jest mordercą.

Być może dwie muchy za jednym zamachem?

Ktowie, dlaczego należało unieszkodliwić Świrskiego.

Nie byłaby to zresztą pierwsza próba w tym kierunku.

Za szybami zaczęło już szarzyć, gdy wreszcie zdjął czerwony filtr z reflektora swej latarki.

Jeszcze jedna bezsenna noc.

A jej rezultat.

Żadna z klitek filmu nie została zmarnowana.

Ale zdjęcia wypadły tak wyraźnie, jakby tego pragnął.

Jakieś ciemnesmugi.

Z jakiego powodu?

Sprawdził obiektyw.

Na szkle pył trocinowy, to pewno wtedy, gdy się pośliznął.

Diabli nadali!

Swoją drogą - przesunął przed oczyma rolkę - niezmiernie ciekawaseria.

Jeszcze kąpiel w denaturacie.

Film musiał wyschnąć najdalej w ciągu kilkunastu minut.

Tu nie było czasu do stracenia.

W każdym razie on nie zamierzał gotracić.

Chlusnął obficie wodą z karafki na ręcznik i wtulił twarz w mokrą tkaninę.

Ale woda była ciepła i nie przyniosła spodziewanego orzeźwienia.

VIII

Było jeszcze nieprzyzwoicie wcześnie, gdy pukał do drzwi Kopankiewicza.

Ale w zgłędy przyzwoitości przestały już odgrywać rolę.

Chodziło o tak poważne sprawy.

Długo trwało, zanim z pokoju odezwał się zaspany głos pisarza.

- Ktorki?

Potem nie mniej długie pertraktacje.

W końcu jednak wyszedł na korytarz, przyglądając zwichrzone włosy.

Był w piżamie.

Mocno zaspany i jednocześnie trochę niespokojny.

- Jakiś nowy migdałowy cyjanek, wściekle zwłoki czy znikający kot?

Gwałtowne ataki ziewania raz po raz rozdzierały szczęki.

Spoglądał jednak nieufnie w głąb korytarza za plecami Kostrzewy.

Miał taką minę, jakby się spodziewał ujrzeć tam coś niezmiernie groźnego.

112

Kostrzewa wydobyl z kieszeni zapieczętowaną kopertę.

Pomimo starań, aby ją jako tako sprasować, zawartość jej wciąż była zbyt pękata.

- Chciałbym, aby pan stwierdził swym podpisem datę.

- Datę?

- Zamrugał na wpół przytomnie powiekami.

- Jaką nową datę?

- Protokół analizy tej herbaty.

- I tylko po to budzi mnie pan o godzinie, w której nawet ptaszki niebieskie mają jeszcze prawo spać?

Proszę mi wybaczyć

- potarł czoło - ale naprawdę wysiadka.
Nic nierozumiem.
- Dopiero skończyłem przepisywać go na czysto.
A jeżeli chodzi o zdarzenia, których jesteśmy ostatnio świadkami.
- Zdarzenia?
- zgarnął na piersiach kurtkę swej piżamy, Jakby mu się nagle zrobiło zimno.
-Ma pan rację.
Tu nigdy niemożna przewidzieć, co zajdzie w następnej minucie.
Dawaj panten swój protokół.
Tylko coś do pisania.
- przesunął dłonią
pokieszeniach - o tej porze nienoszę ze sobą nic.
Nawet szczoteczki do zębów.
- Kancelaria na miejscu - Kostrzewa już mu podawał wieczne pióro.
-Gdzie mam podpisać?
Wskazał mupalcem.
- Tu.
Tylko tak, żeby podpisał przez miejsce zaklejenia koperty.
Nacisnął stalówką tak mocno, że o mało nie rozdarła papieru.
To jednak niczymby nie groziło.
Wewnątrz tej koperty znajdowała się druga.
Znacznie solidniejsza i podklejona płótnem.
-I jeszcze tu.
- Dlaczego by nie?
Pisanie to mój zawód.
- Przykro mi, że zakleiliśmy kopertę.
-Niech panu nie będzie przykro.
Data wczorajsza?
- Dzisiejsza.
-Niech będzie - pogładził w zamyśleniu kopertę.
- Powiada pan, protokół, doktorze?
Kostrzewa zmieszał się.
Nie oczekiwał takiej przenikliwości.
- To.
- zająknął się.
Powstrzymał go ruch ręki Kopankiewicza.
-Jestem wprawdzie śpiący, ale przecież nie do tego stopnia

- stwierdził łagodnie.
- Co bynajmniej nie znaczy, że chcę koniecznie znać zawartość tej koperty.
Przyjmijmy, że rzeczywiście jest to protokół.
Bywają okoliczności, w których lepiej pewne rzeczy przyjmować na wiarę.
Być może ta właśnie dotakich należy.

- Sądzę, że należy - potwierdził Kostrzewa.
- Nie wiem, w jaki sposób mam panu wytłumaczyć.
- Niech pan nie tłumaczy wcale.

Na wszystko przyjdzie czas.

Obawiam się, że w tej chwili każde tłumaczenie byłoby równie odległe od prawdy.
Co mam jeszcze zrobić?

- jeżeli nawet byłby rażony, to w każdym razie tego nie okazywał.
- Chciałbym jeszcze tę kopertę opieczetować.
- Pieczęć nadleśnictwa nie wchodzi w rachubę.
- Raczej nie.
- Rozumiem.

Chciałby pan zamiast niej wykorzystać odciski moich palców?

- mówił to zupełnie poważnie.

Kostrzewa uśmiechnął się mimo woli.

- Nie żądam od pana aż tak wielkich poświęceń.

Zetknięcie się roztopionym lakiem trudno by zaliczyć do specjalnych przyjemności.

- Więc co?
- Zauważyłem na pańskiej papierośnicy monogram o niezmiernie oryginalnym rysunku.

- Monogram w roli pieczęci?

Wspaniały pomysł.

Zaraz przyniosę papierośnicę.

Lak, świeca i inne rzeczy?

- Mam ze sobą.
- Z góry pan przewidywał, że pójdę na tę kombinację?
- Miałem nadzieję.
- Cóż.

Nie zawiodła pana.

Loli lepiej nie wspominać o tym, co tu robimy?

- Wolałbym, żeby pan nikomu nie wspominał.

Nie chciałbym pana straszyć, ale w tej grze stawką może być głowa każdego z nas.

- Nie potrzebuje mnie pan straszyć.

Jestem już dostatecznie przestraszony - stwierdził znikłym uśmiechem.

Ton tych słów wskazywał, że raczej nie stanowią zdawkowego żartu.

- Nie powiem więc nikomu.

Gdy plotkowanie grozi skrzyżowaniem karku, od razu przestaje mnie bawić.

114

Wrócił po chwilę z papierośnicą.

- Lolajest poważnie zaintrygowana.

Teraz wykręciłem się koniecznością pośpiechu, ale gdy się rozbudzi na dobre.

Będę musiał coś wymyślić na doraźny użytek.

- Omawianie protokołu analizy?
- podsunął Kostrzewa.

- Wątpię, żeby uwierzyła.
Wprost nie dowiary, jaka jest sprytna.
Słyszysz, jak trawa rośnie.
Od razu zapyta: "Dlaczego akurat o świcie i co tu do omawiania?"
". Co wtedy odpowiem?
- Powiedzmy konieczność jakichś dodatkowych czynności.
- To już brzmi nieco lepiej.
Spróbuję.
A co w rezultacie z tego wyniknie.
- westchnął z powątpiewaniem.
Roztopiony lak kapłak czerwonymi kroplami.
Kostrzewa dołożył wszystkich starań, żeby odcisk monogramu wyszedł jak najwyraźniej.
- Trudno byłoby podrobić - skonstatował z zadowoleniem.
- Musi pan tylko pilnować teraz swej papierošnicy.
Tu rzeczyna bierają właściwości nagłego znikania.
- Nie tylko rzeczy.
Zwłoki również.
A jeżeli chodzi o zakres dematerializacji, jest niepokojąco szeroki.
Pański notes, twarżza oknem, człowiek spacerujący po korytarzu w miękkich pantoflach.
Tenże, albo inny, wystawiający zza węgła pistolet.
Gość odwiedzający po nocy kancelarię.
To jest tylko to, o czym wiemy.
A o ilu rzeczach nie wiemy?
- Sądę, że o wielu.
- A propos dematerializacji.
Czy to - Kopankiewicz wskazał ruchem głowy kopertę, którą Kostrzewa akurat chował do kieszeni - posiada pan tylko w jednym egzemplarzu?
- Niestety w jednym.
- W takim razie pan również będzie musiał bardzo pilnować.
IX
- Popracuję sobie teraz doobiadu - oznajmił Kopankiewicz, odstawiając opróżnioną szklankę na spodek.
- Skąd taki nagły przyływ pilności?
- zapytał Zawadzki.
- Zawsze jestem pilny, gdy wstaję o świcie.
- Wstałeś dziś o świcie?
- podniósł głowę.
- Otóż to.
- Co cię zbudziło?
115.

Kostrzewa miał tak obojętną minę, jakby cała ta rozmowa interesowała go w najmniejszej mierze.

Nie patrzył na żadnego z nich.

Ale jakby siedział na rozżarzonych węglach.

Jeżeli Kopankiewicz powie?

Niekiedy potrafił być niezmiernie obojętny.

Nie powiedział jednak.

- Obudziłem się.

I rozmyślałem nad tym wszystkim, co się tutaj dzieje.

Wspomniały temat do powieści kryminalnej.

- Powieść - Świrski manipulował przy swoim kołnierzyku.

Szczerze mówiąc, wolałbym, żeby to była tylko powieść, którą można sobie poczytać spokojnie w południe.

- Słotę już mamy - Kopankiewicz potarł rękawem szybę, przez co nie stała się zresztą ani trochę bardziej przezroczysta w całej okazałości.

A więc żegnajcie.

Męczennik własnego zapachu w spodziewaniu uniósł rękę gestem wkraczającego na arenę gladiatora.

Zawadzki również wstał.

- I ja muszę popracować.

Papiery w kancelarii zaczynają grozić lawiną.

Cały świat może się walić w gruzy, ale urządowanie idzie swoim trybem.

Taki już porządek rzeczy.

Świrski patrzył przez chwilę w okno.

- Leje, jakby ktoś specjalnie za to płacił.

- Leje.

Kostrzewa z trudem pokonał nagłą chęć ziewania.

Świat za oknem był szary i bezbarwny.

Wszystko dookoła tchnęło nudą i beznadziejnością.

- Nic niewskazuje, żeby miało przestać.

- Nic.

Pozostali już sami w stołowym.

- Papierosy.

- Świrski zaczął szukać po wszystkich kieszeniach.

- Byłbym przysięgł, że zabrałem.

Musiałem widocznie zapomnieć.

Coraz częściej czegoś zapominam.

Kostrzewa podsunął mu otwarte pudełko.

- Z tym nie ma nieszczęścia.

- Z papierosami.

- Wziął jednego, długo ugniatał w palcach, wreszcie zapalił.

- Ale z zapominaniem to i owszem.

Zawsze miałem fenomenalną pamięć.

Każdy najmroczniejszy szczegół.

A tu.

W końcu człowiek gotów do reszty zgłupieć

116

w tej przeklętej pułapce.

I dotego deszcz.

Wtaką pogodę.

- przeciągnął się - tylkosię powiesić.

Albo pić.

Jedno albo drugie.

Trzeciej ewentualności nie widzę.

Ja nie.

Może natomiastwidzi jāktośinny - zerknął spod oka w kierunku drzwi prowadzących na korytarz.

- Niesądzę, żeby wieszanie się należało do specjalnie wesołych rozrywek.

Nawet w deszcz - powiedział Kostrzewa.

Celowoprzemilczałostatnią uwagę.

Nastrój i bez tego byłdostatecznie ciężki.

- Może inie.

Za towódka.

- zacisnął dłoń na smuklejszyjce kryształowej karafki - tego, co się wypije, niktjuż nie będzie w stanie człowiekowi odebrać.

Nawet wszystkie ktosie nacałym świecie.

Wahanie Kostrzewy nie trwało długo.

- Pogoda rzeczywiściepod psem - wyjął z kredensu najmniejszy, jakitylko znalazł, kieliszek- i ostatecznie jakąś tamkapkę dla podtrzymania na duchu.

-Kapkę albo kropelkę.

To pańska stała śpiewka.

Myśli pan:

"On będzie chlał, a ja nie".

Popijanemu łatwo kogoś wywrócićpodszewkąna wierzch.

- Wcale taknie myślę - zaprotestował pospiesznie Kostrzewa.

Świrski pokiwał ciężko głową.

- Myśli pan.

Proszębardzo.

myśli nie podlegają opłaciecelnej.

Pan myśli.

Jerzy gada: "Pijesz za dużo".

Delirium tremensi tym podobne duperele- Ale to nie jest tak.

Może mi pan wierzyć na słowo.

Gdybym pił trzy razy więcej, też spłynęłobyjakwodapo gęsi.

Powie pan:kondycja.

Zgadza się.

Gorzejniż podpsem.

Tylko że to nie ma- nic wspólnego.

Są inne rzeczy,którepodgryzają duszę.

Próchno- strzelił palcem szkoda, każdegosłowa.

No, co tam.

- zprzesadną ostrożnościaprzystąpił donapełniania kieliszka Kostrzewy.

-Trzeba by lupy żeby nalaćdo tego kieliszka.

Kostrzewa udawał, że naniego nie patrzy.

Problem "Świrski" posiadałwiele niejasnych punktów.

Nawet bardzo wielei bardzo niejasnych.

Ale chyba nie dotyczyły zamordowania Lesiewicza.

W przeciwnym razie wszystkie zdarzenia Wczorajszegodnia nie miałyby najmniejszego sensu.

- Nasze - Świrski wychylił szklanę, po czym otarł grzbietem dłoni usta, choć serwetka leżała przed nim.

- Pomimo wszystkorówny z pana chłop, doktorze.

- Pomimo co?

- ton jak najbardziej zdawkowy.

"Chyba niepan?

" i teraz.

Nie potrafił odkryć związku łączącego te uwagi.

Niemniej był przekonany, że ten związek istnieje.

- Głupstwo.

- Palce Świrskiego wyglądały jakąś fałdkę naobrusie.

-Choćby tylko używanie takiego aparata - wskazał kieliszek.

-Jeden ćwiartkę, drugi dziesięć gramów.

To niefair.

- Nie to miał panna myśli.

-Może.

Czyż zresztą wszystko jedno?

Sedno w tym, że uważam pana za równego chłopca.

Ta historia ze wścieklizną.

Potem zwłoki Zdzisława.

Nietrudno było dostać zupełnego kręcka.

- Znowu sięgnął po karafkę i nalał wódkę.

-Czy pan odkrył coś, co świadczyłoby, że Zdzisław rzeczywiście leżał na moim łóżku?

- Nie mam nic do powiedzenia na ten temat - stwierdził z bólem Kostrzewa.

- Przynajmniej na razie.

- Tajemnica?

Niech i tak będzie.

Tu wszystko jest tajemnicą.

Obserwował pan kiedyś ćmę tłukącą łbem wokno oświetlonego pokoju?

Przychodzą takie chwile, gdy wydaje mi się, że jestem właśnie taką ćmą.

Jakieś światło świta gdzieś w niedostępnym miejscu.

W rezultacie nicpoza bolącym łbem.

X

Za oknami trwał monotony szum deszczu.

Pili.

Świrski szklanę, Kostrzewa nie za każdym razem opróżniał swój kieliszek do dna.

Świrski nie zwracał na to uwagi.

Po prostu nie widział.

Być może zresztą tylko udawał, że nie widzi.

Dopiero znacznie później, po wielu kolejkach, Kostrzewa uznał, że można poruszyć kwestię, która nurtowała go od samego początku.

-Jaki był właściwie cel ostatniej akcji waszego oddziału?

Świrski długo nie odpowiadał.

- Tak.

- mruknął wreszcie w głębokiej zadumie- to dobre pytanie.

Prawdę powiedziawszy, od dawna nie czekałem.

Kto wie, czy ten cel nie odgrywa jakiejś tam roli w zdarzeniach

ostatnich dni.

118

- Co nim jednak było?

- nalegał Kostrzewa.

-Kasa Kreisamtu.

Właściwie jej zawartość.

Precyzując: część

zawartości stalowej kasety.

Stalowa kasetka?

Tym razem to Kostrzewa ujął karafkę.

Tomogło być niezmiernie ciekawe.

- Opowiem.

Właściwie czemu nie.

Od dawna już przestało być tajemnicą.

Rachunek został wystawiony i zapłacony.

Tak przynajmniej myślałem do czasu otrzymania listu.

Teraz zresztą też przychodzą chwile, kiedy nie jestem pewien, czy chodzi o ten sam rachunek.

- zwinął serwetkę, obejrzał ją z uwagą odłożył na bok.

-A więc.

kasa Kreisamtu.

Zabezpieczona przez władze, które niedawno pojawiły się w tamtej okolicy.

Mówiono o dużej ilości walut.

Biżuterii miały być podobno całe kilogramy.

Rzecz jasna niewierzyliśmy, aby aż tyle.

Czując, że to ich ostatnie dni, Niemcy grabili, co im wręce wpadło.

Już sama likwidacja getta musiała dać nieprzebrane skarby.

W rezultacie łakomy kasek.

- Biżuteria i obce waluty?

- zdumienie Kostrzewy zabrzmiało niewątpliwie prowokująco.

Ale taki był właśnie jego zamiar.

- Ich wartości wymienna - sprostował obojętnie Świrski.

- Finanse naszego oddziału.

Z tym było już wtedy gorzej niż krucho.

Pięć miesięcy od zakończenia wojny dało się nam porządnie weznaki.

Ludność wsi i osiedli, wśród których wędrowaliśmy, pragnęła spokoju.

Nie wszędzie chciano nas żywić na piękne oczy.

A gwałt to jednak ostateczność.

Szpecially w sytuacji, w jakiej się wtedy znaleźliśmy.

Zdarzało się, że musieliśmy wracać do miejsc, gdzie oddział stał już poprzednio.

Zbyt wrogi nastrój groził katastrofą.

Nie mogliśmy więc sobie pozwalać na wywoływanie takich nastrojów.

Fundusze!

Zdobycie ich stało się sprawą zasadniczą.

Krótko mówiąc: nóż naga rdle.

A tu nagle taka gratka.

Jakby z nieba.

Pan pewno - zmrużył oczy - uważa, że raczej z piekła?

Niech będzie tak.

Piekłem trudno było nas nastraszyć.

Widywaliśmy rzeczy, które chyba nawet tam budziłyby grozę.

- Wychyliłszklankęwódki w takisposób,jakby to była czysta woda.
Podano nam drogę, którą miał przechodzić konwój.
Znaliśmy liczebność eskorty.
Nawet siłę jej uzbrojenia.
Nasz wywiad.
muszęprzyznać,że pracował całkiem sprawnie.
Teoretycznie rzecz biorąc, sprawaprzestawiała siędość łatwo.
No, jakieś tam ofiary
119.

rzecz jasna mogłaby za sobą pociągnąć.

I właśnie sprawa tych przewidywanych ofiar.

-zawahał się, obracając w palcach szklanę.

- Wywołała dyskusje?

-Dyskusje?

Można by to tak nazwać.

Wtedy już niestety wszystkich entuzjazmowała myśl o śmierci.

Wielu w skrytości ducha rozmyślało o powrocie do normalnego życia i tylko strach przed represjami ze strony władz.

- Był sprzeciwy?

-Owszem, były sprzeciwy.

- Plan wyprawy omawiano z udziałem wszystkich członków oddziału?

-Skądże.

- A więc sprzeciw w łonie samego dowództwa?

To było coś zupełnego?

-Tak.

- Kto był przeciwny?

-Zdzisław!

Dłonie Kostrzewy leżały na stole płasko i nieruchomo.

Lesiewicz był przeciwny.

Jakby nagle uderzenie pałką w łeb.

Wszystko uległo całkowitemu przetasowaniu.

- On?

- zapytał jeszcze dla zyskania na czasie.

Nie był pewny swego głosu.

Nie był pewny wyrazu swojej twarzy.

Niczego nie był pewny.

Nie łatwo było powrócić do równowagi.

- Czy.

czy poza dowództwem ktokolwiek w oddziale o tym wiedział?

- Zdziwiłoby mnie, gdyby znalazł się ktoś, kto by nie wiedział.

-Sprawę roztrząsano publicznie?

- Nie.

Oddzielna chata, wartownik przed drzwiami.

Całkowita izolacja.

Ale morale naszych chłopców.

możemy to nazwać dyscypliną, jeżeli panu to bardziej dogadza.

- W matowym głosie brzmiało bezmierne zmęczenie.

-Minał już czas, gdy o każde słowo gotów byłem kruszyć kopie.

Teraz.

- przytknął szklanę do ust.

Odstawił ją po długiej chwili.

- Dość, że teni ów waleśał się pod oknami, choć nie miał tam nic doroboty.

Może pan być pewny, że do brzości nadstawiali uszu.

To, o czym rozmawialiśmy, dotyczyło przecie wszystkich bez wyjątku.

A Zdzisław bynajmniej nie mówił szepem.

Wręcz przeciwnie.

Narada chwilami przybierała charakter głośnej awantury.

Skakał Jerzemu do oczu.

120

-A ci,co podsłuchiwali pod oknem, powtórzyli innym?

- Nie mam nawet najmniejszej wątpliwości, że powtórzyli.

W rezultacie.

kowal zawinił, a Cygana powiesili.

Nie możemy zrozumieć, dlaczego właśnie Zdzisław został sprzątnięty w pierwszej kolejności.

Dlaczego w ogóle został sprzątnięty?

- Dlaczego?

- powtórzył Kostrzewa.

Potem mózg zaczął już pracować normalnie.

- Można by jednak znaleźć takie czy inne wytłumaczenie.

-Jakie?

- Poza wami trzema nikt z oddziału nie ocalał.

A więc w roli mściciela występuje ktoś z rodziny ofiar.

Świrski wziął łyżeczkę i zaczął skrobać po podcieszku, jakby chcąc zdrapać połyskujący złotem ornament.

- Może.

-Wciąż nie możemy dotrzeć do wydarzeń tamtego dnia -stwierdził Kostrzewa.

- Co się działo dalej?

-Jerzy postawił na swoim.

Akcja została postanowiona.

Wystarczył jeden granat do unieruchomienia ciężarówki.

No, trochę pukaniny i tym podobnych historii.

Poszło piorunem.

Straty nadspodziewanie małe.

Paru lekko rannych -to wszystko.

Mieliśmy do czynienia z surowym materiałem.

Jacyś prawdopodobnie dopiero co zwerbowani milicjanci.

Do tego zupełne zaskoczenie.

Nie wiedzieli co robić.

Jerzy triumfował.

"Ani mówię?"

"

- Kasetka dostała się w wasze ręce?

-Tak.

- Co w niej było?

-Kłucza nie znaleźliśmy.

Albo dla wszelkiej pewności przesłali go inną drogą, albo zgubił się gdzieś w zamieszaniu.

Otworzenie zaś bezspecjalnych narzędzi było nie do pomyslenia.

A po upływie niecałej godziny zetknęliśmy się z wojskiem.

Tu była całkiem inna rozmowa.

Otoczyli nas w mgnieniu oka.

Broniliśmy się, ale.

cóż, sytuacja okazała się bez wyjścia.

Sprawiono nam krwawą łaźnię.

- umilkł.

Twarz jego stała się nagle mroczna i daleka.

- Chyba jednak nie zupełnie bez wyjścia - zauważył Kostrzewa, nie chcąc dopuścić do zbyt długiej pauzy.

- Wy trzej przecież jakoś się z niej wydostaliście.

121.

- Co?

- drgnął, wytracony z ponurej zadumy.

Widać było, że z trudem zbieramyśli.

- Achtak.

Wie pan, podczas walk powstają różne sytuacje.

Zawsze jakaś tam szansa trafienia nadzieję.

Ze Zdzisławem spotkaliśmy się po pewnym czasie.

Po Jerzym zginął wszelki ślad.

Byliśmy pewni, że zginął.

- Odebrano wam kasetkę?

- Nie.

Sam czytałem ogłoszenie obiecujące dużą nagrodę za jej odnalezienie.

W prasie, następnym.

Opisano dokładnie jej wygląd.

Nie mogliśmy zrozumieć, co się z nią stało.

Ja jej nie miałem, Zdzisław również.

On..

nie należał do ludzi, którzy taką rzecz potrafiliby zataić.

W końcu zaczęliśmy przypuszczać, że może któryś z żołnierzy wykorzystał zamieszanie i.

- Uważa pan to za prawdopodobne?

- Prawdopodobnie, nie bardzo.

Nie widzieliśmy jednak żadnego innego rozwiązania.

Nierozpłynęła się przecież w powietrzu.

Przypadkowe zagubienie z całą pewnością nie wchodziło w rachubę.

Niewątpliwie musieli jaknajdokładniej przeczesać całą okolicę.

Ostatecznie to nie bułka za grosze.

Kostrzewa zastanowił się.

- Czy jej wymiary uniemożliwiłyby uniesienie przez jednego człowieka?

- Nie.

W przybliżeniu sześćdziesiąt na trzydzieści.

Wysokość niewiecej niż ćwierć metra.

W rezultacie nietrudnowziąć pod pachę.

- Jeżeli zaś chodzi o ciężar?

- Około dwunastu kilogramów.

Może trochę cięższa.

W każdym razie nie więcej niż piętnaście.

- W jaki sposób transportowaliście ją do momentu natknięcia się na wojsko?

- Na furmance.

Ja, Zdzisław, Jerzy i jeszcze jeden chłopów.

Zdaje się "Bobak".

Tak, z pewnością było "Bobak".

Ale on w ogóle nie wchodzi w rachubę.

- Dlaczego?

- Od razu po pierwszej serii erkaemu zwałił się na dno furmanki, zalany krwią.

Chyba zginął na miejscu.

- W czasie walk byliście na furmance?

Roześmiał się.

- Oczywiście, że nie.

Zdzisław uskokczył za jakiś pień, ja prulem spod kół.

122

- A co robił pan Zawadzki?

-Jakośnie zauważyłem.

Zdzisław też nie potrafił sobie tego przypomnieć.

Jerzy potem powiedział nam, że jako punktogniowy posłużył mu przydrożny rów.

I właśnie tym rowem zdołał wypełznąć poza okrażenie.

Oczywiście dopiero w chwili, gdy już było wiadomo, że wszystko ostatecznie wysiada.

- Żaden z was nie widział go w tym rowie?

Chwila wahania.

- Nie.

Zresztą w tym bigosie nie bardzo można było cośkolwiek widzieć.

- On również nie wie, co się stało z kasetką?

-Nie.

- Była o tym mowa, gdyście się po latach spotkali?

-Owszem.

- Kto poruszył tę kwestię?

-Zdzisław.

Przypuszczał, że może Zawadzkiemu udało się ją wynieść.

- W jaki sposób zareagował Zawadzki na to przypuszczenie?

-Wykpił je.

"Dość miałem kłopotu z własną skórą", powiedział.

- Lesiewicz powracał jeszcze do tego tematu?

-Powracał.

Można by to jednak raczej określić jako teoretyczne rozważanie na temat: co się mogło stać z kasetką, której nikt nie wziął, a jednak zniknęła.

- Czy Zawadzki uważał to rzeczywiście za czysto teoretyczne rozważania?

-No..

wzrok Świrskiego utkwił w dnie pustej szklanki -niezupełnie.

On..

bywa niekiedy niezmiernie drażliwy.

- Okazał w jakiś sposób, że poruszenie tego tematu go obraża?

-Nie.

Jestem przekonany, że go dotknęło, jednak niczym tego nie okazał.

- Konkretyzując - czy Kostrzewy szukały czegoś po suficie.

-Kasetka zniknęła bez śladu.

-Tak.

Ale.

Zanim Świrski zdążył odpowiedzieć, drzwi uchylły się cicho.

-Jeszcze tu siedzicie?

- do stołowego wszedł Zawadzki.

Pogawędka na tematy oderwane?

Metafizyka z kropelkami?

- spojrzął znacząco na opróżnioną w trzech czwartych karafkę.

123.

Świrski nagle przygaś.

To było widoczne.

- Metafizyka - powiedział sucho.

- Trafiłeś w sedno.

- Wstałocięzale, przeciągnął się.

- Pójdę się chyba trochę zdrzemnąć.

- Nudy -ziewnął Kostrzewa.

- Co robić w taki psi czas?

Ale bynajmniej nieuważał, żeby było nudno.

Nagle zjawienie się Zawadzkiego.

Skąd się tu właściwie wziął?

Po zapowiedzi, że będzie pracować w kancelarii co najmniej do obiadu.

nie było słychać, jak podchodził ku drzwiom.

Pantofle na grubej gumowej podeszwie.

W takim obuwiu można cicho chodzić.

Szczególnie jeżeli komuś natym zależy.

Widocznie musiałomuzależać.

Jak długowłaściwie stał pod drzwiami?

Przeszkadzanie Świrskiemu w powiedzeniu tego, co zamierzał, zaczynało już

wchodzić w zwyczaj.

WODA ZACZYNA OPADAĆ

Zdjęcia, poświadczenie daty, to wszystko przypominało niewykończony szkic.

Kostrzewa nie znosił niewykończonych szkiców w robocie śledczej.

Niezmiernie śliska historia.

Tym bardziej w jego położeniu.

W razie jakichś komplikacji skutki niedociągnięć mogłygo łatwo wpędzić w paskudną sytuację.

Dobrze by było, gdyby ktoś trzeci zobaczył zwłoki w lodowni.

Naoczny świadek to rzecz jasna zupełnie co innego.

Tylko kto mógłbybyćym świadkiem?

Gdyby wiedzieć, kto jest tu inscenizatorem, komu przypada rola aktora, a komu zwyczajnego widza.

Wciąż jednak nie miałwłaściwie żadnych danych.

Najnaturalniej byłoby oczywiście zaprosić na wyprawę gospodarza.

Ale sylwetka Zawadzkiego była coraz bardziej niewyraźna.

Do wszystkich innych ciemnych punktów dochodziła teraz jeszcze kasetka ze skarbem.

Lesiewicz podejrzewał, że to właśnie on ją zabrał z pobojuwiska.

Powiedział to i został zamordowany.

Być może zbieg okoliczności, być może zupełnie innego.

Nie, Zawadzki w roli świadka był raczej nie do pomyślenia.

Kopankiewicz?

Wszystko zdawałoby się wskazywać, że jest tylko widzem.

Wszystko?

Jednak chyba niezupełnie.

Pewne okoliczności również i tu stawiały znak zapytania.

Zachowanie się Świrskiego od samego początku budziło cały szereg wątpliwości.

Te jego ustawiczne niedomówienia.

Obecność Zawadzkiego z jakiegoś bliżej nieznanego powodu zamykała mu usta.

Zamykał je jednak również wtedy, gdy Zawadzkiego nie było w pobliżu.

I to z reguły wtedy, gdy dochodził do kulminacyjnego punktu swych rewelacji.

Przypadek czy też z góry założone reguły postępowania?

Diabli gowiedzą.

Ale jeżeli chodziło o zamordowanie Lesiewicza.

125.

Metoda wstrząsów mogła w tym wypadku dać niezgorsze rezultaty.
Gdy zobaczy jeszcze raz trupa, gdy się przekona, że tonie w wytwór rozgorączkowanej wyobraźni.
Przejdzie tą samą drogą, którą przenoszono zwłoki.
Sekret skobli zamkniętych na opieczętą kłódkę.
Już samo to powinno wywołać odpowiednie wrażenie.
Do tego kilka słów na temat przypuszczalnego celu całej imprezy.
Będzie miał dość.
"Śmierć deptała po piętach" - owszem niewątpliwie zdawał sobie sprawę, że grozi mu tu bezpośrednio niebezpieczeństwo.
Ale tego rodzaju pułapki na pewno przewidział w najczarniejszych nawet rozważaniach.
Mało prawdopodobne, by po zaaplikowaniu takiej serii
chciał jeszcze dalej bawić się w nieodmownia i zagadki.
A więc Świrski.
I pójdą jeszcze tej nocą.
Jakakolwiek zwłoka stanowiłaby niedopuszczalne ryzyko.
Jeżeli w jakiś sposób odkryją jego nieproszoną wizytę w lodowni, pozacierają wszelkie ślady.
Łatwiej jednak było postanowić niż wykonać.
Znowu Zawadzki.
Bezpośrednio po kolacji poszedł do pokoju Świrskiego i nic nie wskazywało, żeby zamierzał go opuścić w najbliższym czasie.
Godziny płynęły za godzinami - wizyta przeciągała się w nieskończoność.
Kostrzewa kilkakrotnie zapędzał się pod samedrzwi i powracał z niczym.
Z wewnątrz nieodmiennie dobiegał szmer przyciszonych głosów i brzęk szkła.
Gadali i pili.
Klątwa bezsilnej wściekłości.
To mogło trwać do samego rana.
A jutro.
Diabli wiedzą, co będzie jutro.
Zegar w holu wydzwonił dwunastą, potem pierwszą, potem północ drugą.
Świt coraz bliższy.
Wyprawa za dnia w ogóle nie wchodziła w rachubę.
Druga.
Już zaprzestał schodzenia na pierwsze piętro.
Przez otwarte drzwi i tak będzie słyszeć, gdy Zawadzki wyjdzie.
Wciąż nie wychodził.
Do licha z taką idiotyczną sytuacją - Kostrzewę ogarniało rosnące zdenerwowanie.
Dla zabicia czasu jeszcze raz sprawdził obiektyw aparatu fotograficznego.
Postanowił bowiem przy sposobności sfotografować wszystko na nowo.
Te smugi.
To mogło jednak wywołać pewne wątpliwości.
W aparacie śledczym nie brak ludzi, którzy każdy włos dzielą na czworo.
126
Tym razem jednak szkło lśniło nieskalaną czystością.
Nigdzie najmniejszej plamki.
Wtedy też powinno być takie.

No

cóż..

nie dopilnował.

Trudno.

Zdawał sobie sprawę, że nie jest w najlepszej formie.

Zresztą niemogło być inaczej.

Koszmarne wizje tamtej chwiliwciąż powracały.

Nie tylko snach.

To musiało zostać w skutki psychice każdego człowieka.

Myśl analizowała uparcie, co by było, gdyby tego nie zrobił.

Stop - otrząsnął się.

Rozmyślenia na ten temat nie prowadziły do niczego.

Znowu spojrzeli na zegarek.

Nie wiadomo, po raz już któryś zapadnięcia dzisiejszego wieczoru.

Dochodziła trzecia.

Żeby tego Zawadzkiego.

Jakby przewidział.

Bzdura.

Nie mógł nic przewidzieć.

Jeżeli nie wyjdzie do trzeciej, zwyprawy nici.

Chybanie wyjdzie.

I nagle, gdy już nadzieja zgasła do reszty - na dole trzasnęły drzwi.

Potem ciche kroki na korytarzu.

Szedł jeden człowiek.

W porządku.

Głuche stuknięcie oznajmiło, że Zawadzki wrócił do siebie.

Jeszcze długa chwila wyjątkowego nasłuchiwania.

Lepiej uniknąć ryzyka.

Trwała cisza.

Tym ostrożniej trzeba było stąpać na sznurkowych podszewkach.

Gdyby Zawadzki usłyszał, nie pozostawałoby nic innego, jak iść spać.

Po drodze przystawał kilka razy.

Żadnych podejrzanych odgłosów.

Szedł dalej.

Nacisnął klamkę, nie pukając.

Pukanie tonieziemiernie hałaśliwa ceremonia.

Szczególnie gdy brak jakichkolwiek dźwięków.

Świrski odskoczył w tył jakimś kocim ruchem.

Błyskawicznymignięcie prawej ręki, znikającej w kieszeni kurtki.

Przekrwione oczy patrzyły czujnie i ostro.

W oczach żółtawożółty błyski.

Natwarzy wyraz determinacji.

Cała postać jakby sprężona do skoku.

Ten człowiek był gotów na wszystko.

Kostrzewa nie odrywał oczu od kieszeni jego kurtki.

Jeżeli wyciągnie broń.

W takich sytuacjach decydowały ułamki sekund.

- Ach.

to pan -ręka, którą wyjął z kieszeni była pusta.

Ale w kieszeni pozostał jakiś ciężki, twarty przedmiot.

Pistolet?

Wszystko wskazywało, że właśnie tak.

A jeżeli ten sam,któremu zginął tamtej nocy?

Warto byjednak sprawdzićprzy okazji.

127.

- To pan - powtórzył Świrski.

Cały nagle oklapł.

Znowu stał się bezkształtną bryłą mięsa.

Tylko spod obrzmiałych powiek wciąż jeszcze strzelało nieufne spojrzenie.

- O tej porze?

Jakaś

nowa sensacja?

- Sensacja?

- Kostrzewa zamknął za sobą ostrożnie drzwi.

-

Sądzę, że chyba tak.

- Co się stało?

-Dziś rano pytał mnie pan, czy zauważyłem coś, co potwierdziłoby fakt, że na pańskim łóżku leżały zwłoki Lesiewicza.

- Przynosi pan odpowiedź?

-Tak.

- A więc słucham - zerkał ustawicznie ku drzwiom, jakby oczekując, że nagle się otworzą.

- Tu nie ma nic do słuchania.

Spojrzała na niego z zaniepokojeniem.

- Nie rozumiem.

Odpowiedź i niema nic do słuchania?

- Chciałbym, aby pan tę odpowiedź zobaczył na własne oczy.

Podniósł gwałtownie głowę.

- Zobaczyć?

Ach, więc to aż tak.

- obciągnął kurtkę, przy

czym ręka przesunęła się mimochodem po prawej kieszeni.

Cóż.

jestem gotów.

Idziemy?

Świrski szeroko otwartymi oczyma obserwował manipulacje przy skoblach.

- Opieczętowane drzwi - szept zabrzmiał tak donośnie, że Kostrzewa odruchowo obejrzał się w głąb korytarza.

- Musiało

być przecież jakieś przejście.

- Cicho - syknął ostrzegawczo.

- Chce pan cały dom postawić na nogi?

- To nie byłoby dobrze?

- zniżył głos.

Kostrzewa wzruszył ramionami.

Co tu można odpowiedzieć?

Jeszcze jeden ruch i skoble wyszły gładko.

Świrski zagwizdał przeciągle.

- Chytra maszynaria.

Rok bymmyślał.

- Tędy - światło latarki Kostrzewy spadło na wąski podest.

Świrski spojrzała schody.

128

-W dół.

ipotem dokąd?

- Sam pan zobaczy.

Schodzilipowoli.

Kostrzewa musiał powściągnąć jego niecierpliwość.

- Trzeba uważać.

Diabli wiedzą, jakie tu od wczoraj mogły wyrosnąć pułapki.

- Od wczoraj?

-Tak.

Przy wejściu dopodziemnego korytarza znieruchomiał.

Niebyło dalszego przejścia.

Całą szerokość wypełniały rumowiska.

Wielumiejscach mdły połysk żelastwa.

Świrski potrząsnął głową.

- Miny, powiedział Jerzy.

I rzeczywiście.

Prawdę mówiąc, nie wyobrażam sobie, w jaki sposób można by się tędy przedostać.

-Ja też nie - sarknął przez zęby Kostrzewa.

- Teraz już nie.

- Wczoraj było inaczej?

-Jasne.

- Jak dlakogo - roztarł w palcach podjętą z betonowej podłogi grudkę wapna.

- Toleży już odświętej pamięci.

- Tylko że wczoraj leżało pod ścianami.

-Miny również?

- Przypuszcza pan, że skakał tempo minach?

- Był zły jak stodiabłów.

-Niekiedy ryzykuję, ale wariatem jeszcze nie jestem.

Patrzył tępo na gruzy.

No dobrze: zawalili przejście.

Ale coto znaczyło?

Odkryto jego wizytęczy też po prostu zrobili dziś, to co powinni zrobić wczoraj bezpośrednio po odniesieniu zwłok z powrotem do lodowni?

Świrski rzucił skruszone grudki, otrzepał palce, potem wytarł je pedantycznie w chustkę.

-I co dalej?

Kostrzewa już zdołał odzyskać równowagę ducha.

Cios był niewątpliwie silny, ale umiejętność przyjmowania ciosów niekiedy bywanie mniej ważna od umiejętności ich zadawania.

Nie miał zresztą pewności, czy to był naprawdę cios.

- Skoro ta droga odpada, musimy próbować innej.

-Dokąd?

- Sam pan powinien znaleźć odpowiedź na swoje pytanie.

129.

Skrzywił się.

- Może ipowiniem.

Ale nie bardzo jakoś potrafię.

- Copanauderzyło w momencie dotknięcia zwłok?

-Co mnie uderzyło?

- zmarszczone brwi wskazywały na wyężoną pracę mózgu.

-Czyja wiem.

Byłem tak ogłuszony samym ichwidokiem, żeżeżelichodzi o wyciąganie jakichkolwiekwniosków.

Może tylko to, że były zimne jak lód?

- Taklód - powtórzył Kostrzewa - w pokoju zaś panowałwprost tropikalny upał.

Nietrudnochyba zestawić te dwa fakty.

- Lodownia?

-Lodownia.

No oczywiście,że tak - oczy murozbłysły.

- Że też sam odrazu nato nie wpadłem.

Otępiałem tuz kretesem -splunął, poczym zaczął pospieszniezacierać ślinę podeszwą, zerkając niespokojnie na Kostrzewę.

Ten machnął obojętnie ręką.

- Tojuż raczej nie ma większego znaczenia.

Skoro zawałiliprzejście.

- Jeststańd jakieś bezpośrednie wyjście na dwór?

-Niestety nie.

W takim razie, którędy pan zamierza wyjść?

- Przez główne wejście albobrzez kuchnię.

-Kuchnia odpada.

- Dlaczego?

Nie bardzo wierzę, żeby zamykano tam drzwiprowadzące na podwórze.

Zaczadziałyby w tej wędzarni.

- Nie wiem, jak jestz tamtymi.

Za to te wkorytarzu zamykają na pewno.

Kluczschowany nie wiadomo gdzie.

Przy pewnejokazjiprzekonałem się, że tamtędy nie można przejść w nocy.

To samo zresztą dotyczy głównego wejścia.

Równiezzamykanena wszystkie spusty i równieżani śladu klucza.

"Przy jakiej okazji?

" - pomyślałKostrzewa, nie zapytał jednak.

Ręka wykonała lekceważącygest.

- Zamknięte drzwi.

Świrski parsknął krótkim śmiechem.

- Prawda.

Widziałem już przecież, że zamki to dla pana żaden problem.

Ale w takim razie raczej chyba spróbować główne.

Po tych wszystkich historiach kuchty pewno śpią na jednooko i przy lada szeleście podniosą wrzask na całą okolicę.

- Może ma pan słuszność.

Wchodząc po stopniach, Świrskicoraz zajadlej pocierał łysinę.

Nagle jakby się potknął.

- Piekielna historia.

-Co się stało?
- Kostrzewa również przystanął.
- Gdybym wrócił, tak jak to zamierzałem, dopiero wieczorem.
-No więc?
- udał, że nie rozumie.
Lepiej, żeby sam wyciągnął wnioski ze zdarzeń tamtego dnia.
- Przez te parę godzin zwłoki Zdzisława.
No, niech pan powie.
uległyby rozmrożeniu czy nie?
Jako lekarz zna się panna tym.
- Sądzę, że uległyby.
-I wówczas ja.
- I wówczas na pana musiałoby paść podejrzenie, że to pango zastrzelił.
Trup i morderca z pistoletem w ręku.
-Ja..
- zająknął się.
-Nonsens.
Nie mam żadnego pistoletu.
- Oczywiście, że nie - potwierdził uprzejmie Kostrzewa.
-Na wszelki wypadek jednak radziłbym sprawdzić, czy ostatnio z niego niestrzelano.
Bo jeśli by się na domiar okazało, że kulka wiać w zwłokach pochodzi właśnie z pańskiego pistoletu.
- Nonsens - powtórzył - janie zastrzeliłem Zdzisława.
Jest mi obojętne, czy pan wierzy - wybuchnął - ale raczej wystrzelałbym wszystkich dookoła, niż jego tknąć palcem.
- Wierzę.
To jednak nie wyklucza tożsamości kulki.
Takie rzeczy są znacznie mniej nieprawdopodobne, niż by się mogło wydawać na pierwszy rzut oka.
Wielkie dłonie Świrskiego zacisnęły się kurczowo na żelaznej poręczy.
- Zaczynam już tracić zdolność odróżniania prawdopodobieństwa od absurdu - powiedział ochryplym szeptem.
III
W tym wszystkim najwięcej kłopotu sprawiły zasuwki.
Odpadała wprawdzie potrzeba dobierania wytrychów, nie można było za to, pomimo zachowania jak najdalej posuniętej ostrożności, uniknąć zgrzytu.
Z głębi korytarza dobiegł jakiś szmer.
Kostrzewa zaczął nasłuchiwać.
Kancelaria?
-Jerzy - szepnął Świrski.
- Widocznie zszedł na dół.

Po chwili już nie było wątpliwości.

Ktoś był w kancelarii i zachowywał się w sposób świadczący, że bynajmniej nie zamierzał tego ukrywać.

Coś spadło z hałasem na podłogę.

Potem szuranie odsuwanej krzesła.

Metaliczny brzęk.

Prawdopodobnie otwieranie drzwiczki stalowej szafy.

A więc rzeczywiście Zawadzki.

Ktośoby z całą pewnością nie byłby tak głośny.

Łatwo powiedzieć:

zszedł.

Ale jaki mógł mieć powód, który go do tego skłoniło czwartej nad ranem?

Świrski przyłgął do ściany.

- Idzietu.

Ładna historia.

W jaki sposób wytłumaczymy to.

- wskazał na potwierdzone przez Kostrzewę zamki.

Kostrzewa milczał.

Wytłumaczenie?

Nie to było w tej chwili najważniejsze.

Jeśli zobaczysz tutaj, od razu domyślisz się wszystkiego.

Nietrudno zresztą.

Wiele przemawiało za tym, że jest wmieszany w sprawę zamordowania Lesiewicza.

Niemal wszystko.

Jeżeli tak było w rzeczywistości, spotkanie z nim odebrałoby sens wyprawie.

Napewno znajdzie jakiś sposób, aby wydać polecenie usunięcia zwłok z lodowni, zanim dostanie się tam ktoś obcy.

Licho wie, ile podziemnych przejść prowadziło do bunkra.

Zgasił latarkę.

Kroki coraz bliższe.

Wstrzymał oddech.

Tym wyraźniej było słychać ciężkie sapanie Świrskiego.

Kroki nagle zatrzymały się.

Potem znowu ich odgłos.

Ale

jakby nieco dalszy.

- Niech się pan nie da nabrać - sapnął Świrski.

- Idzie na

palcach.

Kostrzewa analizował dźwięki.

Bliższe, dalsze, po chwili znowu bliższe.

- Spaceruje po kancelarii - odetchnął z ulgą.

- Lada chwila wyskoczy na korytarz.

- A lada chwila będzie już zbyt późna - szybko otworzył drzwi.

- Idziemy.

Znaleźli się na tarasie.

Jeszcze kilka sekund manipulowania wytrychami.

Lepiej, żeby nie odkryto, że ktoś tędy wychodził.

Świrski potknął się na stopniu.

- Ciemno jak u Murzyna.
Było ciemno.
Jakby tuż przed oczyma zasłony zczarnego ak
samitu.
132
- Widzialność zero - skonstatował smętnym szeptem Kostrzewa.
- Ale to ma swoje dobre strony.
Plusk deszczu, odbijającego od betonowej nawierzchni.
Woda bulgotała pod stopami.
Jużnie kałuże, coś w rodzaju płytkiego stawu.
Psia pogoda.
Ale komu w taką pluchę chciałoby się wylazić spod dachu?
Zielonkawo świeciły na fosforyzowane wskazówki zegarka.
Do świtu około trzech godzin.
Niewątpliwie jednak służba nadleśnictwa wstawiała wcześniej.
Wyprawa nie mogła trwać dłużej niż dwie godziny.
Dwie godziny to bardzo dużo czasu.
Alboteż bardzo mało.
Zależnie od tego, co zastaną w lodowni.
Bo jeżeli.
- Czy aby tylko idziemy we właściwym kierunku?
- sapnął Świrski.
- Jak człowiek nie widzi własnego nosa.
"Nie widzi własnego nosa" - to było jak najbardziej ściśle określenie sytuacji.
Jak można znaleźć kierunek, nurkując w beczce dziegciu?
Lodownia znajdowała się w odległości trzydziestu ośmiu kroków od wschodniego węgła
oficyny.
Kostrzewa ustalił to za dnia, spacerując niby to bez celu popodwórku.
Ale gdzie się podziała oficyna?
Być może kręcili się kółko.
- Cholera - zaklął zdławionym głosem Świrski - tu trzeba wyróżnić łbem w ścianę, żeby
wiedzieć.
Właśnie wyróżnałem.
Kostrzewa uśmiechnął się mimowoli.
Po chwili ręce wyciągnięte na całą długość ramion natrafiły na spływający wodą beton.
Oficyna.
Teraz powinno pójść o wiele łatwiej.
Ale właśnie w tym samym momencie zaszczekał pies.
Potem drugi.
Teraz ujadało ich chyba z pół tuzina naraz.
- Przekłete kundły - Świrski uskoczył za węgiel.
- Wszystko przepadło.
Było wprost zdumiewające, jak bardzo się przejął konspirowaniem wyprawy.
I ta widoczna obawa, żeby nie dowiedział się o niej właśnie Zawadzki.
Coś niewidocznego w mroku pędziło ku nim, rozbryzgując wodę.
Jeden pies?
Cała sfora?
Był tylko jeden.
- Bodajbyś zdechł - sarknął Świrski.
- Przez takie głupie bydło.

Przekleństwa nie rozwiązywały sytuacji.

"Nic ich nie obchodzi, kto częstuje kiełbasą.

" Kostrzewa sięgnął do kieszeni.

-- Na - rzucił w ciemność zdobyty podrodze, w stołowym, plaster wieprzowiny.

-Pyff.

Jeżeli jednak, wbrew słowom Zawadzkiego, pies nie weźmie poczęstunku od obcego?

Na szczęście wziął.

Ostre kłapięcie zębami.

Tupot miękkich łap zaczął się oddalać w kierunku bramy.

Jakieś zamieszanie, pisk, skowyt, groźne powarkiwanie.

Widocznie znalazło się więcej amatorów nawieprzowy kotlet.

Zgiełk psich głosów powoli zamierał.

Wreszcie umilkł zupełnie.

Znowu senna cisza maconajedynie monotonnym szmerem deszczu.

Świrski splunął ze złością.

- Ładnie tu pilnują.

- Chyba nie ma pan pretensji, żenas nie nakryli?

- Teraz - zaczął brnąć po wodzie tuż pod ścianą oficyny ale ogólnie rzecz biorąc.

Każdy komu przyjdzie ochota, mógłby wszystkich powynosić razem z całą tą psią sforą i Józefem nadodatek.

Ludzie chrapia, psy żrą kotlety.

Idylla, psiakrew.

Skrećiliza węgieł.

Kostrzewa odprężył się.

Z tej strony nie było okien.

Dotarli do przeciwległego narożnika.

Stąd trzydzieści osiem kroków ukośnie na lewo.

Ale ukośnie przy świetle pełnego dnia nie jest tym samym co w nieprzeniknionym mroku.

Różnica zaś kilkudziesięciu centymetrów wystarczyłaby w zupełności do przejścia obok bunkra.

Gdzie by go potem szukać po straceniu kontaktu z tak solidnym drogowskim, jakim był maszynoficyny?

Kostrzewa dotknął tęsknie metalowej oprawy latarki elektrycznej tkwiącej w kieszeni.

Żeby tak na jedną krótką chwilę?

Zdawał sobie jednak sprawę, że to było nie do pomyślenia.

Nawet najkrótszy błysk stanowiłby niedopuszczalne ryzyko.

- Trzydzieści osiem kroków - oznajmił tubalnym szeptem Świrski - i ani śladu tego przeklętego bunkra.

Kostrzewa nie odpowiedział.

Może i zoczyli.

Gdy się idzie po omacku.

- Czterdzieści dwa - Świrskinię przestawał liczyć.

- Zawracamy czy jak?

Plusnęło rozgłośnie.

Seria wściekłych przekleństw.

134

Pomimo całej powagi sytuacji Kostrzewa z trudem opanował nagłą chęć parsknięcia głośnym śmiechem.

- Skapał się pan?

-O mały włos.
Zjechałem z dwóchstopni.
Jeszcze parę prowadzi w dół.
- Trzy -sprecyzował Kostrzewa.
-I to jest właśnie zejście dolodowni.

IV

- Główne wejście -Kostrzewa stuknął zgiętym palcem w metalową płytę drzwi.
- Zaobserwowałem, że tędy wchodzi kucharkapo produkty.
- Produkty - głos Świrskiego brzmiał dziwnie słabo - aleprzecież chyba nie tuż obok nich.
- odpluwał raz po raz.
- Chyba nie.

Nie narażalibysięna ryzyko przypadkowegoodkrycia.

- Wieprzowina na kotlety i.
jeżeli terazniezwymiotuję, tojuż chyba nigdy.
-Jestemprzekonany, że gdzieś w zupełnieinnym miejscu-uspokajał go Kostrzewa.
Sam zresztą poczuł się całkiem niewyraźnie.

- Nie potrafię wprawdzie dokładnie określić miejsca.
- Nie potrafi pan - westchnął żałośnie Świrski.
-Proszę nie zapominać o kształcie bunkra.

Jajowata kopuła i okrągłe ścianynie ułatwiają bynajmniej orientacji.

W każdymrazie zaczniemy poszukiwania od przeciwnej strony.

-Jest tu jeszcze jedno wejście?

- Diabliwiedzą, ile ich jest naprawdę.

Ale jeżeli chodzi o widoczne, znajdują się akurat na wprost tego.

Przypuszczam, żeużywają go downoszeniałodu.

- Być może nietylko lodu.

- Świrskitupotał w miejscuciężko jak słoń.

- Trzeba iść.

Nie mamy zbyt wiele czasu.

- Kostrzewa ruszyłprzodem, nie tracąc kontaktu ześcianą.

Woda sięgała kostek.

Ale to już nie sprawiało różnicy.

Sznurkowepodeszwy dawnoprzemokły do reszty.

Znacznie przyjemniej byłoby całkiemboso.

Namacął drugie drzwi.

Znalezienie ich nie przedstawiałowiększych trudności.

Wielka kłódka.

Zbadałdotykkiem otwórzamka.

Od razu wy dobył odpowiedni wytrych.

Otworzenie

trwało niewartą wspomnienia chwilę.
Drzwijednak nie ustępowały.
Tym razem musiał sięgać kilkakrotnie do etui, zanim trafił na odpowiednie narzędzie.
Deszcz lał corazmocniej.
Wodaciekłaża kołnierz nieprzemakalnej wiatrówki.
Wprost ze strachem myślał o lodowatym powietrzu wewnątrz bunkra.
Wszystko to razem nie należało do specjalnych przyjemności.
Kichnięcie Świrskiego zabrzmiało wciszy hukimdetonacji.
- Suche majtki na dnie morza wychrypiał.
- Powiedziałpan: sweter.
Ale tu bardziej przydałby się skafander nurka -znowu kichnął.
Kostrzewa nadsluchiwał z niepokojem.
Psy?
Milczałyjakoś.
Powrócił do manipulowania wytrychem.
Sprężyna odskoczyła.
Zawiasy również i tu byłyświeżo naoliwione.
Weszli.
Przymknął drzwi, niezamykając ich jednak naklucz.
Diabli wiedzą co oczekuje Wbunkrze.
Możliwość szybkiego odwrotu była nie dopogardzenia.
Zastrzelenie Lesiewicza świadczyło, że tamta strona nie miała zamiaru żartować.
Teraz zapaliłłatarkę, przesłaniając reflektorpalcami.
Wędrówka na oślep pozwałach lodu nie rokowała żadnych szanspoza skręceniem karku.
Ale i przy świetlenie należała dołatwych.
Bryły zwalono byle jak, nie zadając sobie trudu układania.
Piętrzyły sięw karkołomne wertepy.
Góry, doły, znowu góry.
Mokrepodeszwy pokryły siępo upływieparu minut warstewkami lodu, nie dając żadnego oporu.
Trzeba było iść krok za krokiem, balansując ramionami dla utrzymania równowagi.
Nie brakło szczelin przykrytych trocinami.
Świrski tostękał, to kłał na czym świat stoi.
- Chyba zaraz się połamię na kawałki.
Krań światła wędrował powolipo ścianach.
Gdzie te przekłete drzwi?
Poszukiwania przeciągały się w nieskończoność.
- Kiedyś, przed wiekami bawiłem się w szukanie fantów -powiedział cicho Świrski.
- Zimno, ciepło, znowu zimno.
Tak jak teraz.
Tylko że teraz jest to straszna zabawa.
I stale jest zimno.
Wreszciepołysk stalowego prostokątu.
- Chyba tam - mruknął niepewnie Kostrzewa.
Drzwi to jeszcze niewszystko.
Wciążnieostrzegwał usypanego ztrocin pagórka.
136
Podeszli bliżej.
Nie było pagórka.

I światło wędrujące poskrzających szronem ścianach nie wykryło żadnych innych drzwi.
Więc to właśnie tutaj.

Skierował reflektor w dół.

Trociny leżały równą warstwą.

Zadziwiająco równą.

I te podłużne smugi naich powierzchni.

- Grabiono - stwierdził Świrski - i to całkiem niedawno.

Ale żelichodzi o zwłoki.

gdzie jest ciało Zdzisława?

- w głosie zabrzmiało coś, co zmusiło Kostrzewę do szybkiego odwrócenia głowy.

Świrski stał za nim wodległości około dwóch kroków.

Nieruchomy i ciężki jak kamienna figura.

Obie ręce w kieszeniach kurtki.

Zimno?

Na pewno tak.

Ale czy tylko to?

Lewa gonię interesowała.

Całą wagę skupił na prawej.

Ciężki przedmiot w kieszeni, diablo przypominający kształtem pistolet.

Zrobiłomu się jeszcze zimniej.

Jeżeli wszystko było tylko zręcznie zainscenizowaną pułapką?

Głucha noc.

Wśród potężnych ścian bunkra odgłos strzału tonie bez echa.

Do rana zaś jeszcze jedne zamrożone naszywno zwłoki.

Istniało wiele sposobów walki z uzbrojonym przeciwnikiem.

Żaden jednak z tych sposobów nie miał tu zastosowania.

Śliskie podeszwy uniemożliwiały wykonanie skoku.

Dwa kroki w tych warunkach stanowiły niezmiernie wielką odległość.

Sprawa wyglądała zupełnie beznadziejnie.

- Gdzie ciało Zdzisława?

- powtórzył Świrski.

Wciąż nie wyjmował prawej ręki z kieszeni.

Oczy płonęły niedobrym ogniem.

Kostrzewa spróbował postawić ostrożny krok.

Pośliznął się o mało nie runął twarzą na lód.

Ani atakować, ani uciekać.

Nic..

V

- Zabrano?

- W słowach ani śladu poprzedniego napięcia.

Kostrzewa wciągnął powietrze.

Chyba jednak nie.

- Zwłoki, które znikają.

Świrski wyjął ręce z kieszeni.

Zatarł je, poczym postawił kołnierzswej kurtki.

W mgnieniu oka obraz uległ całkowitej zmianie.

Jakby za pokręceniem gałki kalejdoskopu.

Nie było pułap-

137.

ki, twardy przedmiot pozostał w kieszeni, groza śmierci rozviała się.

Zmienił zamiar? Czy też może to wszystko było tylko wytworem podnieconej wyobraźni? Kostrzewa nie potrafił znaleźć odpowiedzi, choć być może od niej właśnie zależało wszystko. Aż do własnego życia włącznie.

Ten człowiek pozostawał zagadką. Któż zresztą spośród tych, z którymi się tu przychodziło stykać, nią nie był?

- Zabrano - przykląkł i zaczął przeczesać trociny palcami. Żeby choć jakiś najmniejszy dowód, że znajdowały się tu poprzedniej nocy. Skóra stawała się coraz bardziej drętwa i niewrażliwa. Wilgotne trociny przywierały niczym strupy. Wreszcie coś twardego. Wyłuskał to coś, otarł połą kurtki. Guzik. Wielki rogowy guzik, rzeźbiony na kształt rzemiennej plecionki. Od dawna już takich nie wyrabiano. Świrski nachylił się nad nim.

- Znalazł pan coś?

Nie mógł dojrzeć, bowiem ramię Kostrzewy zasłaniało światło.

- Może. Czy pamięta pan jak był ubrany Lesiewicz, gdy wychodził na swą ostatnią wycieczkę?

- Jak był ubrany - przesunął grzbietem dłoni po czole. - Zaraz... No, o ile pamiętam stara myśliwska kurtka... -Jakie miała guziki?

- Bardzo staroświeckie. Wielkie takie. Z rzemienia czy czegoś w tym rodzaju.

- Takie? - Kostrzewa skierował światło latarki na dłoń.

- Zgadza się - wyciągnął palec, chcąc dotknąć, cofnął jednak rękę w połowie drogi.

- Odciski palców i wszystkie te rzeczy... - spojrzał niepewnie na Kostrzewę.

- Nie ma mowy - w tej samej chwili przypomniał sobie, że jednak mogą być odciski palców. Jego własnych.

Świrski patrzył jeszcze przez chwilę.

- Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że ten guzik odpadł od kurtki Zdzisława - stwierdził z przekonaniem. - To rozstrzyga kwestię. Guzik nie przyszedł tu przecież o własnych siłach.

- Teraz pan wierzy, że w tych trocinach było ukryte ciało Lesiewicza?

138

Wzruszył ociężałe ramionami.

- Wierzyłem od samego początku. Tylko przez jeden krótki moment... - urwał, zaciskając wargi.

- Co było przez ten jeden krótki moment? - Kostrzewa doskonale wiedział, o jaki mianowicie moment chodziło.

- Niech to pana nie urazi, ale no... Pomyślałem o pułapce. Kostrzewę poderwało.

- Że ja pana w nią wciągnąłem?

- Tak. Niekiedy różne myśli przychodzą człowiekowi do głowy. A jeszcze w tych okolicznościach... Głucha noc. Nikt nie wiedział, że się tu udajemy. Pan nalegał na zachowanie tej wyprawy w absolutnej tajemnicy. Gdyby jakieś złe zamiary... Trudno by sobie po prostu wymarzyć lepsze warunki do wprowadzenia ich w czyn.

Kostrzewa wstał. Jakby dokładnie powtarzał jego własne rozmyślenia na ten temat.

- Ale - zajął mu w oczy - z jakiego powodu?

- Powód - wzrok jego uciekł w bok - zawsze sobie można jakiś wyobrazić.

- A konkretnie?

- Nie wspominałem o żadnych konkretach.

Znowu wymijająca odpowiedź. Ale to zaszło zbyt daleko.

- Nie uważa pan, że czas zaprzestać gry w ciuciubabkę? - zapytał Kostrzewa powoli i z naciskiem.

- Nie prowadzę żadnej gry.

- Być może prowadzi pan ich wiele. Ale teraz mówię jedynie o ciuciubabce. Jeżeli pan zresztą woli, nazwijmy to głuchym telefonem. Coś, co niby zostało powiedziane, ale czego się nie

słyszy. Swego czasu powiedział pan: „Chyba nie pan zamordował Zdzisława”.

Świrski przestąpił z nogi na nogę.

- Wiele rzeczy się mówi.

- Ale to nie zostało powiedziane ot tak sobie, przypadkowo. Nie uważa mnie pan chyba za dziecko czy jakiegoś tępaka niezdolnego do myślenia - uznał, że już najwyższy czas postawić sprawę na ostrzu noża. Albo tak, albo inaczej. Potem cała seria niedomówień i napomknięć.

Zna pan rosyjskie przysło-

wie...

139

- Nie znam żadnych i nie chcę znać - Świrski przerwał niechętnym burknięciem.

- Nie zaszkodzi, jeżeli pan jedno pozna.

Jak najbardziej trafnie określa cały pański sposób rozmowy ze mną.

Tenkij namiok na tołstoje obstojatielstwo.

Mam przetłumaczyć?

- Obejdzie się.

Fakt, że czegoś nie chcę znać, nie znaczy jeszcze, że nie rozumiem.

Nie widzę jednak, co mogłoby mieć

wspólnego.

- Wszystko - głos Kostrzewy brzmiał twardo i nieustępliwie.

- Przed chwilą myślał pan znowu, że wciągnąłem go w pułapkę.

Prawdopodobnie również jestem potencjalnym mordercą.

A więc w pańskim pojęciu mógłbym mieć powód, żeby zastrzelić Lesiewicza i dybać na pańskie życie.

Kto wie, czy również nie na życie wszystkich pozostałych mieszkańców tego domu.

- Kto wie - powtórzył głucho Świrski.

- Chciałbym wreszcie usłyszeć, jaki mógłbym mieć powód?

- Nie domyśla się pan?

- Spojrzał na niego z nieukrywanym

niedowierzaniem.

- Daleki jestem od tego.

Wszystko to sprawia na mnie wrażenie jakiejś potwornej niedorzeczności, której niepotrafię zgryźć.

Przyjechałem tu na waszą prośbę, aby wam pomóc nagle.

Czekam.

Świrski masował łysinę.

- Może rzeczywiście pewne okoliczności dojrzały już do bliższego omówienia.

- Jak najbardziej.

I im wcześniej zostaną wyjaśnione, tym lepiej.

Tu zdarzenia nie każą na siebie czekać.

"Śmierć depczepopiętach.

" Zgadzasię.

Depcze.

Czy jesteśmy w stanie przewidzieć, kogo dościgniew następnej kolejce?

Niemam jakoś wrażenia, że to już koniec.

- Ja także nie.

- Więc powie mi pan wreszcie wszystko, co ma do powiedzenia?

- To nie takie proste.

- Dlaczego?

- Muszę sobie całą sprawę jeszcze przemyśleć.

Prawdę mówiąc, jestem zaskoczony.

140

- Tym, że nie domyślamsię powodu, dla którego miałbym zostać mordercą?

- Jestem zaskoczony - powtórzył.

- Widzi pan.

są pewne części tej składanki, które na mój rozum absolutnie nie pasują do innych.

Może wspólnymi siłami zdołamy to jakoś uzgodnić.

Powiedzmy jutro.

Kostrzewie opadły ręce.

Znowu odkładanie.

Czego on się

właściwie obawia?

- Sądzę, że lepiej byłoby zaraz.

-Może.

Ale nieJestem przygotowany do tego rodzaju rozmowy.

- Zamierza panprzygotować noweniedomówienia?

-Nie będzie żadnych niedomówień- Tym razem nie.

Kawana ławę.

To chyba jest konieczne.

- Najlepiej po kolacji.

Niech pan na mnie czeka.

Być może teraz japrzyjdę do panagdzieś nadranem.

Ale chciałbym mieć pewność, że nasza rozmowa będzie prowadzona naprawdę w cztery oczy.

I że nikt namnie przeszkodzi w doprowadzeniu jej do końca.

VI

- Proszę - bąknął zaspanym głosem Kostrzewa.

Dopiero podobrej chwili przypomniał sobie, że drzwi zamknięte na cztery spusty.

To tłumaczyło fakt, że ktoś stojący po drugiej stronie drzwi po bezskutecznym naciśnięciu klamki znowu zapukał.

Ale kto to mógł być?

O tak dziwnie wczesnej porze.

Dopiero zdołał zasnąć.

Wkładając szlafrok, zerknął na zegarek.

No jasne, że dopiero.

Było za ledwie po szóstej.

-Już otwieram - przygładził dłonią włosy.

Na progu stał.

Zawadzki.

-Jest pan zapewne zaskoczony moją wizytą.

Kostrzewa milczał.

Oczywiście, że był zaskoczony.

I to jeszcze jak.

- Przykro mi, że pana obudziłem - ciągnął dalej Zawadzki -zaszły jednak tak ważne okoliczności.

-Ważne okoliczności?

- Kostrzewa wskazał zapraszającym gestem na pokój.

-Proszę.

Rozejrzał się po korytarzu, dopiero potem wszedł i zamknął za sobą drzwi.

141.

Kostrzewa obserwował go spod oka. Co to wszystko miało znaczyć? W konstelacji ułożonej na podstawie analizy ostatnich zdarzeń pozycja Zawadzkiego była całkiem szczególna. Usiadł niezdecydowanie na brzeжку krzesła. Ruchy miał sztywne, jakby przy każdym musiał zwalczać jakieś opory wewnętrzne.

- Omyliłem się.

- Co do czego?

- Co do zwłok Zdzisława. Teraz już wiem, że Stefan widział je naprawdę.

Kostrzewę zatkało. Wstęp zapowiadał nie byle jaką sensację. Jeżeli tylko nie coś więcej.

Przesunął badawczym wzrokiem po ubraniu gościa. W bocznych kieszeniach marynarki nic

podejrzanego. Pod pachami także nie. Takich rzeczy nie można przeoczyć. Szczególnie przy pewnej wprawie. Tylne kieszeń pozostawała niewidoczna. Ale sięgnięcie do niej wymagałoby pewnego czasu. W razie czego zawsze zdąży skoczyć i wykręcić mu rękę. Tu nie lodownia. Może zresztą w ogóle nie miał przy sobie żadnej broni. Lepiej jednak na to nie liczyć. Sytuacja doszła już do kulminacji. W każdej chwili należało oczekiwać jakiejś eksplozji. Skąd? W jakiej postaci? Nie wiadomo. Tym właśnie gorzej. Jakby na beczce dynamitu z niewidocznym płomieniem zapalonego w ukryciu lontu.

Wie. Świrski jest nieobliczalny. Jeszcze do tego po wódce. Musiał chyba wszystko wypaplać.

- Rozmawiał pan ze Świrskim na ten temat?

Tamten spojrzał na niego ze zdumieniem. To raczej nie mogło być udane.

- Jak to: czy rozmawiałem? Sam pan przecież doskonale wie, że wałkowaliśmy całą sprawę bez końca.

- Chodzi mi o dzisiejszy dzień.

- Dzisiaj nie. Jeszcze zresztą śpi. Poza tym chciałem przedtem porozumieć się z panem.

Kostrzewa z rozmyślną powolnością zapalał papierosa. Więc nie Świrski. W takim razie o co chodzi? Potem ubrał tę myśl w słowa.

- Co wpłynęło na zmianę pańskiego stanowiska?

- To - Zawadzki wydobyl z wewnętrznej kieszeni marynarki

142

wieczne pióro. - Znalazłem na podwórku. Zdzisław miał je ze sobą, kiedy wychodził stąd po raz ostatni. -Jest pan pewny, że to samo?

- Tu nie może być najmniejszych wątpliwości. Ani dla mnie, ani dla nikogo. Monogram - wskazał paznokciem na złoty przy-trzymywacz. -Jego monogram.

- Kiedy pan to znalazł i gdzie dokładnie?

- Dziś rano. Szedłem właśnie do bramy. Patrząc: leży. Zatoczyło się pod stopień oficyny. Ale wczoraj go tam nie było. Z całą pewnością nie. Poznałem od razu. Jakby we mnie piorun strzelił. Przedwczoraj Stefan widział zwłoki Zdzisława i teraz to pióro. Nietrudno dodać dwa do dwóch. Czy martwe rzeczy wracają bez swego właściciela? Choćby on również był martwy?

- Niekiedy wracają.

- Ale wtedy musi je przynieść ktoś trzeci. W tym wypadku tym trzecim byłby morderca. Kto?

- Kto? - Kostrzewa obserwował z podejrzanym zainteresowaniem odciski swych pantofli. -

Pytanie rzeczywiście z gatunku zasadniczych. Ale niestety nie znam na nie odpowiedzi.

Przynajmniej na razie.

Zawadzki milczał przez chwilę. Widać było, że coś w sobie przetrawia.

- Pan... - zaczął niepewnie - od razu stwierdził, że to nie było przewidzenie Stefana. Na czym się pan opierał?

- Powiedzmy - Kostrzewa odchrząknął z namysłem - przekonanie.

- Nie wierzę, żeby tylko przekonanie. Nie należy pan do ludzi rzucających słowa na wiatr.

Szczególnie w tak ważnych kwestiach. Pod tym względem zdołałem pana dobrze poznać.

Przekonanie - owszem. Ale oparte na jakimś namacalnym dowodzie. Jaki to był dowód?

- Namacalny? - Kostrzewa wypuścił z ust kształtne kółko dymu. Śledził jego lot ku sufitowi.

Zadziwiająco trafnie to określił. Przypadek? Może jednak niezupełnie. - Coś, co mogłem

uważać za pewnego rodzaju... dowód - powiedział wreszcie -zresztą natury raczej... logicznej.

- Co mianowicie?

143

Błyskawiczna ocena sytuacji.

Główny reżyser całej tej ponurej historii?

Bardzowiele zdawałoby się na to wskazywać.

A jeżeli tak, to co właściwie oznaczała jego wizyta?

Wywiad mającyna celu połapanie się, czym dysponuje strona przeciwna?

Miał jednak znacznie bardziej dyskretne sposoby, aby torozszyfrować.

Choćby właśnie rozmowa ze Świrskim.

Otwarcie kart w tym wypadku zupełnie nie wpływało na układ sił.

Zwłoki

i tak już zostały usunięte nie wiadomo dokąd.

-A więc dobrze - ton suchy i jak najbardziej rzeczowy.

-

Tym dowodem byłakapa.

-Kapa?

- Tak.

Nie widziałem żadnej rozsądnej przyczyny, aby była

o kilka stopni zimniejsza od powietrza i wszystkich innych przedmiotów w pokoju

Świrskiego.

A przecież była zimniejsza.

Z tego wynikało, że ta przyczyna musiała się tam przedtem znajdować i że zostaław jakiś sposób usunięta.

Świrski mówiłozwłokach zimnych jak lód.

W moim przekonaniu jedno do drugiego pasowało jak dwie cegielki z tej samej budowy.

- Kapa - rozmyślał na głos Zawadzki.

- Gdybym jej wtedy dotknął.

Ale nie dotknąłem.

Niewpadło mi na myśl.

Poruszył się niespokojnie na krześle, potem znieruchomiał.

- Czy zechce mi pan odpowiedzieć na jedno pytanie, doktorze?

Kostrzewa zerknął na niego nieznacznie.

Twarz, zakrzepła

w jakąś nieruchomą maskę, nie mówiła absolutnie nic.

Nie potrafił rozgryźć tego człowieka.

Co zresztą wogóle tu potrafi rozgryźć?

Tamtej nocy w lodowni był przekonany, że ma już coś w garści.

Teraz nie zostało z niego nic.

Nawetzwłoki Lesiewicza wydawały się chwilami czymś zupełnie nierealnym.

- O ile tylko będę w stanie odpowiedzieć.

-Będzie pan w stanie.

Chodzi jedynie o to, czy pan zechce.

- Proszę pytać?

-Czy pan widział ciało Zdzisława?

Zdołał w tym momencie ułoić jego spojrzenie.

Było puste i bez wyrazu.

Co ulica miała znaczyć ta gra?

A więc dobrze.

skoro dąży do postawienia sprawy na ostrzu noża, będzie miał to ostrze.

- Tak - potwierdził sucho - widziałem.

144

- Wtedy w pokoju?

- Nie.

Znacznie później.

Dopiero w nocy.

- Gdzie?

- W lodowni.

Przysypane trocinami.

Odkryłem również drogę, którą przeniesiono je do pokoju Świrskiego i wyniesiono z powrotem do lodowni.

- Jaką drogę?

- Opieczętowana klatka schodowa.

Potem podziemny korytarz.

- Ale.

przecież ten korytarz całkowicie zawałony gruzami.

- Gruzy zostały zgarnięte pod ściany.

- Miny.

- Miny również.

- Czyż można otworzyć drzwi, nie naruszając pieczęci?

A zresztą gdyby nawet, to zamknięcie z tamtej strony jest zupełnie niemożliwe.

Kłódka.

- Nie tylko możliwe, ale bardzo łatwe.

Urządzenie przynowe, pozwalające wyjąć skoble wraz zamkniętą kłódką, działa tak samo z jednej jak i drugiej strony drzwi.

Zawadzki zerwał się gwałtownie.

- Chodźmy!

- Dokąd?

- Chciałbym zobaczyć to wszystko na własne oczy.

Nie ma pan pojęcia, jak niezmiernie wiele od tego zależy, żebym widział.

"Niemam pojęcia, czyś sam tego wszystkiego nie zmagistrował" - skorygował w myśli Kostrzewa.

Oczy Zawadzkię gostawały się coraz większe, gdy patrzył na operacje przy skoblach.

- Nigdy bym nie przypuszczał, że można coś takiego wykombinować.

"Nie dałbym trzech groszy" - pomyślał sceptycznie Kostrzewa.

Na głos powiedział:

- W rezultacie nic szczególnego.

Proszę jednak zwrócić uwagę, że zawiasy w drzwiach zostały świeżo naoliwione.

- To prawda - wbiegł na podest, pociągając za sobą Kostrzewę.

- Więc tędy będziemy mogli dojść do lodowni?

- postawił nogę na pierwszym stopniu.

- Niestety nie będziemy mogli.

145.

-Jak to?

- popatrzał na niego ze zdumieniem.

- Przecież powiedział pan.

- Powiedziałem, że tamtej nocy gruz i miny zostały odsunięte pod ściany.

Zgadza się.

Ale teraz już wszystko powróciło nadawne miejsce.

Robota nadwie, trzy godziny.

- A..

zwłoki Zdzisława?

- Nie ma zwłok.

Zniknęły z pokoju Świrskiego, zniknęły złodowni.

Wyszli z powrotem na korytarz.

- To urządzenie - powiedział Zawadzki - mogło powstać jeszcze za Niemców.

- Niesądzę.

- Ale mogło.

Pozatym wieczne pióro Zdzisława.

I to, co powiadał Stefan.

Tylko że on.

Każdy wie, że pije jak gąbka.

W rezultacie niełatwo przekonać kogoś, że to wszystko miało miejsce w rzeczywistości.

- Może nie tak trudno - Kostrzewa postanowił już iść na całego.

- Znalazłyby się pewne argumenty, które pomogłyby w przekonywaniu.

- Tak?

- popatrzył na niego przeciągle.

- Tak.

- Nie chce pan powiedzieć jakie?

- Wolałbym tymczasem zachować to dla siebie.

- Jak pan uważa.

Wracali w stronę pokoju Kostrzewy.

To wyszło jakoś samoprzez się.

Gdy do niego weszli, Zawadzki opadł na krzesło.

- Papierosa?

- Kostrzewa podsunął wartą paczkę.

- Dziękuję - wziął jednego i długo ugniatał w palcach.

- Czy dobrze widział pan zwłoki?

- Wystarczająco dobrze.

- W jaki sposób zginął Zdzisław?

- Został zastrzelony.

Znowu zastanawiał się nad czymś.

- Kulą.

czy też.

Jeżeli grał komedię, to grał ją znakomicie.

- Kulą.

Dlaczego pan o to pyta?

- Stwierdziłem, że ktoś strzelał mojej dubeltówki.

Niewiem kiedy, ale to musiało być niedawno.

146

- Ktoś, kto miał sposobność wzięcia jej bez pańskiej wiedzy?

- Teoretycznie każdy mógł mieć tę sposobność.

Dubeltówka wisi naścianie w moim pokoju.

Ponieważ zaś niemal całe dni spędzam poza nim.

- Nie nazwałbym tego najwłaściwszym sposobem przechowywania broni.

Ale dubeltówkę całą pewnością niewchodzi w grę.

Czy nie strzelano ostatnio również z pańskiego pistoletu!

- to wypadło już jak jawna prowokacja.

Ale tak właśnie miało wypaść.

Wyraz twarzy Zawadzkiego nie uległ jednak najmniejszej przemianie.

- Nie posiadam pistoletu.

VII

Zniknięcie Świrskiego zauważono około dziesiątej rano.

Kostrzewa był jeszcze w swoim pokoju.

Wpadł Kopankiewicz

- Nie ma tu Świrskiego?

- zupełnie jakby podejrzewał, że Świrski kryje się pod łóżkiem albo w szafie.

- Nie ma - odpowiedział sam sobie.

- Nic nie rozumiem.

To już ostatnie

miejsce, w którym spodziewałem się go znaleźć.

Szukałem wszędzie.

Kostrzewa zaniepokoił się.

- Wszędzie?

- Po całym domu.

- Może wyszedł na dwór łyknąć trochę świeżego powietrza?

- Może.

Ale umówił się ze mną, że będzie w swoim pokoju.

Mieliśmy porozmawiać o

na pewne tematy.

Propozycja zresztą wyszła od niego.

I ani śladu.

W jego pokoju jest tak jakoś dziwnie.

- To znaczy?

- Dziwnie.

Nie potrafię tego bliżej sprecyzować.

Ale tak jakby.

czyjaś ręką - machnął ręką.

- Nie zechciałby pan sam zobaczyć?

Pochwili byli już namiejsu.

Pościel rozrzucona.

Ale wcale nie w taki sposób, jakby z niej ktoś dopiero co wstał.

Raczej jakby czegoś szukano.

Drzwiczki szafy otwarte na oścież.

Na stole przewrócona szklanka w lepkiej kałuży zgęstniałej nalewki.

Napewno nie zo 147.

stała wylana przed paroma minutami.
Musiała upłynąć co najmniej godzina.
Może nawet więcej.

Na podłozewalizka.

Również otwarta.

Zawartość jej nosiła ślady nerwowego przewracania.

Wszystko stłamszone i upchane bylejak.

Rzeczywiście było "dziwnie".

Jakby gospodarz opuścił pokój
w niezmiernym pośpiechu.

Albo jakby.

I gdzie się właściwie
podział?

Rozmowa z Kopankiewiczem.

Po kolacji miał wyjawić "całą
prawdę".

Przypuszczenie, że obie rozmowy mogły mieć ze sobą coś wspólnego, nasuwało się z
nieodpartą siłą.

Do pokoju zajrzał Zawadzki.

- Stefan gdzieś wyszedł?

- Fakt - potwierdził Kostrzewa, obserwując całkiem otwarcie jego twarz.

- Skoro go nie ma, to znaczy, że wyszedł.

- Niekoniecznie.

W tym domu różnie bywa - zauważył złowieszczym tonem Kopankiewicz.

Kostrzewa milczał.

Rzeczywiście zdarzało się różnie.

A jeżeli dziś rano poruszył lawinę?

I oto już się zaczęła toczyć.

Zawadzki tarł podbródek.

- Masz wszelkie kwalifikacje na Kasandrę.

Po prostu wyszedł

na podwórze.

- Co by tam robił tyle czasu?

Szukamgo już prawie godzinę.

Kostrzewa jeszcze raz przyjrzał się rozlanej na ceraciewódce.

- Więc cóż, zajrzyjmy na podwórze - powiedział bez przekonania.

Uwaga Kopankiewicza była jak najbardziej słuszna.

Nie

mógł sobie wyobrazić Świrskiego spacerującego bez określonego celu po
betoniodwórka.

A jakież mógłby mieć cel?

Tak jak przewidywał, nie znaleźli go nigdzie.

Zawadzki coraz mocniej ściągał brwi.

- Nie widzieliście gdzie pana Świrskiego?

zawołał do Józefa.

Zaprzeczył.

- Ale może Koryciuk?

- dodał po namyśle.

- Ja po prawdzie

dziświęcej w domu.
Że to ojciec trochę niespokojny.
Ani ruszpozostawić bez opieki.
A on urzęduje dziśod samego świtu.

Koryciuka nigdzie niebyło.
Odkryli go dopiero w sioncekuchennej.
Popijałherbatę.
Taki tu widocznie już panował

148

stałyzwyczaj.
Kopankiewicz wzruszył dezaprobatą ramionami.
-Jeżeli w tensposób ma wyglądać całe to urzędowanie.
Koryciuk również nie widział Świrskiego.
- Musiałdziś całkiemnie wychodzić z domu.
Kręcę się tubez przerwy, to bym przyuważył.
- Kręcicie się - mruknął gniewnieZawadzki - ale po kuchni.
Zmieszał się.

- Ja tu tylko na małą chwilkę.
I tak zresztą wszystko jak na
dłoni.

Kostrzewa wszedł do sionki i wyjrzał na podwórze.
Wszystkajak wszystko, alew każdym razie bramę i przyległe odcinkiogrodzenia było widać
zupełnie dobrze.

O ile tylkow ogóle patrzył.
- Brama zamknięta?
-No jakże.

Przez calutki czas.

Od wczoraj nikt do nas nie
wchodził.
- Pytanie, czy również i nie wychodził -powiedział cichoKopankiewicz.
Ale Koryciuk dosłyszał.
- Nikt.

Kto by zaś miał?

Podeszli, by sprawdzić.

Od pewnego czasu Kostrzewa niedowierzał żadnym zamknięciom w tym domu.

Choćby nawetna oko przedstawiały się jak najbardziej solidnie.
Ale tuod razu byłowidać, że skoble są tylko skoblami i niczym więcej.
Oczywiście gdyby ktoś posiadał wytrych.

otwarcie nie przedstawiałoby specjalnej trudności.
Obejrzałz uwagą kłódkę.

Całapowierzchnię pokrywała warstwa sperlonych kropel.

Deszczprzestał padać gdzieś koło dziewiątej.

Potem z całą pewnościąnikt tej kłódki nie dotykał.

A przedtem?

Wyjął lupe.

Mnóstwoodcisków.

Jednak najświeższe pochodziły sprzed co najmniejkilkunastu godzin.

Od wczoraj?

Zgadzało się.

- A co - Koryciuk obserwował spod okate badania - pana Świrskiego nie można nigdzie znaleźć?

- Na twarzy coś jakby wyraz nagłego niepokoju.

Zawadzki ostro wzruszył ramionami.

- Nigdzie?

Co za cholerny nonsens.

Gdzieś przecież musi być.

- Tylko gdzie?

- Kopankiewicz z ponurą miną zapatrzył się w chmury.

149.

- To jest sęk, a w sęku dziura - Kostrzewa pchnął butemw kolczastą siatkę.
- Może jest w jakimś miejscu rozpruta?
- Ani nawet tyle - zaprzeczył z oburzeniem Koryciuk, odmierzając napopękanympaznokciu.
- Wszędzieponaciągane
jak struny.
Boto nie sprawdzam?
- Niewierz gębie.
- Kostrzewa ruszył wzdłuż ogrodzenia.
Jednak okazało się, że Koryciuk miał rację.
Nigdzie śladurozprucia czy też świeżego łatania.
Bez drabiny sforsowanie ogrodzenia byłoby niemożliwe.
A gdyby jejużyto, musiałyby pozostać przysiatce.
Jasne.
- Nie wyszedł i nie ma - rozważał Kopankiewicz.
- Teraz to
już nic nie rozumiem.
Przecież nie wpadł dostudni.
Koryciuk roześmiał się chrapliwie.
- To jużza Boga nie.
Studnie unas w podziemiach i nijakiego dostępu.
Kostrzewę jużod dłuższej chwili męczyła natrętna wizja lodowni.
Nowe zwłoki, które za parę godzin zostaną zamrożoneakamień?
Cóż z tego, że prawdopodobnie jużwiedzą oodkryciu bunkra?
Cośschowanegdzieś na sam spódi przykryte bryłami lodu byłoby niemal niemożliwe do
odnalezienia.
Choćbynawet tym czymś był zamordowany człowiek.
Znowu dotarli dobramy.
Kopankiewicz przystanął bezradnie.
- Nie mógł wyjść na zewnątrz.
- Chyba nie- potwierdził Zawadzki.
- Czyja wiem - Kostrzewa patrzył w zamyśleniu na górne
pasmo kolczastego drutu.
Zawadzki odwrócił się ku niemu.
- Widzi pan jakąś możliwość?
Boja, prawdę powiedziaławszy, żadnej.
Tym bardziej że tej kłódki nie ruszono od kilkugodzin.
Stefan o ósmej był jeszcze w domu.
- Rozmawiał pan z nim?
- zapytał szybko Kostrzewa.
- Nie - zaprzeczenie padło natychmiast, bezżadnej pauzy.
Ale to nie miało znaczenia.
Zawadzki nie należał do ludzi, którzy dają się czymś zaskoczyć.
- Zajrzałem tylko do jego pokoju.
Spał.
Nie budziłem go, odkładając rozmowę na później.
Kostrzewa pogładził wylóg swojej kurtki.
Nie wierzył w toodkładanie.
O siódmej z nim, o ósmej ze Świrskim.

Jedno wynikało z drugiego.

Nocnawyprowadzenie, podziemny korytarz, guzik

150

od kurtki Lesiewicza znaleziony w trocinach.

Kto wie, czy własnienie w tym wszystkim należało szukać przyczyny zniknięcia Świrskiego.

A jeżeli tak.

- Nie powiedział pan nam jeszcze o tej możliwości przejścia przez ogrodzenie po naglił Zawadzki.

- Ach, tak.

No więc powiedzmy drabina.

- Zabrali ją ze sobą?

- Gdyby mu ktoś pomagał w wydostaniu się stąd.

Ktoś, kto

tu pozostał.

- Kto?

- spojrzenie Zawadzkiego było twarde i natrętne.

- Nie wiem.

To tylko teoria.

- Czyż nie prościej byłoby powiedzieć Koryciukowi, żeby otworzył bramę?

- wtrącił powątpiewaniem Kopankiewicz.

- Ostatecznie to nie obóz koncentracyjny, żeby trzeba było uciekać przez druty.

- Najprostszym wyjściem w każdej sytuacji jest do przyjęcia

- powiedział Kostrzewa.

VIII Wrócił do pokoju Świrskiego.

- Nie podoba mi się to wszystko - Kopankiewicz stawał się każdą chwilą coraz bardziej ponury.

- Jeżeli ktoś opuszcza

swój pokój w popłochu.

- Stefan jest bardzo nieporządny - wtrącił Zawadzki.

Kopankiewicz potrząsnął głową.

- To wszystko nie sprawia wrażenia bałaganu zrobionego przez najbardziej nawet nieporządnego człowieka w normalnych warunkach.

Popłoch.

- Być może tylko pośpiech - wtrącił Kostrzewa.

Spojrzał na niego z boku.

- Szaleńczo pośpiech, popłoch - dwa określenia tej samej sytuacji.

- Czy pan wie, jakie ubrania miał tu ze sobą Świrski?

- zwrócił się Kostrzewa do Zawadzkiego.

- Może spróbujemy ustalić, jak był ubrany, kiedy wychodził z pokoju.

- Słusznie - podszedł do szafy.

- Może w ogóle nie był ubrany - uwaga Kopankiewicza zabrzmiała całkiem makabrycznie.

151.

- Ciemnobrązowy garnitur - głos Zawadzkiego zadudnił głucho, odbijając echem o ściany szafy.

- Więc jednak był ubrany - podkreślił znacząco Kostrzewa. To było pod adresem Kopankiewicza. Hiobowe komentarze pisarza przeszkadzały mu myśleć.

- A obuwiu?

Zawadzki przerzucał coś z hałasem na dnie szafy.

- Półbuty na słoninie - oznajmił po chwili. - Wiśniowe. Kopankiewicz potrząsnął rękawem wiszącej na drzwiach jesionki.

- Na jakąś dalszą wyprawę bez palta?

- Miał jeszcze nieprzemakalny płaszcz - Zawadzki wciąż jeszcze tkwił górną połową ciała we wnętrzu szafy. - Tu go nie ma. Może gdzieś leży?

Kostrzewa rozejrzył się uważnie.

- Także nie.

- I beret - dodał Zawadzki.

- Pełny ekwipunek - zakonkludował Kostrzewa. Kopankiewicz nie wypuszczał z ręki jesionki.

- Pełny ekwipunek i co dalej?

- Nie wiem - Zawadzki wychynął z szafy i przystąpił do otrzepywania marynarki. Czynił to zadziwiająco pedantycznie. Raczej chyba chodziło mu o zyskanie na czasie. - Co dalej? - powiedział wreszcie. - Przypuśćmy, że znowu jakaś wyprawa na poszukiwanie drogi przez zatopione tereny. Ostatnio stało się to u niego prawdziwą manią.

- Teraz, gdy woda zaczęła opadać, szanse znalezienia takiej drogi niepomniernie wzrosły - zauważył Kostrzewa.

- Zapewne, ale drabina, która musiałaby pozostać przy ogrodzeniu - przypomniał Kopankiewicz.

Kostrzewa zagwizdał cicho.

- Drabina...

- Prawda - zorientował się pisarz - współnik, który tu pozostał. Zamyślił się.

- Cóż... to nie jest wykluczone. Jak właściwie przedstawia się sprawa z Koryciukiem?

- Uważam go za człowieka wiarygodnego - oświadczył Zawadzki.

152

- Do ilu?

- To znaczy? - nie zrozumiał.

- Do jakiej kwoty jest wiarygodny? - sprecyzował. - Wyobraźmy sobie taką sytuację: pół patyka w garść i „trzymaj bratku język za zębami”. Trzymałby czy nie?

Kopankiewicz wydał wargi.

- A może to odwrót. Nie każdy lubi w takiej sytuacji widownię i rozgłos.

Zawadzki potrząsnął z powątpiewaniem głową. - On miałby uciekać?

- On - potwierdził łagodnie Kopankiewicz. - Wiem - podniósł rękę, widząc, że Zawadzki zamierza coś powiedzieć. - Świr-ski jest człowiekiem wyjątkowo odważnym. Ale nawet największa odwaga ma jakiś tam swój kres. Trzeci dzwonek i wysiadka. Tu mogła odegrać rolę trzeciego dzwoneka cała ta makabra za zwłokami Lesiewicza. Widział je czy też tylko zdawało mu się, że widzi...

Kostrzewa odchrząknął. W ostatniej chwili jednak uznał, że lepiej nie wtajemniczać Kopankiewicza w odkrycia nocnej wyprawy. Niezmiernie mało brakowało, żeby tego człowieka bez reszty wytrącić z równowagi.

Kopankiewicz spojrział na niego wyczekująco.

- Chciał pan coś powiedzieć, doktorze?

- Nie - Kostrzewa przymusił się do uśmiechu, choć bynajmniej nie było mu wesoło. - Po prostu zaschło mi w gardle.

- Aha - chyba nie bardzo uwierzył. - No więc powracając do mojej koncepcji: czy nie mogło być właśnie tak?

- Rozmaicie mogło być. Między innymi i tak, jak pan to widzi.

- Mogło - potwierdził Zawadzki. Nagle wyraz jego twarzy uległ gwałtownej zmianie. Już nie przypominała nieruchomej maski. Kostrzewa nie spuszczał z niego oczu. A tego co znowu ugryzło?

Zawadzki podbiegł do łóżka. Odrzucił poduszkę. Wsunął rękę pod materac. Z ust jego wypłynęło zdławione przekleństwo. Ruchy nerwowe i chaotyczne. Panika, o której wspomniał Kopankiewicz? To było coś w tym rodzaju.

Wściekłym szarpnięciem wyciągnął szufladę nocnego stoli-

ka. Przypadł do szafy.
Z gorączkowym pośpiechem przerzucił
jej zawartość.
Twarz jego stawała się coraz bledsza.
Nachylił się nad walizką, wyrzucając z niej wszystko na podłogę.
Długo obmacywałścianki, dno i wieko, jakbyszukającskrytki.
Skoczył ku wiszącej na drzwiach jesionce.
Sięgnąłdojednej kieszeni, potemdo drugiej.
Jeszcze spojrzenie dookoła
i ręce mu opadły.
-Brakuje czegoś ważnego?
- zapytał Kopankiewicz, obserwujący całą tę scenę nierozumiejącymi oczyma.
- Sądzę, że to chyba niewymaga odpowiedzi- zauważył Kostrzewa.
Zaczynał się już domyślać, o co chodzi.
Zawadzki wpatrywał się w jakiś sobie tyłkowidoczny punkt na ścianie.
Twarz jego powoli tężeła.
Widaćbyło jednak, żeopanowanie nie przychodzi mu łatwo.
- Właściwie.
- zaczął z wahaniem.
-No cóż:była tu pewna
rzecz.
- Pistolet?
- rąbnął na odlew Kostrzewa.
- To.
- ręka jegowykonała jakiś nieokreślony gest -stara
zdezelowana pukawka,nieużywana od lat.
- Od lat trzynastu?
Wzruszyłramionami
- Nie.
To nie z tamtych czasów.
Raczejz okresu pierwszej
wojny.
Znalazłem go kiedyś w jakichśrupieciach.
- "Nie posiadam żadnego pistoletu" - zacytował Kostrzewa.
-Nie posiadam -Zawadzkiutkwiał ciężkiwzrok w jego twarzy.
- Powiedziałem wtedy prawdę.
Ten.
- strzepnął palcami-to muzealny eksponat.
Nawet nie wiem, czy można by z niego w ogóle strzelać.
Nie próbowałem.
AleStefan.
oświadczył, że w tejsytuacji zanic nie pozostanie z gołymirękoma.
Ja miałem dubeltówkę, więc.
- Ekspонат- powtórzył Kostrzewa.
- Jednak zastrzegł pan
kategorycznie, aby Świrski nikomu o nim nie wspominał?
To zostało rzuconena oślep.
Ale trafiło.
- Nocóż.

Kwestia pozwolenia na broń.

Nie starałem się, uważając, że gruchot nadaje się tylko do gablotki.

Kostrzewa przymrużył oczy.

Nie wierzył w ani jedno słowo.

Automatyczny gruchot?

154

- Automatyczny.

Ale.

- Ktoś ucieka w popłochu, zabierając ze sobą broń- rozmyślał na głos Kopankiewicz.

- Pewno do tego nabitą.

Była nabita?

- zwrócił się do Zawadzkiego.

- Możliwe - już był tak samo chłodny opanowany jak przedtem.

Kostrzewa parsknął ironicznie.

- Może pan postawić swą papierośnicę przeciwko złamanemu guzikowi, że nie brakło ani jednego naboju.

Aż pokulęw lufie włącznie.

Bez tego nadawałaby się tylko do wbijania gwoździ.

W tej samej chwili przyszły refleksje.

Papierośnica, guzik -asocjacje myślowe działały w całej pełni.

Ale wcale nie jest pewne, czy w tym pistolecie rzeczywiście nie brakowało ani jednego naboju.

Tymczasem jednak kwestia pistoletu została wyczerpana.

- W rezultacie - powiedział obojętnie - fakt, że zabrał ze sobą pistolet, w niczym właściwie nie zmienia postaci rzeczy.

Należałoby jeszcze sprawdzić pewną ewentualność.

- Klatkę schodową?

- zapytał natychmiast Zawadzki.

Domyślność tego człowieka niekiedy wprost szokowała.

Czy jednak była to tylko domyślność?

- Jaką znów klatkę schodową?

- zdziwił się Kopankiewicz.

- Jest tu taka jedna - Kostrzewa skierował się ku drzwiom.

- No wiecie Kopankiewicz nie spuszczał oczu z rąk Kostrzewy.

- Ukryte przejście?

- Prawdę powiedziawszy, nie bardzo ukryte Kostrzewa wcisnął nakrętkę.

Cichy szcęk sprężyny i skoble wyszły gładko wraz z kłódką.

- Niech będzie, że magiczny zamek Kopankiewicz dotknął palcem otworów w stalowej płycie - wychodzi na jedno.

Nigdybym nie uwierzył, gdybym niezobaczył na własne oczy.

To już dawno wyszło z mody nawet w powieściach.

- Widocznie nie wszędzie - Kostrzewa z brzękiem położył skoble na podłodze.

Teraz już nie było potrzeby maskowania.

Niemalzbiegł po schodach.

Wizja zamrożonych zwłok Świr.

skiego nie ustępowała sprzed oczu.

Kopankiewicz pędził tuż za
nim.

- Podziemny korytarz?

- sapał muwprost w uchopodnieconym szeptem.

-Coś takiego.

- System hitlerowskich urządzeń - światło latarki padło narumowiska barykadujące
dalsze przejście.

Piętrzyły się na całej szerokości korytarza.

Ale to jeszcze rzecz jasna niczego nie dowodziło.

Trochę roboty isytuacja ulegała zmianie jak na obrotowej scenie.

Kopankiewicz podszedł do gruzów.

Nagle jednak cofnął się

spłoszony, zezując nieufnie na ciemne plamy żelastwa.

- Miny?

Bo Jerzy wspomniał, że.

- Bezpieczniej uważać garnek za minę niż minę za garnek

-zacytował saperskie przysłowie.

Plama światła wędrowała z wolna po podłodze.

Warstwy pyłustanowią wprost idealne podłoże, jeżeli chodzi o utrwalanie
śladów.

Nie dostrzegł jednak nigdzie świeżych.

-I co?

-podszedł kuniemu Zawadzki.

Dopiero teraz znalazł się na dole.

Potrzeba mu było wprost dumiewającej ilości czasu na przebycie tych kilkudziesięciu stopni.

Nie bardzo mu się jakoś spieszyło.

Może po prostu wiedział, co tu zastanie?

Kostrzewa otrzepał palce.

- Mylny trop.

Na szczęście - dodał po chwili.

- Na szczęście - powtórzył niczym echo Zawadzki.

- Ale.

Przeszukamy lodownię?

Kostrzewa zerknął na niego z ukosa.

Nic.

Jakby matowe
szkło.

Sam diabeł nie rozgryzłby tego człowieka.

- Lodownię?

- oczy Kopankiewicza rozszerzył wyraz bezmiernego zdumienia.

-Myślicie, że tam.

Kostrzewa obciągnął kurtkę.

- W zasadzie należałoby rozważyć każde miejsce - włożył dużo wysiłku, by słowa
zabrzmiały jak najbardziej zdawkowo.

-Nie sądzę jednak, żeby przeszukanie lodowni mogło coś dać.

Chwilę oczekiwał na pytanie Zawadzkiego.

Ten jednak

milczał.

- Chyba żeby wynieść z bunkra cały lód.

Bez tego nie ma co

156

zaczynać -dokończył w taki sposób, jakby przerwa miała na celu jedynie zaczerpnięcie oddechu.

-Jeżeli uważa pantoza konieczne, lód zostanie wyniesiony- oświadczył Zawadzki.

Kostrzewa bezskutecznie usiłował doszukać się tonie tych słów jakiegoś głębszego znaczenia.

Ale słowa zostały wypowiedziane sucho irzeczowo.

Czyż zresztą chodziło tylko o ton?

Całej ego zachowanie.

- Nie - powiedział z namysłem - nie uważam tego za konieczne.

Przynajmniej na razie.

X

Obiad minął wniewesołym nastroju.

Zawadzki sprzątnął pospiesznie karafkę postawioną wiadomo przez kogo przednakryciem Świrskiego.

Może zresztą sam ją tam postawił z przyzwyczajenia.

Krzesło pani Zosibyło również puste.

- Żona przeprasza - Zawadzki uśmiechał się, jakby w poczuciu winy za jej nieobecność.

- Alena prawdę bardzo źle się czuje.

Zniknięcie Stefana niezmiernie nią wstrząsnęło.

Mająk najczarniejsze przecucia codo rozwiązaniatej zagadki.

- Niesłusznie - zawołał nieoczekiwanie Kopankiewicz.

-Jestem przekonany, że oboje zniknięcia tłumaczą się zupełnie prosto inie mają nic wspólnego z jakąś tam makabrą.

Nie wierzęw żadne zwłoki.

Lesiewicz żyje, tak samo jak i Świrski.

Kostrzewa w tym momencie zapatrzył się w talerz.

Jeżeli taksamo.

- Obydwaj odpłynęli z rozwiniętymi żaglami i zwiniętą banderą.

Ludzka rzecz.

Żaden człowiek nie lubi, żeby na niego polowano jak na zwierzyne.

Przypuszczam zresztą, że zwierzyne także bardzo to lubi.

Wszystko to zostało wygłoszone zuchowato i z wielkim przekonaniem.

"Zmienił zdanie czy też nadrabia miną?

" - zastanawiał się Kostrzewa.

Botu właściwie każda najmniejsza drobnostka mogła mieć swój ukryty sens.

W końcu spojrzał na niego nieznacznie.

Kopankiewicz raczej tylko nadrabiał miną.

- Jeżeli Zosia się źle czuje, to może do niej zajrzeć - pani Lola zamarkowała ruch wstawania z krzesła.

Zresztą bez zbyt 157.

niego entuzjazmu.

Widać było, że nie ma wielkiej ochoty naprzerywanie sobie obiadu.

- Jest pani prawdziwą samarytanką - Zawadzki pochylił dziękczynnie głowę - ale może raczej później.

Zosienka zażyła mnóstwo jakichś środków uspokajających.

Ona, wie pani, pod tym względem jest nieobliczalna.

Jak tylko coś, to zaraz bez umiaru.

Gdy odchodziłem, już spała, biedactwo.

Niedobrze byłoby ją budzić.

Sen w takich wypadkach to najlepsze lekarstwo.

Kostrzewa znów powrócił do podziwiania wzoru na swoim talerzu.

Najlepsze lekarstwo?

Słowa budziły w pamięci jakiś odzew.

Po chwili już wiedział: Świrski.

Wpierw dla niego, teraz dla dziewczęcej pani Zosi.

Jeżeli ona z kolei miała zniknąć.

Kroił żyłasto płat mięsa z taką uwagą, jakby to była przepona brzuszna leżącego na stole pacjenta.

Wciąż nie zdawał sobie sprawy, co się właściwie dzieje w tym domu i dlaczego.

Lesiewicz został zamordowany.

Dlaczego?

Zwłoki jego zniknęły.

To samopytanie.

Dlaczego próbowano wszelkimi sposobami wykończyć Świrskiego.

Dlaczego go końcu zniknął?

Na to wszystkie było odpowiedzi.

Ale..

Lesiewicz podejrzewał, że Zawadzki przywłaszczył sobie kasetkę zeskarbem.

Świrski?

Może również to podejrzewał.

Poza tym widział zwłoki Lesiewicza.

Gdyby przyjąć, że pani Zosia zaczęła się czegoś domyślać.

Potem powróciłamyśl: "widział zwłoki".

Jeśli to stanowił jeden z powodów zniknięcia Świrskiego, to w następnej kolejce.

Nagle zrobiło się mu zimno.

On przecież także je widział.

Włożył do ust kawałek mięsa i zaczął go żuć.

Gdy człowiek ma pełne usta, nikt go nie podejrzewa, że myśli.

Trzeba każdy szczegół rozważyć na wszystkie strony, żeby się nie znaleźć w następnej kolejce.

Puste krzesło Świrskiego.

Ciekawe, w którym miejscu stało krzesło Lesiewicza, zanim wyszedł z tego domu poraz ostatni?

Kroki nakorytarzu.

Ręka w czarnej rękawiczce trzymająca pistolet.

Twarz za szybą.

Ktoś spacerujący po kancelarii.

Ręce prząające rumowiska w podziemnym korytarzu i następnie zawałające je z powrotem.

Ludzie przenoszący zwłoki.

Ludzie, bo rzecz jasna tego nie był w stanie zrobić
158
jeden człowiek.

Nieprzenikniona twarz Zawadzkiego.

Seria znikających pistoletów.

To wszystko miało swoją wymowę.

- Aniech to wszyscy diabli!

- Kopankiewicz z hałasem odsunął krzesło.

Pani Lola spojrzała na niego zaniepokojona.

- Coci się stało?

-Nic.

Trochę miserce nawala.

- Przy tym zdenerwowaniu.

-Nie jestem zdenerwowany - niemal krzyknął.

-Ani nawet odrobinię.

Nigdy w życiu nie był tak spokojny jak teraz.

Kostrzewa zwinął w palcach serwetkę.

Jeszcze jedna prawda.

Jakże bardzo pasowała do całej reszty.

Pani Lola dotknęła ramienia męża.

- Pójdziemy do siebie.

Krople.

Ale Kopankiewicz niespodziewanie usiadł z powrotem.

- Żadnych kropel- oznajmił z buntowniczą miną - i nigdzie nie pójdę.

Zupełniemi dobrze.

Pani Lola otworzyła usta i zapomniała je zamknąć.

Miała taką minę, jakby sufit zwał się jej nagle na głowę.

PO ŚWICIE PRZYCHODZI.

NOC

Wszystko gmatwało się coraz bardziej.

Przeklęty kłębek, którego ani początku, ani końca.

Następna kolejka?

Kopankiewicz miał rację: "a niech towszyscy diabli".

Świrski również miał rację: "śmierć, którądepcze po piętach".

Czyha gdzieś w ukryciu.

Nie wiadomo gdzie, nie wiadomo kiedy, nie wiadomo w jakiej postaci.

Wstał, sprawdził drzwi.

Już nie był pewny, czy wieczorem przekręcił klucz w zamku.

Były zamknięte.

Ale co z tego?

Być może w którejś ze ścian, chociażby za szafą, być może w suficie.

W domu, gdzie kłódki nie są kłódkami, a pod ziemią biegną korytarze.

Zasnął dopiero nad ranem.

Sen był niespokojny, gorączkowy i lekki.

Zamazane wizje czegoś, co było niezrozumiałe, ale budziło przerażenie.

Budził się ustawicznie, zlanypotem, kłął, przewracał się na drugi bok, wyszukiwał chłodniejsze miejsce na poduszce.

Wszystko to na wpeł przytomnie.

Niesen, a istna męka.

Parę razy wyciągnął rękę w kierunku nocnego stolika, na którym leżała rurka z tabletkami nasennymi.

Nie zażył jednak ani jednej.

Zbyt mocny sen mógł się przeciągnąć tu na całą wieczność.

W pewnym momencie poprzez opary majaków zaczął się przedzierać monotony warkot.

Uniósł głowę.

Motor?

Zdawał sobie mętnie sprawę, że coś tu nie jest w porządku.

Potem prawie oprzytomniał.

Ech, nie - przyłożył z powrotem twarz do poduszki - przecieźnie mogło być mowy o żadnym motorze.

Ale sen nienadchodził.

Pod czaszką błyskało coś jakby ostrzegawcze światełko.

Po chwili otworzył oczy już na dobre.

Usiadł, nasłuchując.

Teraz już nie było słyhać, ale echo powracało natrętnie.

Co u diabła?

Tonie mogło być złudzenie.

Słyszał zbyt wyraziście.

I jednak jakby samochód.

Nie motorówka ani samolot, tylko właśnie samochód.

Aleniby skąd?

Czyżby

160

woda ustąpiła przez noc z szosy?

To oznaczałoby niezmiernie wiele.

Milicja, psy śledcze, możliwość korzystania ze specjalistycznych laboratoriów.
I przede wszystkim zrzuć na siebie większą część odpowiedzialności.

Z gorączkowym pośpiechem narzucił na siebie ubranie!

Łazienka?

Zawahał się.

Tymczasem wystarczy zwilżony wodą z karafki ręcznik.

Później.

Już zbiegał po schodach.

Podrodze nie spotkał nikogo.

Wszyscy jeszcze chybaspali.

Jednym susem przesadził stopni tarasu.

Ostre powietrze wczesnego poranka wtargnęło rzeźwiącą falą do płuc.

Być zamkniętym z czymś, czego się nie rozumie, ale co niesie śmierć?

Nareszcie po tak długiej nocy nadchodzi świt.

Jeżeli w tej komendzie są jacyś ludzie z głową na karku.

No, rzecz jasna, że muszą być.

Wtedy.

Koryciuk właśnie odchodził leniwym krokiem od bramy.

- Przed chwilą przejeżdżało tędy jakieś auto - zagadnął go wprost.

Niechętnie spojrzenie spođe łba.

- Auto?

Co też pan.

Auto nie kaczką, powodzenie popłynie.

- Słyszałem wyraźnie.

- Nie wiem, co pan tam słyszał.

Ale, że nijkakich aut tu nie było, to jak Bóg na niebie.

- Dawno tu jesteście?

- A...

- splunął.

- Jeszcze całkiem ciemno było, gdy wyszedłem.

- Coście robili przy bramie?

- Niby kiedy?

- Niby teraz - wyjaśnił ze złością.

Ten człowiek był nierozgarnięty, ale przecież nie do tego stopnia.

Udawał, to było jasne.

Czy zresztą rzeczywiście nierozgarnięty?

Tu wszystkim sprawiało wrażenie nieprawdy.

- Że to psy szczekały.

To ja.

Ale one były czego.

A za bramą, żeby choć zająć.

Niech se pan zresztą sam popatrzy.

Odwrócił się i nie czekając na dalsze pytania, odszedł w stronę kuchni.

"Stały posterunek" - Kostrzewa patrzył w ślad zanim.

Herbata z rumem.

Kto wie, czy tylko herbata?

Oczy korpulent-

161.

nej Kazi w niczym nie przypominały oczu zakonnicy. Odszedł i co? Przez chwilę zamierzał go zatrzymać, potem zrezygnował. Co to mogło dać? Może łże, może mówi prawdę. Wjaki sposób zajrzeć takiemu do mózgowicy?

Nie zrobił nawet pół kroku ku bramie. Z całą pewnością nie dojrzałby stamtąd nic ciekawego. Zresztą jeżeli to było auto, to już dawno zniknęłoby za dziesiątym zakrętem.

„Po wodzie nie popłynię” - wydobył papierosa, dwie zapalki złamały mu się w palcach, zanim wreszcie zdołał zapalić. Ale jak jest z tą wodą? Świrski nie wierzył. Już wtedy, gdy ta historia ze zwłokami na łóżku. Teraz zaś... Wyszedł i nie wrócił. Jeżeli nie spotkało go nic złego, to znaczy, że musiał znaleźć jakąś drogę.

„Odpłynął z rozwiniętymi żaglami i zwiniętą banderą”? Niektóre powiedzonka Kopankiewicza były nawet całkiem trafne.

Cóż... mógł odpłynąć. Znajdował się już na skraju załamania nerwowego.

Wczorajszego wieczoru radio szeptało tak zamierającym głosem, że trzeba było niemal przykładać ucho, żeby cokolwiek zrozumieć. Ale donoszono o dalszym opadaniu wód. Może więc...

Wchodził powoli po stopniach. Wszystko to było jakieś takie ...

Nagle przystanął. Coś niebieskiego w szczelinie betonu. Może materiał, może papier. Jakiś ledwo widoczny skrawek.

Nachylił się. Palec nie wchodził w szczelinę. Może zapalką?

Wreszcie wydułbał. Jednak materiał, i to dość sztywny.

Wielkość mniejsza niż powierzchnia paznokcia. Wygładził na dłoni. Kształt nasuwał jakieś skojarzenia. Jakby... Ach, tak. Płatek sztucznego kwiatu. Chyba fiołka. Z rodzaju tych, które panie przypinają do żakietów. Albo do wieczorowej sukni. Żakiet, wieczorowa suknia. Co to mogło mieć wspólnego z podwórzem odciętej od świata leśniczówki?

Ledwo uchwytny zapach. Podniósł rękę, wciągnął powietrze nosem. Skromna woń polnych kwiatów. Najbardziej niewinne perfumy, jakie sobie w ogóle można wyobrazić. Powąchał jeszcze raz. Teraz już nie pozostawało miejsca na wątpliwości. Ona? Materiał zupełnie suchy. W nocy padał deszcz. A więc dopiero dziś rano. Nie bardzo jakoś mógł sobie wyobrazić panią

162

Zosię wychodzącą do porannych zajęć przy gospodarstwie z bukietem sztucznych fiołków wpiętym w klapę. W klapę czego? Szlafroka? Domowej sukienki z kretonu, jakie zazwyczaj nosiła? Jak pięść do nosa. I w jakich okolicznościach ten płatek uległ oderwaniu? Takie kwiatki na ogół trzymają się mocno i nie wy-starczająkogoś tam normalnego ruchu, żeby ni stąd, ni zowąd zaczęły się sypać płatki.

Nagle zrozumiał. Cały obraz uległ pełnemu przeobrażeniu. Żaden szlafrok, żadna poranna sukienka. Podróżny żakiet. Przy nim bukiet jak najbardziej na miejscu. I ciężka walizka albo teczka. Może zresztą jakiś inny pakunek. Kobiety nieraz miewają zwyczaj przyciskania ciężarów do piersi, uważając, że w taki sposób łatwiej je nieść.

Podróżny kostium, bagaż, warkot samochodu pod oknami. Jakiego samochodu? Jakby piorun uderzył tuż pod jego stopami. Skoczył ku szopie, w której stał jego wóz. Szarpnął kłódką. Zamknięta na mur. Potem do kuchni.

Koryciuk rozwalony na ławie. Okrągła sylwetka w szeleszczącym fartuchu odskoczyła spłoszona. Oczywiście herbata i oczywiście mocny zapach alkoholu.

- Dawajcie klucze! - warknął. Uniósł leniwie głowę. -Jakie znów klucze?

- Od szopy. Prędzej - z trudem opanowywał wzbierającą wściekłość. Ma go za durnia? Żeby się tylko nie przeliczył. Walnąłby z chęcią w ten szpeciniasty podbródek. Cóż z tego, że chłop niemal dwa razy od niego większy. Góra mięsa to jeszcze nie wszystko. Od pierwszego ciosu nakryłyby się nogami.

- A bo pan... - zaczął rozswlekle. Spojrzawszy jednak na twarz Kostrzewy, przesunął wzrok na zaciśnięte pięści.

- Od szopy to nie mam - powiedział szybko.
 - A te? - Kostrzewa kiwnięciem głowy wskazał leżący na ławie pęk.
 - Od bramy. A od szopy to są u Józefa. Nie dał mi, jak wychodził.
 - Dokąd wychodził? - wycedził powoli przez zęby. Roznosiło go jak wszyscy diabli. Walnąć.
- Po solidnym sierpowym zaczęłyby zaraz inaczej rozmawiać. Nie uderzył jednak.

Opamiętanie przyszło dosłownie w ostatnim momencie.

Jeszcze bytylko tego brakowało, żeby zacząć podobną rozróbę.

Koryciuk, który zaczął się już podnosić, odstawiwszy szklankę na bok, znowu opadł na ławę.

Jednak zdołał zauważyć, na co się zanosi.

Wyraźnie szykował się do obrony.

Wcale nie taki tępy, za jakiego chciał uchodzić.

Maska na tej kwadratowej twarzy, nasuwającej nieodparte porównanie z pyskiem byka?

Nie, to już chyba przesada.

Raczej instynkt samozachowawczy.

Kostrzewa zdołał tymczasem ochłonąć do reszty.

- A więc dokąd poszedł Józef?

Dolasu.

Sagi liczyć, czy jak.

I zabrał ze sobą kluczyk?

- Musi zabrał, jeśli gdzie nie schował w swoim mieszkaniu.

Bo ja wiem?

Kostrzewa wybiegł porywczo.

Z tym nie było co dłużej

gadać.

II

Ani nawet przez ułamek sekundy nie pomyślał, żeby czekać na powrót Józefa albo szukać kluczy w jego mieszkaniu.

Pędem na górę do swego pokojui pędem z powrotem.

Otworzenie kłódki nie trwało ani minuty.

Szarpnął za skobel z tą pasją, że ciężkie skrzydło drzwi mało nie zbiło go z nóg.

Zajrzał.

Było właśnie tak, jak się tego oddłużej już chwili obawiał.

Ani śladu samochodu.

Włożył ręce do kieszeni, pogwizdując przez zaciśnięte zęby.

Lepsza ferajna, psiakrew.

Cały ten Koryciuk do spółki z Józefem i.

Ale żeby dziewczęca pani Zosia?

Kiedyś, w czasie rozmowy oświadczyła: "Nigdy bym się nie odważyła prowadzić samochodu.

Nie umiem, ale gdybym nawet umiała.

Jurek mnie wśmiewa, cóż jednak mogę na to poradzić, że nie potrafię stać się współczesną kobietą.

Jakbym się urodził w poprzednim stuleciu.

Albo jeszcze dawniej.

Niekiedy bywają takie kompleksy.

"I tyle prawdy było wtedy z jej oczu.

"Nie umiem.

"Boję się.

"Proszę bardzo.

A tu wsiada do obcego wozu, dobiera diabli wiedzą skąd kluczyki i adieu.

Jak gdyby

nigdy nic odpływa sobie spokojnie wsinał dal.

Żeby.

ją.

Nieśmiałość - kłamstwo, typ zacoфанego podlotka - kłamstwo, wszystko kłamstwo.

Ale jakoś nie był w stanie uwierzyć, żeby tak.

Po prostu nie mieściło się w głowie.

Ostatecznie jakaś tam znajomość psychiki ludzkiej.

I żeby chociaż najlepszy cień fałszu.

Nic.

Omyłka?

Wypluł niedopałek, wetknął w zęby nowego papierosa.

Sięgnął do kieszeni po zapalniczkę, ale ich nie wyjął.

Zapomniał o papierosie.

Bo jeżeli pomimo wszystko nie omyłka?

Samochódzniknął, płatki sztucznych fiołków nie spadają z nieba.

To wszystko fakt.

Józef miał klucz od szopy i poszedł liczyć sagi.

Kto wie, czy rzeczywiście do lasu i czy sagi miały w ogóle z tym coś wspólnego.

Tu słowa zawierały zupełnie inną treść, niż można by przypuszczać.

Zależniona do najwyższych granic.

To nie ulegało najmniejszej wątpliwości.

Wie o czymś.

O czymś strasznym, przerażającym, czego nie potrafi już dłużej znieść.

Lada chwila otworzy usta.

I wtedy.

katastrofa.

Może o Lesiewiczu, może o Świrskim, może o wszystkim.

„Jest bardzo wstrząśnięta.

Zażyła mnóstwo środków uspokajających.

Śpi biedactwo.

" Nowłaśnie.

Narkotyki też uspokajają.

Niekiedy na zawsze.

Ale jeżeli o nią chodzi.

Chyba nie.

Zawadzki tak ją kocha.

Papieros rozmiękł.

Gorzki smak nikotyny oblepił podniebienie.

Kostrzewa odplunął z obrzydzeniem.

Diabelski wynalazek te papierosy na czczo.

Wydawało się, że ją kocha.

Ale tu wiele tylko się wydawało, nie mając pokrycia w istotnym stanie rzeczy.

W rezultacie lichowie.

Jeżeli ktoś ma na sobie żakiet, to wcale nie dowodzi, że sam go włożył.

A płatek sztucznego fiołka mógł równie dobrze odpaść w zupełnie innej sytuacji.

Na przykład gdy kogoś przenoszą, nie zawsze są w stanie zwracać uwagę na takie drobiazgi.

Mogło być przecież tak.

Lesiewicz, potem Świrski, teraz bezbronna dziewczyna, która z niewiadomych powodów wyszła zaniemal trzykrotnie starszego mężczyznę.

No - wsunął obie ręce do kieszeni - ale tym razem sprawa nieutknie w martwym punkcie.
Zmusi go dowypłucia całej prawdy.

Wszystkozaszło już zbyt daleko, by bawić się w ceremonie.

III

- Proszę - głosgłuchy, bez żadnej intonacji.

Kostrzewa wszedł.

Uderzyłoweń wyczekujące spojrzenieszarych oczu.

- Czy pan gdzieś posyłałJózefa?

-Józefa?

Był zdumiony i nie potrafił tego ukryć.

Widocznie spodziewał się zupełnie innego pytania.

-Tak.

- Nie.

Nigdzie go nie posyłałem.

Ma pan do niego jakiś interes?

- Owszem.

Mam interes.

Powiedziano mi, że poszedł do lasu liczyć sagi.

- Nic mi o tym niewiadomo.

Znowu coś, co zaskakiwało.

Jeżeli którakolwiek z koncepcji była słuszna, powinien skwapliwie potwierdzić.

Nie potwierdził jednak.

Czyżby wszystkie okazały się fałszywe?

Spojrzał na niego z uwagą.

Twarcz jeszcze bardziej zmięta niż zawsze.

Siwaszczecinazarostu podkreślała ostrość rysów.

Nigdy dotychczas nie widział go nieogolonym.

Człowiek, który aż do przesady dbał o swą powierzchowność, i nagle.

Jakby przez tę jedność postarzał się o dobrych kilka lat.

- W takim razie chciałbym zamienić kilka słów z żoną.

Leżące dotychczas płasko i bez ruchu na kolanach ręce Zawadzkiego nagle drgnęły.

- Z..

- zająknął się.

-Z Zosieńką?

Kostrzewa nie odpowiedział.

Dziwne pytanie.

Jakby w tym domu przebywały jeszcze jakieś inne jego żony.

- To.

jest niemożliwe.

- Dlaczego?

Zerknął na zegarek.

- O tej porze jeszcze na pewno śpi.

-Trudno - westchnął z ubolewaniem Kostrzewa.

-W takim razie będziemy musieli ją obudzić.

166

- Nie będę jej budzić.

-To jest konieczne.

- Konieczne?

- przymrużył oczy.

-Proszę nie zapon-iinać, żeprzybył pan tu w charakterze zupełnieprywatnej osoby.

- Zapomniałem - oświadczył twardo Kostrzewa.

- Zapomniałem o wszystkim.

Chodzi o tak ważną sprawę, że niewolno mi pamiętać o niczym poza nią samą.

Zawadzki milczał.

Wpatrywał się w podłogę.

-Więc jejpan nie obudzi?

-Nie.

-Wobec tego nie pozostaje mi nic innego, jak do niej iść.

Ruszyłku drzwiom.

Nie warto tracić czasu na przelewaniem pustego próżne.

Chyba wszystko było właśnie tak, jak.

podejrzewał.

Dotarł już do progu,gdy zatrzymałgo głuchy głos Zawadzkiego.

- Szkoda fadygi.

Nie zastanie jej pan w spokoju.

Kostrzewa odwrócił się na pięcie.

Ach, więc jednak.

- A gdzie zastanę?

zapytał ostro.

Potrząsnął głową w jakiś całkiem bezradny sposób.

Aż dziwne, jak bardzo do niego ten ruch nie pasował.

Komedia?

- Nie wiem.

-Jak to: nie?

- Kostrzewa podszedł do niego.

-Pan przecieżmusi wiedzieć.

- Niewiem.

Ona.

wyjechała.

- Zgadza się.

- Kostrzewa stał przed nim i patrzył w pozbawioną jakiegokolwiekwyrazu twarz.

-Podejrzewałem to od samego początku.

Wyjechała moimsamochodem.

Żeby choć jeden mięsień drgnął na tej martwej twarzy.

Nic.

- Powiedziano mi, że skorzystała z ciężarówki, którą przysłano z rejonu.

-Powiedziano?

- Tak.

Nie widziałem, jak wyjeżdżała.

-Jakto możliwe?

- Zwyczajnie.

Okiennice były jeszcze zamknięte.

Pracowałem przez całą noc.

Może.

zdrzemnąłem się nad ranem.

Słyszałem silnik.

Powiedziano mi.

- powtórzył.

Chytrze.

Piekielnie chytrze.

Kostrzewę ogarnął mimowolny

167.

podziw. Nie widział. Powiedziano. Stalowe okiennice. Nie mógł wiedzieć. W krytycznym momencie nie mógł nijak zareagować.

- Kto powiedział? - Józef.

Kostrzewa zacisnął pięści. Znowu cały obraz uległ odwróceniu do góry nogami.

- Czy pańska żona prowadzi samochód? - Nie.

- Panie inżynierze - położył mu ciężko rękę na ramieniu. - Proszę się zastanowić. - Z trudem panował nad sobą. - Słyszał pan przecież, że pojechała moim wozem.

- Słyszałem - nawet na niego nie spojrział. - I co z tego? Nie mam pojęcia, co zaszło dziś o świecie. Przez cały czas przebywałem w czterech ścianach tego pokoju. Pancerne drzwi, pancerne okiennice. Cóż może wiedzieć człowiek odcięty od świata?

Intonacja głosu, wyraz oczu. Jeżeli grał, była to wspaniała gra. Ale jeżeli nie grał? Pewne rzeczy nie zgadzałyby się z tą rolą.

- Czy to był na pewno Józef? Przesunął ręką po czole.

- Zaraz... Spróbuję sobie przypomnieć dokładnie. Widzi pan... Jestem bardzo zmęczony. Tak, bezgranicznie zmęczony. .. Przychodzą niekiedy pewne stany, w których człowiek... A więc akurat się zdrzemnąłem... I ten warkot... Ocknąłem się... Zdziwiło mnie: skąd samochód? Zawołałem... Długo musiałem wołać. W końcu ktoś przyszedł... Nie, to nie był Józef. Kazia? Tak, ona... Przed chwilą rozmyślałem właśnie o Józefie i dlatego skojarzyło mi się, gdy pan zapytał.

Więc jednak nie Józef. Obraz zaczynał nabierać pewnego sensu.

- Czy Józef prowadzi auto?

- On? Nie widziałem, żeby prowadził. Ale może tak. On dużo rzeczy umie. Wprost trudno uwierzyć ile.

Kostrzewa oparł się o biurko. Bieg zdarzeń przybierał oszałamiające tempo. I jednocześnie...

Nie, niełatwo było tu cokolwiek rozwikłać. Wywieziono ją czy wyjechała dobrowolnie?

Jeżeli dobrowolnie, to z jakiego powodu?

Ale kto miał na te pytania udzielić odpowiedzi? Zawadzki

z góry odgradził się od wszystkiego. Słyszał tylko warkot motoru. Nic więcej.

- Jak to się mogło zdarzyć, że nie uprzedziła pana o zamierzonym wyjeździe? Nie potrafię tego zrozumieć.

Pytanie nie zabrzmiało tak, jak chciał je zadać. Nie mógł jednak zapytać: „Kazał pan ją wywieźć?”. Odpowiedzi szukał raczej w jego oczach niż w słowach. Nie znalazł. Zawadzki wprawdzie nie uciekł spojrzeniem, ale jego oczy nie mówiły absolutnie nic.

- Ona... już od dawna się skarżyła. Że z jej nerwami jest bardzo źle. Była bliska załamania.

Ustaliliśmy, że przy pierwszej okazji zasięgnie porady neurologa, który ją stale leczył...

- Pierwszą okazję stanowił mój samochód? - warknął Kostrzewa.

- Nie wiem... nie rozumiem... Nie wiem nic. Może...

- Co: może?

Ale w tej samej chwili z dworu dobiegł przeraźliwy krzyk. Krzyczała kobieta. Znowu. W głosie nuta najwyższego przerażenia.

Zawadzki nie podniósł głowy. Jakby nie słyszał. A przecież musiał słyszeć. Tylko na pobrużdżonym zmarszczkami czole wystąpiły ledwo widoczne kropelki potu.

Kostrzewa podbiegł do okna. Nie było stąd nic widać. Ale gdzieś poza polem widzenia narastał gwar tętniący gorączkowym podnieceniem.

IV

Wpadła Kazia. Włosy w nieładzie, twarz pozbawiona kropli krwi, wytrzeszczone oczy.

Uosobienie grozy.

- Koryciuk - zasłoniła twarz rękoma. - On... - dyszała spazmatycznie.

Słowa grzęzły w gardle.

- Koryciuk? - Zawadzki dopiero teraz oderwał wzrok od podłogi. Jakby oczekiwał tragicznej wiadomości, ale nie o Ko-ryciuku. - Co z nim?

- Nie żyje... Zarżnęli... Cały we krwi... - chrypiała przerywanym głosem.

Kostrzewa osłupiał. Co to miało znaczyć?

168

169

Chwiała się na nogach.

- Krew.

wszędzie krew.

Lada chwila upadnie.

Ujął ją mocno pod rękę i podprowadził do krzesła.

Usadowił, podtrzymując, żeby nie spadła.

Przelewała się w rękach.

- Proszę się uspokoić!

-Jakże.

- wybuchnęła gwałtownym szlochem.

-Przecież

on...

- Nie żyje?

-Skądby miał.

Trup.

Głowa calutka pocharatana.

- Komplet - suchy dźwięk głosu Zawadzkiego zabrzmiał jakoś całkiem nierealnie.

-Gdzie onjest?

- nastawał Kostrzewa.

Sytuacja stawała się absurdałna.

Ta zaraz gruchnie na podłogę, tamten.

Aletamtenbył ważniejszy.

Jeżeli jeszcze jakaś tam iskierka

życia.

- Gdziejest?

- huknął.

Nahisterię krzyk stanowiłniekiedy najlepsze lekarstwo.

Zamrugła oczyma.

Spojrzenie wciąż jeszcze błędne,jakbyniecooprzytomniało.

-Jak zdechłe zwierzę.

Tam.

- machnęła ręką gdzieśw przestrzeń.

-Pod śmietnikiem.

- Podśmietnikiem?

- słowa Zawadzkiego padły głuchymechem.

-Właśnie tam?

Zgadza się.

Co chciał przez to powiedzieć?

Nie byłojednakczasu na dociekania.

Kostrzewa energicznym ruchem postawił Kazię na
nogi.

- Proszę nas do niego zaprowadzić.

Prędko.

- Ja?

- szarpnęłasięcałym ciałem.

-Miałabym tam pójść?

Za nic.

- Idziemy.

Jestem przecież lekarzem.

Być może jeszcze żyje.

- Truup.

- wargi jej dygotały.

Popchną ją ku drzwiom.

- Prędzej.

Chciałaby Kazia mieć jego życie na sumieniu?

- Lekarz.

Prawda.

- szła już o własnych siłach.

-Jeżeli gonie całkiem zakatrupili.

Zawadzki pozostał na swoim fotelu.

Bodaj nawet niezmieścił

nił pozycji.

Kostrzewa nie myślał o nim.

Cóż on.

Alegdy był już na korytarzu, wizja nieruchomej sylwetki powróciła zszokującą mocą.

- Chwileczkę - zawrócił pędem do kancelarii.

Zawadzki jakimś nagłym ruchem odłożył dubeltówkę.

Nietak jednak szybko, by Kostrzewa nie zdążył zauważyć, w jakisposób ją trzymał.

To było oczywiste i jednoznaczne.

Zawadzki odwrócił głowę ku oknu.

- Niech pan nie myśli, że.

To były puste słowa.

Co tu możemy myśleć?

Sytuacja jasna jak na dłoni.

Kostrzewa w milczeniu przełamał broń.

W obu lufach śrut numer zero.

Zbepośredniej bliskości rozniósłby głowę nastrzępki.

I to nie mogłaby być komedia.

Nie.

W pokoju było gorąco, ale jakby nagły chłód przeszedł pokościami.

Śmierć szczyrzyła zęby z jakiegoś kąta.

Z jakiego?

Znowu przypomniał sobie Koryciuku.

Być może właśnie wydaje ostatnie tchnienie.

Jakiś niesamowity młyn.

Niedoszły samobójca znów sięgniepo broń, jeśli go się zostawi samego.

Na korytarzu mdlejąca Kazia.

Gdzieś pod śmietnikiem.

Oszaleć można.

Naboje poleciały z trzaskiem do szuflady.

Akcent absurdujeszcze bardziej podkreślił wesoły błyskspłonek.

Kostrzewa zatrasnął lufy.

- Czy naprawdę nie widzi pan innego wyjścia?

- rzucił przezramię.

Wolał w tej chwili nie patrzeć na niego.

- Wyjście?

- zawsze tak idealnie równy głos drgnął i załamał się.

-Gdyby pan wiedział.

Kostrzewa nie wiedział nic.

Może teraz jeszcze mniej niż dotychczas.

Ale pod śmietnikiem umierał człowiek.

- Idziemy - oparł rozładowaną broń o kant biurka.

-Ja..

tu zostanę.

-Jeszcze by tyłkotego brakowało.

Schwycił go za rękaw i pociągnął za sobą.

- Pójdziemy razem.

Być może będę tam potrzebować pańskiej pomocy.

Zresztą tak będzie lepiej.

Szedł bezwolnie.

To był już nie ten sam człowiek.

Jakby ziała usunięto kości.

171.

v

Jak zdechłe zwierzę.
Betonowy sześcian potężnego śmietnika.
Sterty gnijących
odpadków.
Widocznie nie wywożono ichod niepamiętnychczasów.
Zaduch bił mdlą falą wnozdrza.
Na śmieciach i wśródnich nienaturalnie skurezone ciało.
Tylko ręce rozrzucone szeroko.
Nie było pulsu.
Trup?
Kostrzewa jednak w dalszym ciągu
naciskał końcami palców napięstek.
- Nie żyje?
Ktoś szarpnął goza marynarkę.
Nawet się nie obejrzał.
Czyż
nie wszystko jedno kto?
Zresztą co miał odpowiedzieć?
Minęła niezmiernie długa chwila.
Wciążnic.
Ale skóra nabezwładnym ręku nie ziębiła chłodem śmierci.
I wreszcie ledwo wyczuwalnedrgnięcie.
Jeszcze nie był pewny, czy to nie jego własny puls.
Znowu.
Teraz już wiedział.
Nikłe, przerywane,
zamierające, ale przecież tętno.
- Żyje - przyklęknął bez wahania na cuchnącym śmietnisku.
-Dużo ciepłej wody, bandaże.
W mojej walizce mała czarnaskrzyneczka.
Prędko!
Tu chodzi o każdą sekundę.
- Zaraz przyniosę - poznał głos pani Loli.
- Proszę o klucze.
- Wszystko otwarte.
Szmer pospiesznych kroków.
Po chwili jeszczektoś pobiegł
w kierunkudomu.
Ruchy rąk Kostrzewy stały się zręczne i precyzyjne.
W tej
chwili był tylko lekarzem.
"Krew"- tłuło się gdzieś podczaszką.
Tak jak wtedy.
Otrząsnął się.
Ten człowiek ladamoment umrze.
Nieczas
na rozpamiętywanie.
Odwrócił leżącego na wznak.

Nie poszło łatwo.
Ciężki niczym bryłakamienia.
Nikt jakoś nie pomógł.
 Ktoś jęknął.
Potem czyjś szloch.
Ale to był już ktoś inny.
 Chyba kobieta.
 - Twarz jedna krwawaplama.
Wszędzie dookoła bardzo dużo krwi.
Walka musiała się odbywać nie w jednym miejscu.
Być może zresztą nie było walki.
Ciosy.
Ten człowiek otrzymał ich
 całenność.
 -Jest - oznajmił zadyszany głos.
 Kobieceręce podały czarną skrzyneczkę.
Najwyższy czas.
Tętno zaczęło przechodzić w nitkowane migotanie.
A toz regulacyjna nadciąganie agonii.
 Jeden zastrzyk, drugi.
To było najpilniejsze.
 - Pomóc?
- w zaduch wsiąknęła woń dyskretnych perfum.
-Skończyłam kurs sanitarny.
 Pani Lola.
Jak zawsze opanowana i jak zawsze energiczna.
Uklękła poprzeciwnie stronie, nachylając gładko zaczesaną głowę nad leżącym.
 - Proszę.
Może tymczasem obmyje mu pani twarz.
Lichowie, co wyskoczysz spod krwawej maski.
 W następnej sekundzie w długich palcach zaszarzał kłębek parujących szmatek.
 "Dzielna baba - skonstatował w duchu.
Taką by na chirurgię.
"Puls jakby trochę wyraźniejszy.
Ale w każdej chwili mógł paść z powrotem.
 - I tętno - dorzucił.
- Umie pani liczyć?
 - Umiem.
 Ujęła napiętek drugiej ręki Koryciuka.
 - No więc.
I gdyby coś nie w porządku.
 Twarz?
To nie było już twarzą.
Raczej miazga poszarpanych tkanek.
Skóra, mięśnie.
Palce pracowały ruchem przyzwyczajenia, niemal po omacku.
Oczy?
Ostrożnie podwinał krwawiące powieki.
Gałki nienaruszone.
Właściwie jakim cudem?

- Maść.

W zielonej tubce.

Klamerki.

Gaza.

Pinceta.

Przylepiec- komenderował jak na sali operacyjnej.

Podawała wszystko bezbłędnie i szybko.

Nabierał coraz większego zaufania do tej małomównej kobiety.

Kurs, który ukończyła, musiał być wyjątkowo dobry.

A może po prostu wrodzone zdolności?

Częściej używał przylepca niż klamerek.

Tu trzeba by ich nakładać dziesiątki.

W tej chwili najważniejsze było zatamowanie upływu krwi.

Itak Koryciuk stracił jej niezmiernie wiele.

Wprawnymi ruchami obmacał czaszkę.

Kość chyba nieuszkodzona.

- Jak tam puls?

- W porządku.

Nie sprawdzał.
Wierzył, że w porządku.
Tu zresztą każdy ułamek sekundy miał swoje znaczenie.
Kto wie, czy niedecydujące.

Nacisnął obrzmienie nad prawym okiem.
Było bardziej niepokojące niż wszystkie inne.
- Czyżby jednak kość?
- mruknął niepewnie.
Opuchłe, broczące wciąż krwią wargi drgnęły.
- Las.

cia.
te ognispe.
ranza.
Nie ma na.
dziei.
Anitu ani nig.
dzie.
Kość os os.
sis.
Śmieszne.
Spiż trwał.
szyod koś.
ci. Pamięć ludź.
ka trwał.
sza od spiżu.
Exe-gimoim.
ment ae-re pere-ni-us - wyskandował bezdźwięczny głos.
Niech będą przeklęte pomniki - zawołał wyraźnie igłośno.
Potem zamilkł.
Już tylko świszczący oddech.
-Co?

Oczy pani Loli stały się naraz ogromne.
Ręka Kostrzewy
znieuchomiła w powietrzu.
Brudny, nieokrzesany chłop siorbiący herbatę zalkoholem w kuchennej sionce.
i naraz.
Człowiek, który ani jednego zdania nie potrafił sklecić poprawnie.
Dante i Horacy.
Bagatela.

Bezsens całego tego bigosu przybierał rozmiary wprost kosmiczne.
Zmusi się do kontynuowania opatrunku.
Gdyby nawet beton podwórka zaczął cytować po hindusku Wedy.
Więcóż z tego?
To już właściwie nie robiło większej różnicy.

- Będzie żyć?
Pytanie Zawadzkiego tchnęło zupełnie zrozumiałym niepokojem.
Tylko że w tym wypadku niepokój można było tłumaczyć dwojako.
- Trudno w tej chwili orzec.
Przy takim upływie krwi.

Bandażowanie wreszcie dobiegło końca.

- Trzeba go przenieść na jakieś łóżko.

- On sypia w izbie przy szopie - wyjaśniła roztrzęsionym głosem Kazia.

Kostrzewa popatrzał krytycznie na sklecone z desek budynki.

Jedyna drewniana konstrukcja na terenie zabudowań
nadleśnictwa.

- Wolałbym jakieś nieco bardziej higieniczne otoczenie.

- Łóżek tu nie brak - powiedział Zawadzki.

- Choćby któryś

z pokoi gościnnych.

- I jeżeli chodzi o opiekę.

Bo jednak w tym stanie.

174

- Ja go będę doglądać - zaoferowała się bez namysłu pani Lola.

- Oczywiście pod pańskim nadzorem, doktorze.

VI

Jeszcze raz zbadał Koryciuka.

Teraz, w czystej pościeli, spowity w śnieżnobiałą gazę, nie sprawiał już tak tragicznego
wrażenia.

- Tętno zadowolające.

Gdyby osłabło, proszę dać cardiamid.

- Doustnie?

pani Lola zachowywała się niczym zawodowa pielęgniarka.

- Tak.

Teraz oddaję naszego pacjenta w pani ręce.

Muszę wrócić na miejsce wypadku.

- Wypadku?

- Przeciągnął Zawadzki.

- Cóż.

Zbrodnia też jest wypadkiem.

Ofiarę już niestety mamy, z kolei trzeba poszukać narzędzia.

- Chyba sprawcy?

- Oczywiście.

Ma pan jakieś podejrzenia?

- Ja? - zawahała się.

- Żadnych.

"Łżesz, bratku - skomentował w myśli Kostrzewa.

- Masz całą masę podejrzeń.

Amoże tylko jedno, ale za to właściwe?

"

- Ze względu na szczególne warunki naszej sytuacji lista podejrzanych jest raczej
ograniczona - zaczął, gdy już znaleźli się na dworze.

- Kto z mieszkańców nadleśnictwa mógłby mieć powód, aby zmasakrować Koryciuka?

Zawadzki milczał przez długą chwilę.

- Nie mam pojęcia.

- Jakies klótnie czy coś w tym rodzaju?

- W każdym razie nic z tego nie wiadomo.

To jest.

owszem kłócili się kilka razy z Kazią.

Kiedyś doszło pomiędzy nimi nawet do głośnej awantury.

Ale chyba ona.

- Nie - zaprzeczył kategorycznie Kostrzewa.

- Kobieta tuw ogóle nie wchodzi w rachubę.

Ciosy zostałyz całą pewnościązadane przez mężczyznę, i to mężczyznę wyjątkowo silnego. Gdyby na przykład ten wielki gajowy, który wtedy towarzyszyłŚwirskiemu.

- Bałabuch.

-No więc gdyby mikrośpowiedział, że Bałabuch miał doniego złość.

175.

- Nie mógł mieć złości... Koryciuk... On się raczej trzymał z daleka od pozostałych gajowych. Kostrzewa pokwitował te słowa suchym uśmiechem.

- Zrozumiałe. Człowiek z wyższym wykształceniem.

- Nie wiem, czy miał wyższe.

- Nie wie pan?

- Nie. Z dokumentów, które przedstawił przy przyjmowaniu do służby, to wcale nie wynikało. Żadnych świadectw szkolnych. Natomiast zaświadczenie o zwolnieniu z więzienia... - dodał po krótkiej pauzie.

- Ooo... - zagwizdał przez zęby. - Z więzienia?

- Tak. Zresztą nie siedział długo. Parę miesięcy.

- Za co?

- O ile pamiętam, został skazany z artykułu dwieście pięćdziesiąt siedem kodeksu karnego.

- Kradzież.

- Tak. Pytałem o to naszego radcę prawnego w Rejonie.

- Gdzie przebywał przedtem?

- Nie sprawdzaliśmy. Widzi pan... na tę posesję nie są wymagane jakieś specjalne referencje.

A o ludzi tu bardzo trudno. Rejon nie stawiał żadnych zastrzeżeń. Siedział, to siedział.

Przypuszczaliśmy, że przywędrował do nas, aby przeczekać, aż o tym zapomną. W takiej puszczy... - urwał.

„W takiej puszczy - dopowiedział sobie Kostrzewa - ty sam potrafiłeś przeczekać ładnych parę latek, zanim kolejne amnestie zmażą przeszłość.”

- Przez cały czas nie zdradził się niczym, że posiada jakieś wykształcenie?

- Nie. Wiedziałem, że umie czytać i pisać. Zresztą robił zasadnicze błędy ortograficzne.

Prawdopodobnie umyślnie. Aje-żeli chodzi o sposób wysławiania się, sam pan miał nieraz okazję słyszeć. Przypuszczałem, że najwyżej parę klas podstawówki.

- Dawno tu pracuje?

- Przeszło rok.

- Czy został przyjęty z czyjogoś polecenia? Minęła długa chwila, zanim odpowiedział. -Nie. Kostrzewa znowu wyczuł nieprawdę.

176

VII

Ponownie pod śmietnikiem. Rozbryzgi krwi zakreślały niemal z geometryczną dokładnością miejsce, gdzie znajdowała się przedtem głowa Koryciuka.

Narzędzie? Kostrzewa odtwarzał w myśli kształt krawędzi ran. Jakiś przedmiot o nierównym ostrzu. Zębate? Raczej nie. Rany zadane na przykład ostrzem piły miałyby zupełnie inny wygląd.

Szyjka rozbitej butelki? W swej praktyce szpitalnej nieraz miał do czynienia z tego rodzaju urazami. Bardzo możliwe. Tylko dlaczego w żadnej z ran nie znalazł szklanych okruchów.

A gdyby to była butelka z bardzo grubego szkła?

Rozglądał się z natężoną uwagą. Coś jakby stłuczka zielonego spodka. Ale to nie był spodek. Okrągłe dno butelki. Podniósł.

Owszem. Bardzo grube szkło. Chyba od wina. Pachniało jednak wódką. I to pośledniego gatunku.

Dno. Ale tym nie zmasakrowano twarzy Koryciuka. Zbyt równe brzegi. A gdzie reszta tej butelki? Żeby choć jakiś naj-marniejszy odłamek. Nic. Sprawca zabrał ze sobą? Nonsens. W ostateczności można przyjąć, że tę część, którą uderzał. Tylko że ta część z całą pewnością nie przylegała bezpośrednio do znalezionej dna. Kształt tak samo nie pasowałby do charakteru ran.

Tyle osób deptało po tych śmieciach. On sam zresztą również. Wtedy widział tylko umierającego człowieka, któremu tylko natychmiastowa pomoc może ocalić życie. Teraz zaś...

Podwójny zawód to niemal dwoistość jaźni. Coś w rodzaju schizofrenii. „Doktor Jekyll i Mister Hyde” - uśmiechnął się do swych myśli.

Zwalczając wstręt, zaczął przegarniać śmieci. Coś błysnęło zielonkawym lśnieniem. Spory kawałek grubego szkła. Niewątpliwie z tej samej butelki. Szukał dalej. Starał się jak najmniej wciągać powietrze. Słodkawy odór zgnilizny wywoływał mdłości. Przecież dziś jeszcze zupełnie na czczo...

Znowu kilka kawałków zielonego szkła. Ale to wszystko jeszcze nie to. Uderzenie w tył głowy. Potem?... Albo Koryciuk stracił przytomność, albo próbował się bronić. Raczej zemdlął.

Brak jakichkolwiek urazów na rękach.

Pierwszy cios niewątpliwie został zadany całą butelką.

Prawdopodobnie wtedy właśnie się rozprysnęła.

Piekielnie mocne uderzenie.

Napastnikowi została w ręku szyjka od butelki i właśnie tą szyjką.

Ale jeżeli ofiara leżała bez zmysłów?

Chciał ją wykończyć?

Charakter ran zdawałby się temu przeczyć.

Cała masa chaotycznych cięć zadawanych jakbyw jakiej szalonej furii.

Któżjednak tnie po twarzy, gdy chce mordować?

Szyja, tchawica, tętnice.

Ale twarz?

Wśród ohydnie lepkich odpadków coś twardego.

Wyrzebywał z trudem.

Stanowczo zbyt głęboko na jakieś przypadkowewdeptanie.

Widocznie sam sprawca.

Co za idiotyczny pomysł, żeby tużobok ciała ofiary.

Szyjkaod butelki.

Nie miał wątpliwości, żeta, której szukał.

Grube, zielone szkło, zygzakowata linia krawędzi obtłuczenia.

Oślizłe resztki czegoś przywarływ parumiejscachdo szkła.

Strzepnął je ostrożnie końcami paznokci.

Odciski palców?

Zanim dojrzał zawile wiązania pętli papilarnych na szkłe, wiedział, że muszą tam być.

Tego rodzaju narzędzie nie pasowałoby dodłoni wrękawicze.

- Tym?

- Zawadzki wlepił wzrok w szkło.

-Tak.

Owinął stłuczkę w czystąchusteczkę do nosa.

Drugaz kolei, którą trzeba będzie wyrzucić.

- Butelka - Zawadzki mówiłjakby do samego siebie.

- Ktomógłby.

- Kto?

- powtórzył machinalnie Kostrzewa.

Szalonej furia.

idiotyczny pomysł.

Dwie części tej samej całości.

Konkluzja nasuwała się z nieodpartą mocą.

Być może zresztąbłędna.

- Pod czyją opieką jest teraz ojciecJózefa?

-Pod niczyją.

On..

nie znosi widoku obcych twarzy.

Józefwychodząc zmieszkania, zamyka go na trzy spusty.

Ale.

chyba pan nie podejrzewa, że.

- Podejrzewam wszystkich iwszystko.

- Kostrzewa schowałdo kieszeni kanciastezawiniątko.

-Zamknięcie?

Musimy sprawdzić, jak się to przedstawia w rzeczywistości.

178

Drzwi Jednak były zamknięte.

W zamku aniśladu klucza.

- Które okna należą do ich mieszkania?

Zawadzki wskazał.

- Te.

W obu solidne kraty.

Stalowe pręty tuż obok siebie.

Wykluczone, aby ktoś zdołał się pomiędzy nimi przecisnąć.

Nawet ręki by się nie przepchnęło, a cóż dopiero mówić o reszcie?

- Jakież inne wyjścia?

- Nie ma żadnych.

Sam panteraz widzi, że.

- Nic jeszcze nie widzę - przerwał szorstko.

W tym domu.

No..

zdarza się przecież różnie.

Nie miał przy sobie narzędzi.

Pozostawiać Zawadzkiego samego?

Licho wie, co mu może strzelić do łba.

A znów taszczyć go ze sobą na górę.

Obejrzał zamek.

Fabryczna lichota.

Gdyby tak kawałek drutu.

Znalazł po chwilina betonie.

Wygiął w palcach.

Nie poszło łatwo, ale twardość miała również swoje dodatnie strony.

Wyszło coś śmiesznie niezgrabnego, powinno jednak pasować.

Spróbował.

Operowanie takim czymś wymagało znacznie więcej zachodu niż przy użyciu gotowego wytrychu.

Ale po upływie jakiejś minuty drzwi stanęły otworem.

- Niebezpieczny z pana człowiek - skomentował Zawadzki.

- Żeby zwyczajnym drutem.

- Trochę wprawy.

Zresztą doświadczony włamywacz zrobiłby to nawet zapałką.

W obszernej sionce troje drzwi.

Popatrzał pytająco na Zawadzkiego.

- Które?

Potem przystąpił do operowania przy wskazanych.

Pierwsze ruchy cokolwiek niepewne.

Bo jeśli zamek okaże się bardziej skomplikowany?

Naszczęście się nie okazał.

Zamknięcia nakażdym kroku, ale łączna ich wartość niemal równa zeru.

Oczywiście trudno sobie wyobrazić wariata manipulującego

wytrychami, widywał już jednak rzeczy znacznie bardziej zdumiewające.

Wielka izba o niskim suficie.

Zatęchłe powietrze dawno niewietrzonego pomieszczenia.
Na niechlujnym barłogu krępa postać.
Twarz porośnięta sił 79.

wą szczecina pozlepianego zarostu.

Zna wpół otwartych ust wypływało świszczące chrapanie.

Zawadzki zatrzymał się tuż za
progiem.

- On.

miewa ataki furii.

Leżącynie poruszył się.

Hałas otwieranych drzwi i obcych kroków nie dotarł widocznie do jego świadomości.

Kostrzewa podeszedł bliżej.

Ostra woń fuzlu tłumaczyła wszystko.

- Pijany - wyjaśnił, zniżając głos.

Nawet w czasie snu węzły mięśni rysowały się wyraźnie poprzez materiał podartej
marynarki.

Siłacz.

Gdy taki dostanie

ataku furii.

Nachylił się nad zwisającą bezwładnie prawą ręką.

Rdzawe plamy na wierzchu dłoni, rdzawe plamki na postrzępionym mankiecie, to samo na
rękawie, nawet na lśniącym z brudu kłapie marynarki.

Pochodzenie tych plam nie budziło najmniejszych wątpliwości.

Z pokrajanej twarzy Koryciuka krew musiała
tryskać na odległość.

Ale plamy nietrudno zmyć.

On, kto inny.

Licho wie, jak z tym właściwie było.

Odciski palców.

Ujął napiętek i podniósł ciężkie ramię.

Śpiący stęknął i poruszył się.

Nie otworzył jednak oczu.

- Niech go pan nie budzi - ostrzegł Zawadzki.

- Gotów nam

połamać wszystkie kości.

- Nie obudzi się - sprawdził pobieżnie tętno - choćby go
nawet krajalizywcem.

Opuszki brudnych palców były wilgotne.

Pot to doskonały utrwalacz.

Pobrać odciski palców na papierze.

Kto wie, jak wypadną?

Niemiał tu do rozporządzenia laboratorium.

Znacznie lepiej byłoby na gładkiej, twardej powierzchni.

Papierośnica?

Ale skąd ją wziąć na poczekaniu?

W końcu padł na pomysł:

lusterko.

Przycisnął jeden z palców śpiącego.

Sprawdził.

Matowe odbitki linii papilarnych zaznaczyły się ostro i wyraźnie.

Powtórzył operację z wszystkimi palcami.

Wyjął szyjkę butelki, odwinął, porównał oba komplety odcisków.

Nie zaszła nawet potrzeba użycia lupy.
Identyczność wprost
 biła w oczy.
 On - stwierdził bezapelacyjnie.
 Zawadzki wzruszył ramionami.
Bynajmniej nie ukrywał niedowierzania.
 -Jednak chyba jakaś pomyłka.
 - Nie ma żadnej.
Tegorodzaju biletywizytowe - zawinął powrotem szyjkę butelki - nie zawodzą nigdy.
 - Pomieszczenie, z którego nie miał wyjścia?
 -Musiał widocznie jakieś znaleźć.
W cudawierzę raczej niechętnie.
 - Klucze?
 -Może klucze dotknąłkieszeni leżącego.
Tu nie.
Przeszukał nieliczne sprzęty, nie pomijając żadnego zakamarka.
Zajrzałpodbarłóg.
Przetrząsnął śmierzdzącą pościel.
Kluczy nie było.
 Zawadzki obserwował go bez przekonania.
 - W takim razie co?
 -Nie wiem- nie przestawał się rozglądać.
Może Jakaś cholerna skrytka, której nie zauważył?
- to jest rzeczywiście pytanie.
 Skoronapadł Koryciuka pod śmietnikiem, rzeczjasna musiał w jakiśsposób stąd wyjść.
No i wrócić.
Ale którą?
 Śmietnik.
to słowo nasuwało jakieśkojarzenie.
Nagleprzypomniał sobie.
 - Co jest szczególnego w tutejszym śmietniku?
Zawadzki potrząsnął głową.
 - Nie rozumiem, o co panu chodzi.
Co może być szczególnego w śmietniku?
 - Wtym domu ustawicznie mamy do czynienia z rzeczami,które trudno znaleźćw normalnych budynkach.
Gdy dziewczyna oznajmiła, że Koryciuk został zmasakrowany pod śmietnikiem,pan natychmiast skomentował: "zgadza się".
 - Być może, że tak powiedział-łem.
 -Ale dlaczego?
 - Przed kilkoma miesiącami .
gdzieśpod koniec wiosnywłaśnie tam znaleźliśmy jednego z gajowych.
Był mocnopotłuczony i nieprzytomny.
Ponieważ czuć było odniego alkohol, sądziliśmy, że pobiłsię z kimś po pijanemu.
Takie rzeczydzarzają się przecież.
Twierdził jednak, że został napadniętyod tyłu i niezdaje sobiesprawy przez kogo.
Wyśmiano go.
Gdy tylko był w stanie utrzymać się na nogach, porzucił pracę.
181.

- Czy znaleziono przedmiot, którym go pobito?

-Nie.

Nikomu nie wpadło na myśl, aby szukać.

Nie wierzyliśmy zresztą w jego wersję.

Bójki, rzecz inna.

Ale żeby ktoś kogoś ni stąd, ni zowąd atakował od tyłu.

- Czy zaszło to w tym samym miejscu, gdzie dziś leżał Koryciuk?

-Nie potrafię określić, czy akurat w tym samym.

Ależ całą

 pewnością w pobliżu.

Wtedy też podniesiono alarm, że "podśmietnikiem".

Prawdopodobnie stąd właśnie mój, jak to pan

 nazwał, "komentarz".

Kostrzewa odchrząknął z namysłem.

-jak tu jest z podziemną kondygnacją?

- Piwnica.

Owszem dość obszerna, ale.

- Czy są tam grzejniki?

- padł nieoczekiwane pytanie.

- Wyłączone - odpowiedział zdziwionym tonem Zawadzki.

-Józef tam przechowuje ziemniaki.

Ale co grzejniki mogą

 mieć wspólnego?

- Sądzę, że mają dużo wspólnego.

Czy oglądał pantę piwnicę?

-Nie.

- No tak.

Gdzie się znajduje zejście?

 Zawadzki rozejrzył się.

- O ile pamiętam, chyba gdzieś tu - pchnął nogą duży kosz,

 odsuwając go w bok.

Na odsłoniętej podłodze zarysował się prostokątne wieko.

Właz.

Kostrzewa zaglądał przed kilkom minutami do tego kosza, szukając kluczy.

Skąd mógł się domyśleć, że właśnie pod nim.

 Pokrywa otwierała się zupełnie zwyczajnie - ujął stalowe kółko.

 Ciężka kłapa podniosła się zdumiewająco lekko.

Sprężynowy automat w rodzaju stosowanych w tapczanach.

Tylko oczywiście wielokrotnie potężniejszy.

 Światło latarki spłynęło wzdłuż żelaznych schodów.

- Podróż w nieznaną.

Kostrzewa postawił nogę na pierwszym stopniu.

- Przypuszcza pan, że jakieś ukryte wyjście?

- Raczej nie bardzo ukryte.

Korytarz wyjściowy na trasie: pokój "nieszkodliwego szaleńca" - śmietnik.

Śmietnik jak na mój gust posiada zbyt monumentalną konstrukcję i w jego pobliżu

 dzieją się tak zdumiewające rzeczy.

182

-Józefby zameldował.

- Powinien zameldować - sprecyzował Kostrzewa.
Sądę, że wiele rzeczy powinien robić, ale nie robił.
Za to robił inne, których nie powinien - był już na dole.
W prostokącie otwartego wjazdu zarysowała twarz Zawadzkiego.
- Na wszelki wypadek przypilnuję klapy.
Bogdyby się ten
nieszczęśnik budził.
- Słusznie - reflektor zataczał powolny krąg.
Jaskrawy odbłask wędrował powoli po jednolitych ścianach z betonu.
Nagle świetlistą plamą znieruchomiła na stalowej płycie.
- Drzwi - oznajmił głośno.
Zgóry nie było tego widać.
- Wszystko się zgadza.
Może by pan zszedł tu do mnie?
Ale głowa Zawadzkiego nagle zniknęła z pola widzenia.
Kostrzewa, który już szedł ku drzwiom, przystanął z wahaniem.
Licho wie, co to miało znaczyć.
Tu każda drobnostka mogła prowadzić do jak najbardziej tragicznych powikłań.
Jeżeli na przykład zatrzaśnie klapę?
Nie starczy czasu, aby mu w tym
przeszkodzić.
Może jednak zdąży dopaść schodów i.
Właśnie w tej chwili Zawadzki zjawiał się z powrotem w obramowaniu wjazdu.
- Na górę - zawołał podniecony.
- Prędko!
Ktoś krzyczy.
Obawiam się, że znowu coś się stało.
Wypadł lido sionki.
Rzeczywiście ktoś krzyczał.
Jakby w budynku nadleśnictwa.
Nie można było zrozumieć, o co chodzi.
Ani poznać kto.
Alarmujący głoś, to wszystko.
Gdzieś trzaskały drzwi, odgłosy biegnących szybko kroków.
Znowu krzyk.
- Jeeerzy!
Jakby Kopankiewicz.
- Tu jestem - huknął na całe gardło Zawadzki, wybiegając na dwór.
Kostrzewa przez moment zastanawiał się nad zamknięciem drzwi.
Nie zamknął ich jednak.
Po co tracić czas, skoro tamten tak może wychodzić, gdy mu przyjdzie ochota?
- Jerzy.
- na tarasie zaczęła przysadziasta sylwetka pisarza.
Pędzili mu na spotkanie.
Co znów takiego zaszło?

- Nareszcie - Kopankiewicz ciężko oddychał, jakby miał zasobą wielokilometrowy bieg.
- Szukałemwas wszędzie.

- Do rzeczy - Zawadzki złapał go ostro za ramię.

- Gadaj!

Wszyscy jużdotarliśmy do ostatecznych granic zdrowego rozsądku.

Co sięstało?

- Te.

le..

fon - wysapał.

- Telefon?

- Zawadzki patrzył na niego osłupiałym wzrokiem.

- Tak.

Z Powiatowej Komendy Milicji.

Porucznik Wisiorek.

- Kosiorek- sprostował automatycznie Zawadzki.

Widać było, że nad czymś usilnie rozmyśla.

Czołoprzecięłapreğa nabrzmiałej żyły.

Twarz bardzo blada,a jej wyraz.

- To.

znaczy.

- Znaczy, że wreszcienaprawili linię - dopowiedział wesołoKopankiewicz.

- Że wysiadamy z bezludnej wyspy.

Że wszystkopowraca do normalnego stanu - odzyskał już całkowicie zdolność głosu.

- Normalny stan - głosZawadzkiegobył bezdźwięczny i jakby jakiś bardzo daleki.

Kostrzewa naglezdał sobie sprawę, że nawiązanie łączności musimi oznaczać dla Zawadzkiego zupełnie coś innego niż to, copowiedział Kopankiewicz.

- Czego stoisz, jakby cięwbetonowali?

- zniecierpliwił siępisarz.

-On tam czeka przy telefonie.

- Czekaj.

tak.

Karuzela - tozabrzmiało tak nieoczekiwanie, że w pierwszej chwili nie zrozumieli.

- Co?

-- wytrzeszczył oczy Kopankiewicz.

- Zaczyna się kręcić.

- wciąż jakby mówił w hipnotycznymśnie.

-Jaka znów karuzela?

Co ty bredzisz?

- Nic.

Idziemy.

Gdy ruszyli w kierunku tarasu, Kopankiewicz pozostał w tyle, sygnalizując, że chciałby porozmawiać zKostrzewą.

Ten

zwolnił kroku.

- Coś jeszcze, o czym nie chciał pan przy nim mówić?

-Nie.

Chodzi mi o niego samego.

Niedobrzez nim.

Jak panuważa?

184

- Nie bardzo dobrze - przyznał.

- Ale z kimtu właściwie jest dobrze?

- Racja.

Gonimy ostatkami.

Tylko że on.

Zaczynam się go obawiać.

Widział pan kiedy drzewo o spróchniałym pniu?

Stoi jak gdyby nic i nagle trzask.

Żeby nie doszło do jakiejś katastrofy.

Nie wiem, co go gryzie, ale że gryzie paskudnie, szkoda gadać.

Na dobrą sprawę powinno się go ani nachwilę spuszczać oczu.

Diabli wiedzą, co mu się roi.

Pani Zosieńka.

Muszę z nią chyba porozmawiać na serio.

Ona ma na niego ogromny wpływ.

Niech przestanie wreszcie rozmyślać o niebieskich migdałach.

- Wyjechała.

Kopankiewicz aż przystanął.

- Jak to wyjechała?

- Widocznie nic jeszcze o tym nie słyszał.

- Dokąd?

Kostrzewa zawahał się.

Powiedzieć mu?

Przy jego zdolnościach stwarzaniu makabrycznego nastroju.

I bez tego jest chyba dostatecznie makabryczny.

- Porada u neurologa - wyjaśnił lakonicznie.

- Czym pojechała?

W jaki sposób?

- Domagał się szczegółów.

- Samochodem.

Gdy wróci, sama nam wszystko opowie - przeciął zdecydowanie temat.

Wróci?

Przyszłość była raczej niezmiernie mglista.

Zawadzkiego zastali jeszcze przy telefonie.

- Przyjadą tu za dwie godziny - rzucił przez ramię.

- Zapytaj, czy przywiozą psa - podsunął Kopankiewicz.

Ręka Kostrzewy wykonała nieokreślony gest.

- Pies?

Na terenie, z którego dopiero co ustąpiła woda?

- Słusznie - osowiał.

- No więc nie pytaj.

- Natomiast - Kostrzewa nagle przypomniał sobie o pacjencie - koniecznie trzeba powiedzieć, żeby przysłali sanitarkę.

Stan Koryciuka jest poważny.

Muszą go umieścić w szpitalu.

Również ojca Józefa.

Jest niebezpieczny dla otoczenia.

Zawadzki powtórzył do mikrofonu.

Potem długo tłumaczył w czym rzecz.

- Przyślą - odwiesił słuchawkę.
- On mówi, że nikomuniewolno opuszczać terenu nadleśnictwa.
Kostrzewa popatrzał w okno.

185.

- To zupełnie normalne.

-Normalne?

- parsknął gniewnie Kopankiewicz.

-Nonsens.

Przez tyle dni każdy, kto chciał, mógł sobie wędrować, gdzie gooczy poniosą i nagle.

Wędrowalirezstą przecież - dorzucił pochwili - Lesiewicz, Świrski.

Słyszałem, że podobno pani Zosieńka również nasopuściła?

- zwrócił siędo Zawadzkiego.

- Tak.

Czuła sięostatnio tak bardzo źle.

Wizyta u lekarzastała się nagłą koniecznością.

Sam wiesz, jak niezmiernie jest

krucha.

-Jasne.

Tylko że nic o tym nie wspominała.

Wszystkim nampewno przyda się kuracja w zakładzie dla nerwowo chorych.

- prawdopodobnie w pierwszej chwili zamierzał użyćdosadnego określenia.

- Pani Zosia.

Mam nadzieję, że na tym zamykasz lista niespodzianek dzisiejszego poranka?

Chyba nikt więczejnie odpłynął z naszegookrętu?

- było to zresztą raczej stwierdzenie niż pytanie.

-Józef-powiedział bez namysłu Zawadzki.

-Józef?

"Święci Pańscy", jak powiada nadobna Kazia.

A tego gdzie znów diabli ponieśli?

- Również do miasta.

-Również - przedrzeźnił.

- Ale chyba nie porada uneurologa?

Bo o nim raczejtrudno byłoby powiedzieć, że jest nadmiernie kruchy.

Zawadzki nie odpowiedział.

Kostrzewa pogwizdywał cichodo wtóru swoim rozmyślaniom.

Było rzeczywiście bardzo dziwnie.

Wszystko.

"Karuzela siękręci" - powiedział Zawadzki.

Diabelskakaruzela.

Być możebardziej diabelska, niż to można było w tej chwili przypuszczać.

W MATNI

- Co oni.

- palec Zawadzkiego gładziłszkiełko zegarka.

Dochodzi pierwsza.

Chyba rzeki nie wystąpiły znów z brzegów?

- Przyjadą -uspokajał go Kostrzewa.

- Ostatecznie wiedzą, że w obecnej sytuacji niezachodzi potrzeba natychmiastowejinterwencji.

Wszystko, co się miało stać, już się stało.

- Tak pan sądzi?

- znowu ten trudny do zdefiniowania ton.

- A pan nie?

- spojrzął mu w oczy, ale nic to nie dało.

- Nie wiem.
Nie potrafię jakoś.
- przesunął ręką po czole.
- Wie pan, nie czuję się dobrze.
Kostrzewa przyjrzał mu się z uwagą.
Bładość twarzy niewróżyłanic dobrego.
Przy chorobie wieńcowej ciągłak silnychwzruszeń.
- Źle się pan czuje?
- chciał zbadać mu puls, Zawadzki jednak gwałtownie cofnął rękę.
- Głupstwo.
Po prostu histeria.
Pod tym względem starsi panowie przypominają niekiedy pensjonarki.
- Podszedł dookna, otworzył je na oścież.
-Duszno tu- przez chwilę łąpałpowietrze szeroko rozwartymi ustami.
- Kaziu!
- żadnego echa.
-Antoniowo!
- ale i na to wezwanie nikt się nie zjawił, - Wymarły dom.
-przystawił krzesło dookna.
Niektórzy powiedzieliby: "przeklęty".
Może i naprawdęjest przeklęty - usiadł ciężko.
-Jerzymówi: "wysiadka z bezludnej wyspy".
Sam pan widzi, jakie bezludzie.
Nikogo, kto chciałby pomóc.
;
- Nie pozwala pan sobie pomóc - stwierdził łagodnie Kostrzewa.
-Nie mówię o pomocy lekarskiej.
Jeszcze niejest zemnątak źle, żebym jej potrzebował.
Jeszcze nie.
Ale szklanka herbaty.
Mocna herbata to dla mnie skuteczniejszy lek odwszelkich kropelek.
Proszę mi wierzyć.
Nieraz już.
I co za
187.

idiotyczna sytuacja.

Zdawałoby się tylko parę kroków.

Ale bywaj tak, że nawet jeden krok to niezmiernie daleko - zakończył jakimś jakby pełnym poczucia winy uśmiechem.

Widać było, że wstydzi się własnej słabości.

To nie mogłoby być udane.

Symulacja nie wchodziła w grę.

Wiedział zresztą, że

ma przed sobą lekarza.

Mocna herbata?

Lepsza byłaby tu nitrogliceryna.

Skoro jednak chciał tylko herbaty.

Stanął bok Zawadzkiego i wychylił się przez okno.

- Panno Kaziu!

- huknął na cały głos, aż w uszach mu zaświdrowało.

Nic.

- Jest tam kto?

- zniecierpliwili się.

Rzeczywiście

jak na pustyni.

- Sam pan widzi westchnął Zawadzki.

- W tym sęk, że wręcz przeciwnie - Kostrzewa był już zły.

- Nikogo nie widzę.

- Potraciły głowy.

- To jeshczenie powód, żeby udawać nagłą głuchotę.

Cóż.

przyniosę panutę herbatę - nie miał ochoty zostawiać go samego, ale niewidział innego wyjścia.

- Pan?

- Korona mi z głowy nie spadnie.

Tylko nieręczę, że będzie

gorąca.

- Wrzątek stoi cały dzień na kuchni.

I jeżeli by pan naprawdę zechciał.

"Stoi - pomyślał Kostrzewa już na korytarzu - albo i nie.

"

Dzieńtak pełny wrażeń.

Choć czy tu w ogóle bywało inaczej?

Czas się przyzwyczaić do nadzwyczajności.

Podobno nawet do dłubania szpilką w oku.

W kuchni nie zastał nikogo.

Jak zawsze zalaływało mocnym czadem.

Podpłyta buzował ogień, pryskając czarnym mizugamidymu.

Zajrzał do pokoiku.

Pusto.

Służba od siedmiu boleści.

Rajują sobie gdzieś i niech się cały świat wali.

No więc cóż.

Nie warto robić piekła o szklankę herbaty.

Na płycie olbrzymi imbryk.

Wziął pierwszą z brzegu szklankę.
Potem przypomniał sobie: "Dziwactwa starszego wieku, doktorze, lubię pić z własnego naczynia".

Szklanka w metalowej podstawie stała zresztą tuż obok.
Niby drobnostka, a przecież też może mieć jakieś tam znaczenie.

188

Samopoczucie człowieka chorego na serce.

Tego nie wolno

ignorować.

Nie żałował esencji.

Płyn był teraz niemal czarny.

Ze szklanki biła intensywna woń herbaty.

Zawadzki siedział tak, jak go Kostrzewa zostawił.

Chyba się w ogóle nie poruszył przez cały czas.

Barwaskórnyna jego policzkach wciąż była niepokojąca.

- Herbata - wyciągnął ręce.

- Jaki pan dobry, doktorze.

I taka mocna.

- Pan nadleśny wołał?

- w drzwiach stała Kazia.

Oczy podpuknięte i bardzo przekrwione.

Koryciuk stanowił widocznie poważną pozycję w jej życiu.

- Tak - oczekiwany przez Kostrzewę wybuch gniewu nie nastąpił.

- Chciałem, żebyś mi podała herbatę.

Ale trudno tu się kogoś dowołać.

Możesz odejść machnąć niemrawo ręką.

Pan doktor sam mi ją przyniósł - sprawiał wrażenie niezmiernie zmęczonego.

Kazia otarła oczy rękawem fartucha.

- Bo.

ja - zająknęła się, zerkając nieśmiało ku Kostrzewie - chciałam zapytać względem Koryciuka.

Od historii z pachnącą herbatą zawsze odnosiła się od niego wrogo.

Ale w tej chwili miała tak nieszczęśliwą minę, że zrobiło mu się jej żal.

- Mam nadzieję, że wyżyje.

Zanim zdolał się zorientować, poczuł wilgotne wargi na swojej dłoni.

II

Przeciągłe wycie syreny milicyjnej.

Kostrzewa wyjrzał.

Nic jeszcze nie było widać.

Właściwie dla kogo ta parada na pustej szosie?

- Już są - szepnął Zawadzki - już.

- opuścił trzymaną oburącz szklankę na kolana.

- Chyba wyjdziemy im na spotkanie?

Czuje się pan nasiłach?

- Nie - potrząsnął głową - jeszcze mi trochę niewyraźnie.

Nie chciałbym robić przedstawienia.

Zaraz mi przejdzie.

Jeszcze parę minut i wrócę do formy.

189.

-Ale.

- Niech pan tymczasem obejmie rolę gospodarza.

Bardzoproszę.

Ostatecznie jest pando pewnego stopnia gospodarzemtego wszystkiego, co się tutaj dzieje.

-Ja? W jakim sensie?

- Miałem na myśli śledztwo.

Przecież pan je prowadzi.

- Śledztwo - Kostrzewa machnął ręką - jeżeli to w ogóle można nazwać śledztwem.

- wcale nie był pewny, czy to odpowiadało prawdzie.

"Gospodarz tego wszystkiego, co tu się dzieje"?

Można to tłumaczyć na różne sposoby.

Diabli wiedzą, czy to nie aluzyjka z rodzaju tych, jakimi obficie szafował Świrski.

Aluzjawłaściwie do czego?

Wycie syreny narastało z każdą chwilą.

Ale wciąż jeszcze nie

był widać samochodu.

- Niech pan już idzie - Zawadzki podniósł szklankę do ust i upił skąpy łyk.

- Trzeba ich przecież jakoś wprowadzić w sprawę.

Któż to ma uczynić?

Jerzy?

Sam panwie, jak to jest z twórcami.

Często przyjmują wytwory własnej fantazji za rzeczywistość.

I gotowi skakać każdemu do oczu, że to, co się im tylko wydawało, zaszło naprawdę.

On nie jest pod tym względem wyjątkiem.

- Dobrze, przyjmę ich w pańskim imieniu - Kostrzewa machinalnym ruchem obciągnął kurtkę.

-I niech pan powie im wszystko, co wie.

To ogromnie ułatwi pierwsze kroki.

Pan wie bardzo dużo znowu coś w rodzaju znaczącego podkreślenia.

- Niestety, wcale nietak bardzo.

Ale się postaram.

Prędko pan przyjdzie?

- Prędko.

Dopiję tylko sobie w spokoju herbatę i będę

gotów.

Gdy Kostrzewa wychodził z pokoju, pożegnał go dziwnym uśmiechem.

Nito żalony, ni to triumfujący, ni to jedno pomieszane z drugim.

I jakby coś zapowiadał.

Co? Tknęło go niedobre przeczucie.

Przystanął.

Może pomimo wszystko lepiej nie zostawiać go samego?

Ale za oknem zgrzytnął ostro naciśnięty hamulec.

Wóz milicyjny był już namiejsu.

Niech pan idzie, doktorze!

ponaglił znowu Zawadzki.

-Nie można tak.

Jeżeli na dole nikogo nie zastaną.

190

Kostrzewa jeszcze się wahał.

- Może mnie pan tu zostawić z zupełnie spokojnym sumieniem- dodał Zawadzki, jakby czytając w jego myślach.
Ja naprawdę tylko wypiję herbatę.

"Licho go wie" - Kostrzewa wyszedł z ociąganiem.

Ale zdejmując rękę z klamki, wcale nie był przekonany, że postępuje tak, jak powinien.

III

Ochlapany błotem "łazik".

Cztery sylwetki w mundurach wyskoczyły jak z procy.

Dwie zatrzymały się przy bramie, jedna na środku podwórza, ostatnia natarasie.

Wszystko biegiem, bez

najmniejszego wahania.

Było oczywiste, że plan operacyjny został opracowany z góry.

"Blokują wyjścia?"

" - Kostrzewa obserwowała scenę z zainteresowaniem.

"Nikomnie wolno opuszczać teren nadleśnictwa" i teraz.

Po tylu dniach?

Kopankiewicz miał rację: śmieszne.

Ale pochwilnie wydawało się już tak śmieszne.

Bo jeśli mieli jakieś dane, że morderca wciąż jeszcze przebywa w nadleśnictwie?

Oficer wysiadł z samochodu dopiero wtedy, gdy tamci zajęli już stanowiska.

Dlaczego?

Niczym jakiś wódz obserwujący manewry swoich wojsk.

Szedł przez podwórze przesadnie sprężystym krokiem.

Zupełnie jakby podskakiwał.

Na widok stojącego w holu Kostrzewy przystanął wyczekująco.

Kostrzewa przedstawił się.

- Aaa - przytrzymał jego rękę oburącz.

- Nasz sławny kolega.

Szkoda, że to koleżeństwo należy już do przeszłości.

- Byłoby wiele niższy od Kostrzewy musiał zadzierać głowę.

Wzrok natrętny, niemalświdrujący.

- Z góry cieszyłem się, że tu pana zastanę.

Taki as.

Nie, proszę nie zaprzeczać.

Skromność uzupełnienie na miejscu.

Wszyscy przecież wiedzą.

Na pewno wiele się przy panu nauczymy.

Prawda, zapomniałem się przedstawić.

Porucznik Kosiorek do usług.

Nazwisko oczywiście nic panu nie mówi.

Trudno.

Nie każdy może być tak sławny.

Kostrzewa ocenił go dyskretnym wzrokiem.

Mundur czy!

ściutki, świeżo odprasowany.

Lakierowane oficerki.

Podwyż 191.

szone obcasy?

W każdym razie niewątpliwie znacznie wyższe.

niż na ogół noszą mężczyźni.

Szczególnie do służbowego munduru.

Pragnął w ten sposób nadsztukować niski wzrost?

Sprawiało to dość groteskowe wrażenie.

Włosy gładko ulizane.

Zapach brylantyny i jakiejś mocnej wody kolońskiej.

Być może były to nawet perfumy.

Oficer milicji wyruszający na akcję w terenie.

Mówił wciąż jeszcze same przyjemne rzeczy.

Ale zbyt wiele błotnych przyjemnych rzeczy i za długo je wygłaszał.

Do tegowszystkiego jeszcze gadatliwy.

Coraz bardziej tracił do niego przekonanie.

Co zaprzekł typech.

Tutrzeba było kogoś zgłową na karku.

Rozplątanie tego diabelskiego kłębka to nie bułka za grosz.

Może zresztą niepotrzebnie się uprzedzał.

Powierzchność nie musiała odpowiadać wewnętrznym wartościom.

Chociażby nawet była śmieszna.

Kosiorzek gadał w dalszym ciągu i pachniał szokująco.

- Oczywiście weźmie pan udział w śledztwie i będzie asystował przy przesłuchaniach.

- To jednak byłoby trochę niezgodne z przepisami.

- Przepisy?

- machnął ręką.

- W stosunku do pana?

Kostrzewa nie miał zaufania do słodkich słów i pachnących zbyt intensywnie mężczyzn.

Jednak wobec tak kuszącej propozycji nie potrafił zachować początkowego chłodu.

- Chętnie.

Nie zapominajcie jednak, że mnie również trzeba będzie przesłuchać.

Kosiorzek roześmiał się.

- Pana?

No tak, oczywiście.

Nie zapominam.

Ale to już naszym końcu.

Czysta formalność.

Zresztą - zastanowił się, - Kto wie.

Gdy zacznie pan sypać z rękawowszystkim, co zdoła ustalić na własną rękę.

- Niewiele tego będzie.

- Skromność.

Znamy się na tym - przymrużył porozumiewawczo oko.

- Od kogo zacząć przesłuchiwanie?

Ach, prawda.

Zawadzki wspomniał mi o tej historii z Koryciukiem.

Może on mógłby nam powiedzieć coś ciekawego?

Nie ma dymu bez ognia.

Swoją drogą trudno uwierzyć, że dali mu radę bez użycia armaty.

Kawał chłopa.

- Jest nieprzytomny.

192

- Mówi się trudno i kocha się dalej.

Jakieś podejrzenia ten temat?

- Tak.

Ojciec Józefa.

- Ten wariat?

No proszę.

Z wariatami nigdy nic nie wiadomo.

A ja już węszyłem sensację.

Ależ też zostawili go bez dozoru.

- On często pozostaje bez dozoru.

- I łązi gdzie mu przyjdzie ochota?

- Józef go zamykał mieszkaniu.

- Dlaczego więc tym razem zostawił drzwi otwarte?

Trzeba go będzie pociągnąć do odpowiedzialności.

- Drzwi były zamknięte.

- Zamknięte?

W takim razie w jaki sposób?

Koryciuk właził do niego, czy co?

- Nie.

Napad miał miejsce pod śmietnikiem.

Przejście prowadzące z piwnicy na dwór.

Wytrzeszczył oczy.

- Ukryte przejście?

Żartuje pan?

- W tych zabudowaniach nie brak ukrytych przejść.

Dziwne, ale prawdziwe.

Ostatecznie te budynki wchodziły w system umocnień obronnych.

- Umocnienia obronne?

- Pokiwał głową.

- Prawda.

Słyszałem już coś o tym.

Musi pan wiedzieć, że jestem tu niepo raz pierwszy.

Różne tam włazy, klapy, podziemne korytarze, miny i inne z tych rzeczy.

Ale jeżeli chodzi o piwnicę oficyny.

Zwiedzaliście to przejście, którym wyskoczył ojciec Józefa?

- Nie.

Widziałem tylko drzwi.

Odwołano mnie akurat na górę.

Ale nietrudno dodać dwa do dwóch.

- Drzwi - odchrząknął.

- Były otwarte?

- Nie zdążyłem sprawdzić.

Dziś wszystko szło w piorunującym tempie.

- Wyobrażam sobie.

Zresztą nic straconego.

Sprawdzi się.

- To z całą pewnością on.

- Aż pewność?

Naczym ją opieracie?

- Odciski palców na narzędziu zbrodni.

Sprawdziłem.

Są identyczne.

- Co stanowiło to narzędzie?

- Butelka - Kostrzewa sięgnął do kieszeni.

193.

- A gdzie się podziewa inżynier?
- Kosiorek spojrzawszy wyczekująco ku drzwiom.
- Ostatecznie jeżeli ktoś na gwałt wzywa milicję, to wypadałoby.
- Zapewne.

Tylko że właśnie źle się poczuł. Kazał przeprosić.
Przyjdzie zresztą zaparęminut.
- Coraz lepiej.

Jeden nieprzytomny, drugi źle się czuje.
Któż nam wobec tego pozostaje?

Kazia, która pewnonic nie wie, i ta druga.
- Antoniowa - podpowiedział Kostrzewa.
Niech jej będzie.

Ale wie pewno jeszcze mniej.

Jest poza tym ktoś z tutejszej służby?
- Józef zniknął.
Kosiorek wyjął wieczne pióro i zaczął je odkręcać.

Poświęcał temu stanowczo wiele więcej uwagi, niż ta prosta czynność wymagała.
- W jakim sensie zniknął?
- Niby to poszedł do lasu liczyć sagi, czy coś w tym rodzaju.
Zawadzka stanowczo zaprzecza, aby go tam posyłał.

Jednocześnie ulotnił się mój samochód.
- Ciekawe - Kosiorek nie odrywał oczu od swego pióra.
- Poza tym dziś rano wyjechała stąd pani Zawadzka.

Podobno do miasta, aby zasięgnąć porady neurologa.
- Kobiety jak najczęściej powinny odwiedzać neurologów - wygłosił sentencjonalnie Kosiorek.

- Życie mężczyzn byłoby wiele łatwiejsze.

Wobec tego Kaziai jak jej tam, Antoniowa?

Było wprost dumiewające, jak mało zainteresowała go wiadomość o zniknięciu Józefa, wyjeździe pani Zosi i zabranii samochodu.

Kostrzewa usiłował dojrzeć wyraz jego twarzy.

Niezdolał jednak.

Wprawdzie Kosiorek już schował pióro, dla odmiany jednak teraz szukał czegoś w swojej teczce, pochylając nad nią niskogłową.

Wyraźnie unikał patrzenia w oczy.

Zwyczajny sposób postępowania czy też coś zupełnie innego?

- Jest jeszcze pan Jerzy Kopankiewicz.

Jegożona doglądała tej chwili Koryciuka - uzupełnił po krótkiej pauzie.

- Kopankiewicz?

- powtórzył.

- Nie słyszałem.

Kto to taki?

- Autor powieści kryminalnych.

- Tego tylko jeszcze brakowało - stęknął komicznie.

-Jaknas zacznie czarować, nie będziemy wiedzieli, na jakim świecie
194
żyjemy.

Znam takie typy.

Trudno.

Tak czy inaczej musimy zaczynać.

Ponieważ nie chce mi pan poradzić, zastosujemy porządek alfabetyczny.

Na początku: Antoniowa.

Potem Kazia.

Dalej Kopankiewicz i jego żona.

Na końcu: inżynier Zawadzki, co mu się należy z wieku i
alfabetu.

Kostrzewa uśmiechnął się mimo woli.

- Znowu zapomnieliście, że mamy aż cztery "K".

- Słusznie.

Ale to ostatnie, będzie ukoronowaniem całej naszej dzisiejszej pracy.

Powiedział to jak najbardziej przyjaznym tonem.

Zrozumieć jednak było można różnie.

- Jako bazę operacyjną proponuję stołowy - Kosiorek schował z powrotem wieczne
pióro, które zresztą nie wiadomo pociągnął znowu wydobyl.

- Tam będzie chyba najwygodniej?

- I jatak sądzę.

A co z sanitarką dla Koryciuka?

- przypomniał sobie nagle.

- Jego stan nie jest bynajmniej zachwycający.

- Lekarz namiejsu - stwierdził żartobliwie Kosiorek.

- Niestety lekarz bez środków pomocniczych niewiele jest w stanie zdziałać.

- Telefonowałem do szpitala bezpośrednio po rozmowie z inżynierem.

Obiecali, że karetkę wyślą natychmiast.

Rzecz jasna, że nie wysłali natychmiast, bo musiałyby już tu być.

Mają tylko jeden jedyny wóz, jeśli akurat zdarzył się jakiś pilniejszy wypadek.

- Ten też jest bardzo pilny.

- Wierzę.

Jeżeli jednak coś na ulicach miasta.

Nie zapominajmy o tych sześćdziesięciu pięciu kilometrach.

Karetka wyłączona z obiegu prawie na pół dnia.

W ostateczności podrzucimy go do szpitala naszym dżipem.

Jak pan myśli, wytrzyma?

Bo, prawdę powiedziawszy, nasze resory należą do wspomnień dawno minionej przeszłości.

- Czy ja wiem.

Wolałbym dla niego jakiś mniej trzęsący środek lokomocji.

- Cóż na to poradzę?

rozłożył ręce - jestem milicjantem, a nie ratownikiem medycznym.

Zadzwonię jeszcze raz i rozstawię imrodzinę po kątach.

Jeżeli i to nie poskutkuje, pozostanie nam tylko dżip.

Niech pan nie myśli, że się do tego palę.

195.

I tak ciasno jak w puszcze sardynek, a jeszcze leżący pasażer.
I dotego ojciec Józefa.

Na towarzystwo furiata wżadnym
razie nie mam ochoty.

IV

- Leokadia Okoniowa, wdowa po świętej pamięci Antonim.

Kucharka.

Lat pięćdziesiąt, ale jeszcze nie skończyłam.

Dopiero na Boże Narodzenie.

Pomimo manewrów Kosiorka uparcie nawracała do wypadku z Koryciukiem.
Zresztą zupełnie zrozumiała: miała go świeżo w pamięci.

- ...

to ja patrzę i oczom własnym nie wierzę: cały we krwi,
głowado cna zrabana.

Myszę nic innego, tylko trup.

I żeby niepan doktor - kiwnięciem głowy wskazała siedzącego po drugiej stronie stołu

Kostrzewę - wyzionąłby ducha jak amen w pacierzu.

Akurat pod śmietnikiem.

Przeklęciemiejsce.

- Przeklęte?

- powtórzył pytając Kosiorek.

- A bo jakżenie?

I on we krwi, i tamten.

- Jak iżnów tamten - Kosiorek zrobił męczeńską minę.

- No, znaczy się Bombrych.

Wincenty muchyba było?

Tak, na pewno Wincenty.

W gajowych tu u nas służył.

Ina wiosnę też go znaleźli pod śmietnikiem.

Coś go pobiło, że o mało nie
skończyła miejscu.

- Coś?

- Kosiorek wymienił porozumiewawcze spojrzenie
z Kostrzewą.

- Coś.

Ani wiedział co, ani jak.

- Nie składano o tym zameldowania namilicji.

- A kto miał składać?

Bombrych jak tylko odzyskał ducha, zaraz w nogi.

"To - powiada - jest całkiemnie w porządku, żeby tak.

Póki świata, więcejmnie tu niezobaczycie.

"

- A jak było z panem Lesiewiczem?

- Kosiorek zadawał to
pytanie niewiadomo już po raz który z rzędu.

- Przecież powiedziałam, że nic niewiem.

Co mogę zresztą wiedzieć.

Przyjechał, pobyl parę godzin i poszedł.

- O której wyszedł?

-Mnie tam przy tym nie było.

Poszedł, to poszedł.

Nie moja rzecz.

Tyle tylko pamiętam, że akurat tego samego dnia przyjechał doktor.

196

Kosiorek zadał jeszcze parę pytań, które nie dały nic nowego.

- Niewiele się dowiedzieliśmy - stwierdził % z rezygnacją po jej wyjściu.

- Niewiele - przyznał Kostrzewa - ale to było do przewidzenia

- Tak.

Miałem jednak nadzieję.

Starsza kobieta, która zdawałoby się powinna umieć myśleć.

A cała ta Kazia.

Kazia przez cały czas przesłuchania pociągała nosem.

- Koryciuk - łzy spływały po twarzy.

jędrne policzki jakby w ciągu tych paru godzin nagle przywiedły.

Ani śladu zwykłych rumieńców.

- Musi źle go potłukło - w końcu już nawet zaprzestała ocierać łzy - bo kto by inny?

Przecież nie pan doktor albo ten pan, co książki pisze.

A innych mężczyzn ani nalekarstwo.

- Źle - potwierdził z przekonaniem Kosiorek.

Widać było, że stracił do reszty zainteresowanie wypadkiem Koryciuka.

- Możemy jednak Kazia wreszcie powie, jak to było z panem Lesiewiczem.

- Co miało być?

Poszedł i tyle go widzieliśmy.

- Mówił dokąd idzie?

- Może imówił, ale nie mnie.

- Czy Kazia widziała, jak wychodził?

- Widziałam.

Jak raz wyskoczyłam na moment przed sionkę, żeby złapać tchu.

Bo w kuchni tyle dymu, że ani rusz wytrzymać.

No i on właśnie do bramy.

- Odprowadzał go kto?

- Nikt.

- Jak był ubrany?

- A bo to człowiek takie rzeczy może spamiętać?

- Miał na sobie płaszcz?

- Kosiorek nie stracił cierpliwości, mimo jej opryskliwego tonu.

"Wysokie obcasy - pomyślał Kostrzewa - perfumy.

A przecież przesłuchanie prowadziło całkiem do rzeczy.

"Zastanowiła się.

- Płaszcz?

Nie.

Płaszcz tonie miał.

Kurtkę taką.

Jak to panowie myśliwi noszą.

- Jakies pakunki?

- Nic.

Machał rękami jak w niedzielę.

Myślę sobie, pewnikiem taki mały spacer po lesie.

Miastowi panowie to lubią.

I że zaraz wróci.

Anonie wrócił.

A co z nim, jeno Bóg na niebie wie.

- Może nie tylko- zauważył jakby mimochodem Kosiorek.

-O której wyszedł?

- Nie patrzałam na zegarek.

Własnego jeszcze się nie dorobiłam.

A budzik w kuchni raz chodzi, a raz nie?

Jak wypadnie.

- W takim razie może nam Kazia powie, jaka to była pora dnia?

Rano, południe, wieczór?

- Skądby zaś wieczór - wzruszyła ramionami - wieczorem to pan doktor przyjechał i trąbił tym swoim samochodem, że aż mi serce do gardła podleciało, bo akurat z pierwszego snu.

Wskoczyłam z łóżka i tak jak byłam, w koszuli, na dwór.

Bo może pożar albo jakie inne nieszczęście.

- A Lesiewicz?

- przypomniał łagodnie Kosiorek.

- On to wyszedł w południe.

Nie- rozmyślała przez chwilę - chyba już było po obiedzie.

Ale przysięć, bym nie przysięgła.

A Koryciuk.

- Mówimy terazo Lesiewicz - przerwał Kosiorek.

Wybuchnęła.

- A co ja mogę z tym mieć?

Wszystko na mnie.

Jak herbata

czymś zalatywała, to pan doktor zaraz, że może ja co podsypałam.

Podniósł szybko wzrok sponad papierów.

- Jaka znów herbata?

- No, że niby jakiś tam cyjanek, czy co.

A ja nawet nie

wiem, co to może być takiego.

- Cyjanek?

- spojrzał pytająco na Kostrzewę.

Ten potrząsnął głową.

- Nie było na szczęście żadnego cyjanku.

Ale w pierwszej

chwili.

Po wyjściu Kazi opowiedział zwięźle całą historię.

Kosiorek

słuchał z rosnącym zdziwieniem.

- Olejek migdałowy- nawijał na palec lśniący brylantyną

kosmyk włosów - czy to można pomylić?

- Owszem.

Zapach jest bardzo podobny.

Nietrudno opomylić.

Szczególnie w sytuacji, gdy wszyscy się spodziewają jakiegoś morderstwa.

No ale rzecz jasna przy dokonywaniu analizy.

- Czy została przeprowadzona w sposób nie pozostawiający miejsca na żadne wątpliwości?

198

- Oczywiście.

Inaczej w ogóle bym się do niej nie zabrał.

- Macie doświadczenie w robieniu tego rodzaju analiz?

- Niewąskie - uśmiechną się Kostrzewa.

- Nie zawsze się znajdzie pod ręką laboratorium, choćby nawet nie było powodzi.

- Wierzę.

Pan sporządził protokół?

- Natychmiast.

Niestety nieurzędowy.

Brak mi do tego odpowiednich uprawnień.

- O pozostawienie próbek herbaty nie potrzebuję chyba pytać.

Kostrzewa spochmurniał.

- Z tym gorzej.

- Zapomniał pan?

Jak się to mogło stać?

Człowiek z tak wielkim doświadczeniem śledczym i nagle.

- Nie zapomniałem.

Ale ktoś mi je zabrał pokoju.

- W jaki sposób?

- Wywołano mnie.

Po kancelarii chodził ktoś obcy, wybiegłem, pozostawiając drzwi otwarte.

Gdy wróciłem, próbek nie było.

- Czy zginęło coś więcej?

Kto pana wywołał?

- Zawadzki.

- Zawadzki - porucznik kręcił w palcach wieczne pióro.

- Ale przecież ta herbata była przeznaczona właśnie dla niego.

Prawdę powiedziawszy, nic z tego wszystkiego nie rozumiem.

- Ja także nie - Kostrzewa zawahał się.

Powiedzieć o grudce błota i suchych butach Józefa?

Ale to były raczej tylko hipotezy.

- Na szczęście asystowałam świadek - dodał po chwili.

- Jakiś świadek?

- Kopankiewicz.

- Ttak.

- Pióro nabrało szybkości wrzeciona.

- Czy on jest chemikiem?

- O ile mi wiadomo, to nie.

- W takim razie sam pan rozumie, że jego obecność nie ma wielkiego znaczenia - odchrząknął - prawdę powiedziawszy, to właściwie nie daje nic.

V

Wchodząc do stołowego, Kopankiewicz przesłał Kostrzewie pełen aprobaty uśmiech.

- Wreszcie na właściwym miejscu.

Dla człowieka mego za 199.

wodu zetknięcie się z oficjalnym śledztwem daje niezmiernie wiele - zwrócił się do Kosiorka.

- Tak - bąknął nieokreślenie porucznik, obrzucając go szybkim spojrzeniem.

Sprawiło wrażenie pobieżnego.

Kostrzewa zdołał jednak

stwierdzić, że było dostatecznie wnikliwe.

Coraz bardziej przekonywał się, że ten człowiek był śmieszny, ale nie był bynajmniej głupi.

Kopankiewicz usiadł, podciągając wysoko spodnie.

Nie

przestawał obserwować porucznika, jakby zamierzał go sportretować.

- Co panu wiadomo o sprawie Lesiewicza?

- Kosiorek wyjął

z teczki nowy blankiet protokołu.

- Znam go mniej więcej od roku.

- Czy to była jakaś bliższa znajomość?

Była?

Kostrzewa popatrzył w sufit.

W końcu dotychczas nie padło ani jedno słowo o zwłokach Lesiewicza.

Co właściwie milicja wiedziała o tej sprawie?

- Nie - zaprzeczył Kopankiewicz - raczej dalsza.

Spotkali się kilkanaście razy.

Poznałem go przez Jerzego.

Przez inżyniera Zawadzkiego - poprawił się.

- Po przyjeździe tutaj rozmawiał pan z nim?

- Tak, ale bardzo krótko.

Sam dopiero co przyjechałem

i trzeba się było rozpakować.

- O czym rozmawialiście?

- Dokładnie nie pamiętam.

Ale nie było tam nic takiego, co warto by zapamiętać.

Kilka czy kilkanaście słów.

Chyba o tym, że zanoszą się na deszcz.

Aha.

Powiedziałem mu, że jakoś bardzo zmarniał od czasu ostatniego naszego spotkania.

Rzeczywiście wyglądał bardzo niedobrze.

Jakby po ciężkiej chorobie.

- Odpowiedział coś na tę uwagę?

- Zdaje się, że "każdyma swego mola", czy też coś w tym rodzaju.

- Nie widział pan, jak Lesiewicz wychodził z nadleśnictwa?

- Nie.

Byłem wtedy u siebie na górze, zajęty rozpakowywaniem manatków.

- Czy Lesiewicz powiedział dokąd się wybiera?

- W ogóle przy mnie nie wspominał, że ma zamiar wyjść.

200

O tym, że wyszedł, dowiedziałem się dopiero po ponownym zejściu na dół.

- Jak długo przebywał pan w swoim pokoju?

- Około dwóch godzin.

Może nawet nieco więcej.

Byłem potężnie zmachany.

Jazda ciężarówką nie stanowi specjalnie wygodnego sposobu podróżowania.

- Przyjechaliście państwo z Kozłowa ciężarówką?

- Tak.

Akurat szedł jakiś transport do nadleśnictwa.

Lolę.

moją żonę zaproszono do szoferki, ale dla mnie już tam nie było miejsca.

Takto zwykle bywa z mężami.

No więc na wszystkich tych skrzyniach, workach diabli wiedzą czym jeszcze.

I żeby choć ten wóz miał jakieś resory.

W półtorej godzinie poznałem w sposób jak najbardziej namacalny wszystkie anatomiczne szczegóły budowy mojego ciała.

Może mi pan wierzyć na słowo, poruczniku.

- Wierzę.

Kto pierwszy panu powiedział o wycieczce Lesiewicza?

- Jerzy.

Inżynier Zawadzki.

- Czy wspomniał może również o celu tej wycieczki?

Kopankiewicz jakby się zawahał.

- Owszem.

Lesiewicz mówił mu, że ma się z kimś spotkać.

Kostrzewa ściągnął wargi, jakby chciał zagwizdać.

Spotkać się?

Gdy pytał o to samo Zawadzkiego, odpowiedź brzmiała:

"Mały spacer po lesie".

Innito samo.

A teraz.

I właściwie dlaczego nie mówili prawdy?

- Z kim i gdzie?

- pytał dalej Kosiorek.

- Nie znam bliższych szczegółów.

Być może Jerzy.

- Cóż.

zapytamy go, gdy przyjdzie kolej - stalówką skrzypiała monotonicznie po blankiecie.

Potem porucznik zanotował coś na leżącym obok bloczku.

- Wie pan jeszcze coś więcej?

- W sprawie tego, co się dzieje w tym domu?

- Dzieje się?

- osuszył starannie połyskującym atramentem rzędy pisma i przewrócił blankiet na drugą stronę.

Widać było, że jest zaskoczony sformułowaniem pytania.

- Cóż pan może powiedzieć na ten temat?

- Całą masę.

Zacznijmy od kroków na korytarzach.

- Kroki?

- Tak.

- Ale cóż w nich dziwnego?

Pewnie chodzi tamtędy sporo
ludzi.

- Dziwne jest to, że było słycać kroki, kiedy nikt nie chodził.

Kosiorekzmarzczył groźnie brwi.

- Proszę nie zapominać, żeto jesturzędowe przesłuchanie
-zaznaczył ostrym tonem.

- Nie zapominam otym ani na chwilę.

-Wszelkiego więc rodzajużarty.

- Mówię jak najbardziej poważnie.

Miękkie, szurające krokituż pod progiem.

A gdy się otworzy drzwi, korytarz pusty.

Nie

tylko zresztą ja słycałem te kroki.

- "Duchy w zamku"?

- pytaniezabrzmiało całkiem zjadliwie.

- W nadleśnictwie - sprostował z niewzruszoną miną Kopankiewicz.

- Ale żeby to tylko kroki.

Ręka trzymająca pistolet

wymierzony prosto w mój łeb.

- Ręka bezwłaściciela?

- Kosiorek wciąż jeszcze panowałnad sobą, ale nietrudno było poznać, że przychodzi mu toz
największym trudem.

Jeszcze chwila iwybuchnie.

Kopankiewicz splótł ręce na kolanach.

I on już był zły.

- Przypuszczam, że miaławłaściciela - wycedził- pozostawał jednak niewidoczny za
węglem korytarza.

-Zechce pan opowiedzieć wszystko pokolei - Kosiorekodłożyłpióro na stół tak
ostrożnym ruchem, jakby zawierało ładunek trotylu.

- Dobrze - Kopankiewiczzrosiadł się wygodniej na krześle- opowiem.

Ale proszę nie mieć do mnie pretensji, jeżeli panu

wydasię to nieprawdopodobne.

Zaczął opowiadać.

Brwi Kosioroka wędrowały coraz wyżej.

Zapisywał, potem wykreślał.

Na marginesie protokołu wyrastałgęsty las wykrzykników iznaków zapytania.

Raz po raz zadawałpodchwytliwe pytania mające na celu wykazanie braku logikiw słowach
Kopankiewicza.

Potem zrezygnował i tylko słycał.

Logika?

W tym wszystkim niebyło mowy o żadnej logice.

W pewnym momencie resztki opanowania prysły.

-Zwłoki Lesiewicza u Świrskiego na łóżku?

- niemal krzyknął.

Pióro trzasnęło o stół.

- Toprzecież.

-długo szukał właściwego określenia - to przecież czysty nonsens - zakończył wreszcie.

Kopankiewicz rozłożył ręce.
- Mówię jedynie to, co sam słyszałem.
- Widział pan tezwłoki?
- otarł ręką czoło.
- Nie.
- Więc tylko Świrski.
On zaś, jakwynika z pańskich słów, pił tak dużo.
- Halucynacja?
Myślałem o tym.
Jerzy był prawie pewny, że to skutki delirium.
Ale doktor.
- wskazał wzrokiem na Kostrzewę.
Porucznik odwrócił się gwałtownie do Kostrzewy.
- Pan również je widział?
- Owszem - potwierdził.
- Coo?
- Kopankiewicz spojrzał na niego osłupiałym wzrokiem.
- Jakże.
Przecież powiedział pan.
że gdy wszedł do pokoju, nie było tam już zwłok.
- Zgadza się.
Zobaczyłem jedopiero później.
Kosiorzek wstał, przeszedł kilka kroków po pokoju, zawrócił i usiadł powrotem.
- Nie mógł pan widzieć żadnych zwłok - stwierdził bezapelacyjnie.
- Nie tylko widziałem - dłoń Kostrzewy gładziła machinalnie kant spodni - zdołałem je również odfotografować.
Kopankiewiczowi opadła szczęka.
Nie miał w tej chwili zbyt inteligentnego wyrazu twarzy.
Zupełnie jakby mu w gardło utknęło coś, czego nie potrafił przełknąć.
Mina Kosioraka była zresztą w tej chwili niewiele lepsza.
- Od.
fotografował pan?
- wyjął z trudem.
- Tak.
- To niemożliwe - powtórzył.
- Możliwe, skoro tak się stało.
- I...
- przelykał ślinę, przewodząc wzrok z jednego na drugiego - i.
ma pan te zdjęcia?
- Oczywiście.
Zaraz je tu przyniosę.
- Ale.
- wciąż jeszcze jakby nie mógł złapać tchu.
Zanim jednak zdążył jeszcze coś powiedzieć, Kostrzewa wyszedł z pokoju.
203.

VI

Słowo "niemożliwe" jako wyraz niedowierzania byłoby w tym wypadku jak najbardziej zrozumiałe.

Tylko że nie był to wyraz niedowierzania.

Raczej absolutną pewnością, że zwłoki nie mogły się znajdować w tym domu.

Na jakiej podstawie Kosiorek ją opierał?

Kostrzewa dotarł już na górę.

Palce ruchem przyzwyczajenia szukały krawędzi przyrządu zabezpieczającego zamek.

Nie znalazły jednak.

Co u licha?

Ktoś go odkrył i wyciągnął?

Nonsens.

Wykluczone, żeby bez znajomości mechanizmu.

; Sekret zaśnął jedynie ślusarz, który wykonał przyrząd, i Kostrzewa.

Włożył klucz, przekręcił, drzwi stanęły otworem.

Psiakrew!

Przyrząd leżał na samym środku stołu.

Jasne.

Poprostuzapomniał go włożyć.

W tym piekielnym bałaganie człowiek traci głowę.

Raz już drzwi zostały niezabezpieczone i konsekwencje wcale nie należały do najprzyjemniejszych.

Jeżeli

i teraz ktoś skorzystał z jego gapiostwa?

Zniepokojem podbiegł kuszafie.

Na wierzchu, pod stertą

starych tygodników.

Jest - z niekłamaną ulgą namacał kopertę.

Pieczenie, podpis Kopankiewicza, wszystko w porządku.

"Niemożliwe?"

- uśmiechnął się triumfująco.

- Jak zobaczy

na własne oczy, będzie musiał zmienić odszczekać.

"

Tym razem wychodząc z pokoju, nie zapomniał o wsunięciu do zamka zabezpieczenia.

Pokilku sekundach był już z powrotem w stołowym.

- Prosiłbym o urzędowe potwierdzenie, że pieczęciei podpis świadka są nienaruszone - położył kopertę na stół.

- Właśnie te zdjęcia?

- Kosiorek sięgnął niezdecydowanie.

Oczy Kopankiewicza stały się zupełnie okrągłe.

- Właśnie te - potwierdził Kostrzewa.

- To jest mój podpis - oznajmił Kopankiewicz.

- I ja napisałem datę.

Niewiedziałem jednak, co zawiera koperta.

Ani nawet nieprzeszłomi przez myśl, że.

- Jakiś monogram - Kosiorek wpatrywał się w lak, jakby oczekiwał, że lada chwila wyskoczy zeń coś niesamowitego.

-W czyim posiadaniu znajduje się pieczęć?

Kopankiewicz sięgnąłdo kieszeni.

204

- Oto ona.

-Papierośnica?

- Tak.

Pomysł zresztą pochodzi od doktora.

- Przechcały czas miał pan ją przy sobie?

-Przez całyczas.

Doktor specjalnie nato nalegał.

Żeby niebyło wątpliwości, że użył jej ktośinny.

- Żeby nie było wątpliwości -Kosiorek wciągał ze świstempowietrze -wspaniale.

Pieczenie, podpisy, data.

A wszystkotorazem.

-nie dokończył, zaciskającwargi.

Rozdarł krawędź koperty.

Wyjął z niej drugą.

Otworzył.

Nastół posypały się lśniące odbitki.

- Zwłoki Lesiewicza - mruknał przez zęby Kosiorek.

- Dotychczas nie wierzyłem wcuda.

Ani w czarąmagię.

Aleteraz.

-podniósł parę odbitek do oczu.

- Gdzie zostały sfotografowane?

- W lodowni.

Kosiorek długo zapalał papierosa.

- Zdawało mi się, że przed chwilą słyszałem, jakoby leżały nałóżku w pokoju

Świrskiego.

Ale oczywiście mogłem sięprzesłyszeć.

Tu..

trudno wierzyćwłasnymuszom.

- Gdy wszedłem od pokoju Świrskiego, zwłok już nie było.

-opowiedział okapie.

Potem o odkryciu przejścia przez zaminowany korytarz.

- Był całkowicie zablokowany gruzami, gdyżmytam potemzeszli - wtrącił

Kopankiewicz.

- I miny.

Anikroku stąpnąć.

- Wtedy tak.

Ale kiedy przenoszono zwłoki.

Zresztą przejście pozostawiono jeszcze przez parę godzin -wybrał jednąz odbitek i podsunął ją Kosiorkowi.

- Oto zdjęcie korytarza z nocytego samego dnia, gdy Świrski miałrzekomohalucynacje.

Kosiorek wydobyl lupę i długo oglądał każdą fotografię pokolei.

- Te smugi?

- wskazał końcem ołówka.

- Pył trocinowy na obiektywie- wyjaśnił Kostrzewa.

- W czasie fotografowania pośliznąłem się na lodzie inakurzyłem.

- Pył?

- powtórzył z zastanowieniem - Różne bywają przyczyny powstawania tego rodzaju smug na odbitkach.

- Owszem - zgodził się Kostrzewa - różne.

Ponieważ jednak posiadam również negatywy, to czyba rozstrzyga sprawę?

Kosiorek nie odrywał oczu od rozłożonych na stole zdjęć.

205.

- Czy ktoś oprócz pana, doktorze, widział te zwłoki w lodowni?

-Nie.

Gdy następnego nocy udaliśmy się tam razem ze Świrskim, zostały już usunięte.

Znalazłem natomiast w trocinach guzik pochodzący z kurtki, którą miał na sobie Lesiewicz, wychodząc stąd na ostatnią wycieczkę.

Nie powrócił żywy - uzupełnił po chwili.

- Świrski - Kosiorek zaciągnął się głęboko dymem papierosa.

-Tylko gdzie go teraz szukać?

Świrski widział zwłoki na swoim łóżku.

Widział dowód, że zwłoki znajdowały się w lodowni.

Ja teraz widzę zdjecia tych zwłok - uderzał dłonią o kant stołu tak tego, co mówił - widzę i nie wierzę.

Niemogę uwierzyć, dowszystkich.

-wybuchnął.

- Dlaczego?

zapytał cicho Kostrzewa.

- Dlaczego nie może pan uwierzyć?

- Nikt by nie uwierzył - rzekł już o wiele spokojniej.

-Jak

można uwierzyć w coś, co nie ma najmniejszego sensu?

Zwłoki Lesiewicza zostały znalezione w lesie.

Wczoraj.

I leżą tam według orzeczenia lekarskiego od tygodnia.

To znaczy od dnia

śmierci.

- Z tego jednak wynika - Kostrzewa pstryknął palcem w odbitki - że nie leżały tam przez cały czas.

- Wynika - Kosiorek wyjął chustkę i wytarł głośno nos - diabli wiedzą, co wynika.

We łbie się człowiekowi kręci od tego wszystkiego - złożył pedantycznie chustkę, chowając ją do kieszeni.

- No, co tam.

Będziemy musieli jakoś to rozpakować.

Tymczasem zaś.

- zastanowił się.

- Mieliśmy teraz przesłuchać z kolei pańską małżonkę.

Ale.

Jak pan myśli, czy ona będzie mogła wnieść coś nowego do sprawy?

- Słyszała kroki i widziała pistolet.

- To już wiemy od pana.

A jeżeli chodzi o Lesiewicza?

- Zna go jeszcze mniej niż ja.

Nie był u nas w domu.

Graliśmy kilka razy w brydża w klubie.

Ona zaś nie uznaje klubów.

- Nie widziała momentu jego wyjścia z nadleśnictwa?

- Nie.

Była wtedy razem ze mną w naszym pokoju.

- W takim razie możemy jej darować przesłuchanie.

Kolejną inżyniera.

Ciekawym, dlaczego tak długo się nie pokazuje?

- zapytał znowu Kosiorek.

206

Kostrzewaz niepokojem spojrział nazegarek.

- Rzeczywiście bardzo długo.

Prawie półtorej godziny.

Obiecał przyjść za parę minut.

Czy tylko nie zrobiło mu się gorzej?

Kosiorek wstał.

- Jest u siebie w kancelarii?

- Tak.

- W takim razie zejdziemy do niego.

Tyle razy przyjeżdżałem tu jako gość.

Ostatecznie kumoterstwoma też swoje prawa- wykrzywiłwargi w grymasie, który przy dużej dozie twórczej fantazji można by uznać za coś w rodzaju uśmiechu.

VII

Kosiorek zapukał.

Żadnej odpowiedzi.

Nacisnął klamkę i weszli.

Na wpół przymknięte okiennice nie przepuszczały zbyt wiele światła.

W kancelarii panował niemal zupełny mrok.

- Co pan, panie inżynierze.

- nagle umilkł.

Zawadzki siedział w fotelu wsparty ciężko górną połową ciała o biurko.

Nie podniósł głowy, nie poruszył się.

W zarysie jego sylwetki było coś nienaturalnego.

- Oo!

- Kosiorek podbiegł ku niemu, ujął bezwładnie zwisającą rękę i wypuścił ją ze zdławionym przekleństwem.

Ramię Zawadzkiego opadło z powrotem niczym sztywny kawał drewna.

- Zemdlął?

- głos Kopankiewicza dygotał nagłym przerażeniem.

- Czy też.

Kostrzewaj już był przy Zawadzkim.

Przez chwilę usiłował doszukać się tętna, potem z gorączkowym pośpiechem rozerwał koszulę na jego piersi i przyłożył ucho domiejsca, gdzie powinno bić serce.

Nie było jednak.

Skóra mroziła martwym chłodem.

Wyprostował się.

- Nie żyje - oznajmił głucho.

- Śmierć nastąpiła co najmniej przed godziną.

- Nie żyje?

To..

- jakiś nieartykułowany dźwięk wyszedł z poblądłych nagle warg porucznika.

- Do licha z tymi ciemnościami.

Szarpięte gwałtownym ruchem okiennice trzasnęły o mur.

W szarym świetle pochmurnego dnia scenąabrała jeszcze większej grozy.

Twarz Zawadzkiego była żółtosina.

Siwy zarost

207.

podkreślał z jakąś makabryczną wyrazistością ostrość rysów.

Oczy wytrzeszczonei pełne ogromnego lęku.

Zastygłe w ostatnim spazmie usta były szeroko otwarte.

Zdawało się, że nawet

teraz pragną zaczerpnąć tchu.

Kopankiewicz dreptał w miejscu.

- Mnie.

jest bardzo niedobrze - nikt jednak nie zwracał

na niego uwagi.

- Nie żyje - Kosiorek podszedł z powrotem do biurka.

- A z jakiego powodu nastąpiła śmierć?

\Kostrzewa jeszcze raz przyjrzał się twarzy zmarłego.

Objawy

przypominające uduszenie.

To było dość charakterystyczne.

- Przypuszczam, że zawał serca - orzekł pochwili.

- Oddawna obawiałem się czegoś w tym rodzaju.

Przy tak daleko posuniętej dusznicy .

- Zawał, dusznica.

- Kosiorek podszedł tuż do ciała i nachylił się nad nim.

- Serce - wciągnął powietrze nosem- oczywiście, że tak.

Zawsze jest serce.

Ale.

-jego nos niemal dotykał sinych warg trupa przed chwilą mówiono o cyjanku.

A tu.

- Cyjanek?

- Kostrzewa szybko przybliżył głowę do twarzy zmarłego.

Rzeczywiście jakby zapach gorzkich migdałów.

Nikły, ledwo możliwy do uchwycenia, ale przecież jednocześnie

prawie zupełnie Wyraźny.

- Czuje pan?

-- zapytał nagle porucznik.

- Tak.

Nie przypuszczałem, że to samobójstwo.

Dziś rano próbował zastrzelić się z dubeltówki.

Przeszkodziłem mu dosłownie w ostatniej chwili.

Ale żeby trucizna.

- Samobójstwo?

- w głosie Kosiorka zabrzmiał odcień sceptyzmu.

-Czy przy tej hm.

historii z dubeltówką był jeszcze

ktoś trzeci?

-Tylko ja i on.

- Więc w tej chwili pozostał już tylko pan.

Bo on przestał być świadkiem.

Cyjanek - powtórzył jeszcze raz - dziwnie się jakoś płacze w tym domu.

- ujął ostrożnie przez chustkę donosa podstawkę zeszklanką i podniósł ją do nosa - oczywiście

- zapatrzył się w resztki brunatnego płynu na dnieszklanki.

-Gorzkie migdały jak jasny gwint.

Herbata podana wtedy do stołu.

Właśnie temu.

Teraz znowu herbata.

Ciekawe ktomu ją podał?

-Ja - oznajmił pokrótce namyśle Kostrzewa.

Wypieranie się nie miało by sensu.

Identyfikacja odcisków palców nie przedstawiała by najmniejszych trudności.

- Pan?

- Kosiorek by najmniej nie sprawiał wrażenia zaskoczonego.

- Akurat pan.

Doktor, który przeprowadzał analizę tamtej herbaty i nie znalazł ani śladu trucizny, choć wszyscy czuli zapach gorzkich migdałów.

Człowiek, który ostatni widział Zawadzkiego przy życiu.

Lekarz, który na moje pytanie przyczynę śmierci stwierdził kategorycznie: zawał.

- Objawy są podobne: paraliż serca czy paraliż dróg oddechowych.

- Lekarz - powtórzył naciskiem porucznik.

- Kryminolog o niezmiernie bogatym doświadczeniu.

Kostrzewa wyprostował się z godnością.

Nielatwemu to zresztą przyszło.

- Co pan chce przez to powiedzieć?

Natychmiast zdał sobie sprawę, że pytanie nie zabrzmiało tak, jak powinno zabrzmieć.

Ale zbieg okoliczności wyglądał paskudnie.

Nietrudno wysnuć wnioski, które w konsekwencji mogą zaprowadzić diabli wiedzą jak daleko.

- Nic nie chcę powiedzieć - stwierdził chłodno porucznik.

- Jeszcze nie.

Segreguję jedynie na głos fakty i okoliczności.

Choćby, że to pan podał mu herbatę, jakby w tym domu zabrakło nagle służby.

Musi pan przyznać, że to trochę dziwne?

- Nietak dziwne, jakby się wydawało.

Obie służące potraciły głowy.

Zawadzki wołał, ale żadna nie przyszła.

Potem jawprost zdzieram gardło z tym samym skutkiem.

- Zawadzki - Kosiorek spojrział z ukosa na zmarłego - on już nie powie nic.

Nigdy.

Nie mogliście się więc dowołać żadnej z pracownic?

- Nie.

- Cóż.

sprawdzimy.

- Kazia w końcu przyszła - przypomniał sobie Kostrzewa.

- Aha.

wiec jednak przyszła?

- Ale to było już po tym, jak podałem Zawadzkiemu herbatę.

- Bardzo się jakoś pan pospieszył.

- Nie mogliśmy się dowołać.

- Czy jednak nie byłoby prościej, gdyby sam wziął tę herbatę.

tę? Bo jednak posyłać gościa do kuchni.

Znałem go oddość dawna i nieumiem wyobrazić sobie podobnej sytuacji.

- Czuł się bardzo słabo.

Obawiał się, że nie starczy mu sił na

dojście do kuchni.

- Herbata jako środek zaradczy na grożący zawał?

I to mówi lekarz?

- Niepozwolił się zbadać.

Sprzeciwił się kategorycznie przyjęciu jakichkolwiek leków.

Nie miałem podstaw do działania wbrew jego woli.

Był jak najzupełniej przytomny i brakło podstaw do rokowania o bezpośredniej groźbie zawału.

VIII

- Proszę - patrzył zmrużonymi oczyma.

- Co zawspaniały

zestaw wytrychów.

Chyba zagraniczne.

- Szwedzkie.

- Od razu przypuszczałem, że właśnie stamtąd.

Każdy włamywacz mógłby panu pozazdrościć.

Czy te instrumenty również zabiera pan zawsze ze sobą?

- Przyjechałem tu przecież w charakterze

detektywa.

- Prawda.

zapomniałem - wciąż jeszcze nie wypuszczał rąk etui, jakby nie mogąc się z nim rozstać.

- Ciekawe gdzie pan to nabył?

O ile wiem, takich rzeczy nie wolno sprzedawać

w sklepach.

- Pochodzą jeszcze z czasów mojej pracy w Komendzie.

Jest

to jednak moja prywatna własność.

- Przecież nikt tego nie kwestionuje - etui legło na podłodze obok mikroskopu.

Długo przeglądał pudełko z lekami, odczytując z zastanowieniem łacińskie nazwy na etykietach.

- Cała apteka.

Niektóre z tych specyfików mogą podziałać

w pewnych dawkach jak trucizna.

- To dotyczy każdego bez wyjątku leku - stwierdził szorstko Kostrzewa.

- Słyszałem nawet o wypadkach otrucia zwykłą aspiryną.

Zresztą cyjanku tam przecież nie ma.

- Cyjanku nie - zamknął wreszcie pudełko.

- A co zawierała paczka?

- Wyjął zawiązkę grubym szarym papierem.

Oczy Kostrzewy nagle znieruchomiały.

Paczka?

Postąpił gwałtownie w kierunku walizki.

Nie wkładał tam żadnej paczki.

210

- Nie było jej tam!

- niemal krzyknął.
- Nie było - Kosiorek natomiast mówił bardzocicho jakbydla kontrastu.
- I naglejest.
Magia?
Przepraszam.
Nie wierzęw magię - rozwijał niezmiernie ostrożnie papier.
- Pistolet automatyczny walter, kaliber siedem sześćdziesiąt pięć
W głowie Kostrzewy panował corazwiększy zamęt.
Pistoletktóry wtedy zginął na schodach.
Skąd się tu nagle wziął?
W ogóle skąd się wzięła tacała paczka.
Spokojnie - zacisnął kurczowo zęby.
Tylko spokojnie.
Ktośkorzystał z niezabezpieczenia zamka i.
jasne.
Miał aż nadtozasu, by podrzucić.
Jakie dalsze niespodzianki wyskoczą z brązowego papieru?
Bo coś jeszcze tam się znajdowało.
Kosiorektrzymał paczkęw taki sposób, że nic niemożna było dojrzeć.
- Właśnie ten kaliber - odciągnął ostrożnie nasadkę lufy.
-Jak dawno pan z niego strzelał.
- Bardzo dawno.
-To znaczy?
- Nie potrafię tak na poczekaniu określić co do dnia.
Alewkażdym razie upłynęło więcej niż rok.
- Rok - Kosiorek zajrzał do wnętrza lufy, poczym podniósłjej wylot do nosa i głośno wciągnął powietrze.
- Gotów byłymprzysiąc, że z tego pistoletu strzelano przed paromadniami.
- Możliwe, że strzelano - Kostrzewa czuł zimny dreszczprzebiegający wzdłużpleców.
-Aleja z niego nie strzelałem.
Kosiorek prychnął lekceważąco.
-Ktoś.
- Przed kilkoma dniami pistolet mi zaginął.
-I teraz znalazł się wzamkniętej na patentowane zamki walizce?
- Podrzuciono.
Tak jak i całą paczkę.
- Dziwi mnie - źrenice Kosioroka były w tej chwili wąskie niczym ledwo zaznaczone kreski - żebyły ekspert KomendyGłównej.
-Podrzuciono - obstawałz uporem Kostrzewa -czyż możnaz góry wykluczyć tego rodzaju ewentualność?
- Niczego niewykluczam.
Ale w tych okolicznościach.
W jego palcach załśniło wydłużone szkło próbówki napelnionej jasnobrunatnym płynem.
211.

- Resztki herbaty, którą poddał pan analizie?

- Wątpię.

Gdy zabrano próbówki, zawierały herbatę zakropioną olejkiem do ciasta.

A ta co zawiera?

- W każdym razie poznaje pan swoją próbkę?

- Tego rodzaju naczynia nie posiadają żadnych cech indywidualnych.

Zabrano mi taką samą próbkę.

Czy jednak tą samą?

Na stole wylądował mały słoik napełniony mniej więcej do połowy białym proszkiem.

- "Cyjankali" - odczytał Kosiorek.

- O ile mnie pamięć niemyli, jest to łacińska nazwa cyjanku potasu?

- Zgadzasie się - Kostrzewa na pozór był już zupełnie spokojny.

- Jeżeli pan mnie zapyta, skąd się tu wziął ten słoik, odpowiem tak samo jak na poprzednie pytania: "Nie wiem".

Mogę jedynie stwierdzić, że w tej walizce nigdy nie było cyjanku potasu.

Ale nie musi pan wierzyć.

Niemogę przecież mieć dowodów na okoliczność negatywną.

Skoro zresztą ktoś podrzucił pistolet, dlaczego miał sobie żałować reszty?

Oto podają wam na tacy kompletny zbiór dowodów, świadczący, że jestem podwójnym mordercą.

- Podrzuciono - porucznik zapatrzył się w trzymany przez chustkę słoik.

- Cóż.

Bywa.

Jeżeli więc wykryjemy odciski palców pochodzące od osoby trzeciej.

Kostrzewa milczał.

Był przekonany, że nie wykryją żadnych.

Tuż pod jego stopami otwierała się bezdenne przepaść.

ŁAŃCUCH DOWODÓW

Mały prostokąt izolacji.

Gdzieś pod sufitem wąskie, solidnie okratowane okienko.

Drażniący zapach środków dezynfekcyjnych nie był w stanie zagłuszyć stęchlizny i zastygłego brudu.

I falangi pluskw, które wylazły ze wszystkich szczelin, gdy tylko jęknęły sprężyny zdezelowanej pryczy.

Więzienna zapadłej prowincji - Kostrzewa ćmił papierosa za papierosem, raz po raz zerkając podejrzliwie ku otworowi judasza w drzwiach - czegoż można wymagać?

Brud, zaduch, pluskwy - nie to przecież w tym wszystkim było najgorsze.

Wcale nie to.

Przyszłość rysowała się w całkiem ponurych barwach.

Ktoś spreparował przekonujący łańcuch dowodów i podsunął go w zręczny sposób milicji.

Cholernie zręczny.

Ostatni punkt programu stał się punktem wyjściowym dla śledztwa.

Inaczej zresztą nie mogło być.

Bieg dalszych zdarzeń został przewidziany precyzyjnie.

Nie popełniono żadnego błędu.

Sprawa potoczyła się tak, jak się musiała potoczyć.

Śmierć Zawadzkiego.

Otru się sam czy też ktoś go otrul?

Licho wie.

Mogłobyć i tak, i tak.

Jeżeli ktoś wszedł po przyjeździe milicji.

Nieznaczne podszypanie herbaty szczypty cyjankunnie stanowiło ostatecznie zbyt zawilego problemu.

Jeden ruch po wszystkim.

Kto? Najprawdopodobniej ta sama osoba, która spreparowała całą inscenizację.

Zabranie pistoletu, następnie podrzucenie go po wystrzeleniu jednego naboju.

Próbki z cyjankiem.

Wściekły kot.

"Wędrujące zwłoki.

Świrski niewchodził w rachubę.

Wykluczone?

Przydusił niedopałeko krawędź opuszczanego stołu i wrzucił pod pokrywę kibla.

Co tu właściwie można uznać za wykluczone?

Ale raczej nie on.

Józef w momencie śmierci Zawadzkiego

213.

znajdował się o dziesiątki kilometrów.

To samo pani Zosia.

Koryciuk był bezwzględnie wyłączony z obiegu.

Pani Lola pielęgnowała go.

Czy jednak rzeczywiście pielęgnowała bez żadnej przerwy?

Nietrudno odejść od nieprzytomnego człowieka na kilkanaście minut.

A choćby nawet na godzinę.

Wiedziała, że milicja prowadzi przesłuchanie.

Bardzo mało prawdopodobne, by ktoś niespodziewanie zajrzał do pokoju.

Gdyby nawet tak się stało, to cóż prostszego, jak wytłumaczyć nieobecność koniecznością odwiedzenia łazienki?

Człowiek jest tylko człowiekiem.

Tak niezmiernie zręczna i tak bardzo energiczna.

Rola głównej sprężyny, wprawiającej w ruch bieg tajemniczych wypadków, pasowałaby do niej bez żadnych zastrzeżeń.

Tylko jeśli chodzi o przenoszenie zwłok i gruzów podziemnym korytarzem?

No, rzecz jasna, że z żadnym wypadku nie mogła działać w pojedynkę.

Zręczna, energiczna.

Jej mąż sprawiał wrażenie człowieka nieco ślamazarnego.

Ale jakim człowiekiem był w rzeczywistości?

Na pozór występował w całej sprawie jako postronny widz.

Na pozór, otóż to.

Gdyby był sprawcą tego rodzaju kamuflaż stanąłby najpewniejszą tarczą.

- Powód?

- śledził wzrokiem dym ulatujący ku brudnemu sufitowi.

Licho wie, jaki był w ogóle powód tego wszystkiego, co się działo w nadleśnictwie.

Jeżeli jednak dowiedział się od Zawadzkiego o kasetce ze skarbem?

Bizuteria na kilogramy.

A choćby nawet i nie na kilogramy.

Powód aż nadto wystarczający dla wymordowania wszystkich, którzy stoją na drodze.

Zaklął.

Niedopałek oparzył boleśnie wargę.

Wypluł, rozdeptał podeszwą na podłodze.

Potem musiał to wszystko sprzątnąć.

Oczywiście własną dłonią.

Ścierki iszczotkę wydawano tu tylko z samego rana.

Nie chciał konfliktów ze strażnikiem.

Wiedział, jak bardzo potrafią uprzykrzać życie.

Nowy papieros, ale wciąż to samo pasmo rozmyślań.

Kopankiewicz, jego żona.

Poza nimi nikt chyba nie mógł wchodzić w rachubę.

Hipotezy wiszące w próżni.

Ani cienia jakiegokolwiek dowodu, że właśnie oni.

Podczas gdy dowody świadczą przeciwko niemu.

214

Drgnął wytrącony z zadumy brzęknięciem klapki judasza.

Potem zazgrzytały odsuwane rygle.

- Na przesłuchanie!

- głos strażnika o wiele mniej szorstki, niż tego oczekiwał.
W oczach wyraźne zaniepokojenie.
Być może nawet coś w rodzaju współczucia.

II

Obszerna, jasna kancelaria.
Za biurkiem młody mężczyzna.
Włosy krótkoostrzyżone.
Sprawiał wrażenie, jakby dopiero cowyjęto go z pudełka.
Ale oczy.
Jakby błysk sygnałów ostrzegających o niebezpieczeństwie.
Seria wstępnych pytań.

Potem nagle:

- Dlaczego wyrzucono was z milicji?

Kostrzewa potrząsnął głową.

Pytanie zdawało się nie mieć nic wspólnego ze sprawą.

Ale tu każdy najdrobniejszy szczegół mógł mieć poważne znaczenie.

- Nie wyrzucono mnie.

Odszedłem na własne żądanie.

Kosiorek zmarszczył niecierpliwie brwi.

- Nie chodzi o lakier, tylko o fakty.

- To są właśnie fakty.

- Bajeczka dla grzecznych dzieci.

My i tak wszystko wiemy.

Mieliście awanturę z pułkownikiem, potem przestaliście pracować.

Jedno nastąpiło bezpośrednio po drugim.

- Nie było żadnej awantury.

- Tylko co?

Myślicie, że wszyscy są głusi i ślepi?

- Agresywny ton był wyraźnie prowokujący.

Ale Kostrzewa postanowił nie dać się sprowokować.

Jeszcze by tylko tego brakowało.

- Wynikła pomiędzy nami różnica zdań na temat.

pewnych metod - wyjaśnił spokojnie.

Pióro stuknęło o stół.

- Nie kijem go, to pałką.

Więc odmawiacie odpowiedzi?

- Wręcz przeciwnie: wyjaśniam zgodnie z prawdą.

I chciałbym, żeby moje słowa zostały dokładnie zaprotokołowane.

- Możecie być spokojni.

Przynajmniej jeżeli chodzi o protokół - pisał przez chwilę.

Kostrzewa zbierał całą przytomność umysłu.

W jakim kierunku pójdzie następny atak?

Kosiorek podniósł wolno głowę.

215.

- O której wyjechaliście z Kozłowa?

-Nie patrzyłem na zegarek.

Ale było chyba około dwudziestej, gdy mijalem ostatnie domy.

- O dwudziestej?

Dziwne.

Świadek Władysław Oszmiański, kierownik stacji benzynowej, zeznał.

- pośliniwszy palec, przerzucił parę kartek - "Owszem przypominam sobie ciemnozieloną simkę aronde.

Pobierała benzynę dokładnie o siedemnasteczterdzieści pięć - zakwadrans szósta" - Kosiorek błysnął ostrym spojrzeniem - a nie o ósmej.

Przeszło dwie godziny różnicy- znowu nachylił się nad protokołem, czytając dalej-

"spojrzałem akurat na zegarek, bo o siedemnastej trzydzieściamił przyjść na zmianę kolega.

Spóźniał się jakoś.

Byłem niespokojny, gdyż miałem tego dnia pewną pilną sprawę na mieście.

A tam tylko do osiemnastej.

Kierowca wysoki, szczupły, twarz pociągła.

W sportowej kurtce, koloru jasnobrązowego.

Nagłowie czarny czy też ciemnogrnatowy beret.

Poznałbym, gdyby mi go okazano.

". Rysopis - palec Kosiorka wyglądał zagięty róg blankietu- nie pozostawia najmniejszych wątpliwości.

Ani co dowas, anico do waszego samochodu.

Siedemnasta czterdzieści pięć - powtórzył znaciskiem.

- Czyżbyście po nabraniu benzyny zawrócili do miasta?

Kostrzewa założył swobodnym ruchem nogę na nogę.

Znowu wpadka.

Trzeba się będzie dokładniej zastanawiać nad odpowiedziami.

Wędrowka po trzęsawisku wymaga skupienia całej uwagi.

- Nie, nie zwracałem.

- Wobectego, o której naprawdę wyjechaliście z miasta?

- Powiedziałem już, że nie patrzałem na zegarek.

Było prawie zupełnie ciemno.

Przypuszczałem więc, że jest znacznie później niż szósta.

- A było wcześniej.

W rezultacie prostujecie swą poprzednią odpowiedź?

- Nic nie prostuję.

Powiedziałem: "nie wiem" i mówię to samo.

- Niech i tak będzie - przycięte paznokcie zabębniły pozytywnej obwołucie.

- O której przyjechaliście do nadleśnictwa?

Kostrzewa od dłuższej już chwili oczekiwał na to pytanie.

Wypływał konsekwentnie z poprzedniego.

Puste godziny.

216

Psiakrew.

Niełatwo przyjdzie jej wytłumaczyć.

Co tu zresztą było łatwo?

- Również nie przyszło mi na myśl sprawdzić.

Sądziłem, że gdzieś około ósmej.

Teraz widzę, że musiało być znacznie później.

- Było później.
"Niespojrzałem na zegarek", w ten sposób oczywiście najprościej.
Ale świadek Okoniowa spojrzała.
W czasie dodatkowego przesłuchania ustaliła godzinę waszego przyjazdu w sposób zupełnie ścisły - znowu przewróciła kartkę.
- O, tu - podkreślił w powietrzu ponad gęsto zapisanym tekstem - "Dochodziła północ.
Dokładniej: za dziesięć dwunasta".
Z tego wynika, że byliście w drodze przeszło sześć godzin.
Zgadza się.
- Wóz jest jeszcze niedotarty.
urwał, ale było za późno.
Znowu nie przemyślał odpowiedzi.
Brzmiała zupełnie nonsensownie.
Oczywiście już zapisana, nic nie będzie można zarzucić treści protokołu.
Odtwarzał wiernie przebieg badania.
Ale dla kogoś, kto później przeczyta.
"Nieudolne wykręty.
" Tak, to będzie niewątpliwie sprawiał właśnie takie wrażenie.
- Miałem w drodze awarię.
- I dopiero teraz przypomniał sobie o tej okoliczności?
- Cóż.
- wzruszył ramionami - jestem jednak nieco wytrącony z równowagi.
Chyba zupełnie zrozumiałe w tych warunkach.
Kosiorzek milczał przez chwilę.
- Zbyt wiele o was słyszałem, by wierzyć, że cokolwiek możecie wytrącić z równowagi.
Ale mniejsza z tym.
A więc powiadacie: awaria.
Jakiego rodzaju, jeśli możecie wiedzieć?
- Zatkanie wentyli.
- I naprawa takiej drobnostki zajęła wam aż tyle czasu?
- Było zupełnie ciemno.
Manipulowanie zaś po omacku.
- O ile pamiętam, te wozy posiadają specjalne oświetlenie pod maską?
- Owszem, ale akurat nie funkcjonowało.
- Z jakiego powodu?
- Nie wiem.
- Nie sprawdzaliście?
- Nie.
- Ciekawe.
Nie sprawdzaliście godziny, nie sprawdzaliście żarówki.
Do czego właściwie mierzacie?
- Do niczego.
Zeznaję tylko, jak było.

- "Awaria w postaci zatkania wentyli - kaligrafował każdą literkę.
- Żarówka oświetlająca motor nie funkcjonowała.

Niewiem, z jakiego powodu.

Nie sprawdzałem.

Musiałem szukaćdefektu po omacku.

"

- Tak zeznaliście?

- spojrział na niego spod oka.

-Tak.

- I chcecie, żeby ktokolwiek w to uwierzył?

Kostrzewa rozłożył ręce.

- Na to już niestety nie mam żadnego wpływu.

-Idziemy dalej.

Z jaką przeciętną szybkością prowadziliście wóz?

- Około trzydziestu kilometrów.

-Powiedzmy.

Wobec tego na jazdę zużyliście w każdym razie mniej niż trzy godziny.

Przeszło zaś drugie tyle na wymianę wentyli, co powinno trwać najwyżej kwadrans.

Czy to waszym zdaniem wygląda prawdopodobnie?

Kostrzewa milczał.

- A może - Kosiorek usunął z końca stalówki jakiś włos - lepiej byłoby powiedzieć prawdę?

- To jest prawda - zdawał sobie sprawę, że dla człowieka siedzącego po tamtej stronie biurka wszystko to razem było nieprawdopodobne i denerwujące.

Opowiadanie jednak o tej chwili, gdy czas stanął w miejscu, nie dałoby nic.

Nie zrozumiałby albo gorzej zrozumiałby opacznie.

- Jakuż wiecie - Kosiorek parł zmęczonym ruchem łokcie o blat biurka - nie potrzebuję wam chyba mówić, jak się ocenia szczere przyznanie się do winy.

Sami do brzewiecie.

Tym bardziej, że w tej sprawie można by znaleźć pewne okoliczności łagodzące, i to moim zdaniem dosyć poważne.

Myśl Kostrzewy pracowała z gorączkowym wysiłkiem.

Nigdzie jednak nie dostrzegł najmniejszego nawet światełka.

"Okoliczności łagodzące"?

O czym on właściwie mówi?

- Nie mam się do czego przyznawać.

-Trudno.

Na upór nie ma lekarstwa.

O jak dawnaznaliście Lesiewicza?

- Wcale go nie znałem.

Przyprowadził go do mnie jeden z moich przyjaciół, doktor Zieliński.

- Widzieliście Lesiewicza wtedy po raz pierwszy w życiu?

218

-Tak.

-I na prośbę zupełnie nieznanego człowieka zdecydowaliście się jechać na drugą stronę Polski?

- O tym, co się tutaj dzieje, opowiadał mi w taki sposób, że zdołał mnie zainteresować.

- Przesłuchany dodatkowo świadek Kopankiewicz zeznał:

"Doktor Kostrzewa po przyjeździe oświadczył, że nie zna żadnych bliższych szczegółów sprawy.

". Oświadczyliście tak?

- Owszem.

Jednak już choćby na podstawie tego, co dowiedziałem się od Lesiewicza, cała historia wydawała mi się niezmiernie tajemnicza.

- Więc Lesiewicz trafił do was przypadkowo?

- Nie rozumiem pytania.

- Chodzi mi oto, czy nie uczyniliście nic, aby spowodować jego przyście.

- Śmieszne.

Nawet nie wiedziałem o jego istnieniu.

- Może jednak nie tak bardzo śmieszne.

Na parę dni przed wizytą Lesiewicza oświadczyliście doktorowi Zielińskiemu: "Dużo bym dał, gdyby wpadła mi w ręce jakaś naprawdę pasjonująca sprawa".

Było tak?

- Było - przyznał półgębkiem.

A więc już zdążyli przesłuchać Zielińskiego.

Zeznania przez telefon.

Piorunujące tempo.

Jakby komuś specjalnie zależała na przyspieszeniu biegu tej sprawy.

Komu?

Zieliński.

Skoro go przesłuchali.

Przebiegł myślą całą rozmowę, która wtedy miała miejsce.

No tak.

Trzeba być przygotowanym na różne rzeczy.

- Lesiewicz - ciągnął dalej Kosiorek - przebywał wtedy w Warszawie od czterech dni.

Czyli w momencie, kiedy to powiedzieliście, był już w stolicy.

Sami musicie przyznać, że dość zastanawiający zbieg okoliczności.

- Niewidzę żadnego zbiegu okoliczności.

Powtarzam, że nie wiedziałem o istnieniu Lesiewicza.

Tym bardziej więc nie mogło mnie interesować, gdzie akurat przebywa.

- W takim razie jak wytłumaczycie nagłą chęć powrotu do praktyki kryminologicznej?

- Depresja - Kostrzewa splótł jeszcze mocniej palce leżących na kolanie rąk.

- Za wszelką cenę pragnąłem oderwać się

219.

na pewien czas od zwykłego otoczenia.

Przed wszystkim do pracy w szpitalu.

Kosiorek popatrzał na niego przeciągle.

- Depresja?

To jednak wymaga chyba nieco bliższego wyjaśnienia?

- Mój przyjaciel umarł mi w czasie operacji, pod nożem.

Przypadek był zupełnie beznadziejny.

I gdyby nie chodziło o bliskiego mi człowieka.

Nie potrafiłem ani na chwilę przestać o tym rozmyślać.

Uważałem, że może mi pomóc tylko przeżycie mocnych wrażeń.

- Mocne wrażenia?

- Kosiorek strząsnął z uwagą nawisłą nakońcu stalówki kroplę atramentu.

- Cóż.

bywają różnego rodzaju.

- Miałem na myśli jakąś pasjonującą zagadkę kryminalną, którą pochłonęłaby mnie bez reszty.

- Taką jak ta?

- Taką jak ta - powtórzył niczym wierne echo.

- Choć muszę przyznać, że wrażenia stały się już cokolwiek za mocne.

Kosiorek udał, że nie słyszy ostatniej uwagi.

Otworzył paczkę papierosów, podsunął Kostrzewie, podał mu ogień.

Sam również zapalił.

Długą chwilę puszczał w milczeniu kłęby dymu.

Widać było, że nie wierzy.

Nic dziwnego.

Kostrzewa, będąc na jego miejscu, tak samo by nie uwierzył.

Odłożył papierosa.

- Powracając do waszej rozmowy z Lesiewiczem.

Umówiliście się, że wyjdzie wam na spotkanie?

Kostrzewa zaciągnął się papierosem.

Pytanie nie spadło na niego z nienacką.

Od chwili, kiedy się dowiedział o przesłuchaniu Zielińskiego, zdawał sobie sprawę, że ta kwestia musi zostać poruszona.

Zaprzeczanie nie miało by najmniejszego sensu.

- Wspomniał coś o tym.

- Spotkaliście go po drodze?

- Nie.

- W depeszy zapowiadającej wasz przyjazd podaliście o wiele wcześniejszą godzinę.

Dlaczego?

Pomimo całej grozy sytuacji Kostrzewa ledwo się powstrzymał, by mu nie parsknąć w nos.

Ta pułapka należała do rodzaju całkiem prymitywnych.

220

- Nie podawałem żadnej godziny.

Przytak długiej trasie byłoby to nie dopomyślenia.

Samochód to nie pociąg przychodzący do miejsca przeznaczenia według rozkładu jazdy.

Napisałem: "Po południu".

- Przyjechaliście jednak o północy.

- Awaria nie była przewidziana w planie.

- Awaria.
- zabębnił palcami po blankiecie protokołu.
- Lesiewicz wyszedł właśnie po południu.
I więcej już nie wrócił.

Kostrzewa patrywał się sennie w czubki swych butów.
Był pewny, że jegotwarz nie wyraża w tej chwili nic więcej, niż powinna wyrażać.

III

Noc minęła fatalnie.
Nie zmrużył oczu nawet na kilka minut.
Pluskwy atakowały ostro i zjadliwie.
Nie one jednak były powodem.
Myśli kłębiły się burzliwie pod czaszką.
Czarne i beznadziejne.
Matnia, z której nie było wyjścia.
Z każdą chwilą pograżał się coraz głębiej.
Wszystko było przeciwko niemu.
Wszystko.

Potem skąpe plamy szarawego światła zarysowały na betonowej podłodze dziwaczną szachownicę.

Czas wólkł się z zabójczą powolnością.
Metaliczny odgłos zasłony judasza.
Kroki strażników za ścianą.
Szczękanie kluczy.
Piskliwie jęczały rygle.
Brzęk blaszanych misek - cela była pełna odgłosów niczym pudło rezonansowe.

Łykał jedzenie, nie zdając sobie sprawy z jego smaku.
Potem przyszły długie chwile ciszy.
Jeszcze trudniejszej do zniesienia.

Na skroniach tętniły dokuczliwie żyły.
Uciskał je palcami.
Trzeba wszystko dokładnie sobie przemyśleć.
Zanalizować wszystkie okoliczności.
Rozważyć.

Mógłby powtórzyć każde pytanie, które mu zadawano.
Każde słowo swych własnych odpowiedzi.
I co z tego?
To niedawało absolutnie nic.

Niekończące się wędrówki pomiędzy ciasnymi ścianami.
Noc..

znowu dzień i znowu noc.
Zaczynał tracić rachubę czasu.
To chyba trwało już całe wieki.
Cały świat leżący gdzieś poza tymi murami był jakby na jakiejś zupełnie innej planecie.
W oczach strażnika coraz większe współczucie.

- Nie poddawajcie się.

Łatwomówić.

Ale gdy człowiek patrzy bezradnie na iskrzęzbliżającą się do ładunku dynamitu.

I wreszcie otwierające się o niezwyklej porze dnia drzwi-"Na przesłuchanie" - i dodana szeptem informacja: "Do prokuratora".

Ten człowiek był niewątpliwie życzliwy.

I co z tego?

Błaznana tabliczka z napisem: "Prokurator dla miasta i powiatu Kozłowa".

Duży, widny pokój.

Ale i tu pachniałostęchlizną.

Może tozresztą on sam przyniósł ze sobą ten zapach.

Przez tyle godzinw przepojonej smrodliwymi wylizawamiceli.

Ubranie, włosy, całe ciało, płuca.

Wszystkobyło zatęchłe.

Myśli.

Nie, myśli muszą być świeżej przejrzyste.

Teraz bardziej niż kiedykolwiek w życiu.

Za biurkiem młody mężczyzna.

Spod grubych szkielek okularów patrzyły niepewnie oczy krótkowidza.

Prokurator?

Jego zastępcą?

Chyba jednak to drugie.

Po lewej stroniebiurka niewielki stół.

Kosiorek siedziałszytywno wyprostowany, niemal na baczność.

Który z nichdwóch będziewłaściwie prowadził śledztwo?

Blankiety o innymkładzie rubryk.

Znal je dobrze.

Sprawa wyszła już ze stadiumwstępnego dochodzenia.

Tempo.

Zresztą przy tegorodzaju dowodach.

- Siadajcie.

Kostrzewa usiadł wystudionym ruchem.

W tego rodzaju sytuacji nie wolno okazywać zdenerwowania.

Prokurator niesprawiłwrażenia zbyt wytrawnego psychologa.

Ale za to Kosiorek.

.. Monotonne spisywanie personaliów.

Nerwy napięte doostatecznych granic, ale o mało nie ziewnął.

Świrski kiedyś powiedział: "Agonia też może byćnudna".

- Czy przyznajecie się do tego, że w dniu jedenastego października bieżącego roku pozbawiliście wystrzałemz pistoletużycia Zdzisława Lesiewicza, to jest do przestępstwa przewidzianego w artykule dwieście dwadzieścia pięć kodeksu karnego?

-Nie - to zabrzmiało mocno i wyraziście.

- Copragniecie wyjaśnić?

Wyjaśnić?

Kostrzewa usiadł wygodniej.

Powtarzanie tego, co

222

już mówił w dochodzeniu, nie miałyby najmniejszego sensu.

Mózg pracował intensywnie.

- Zarzut jest zupełnie bezsensowny.
- Bezsensowny?
- prokurator nie potrafił ukryć zdumienia.
- Tak.
- Dlaczego?
- Powiadacie: "Zastrzeliłem Lesiewicza jedenastego".
Pomijając już wszystko inne, jeśli bym to uczynił, to w jaki sposób zwłoki jego mogły się znaleźć w dniu szesnastego na łóżku w pokoju Świrskiego, a następnie w lodowni?
Zastrzeliłem i co dalej?
Nie przewiozłem przecież trupa w bagażniku.
Po prostuby się zmieścił.
A przeniesienie na plecach.
Kiedy i w jaki sposób?
Nikt nie twierdzi, abym miał jakiegoś współnika.
Prokurator pochylił twarz nad aktami.
Speszony?
Diabło nato wyglądało.
- Nie ma żadnych dowodów, że zwłoki w ogóle znajdowały się naterenie zabudowań nadleśnictwa - powiedział wreszcie.
- Nie ma dowodów?
A zdjęcia?
- Zdjęcia.
- prokurator przerzucił kilka kart- biegły stwierdził, że zachodzi możliwość fotomontażu.
Zwłoki Lesiewicza zostały znalezione w podobnej pozycji.
Powiedzmy więc:
sfotografowaliście w lesie, bezpośrednio po zabójstwie, następnie zaś kombinacja ze zdjęciami wnętrza lodowni.
Fotomontaż.
Kostrzewa przełknął cicho powietrze.
Te przekłete smugi.
- Skoro więc - ciągnął dalej prokurator nie jesteście w stanie przedstawić negatywów, odbitki nie stanowią żadnego dowodu.
- Świrski widział zwłoki na własne oczy.
- Tylko gdzie go szukać?
- dobiegło od stolika, przy którym siedział Kosiorek.
- Zniknął bez śladu.
Kto wie, czy nie na zawsze.
Kostrzewa przymusił się do swobodnego uśmiechu.
- Oczywiście nic łatwiejszego, jak oskarżyć mnie z kolei o zamordowanie również jego.
- Nie mówimy teraz o zamordowaniu Świrskiego- zareplikował nadspodziewanie ostro prokurator - a więc proszę dorzeczyć!
223.

- Świrski opowiadał o tym niemal wszystkim mieszkańcom nadleśnictwa. Między innymi Kopankiewiczowi.

- Opowiadał - odezwał się znowu Kosiorek.

- Słowa człowieka, który bez przerwy pił.

Właśnie świadek Kopankiewicz wspominał, że to, co mówił Świrski, niejednokrotnie przypominało bredzenie chorego umysłu.

- Kopankiewicz?

- twarz Kostrzewy wciąż pozostawała spokojnie nieruchoma.

Rzecz jasna, że na większą wiarę zasługują twierdzenia świadka oskarżonego.

Wszystko, na czym można by zbudować obronę, waliło się wgruzy.

Misternie skonstruowana akcja?

Ale jeżeli nawet tak było, nie miał na to żadnych dowodów.

Niezależnie od wszystkiego przesładował go w tej sprawie jakiś przeklęty pech.

Bo zanieczyszczenie obiektywu powstało przecież z jego własnej winy.

- Jak widzę - zabrał głos prokurator - zamierzacie stosować dotychczasową taktykę.

- Tonie jest żadna taktyka.

-.. .

zaprzeczania oczywistym dowodom oskarżenia - kontynuował prokurator, jakby sprzeciw Kostrzewy nie dotarł do jego świadomości.

- Czas, gdy przyznanie się oskarżonego do winy uważany był za "koronę dowodów", należy już do przeszłości.

Chcąc jednak uniknąć

komplikowania śledztwa, zapoznam was

z pewnymi ustaleniami.

Być może w końcu dojdziecie do wniosku, że wasz sposób obrony pozbawiony jest wszelkich szans.

A więc zwłoki Lesiewicza znaleziono w odległości trzech metrów od szosy, na dwudziestym kilometry, licząc od leśniczówki.

Ogledziny sądowo-lekarskie ustaliły, że śmierć nastąpiła siedem do ośmiu dniami.

A więc dziesiątego bądź jedenastego października.

Ponieważ Lesiewicz do południa jedenastego żył jeszcze, pozostaje nam tylko data jedenastego.

Ten właśnie dzień, w którym przyjechaliście do nadleśnictwa, co wam zajęło co najmniej o trzy godziny więcej, niż to było potrzebne.

Lesiewicz wyszedł tego dnia po południu, mówiąc, że ma się z kimś spotkać.

Jak wynika z zeznań świadka Zielińskiego, miał się spotkać właśnie z wami.

Spotkał się i.

został zastrzelony.

Biegły rusznikarz orzekł, że kula, od której poniósł śmierć, została wystrzelona z waszego o pistoletu.

Czy uważacie, że to wszystko razem nie daje jeszcze pełnego obrazu zbrodni?

Widzicie jakieś luki?

224

Kostrzewa milczał.

Nie było żadnych luk.

Wszystko jasne i niewątpliwie.

Poszczególne ogniwa spajały się w jedną niemożliwą do rozerwania całość.

A przecież musiał być jakiś błąd w tej konstrukcji.

Cóż z tego, że nie potrafił go dostrzec?

- Jakież mógłbym mieć powód, żeby zastrzelić Lesiewicza?
Człowiek, którego tylko jedyny raz widziałem na oczy.
Któremu chciałem pomóc.
- pomimo wysiłków głos zabrzmiał niezmiernie słabo.
Dotychczas trzymał się jakoś, ale obezwładniające zmęczenie zaczynało brać górę nad siłą woli.

- Powód - Kosiorek podniósł znacząco rękę - my uważamy, że mieliście powódby zamordować Lesiewicza.
I jego, i Zawadzkiego, i innych.

- Jaki?
- Kostrzewa wlepił wzrok w leżące nabiurku akta.
Spęczniały chyba w dwójnasób od momentu, gdy je widział poraz ostatni.
Co wyciągną z nich nowego?
Totak jak z pudełkiem, z którego wyskakuje sprężynowy diabełek.
Tylko że diabły ukryte w sztywnych obwolutach nie były wcale zabawne.

IV

Powoli szeleściły odwracane przez prokuratora kartki.
Szukał czegoś.
W końcu rozłożył akta w miejscu, gdzie była wszyta koperta.
Nie otwierał jej jednak.
Co mogła zawierać?

- Podczas okupacji braliście udział w ruchu oporu?
- padł nieoczekiwane pytanie.

Kostrzewa osłupiał.
Do czego to znów miało prowadzić?

- Tak.
- W organizacji współpracowaliście blisko z kimś, kto używał pseudo "Wnuk"?
- "Wnuk"?

- Kostrzewa bezskutecznie szukał w pamięci.
- Nie, nie znałem nikogo o takim pseudonimie.

- Nie?
- pióro zawisło w powietrzu.
- Możliwe.

- znowu zjrzał do akt.
- On przedtem używał innego.

Aha, "Zenek".
"Zenka" również nie znaliście?

Kostrzewa przesunął końcem języka po nagle zaschłych wargach.
"Zenek"?

Cóż on mógł mieć wspólnego z całą tą sprawą?
Ale najdziwniejsze niespodzianki stawały się tu już czymś zupełnie zwykłym.

- Owszem, znałem człowieka noszącego pseudonim "Zenek" - przyznał po długiej pauzie.
- Byliściez nim zaprzyjaźnieni?
- Przez pewien czas łączyły nas zażyłe stosunki.

Wspólne akcje bojowe.

To bardzo zbliża.

- Przez pewien czas.

A potem?

- Potem nasze drogi rozeszły się.
- Jak mam to rozumieć?
- Straciłemgo z oczu.
- Wyszedł z organizacji, w której braliście udział?
- Tak.
- Słyszeliście, że przeszedł do NSZ?
- Mówiono coś o tym.
- Tylko:mówiono?

Nie interesowaliście się bliżej?

Węzłyprzyjaźni, wspólne akcje bojowe, jakto sami przed chwilą wspomnieliście, i nagle przestał dla was istnieć.

Jak to można wytłumaczyć?

Kostrzewa spojrział na swoje ręce.

Te kurczowo zaciśnięte

palce.

Rozprostował je natychmiast.

"Zenek".

Lesiewicz i Zawadzki.

Jaki znakmógł łączyć te pozycje?

Chodziło o to, jaki

oni mogli postawić tu znak?

- Wiedziałem, że przeszedł do NSZ - głos już tak samo równy i bez żadnej intonacji.
- Wiedzieliście- zaznaczył Kosiorek w taki sposób, jakby todecydowało owszystkim.

Kostrzewa spojrział na niego.

Co właściwie chciał przez to zaznaczyć?

Potem znowu utkwiał wzrok

w swych rękach.

Prokurator notował szybko.

Właściwiedlaczegosam spisywał

protokół?

Czyżby tu nie uznawano instytucji protokolantów?

- "Wiedziałem, że przeszedł do NSZ"- błysnęły szkłaokularów.
- Nie utrzymywaliście z nim potem żadnych kontaktów?
- Nie.
- To jednak.

Sami pomyślcie, jak to wygląda: towarzyszy

z organizacji przechodzi do innego obozu i żeby najmniejszych prób perswazji?

- Owszem szukałem go.

Nie potrafiłem jednak nigdzie znaleźć.

Wyprowadził się z mieszkania, przestał bywać w lokalach, które przedtem odwiedzał.

Jak kamień w wodę.

Anija go nie

226

spotkałem, ani żaden z kolegów.

Być może w ogóle wyjechał wtedy z Warszawy.

- Co się z nim dalej działo?

- Nie wiem.

- Absolutnie?

- Słyszałem, że podobno zginął.

Było to podobno już pod koniec wojny.

- A nie słyszeliście przypadkiem - prokurator uniósł powoli głowę - że to stało się już po zakończeniu wojny?

I że zginął w oddziale dowodzonym przez.

Zawadzkiego.

- Cooo?

- Kostrzewa ciężko wparł plecy w oparcie krzesła.

W oddziale Zawadzkiego?

To..

przecież niemożliwe.

- Gdybyście zostali aktorem - mruknął zjadliwie Kosiorek - osiągnęlibyście wspaniałe sukcesy.

Ale u nas.

- Więćnie wiedzieliście?

- powtórzył pytanie prokurator.

- Nie.

I nie jestem w stanie uwierzyć.

- W myślach coraz większy chaos.

"Zenek" w oddziale Zawadzkiego.

Jedna zofiarostatniej akcji.

Właśnie tej, wokół której kręci się cała sprawa.

Prokurator sięgnął do wnętrza koperty.

- Znacie to zdjęcie?

Kostrzewa nachylił się nad biurkiem.

Mała amatorska fotografia.

Pomięta i brudna, jakby ją noszono bardzo długo w kieszeni.

Czas naglesię cofnął o wiele lat.

Przekreślone grubym kreichami odprysniętej emulsji twarze były jednak zupełnie wyraźne.

Poznał wszystkie od pierwszego rzutu okiem.

Oto on sam w zsuniętej zawadiacko na sam tył głowy narciarce.

W rękach sten.

Tuż obok "Zenek".

Rozbrajająca chłopięca twarz "Wiktora".

Iluż szkopów wyprowadził na tamten świat, zanim dosięgła go seria rozpylacza.

Oczy Kostrzewy błędziły po wyblakłych postaciach.

Cały oddział.

Tak niewielu spośród nich przeżyło wojnę.

Mimowolnie odwrócił fotografię.

Zrudziały atrament dużych, energicznie nakreślonych liter: "31 XII 41.

Sylwestrowy wypad w teren".

Pamiętał tę akcję.

Poszła nad spodziewanie gładko.

Magazyny mundurowe długo płonęły jasnym ogniem.

Powrócił bez strat.

Tylko "Kłowski" kula oderwała kawałek małego palca.

Ale kto by tam zwracał uwagę na takie drobności.

- Więc poznajecie?

- ponaglił prokurator.

227.

- Tak - wyprostował się - oczywiście. - Głupie pytanie. Wiedzieli przecież, że on sam był w tej grupie. - Czy wolno wiedzieć, skąd to zdjęcie trafiło do akt? I jaki przypisujecie mu związek ze sprawą?

Coś jakby wymiana porozumiewawczych spojrzeń ponad jego głową.

- To żadna tajemnica - powiedział prokurator. - Przywiózł je do nadleśnictwa Lesiewicz.

- Ale skąd on wszedł w jego posiadanie?

- Pełnił w oddziale Zawadzkiego funkcję adiutanta. Na kilka dni przed rozbiciem oddziału Zawadzki polecił mu zebrać od członków grupy wszystko, co mogłoby grozić niebezpieczeństwem identyfikacji. Zdjęcie było wśród innych rzeczy oddanych przez „Zenka”... Jego prawdziwe nazwisko brzmiało Sobański.

- Tak. Wiktor Sobański.

- Dokumenty miały być zniszczone. Na szczęście do tego nie doszło. Być może spowodowało to niedbalstwo Lesiewicza, być może nikt nie oczekiwał aż tak szybkiej zagłady oddziału.

Dość, że fotografia przetrwała. I właśnie na jej podstawie Lesiewicz doszedł do wniosku, że jesteście przyjacielem „Wnuka”. Dalsze skojarzenia nasuwały się same...

- Nie uczynił jednak najmniejszej nawet aluzji na ten temat.

- W waszym mieszkaniu czy na szosie? - wtrącił pytanie Ko-siorek.

Kostrzewa wzruszył ostro ramionami.

- Rozmawiałem z nim tylko jeden jedyny raz: u mnie w mieszkaniu.

- Trzy godziny... - porucznik postukiwał palcem w stół - to stanowczo za dużo, nawet jeśli chodzi o zastrzelenie kogoś i przykrycie trupa zeschniętymi liśćmi.

- Lesiewicz nie poznał was od razu - wyjaśnił prokurator. - Wprawdzie wasza twarz kogoś mu przypominała, nie mógł się jednak początkowo zorientować kogo mianowicie. Dopiero znacznie później...

- I mimo to nie odwołał zaproszenia. Dlaczego?

- Nie wiem - strzepnął z uwagą kropelkę atramentu ze stalówki. - Być może doszedł do wniosku, że bezpieczniej będzie

228

mieć na oku kogoś, kto puszcza w ruch całą tę... odwetową akcję.

- Kogoś, kto puszcza w ruch?

- To są, rzecz jasna, tylko przypuszczenia - zastrzegł się prokurator. - Faktem natomiast jest, że realizacja została rozpoczęta dopiero od momentu waszego pojawienia się na widowni.

Znowu długa pauza.

- Skąd właściwie to wszystko wiadomo? - przerwał ją Kostrzewa. - Czyżby Lesiewicz zdążył przed śmiercią opowiedzieć?

Prokurator potrząsnął przecząco głową.

- Niestety, nie zdążył. Natomiast przesłuchana przez nas świadek Zofia Zawadzka zeznała:

„Lesiewicz pokazywał fotografię, mówiąc, że twarz mężczyzny w narciarskiej czapce przypomina mu bardzo tego doktora, do którego zwrócił się z prośbą o pomoc w sprawie anonimów. Na to Świrski zaklął, wołając: «W takim razie bezpieczniej byłoby tu zaprosić samego diabła». Mój mąż był również bardzo zafrasowany. Lesiewicz jednak zaznaczył, że nie jest pewny, czy rzeczywiście chodzi o tę samą osobę. «Być może tylko przypadkowe podobieństwo.» Wręczył mężowi fotografię dla porównania po przyjeździe Kostrzewy. Było

to tego samego dnia, gdy wyszedł, aby więcej nie wrócić. Potem Świrski pytał przy mnie męża, czy poznał doktora z fotografii. Mąż jednak nie potrafił udzielić zdecydowanej odpowiedzi. Twierdził, że fotografia jest niewyraźna i zniszczona, zaś w ciągu kilkunastu lat rysy mogą się bardzo zmienić. Do samego końca nie wiedzieli, jak jest naprawdę. Mnie osobiście wydawało się, że jest to ten sam człowiek".

Kostrzewa obrzucił tęsknym wzrokiem leżącą na biurku paczkę papierosów.

- Czy mógłbym zapalić?

- Proszę bardzo - prokurator znowu podsunął mu usłużnie płomień zapalniczki.

Palił długą chwilę w milczeniu.

„Ten sam człowiek." Był przecież tym samym człowiekiem. Myślała, że morderca jest tuż obok niej. I przez tyle czasu ani najmniejszym bodaj słówkiem czy spojrzeniem... Wprost trudno uwierzyć, że aż do tego stopnia opanowana. Prawda... Przebiegał myślą szczegóły pobytu w nadleśnictwie. Na jego wi-

dok garnęła się natychmiast do męża jak pisklę szukające schronienia pod opiekuńczym skrzydłem matki.

Wtedy nie

zwracał na to uwagi, ale teraz.

Musiał przeżywać naprawdę trudne chwile.

Kto wie, czy nie to właśnie było powodem, że chcąc za wszelką cenę uciec od kogoś, kogo uważała za mordercę, namówiła Józefa do uruchomienia cudzego auta?

- Jak sami więc widzicie -przeciągając się ciszę przerwał głos prokuratora- mieliście aż nadto wystarczający powód.

Oczywiście w waszym mniemaniu.

Przyjaciel, który zginął z winy ich wszystkich.

Łatwo powiedzieć: "Lesiewicz przyszedł do mnie zupełnie przypadkowo".

Ale analiza logiczna daje zupełnie inny obraz.

Pragnęliście, żeby przyszedł.

Przez te parę dni często chodził razem z doktorem Zielińskim do różnych lokali.

Nietrudno ich było spotkać.

Potem niby to przypadkowa uwaga w rozmowie z Zielińskim: "Dużo bym dał, gdyby jakaś naprawdę pasjonująca zagadka kryminalna.

". Listy grożące zamordowaniem trzech osób niewątpliwie stanowią tego rodzaju zagadkę.

A ktoś, kto je sam wysłał.

Dalej wszystko przebiega zgodnie z opracowanym planem.

Logiczne?

- Cholernie logiczne - sarknął zezłością Kostrzewa.

-Macie coś do zarzucenia obrazowi, który odmalowałem?

- Niewiele.

Tylko to, że nie ma absolutnie nic wspólnego z prawdą.

Nie zamordowałem Lesiewicza, nie zainscenizowałem spotkania, nie wiedziałem, że "Zenek" trafił do oddziału Zawadzkiego.

Jeżeli myśliwy trafi przypadkiem w potrzask, to wcale jeszcze nie znaczy, że jest drapieżnikiem, na którego ten potrzask zastawiono.

Temu rozumowaniu chyba również trudno odmówić logiki?

V

- Czy przyznajecie się do tego, że w dniu osiemnastego października pozbawiliście życia Jerzego Zawadzkiego przez podanie mu herbaty z trucizną, czyli do przestępstwa przewidzianego w artykule dwieście dwadzieścia pięć kodeksu karnego?

Kostrzewa gonił już resztkami sił.

Prokurator wydawał się również niezmiernie zmęczony.

Tylko Kosiorek był tak samo świeży jak parę godzin temu.

230

- Nie, nie przyznaję się.

-Co chcecie wyjaśnić?

- Cóż mogę tu wyjaśnić?

-Pewno - skomentował kpiąco Kosiorek.

- Odciski palców na szklance, z której ofiara wypijała truciznę, to nie coś takiego co dałoby się zetrzeć najgorętszym nawet zapewnieniem o swej niewinności.

Poza tym słoik z cyjankiem w walizce.

- Czy na tym słoiku również znaleziono odciski moich palców?

-Słoik - prokurator nie podnosił nisko pochylonej nad protokołem głowy- został dokładnie wytarty.

Może nawet umyty.

Nie wykryto na nimw ogóle żadnych odcisków.

- To jest w każdym razie nielogiczne.

Dlaczego miałbym usuwać odciski moich palców wyłącznie ze słoika, pozostawiając je na wszystkich innych przedmiotach, które mają świadczyć o mojej winie?

- Nilogiczne?

Wcale nie - roześmiał się szorstko Kosiorek- Jeżeli bowiem chodzi o pozostałe dowody rzeczowe nie możecie zaprzeczyć, że stanowią waszą własność.

Kostrzewa poprawił się na krześle.

Zrobiło mu się jeszcze bardziej niewygodnie.

Diabelnie celna riposta.

- Co chcielibyście dodać?

- spoza szkieł błysnęło pytające spojrzenie.

- Nic.

- Pragnąłbym zaznaczyć, że, jak wynika z ustaleń dochodzenia, usiłowaliście już poprzednio otruć Zawadzkiego

- Poprzednio?

Kostrzewa od dawna przestał się czemukolwiek dziwić.

- Tak.

Użyliście również cyjanku potasu.

Tylko że wtedy się nie udało.

Znowu poprawił się na krześle.

Tyle godzin bez ruchu.

Mięśnie drętwiały coraz bardziej.

- Czy mógłbym dowiedzieć się czegoś bliższego o tej historii?

Prokurator zmarszczył brwi.

Miało zapewne wypaść groźnie, wypadło nijako.

- Udawanie nic nie pomoże.

Analiza herbaty pozostawionej przez was w probówce ustaliła obecność dużej dozy cyjanku.

Bezwzględnie śmiertelnej dozy - podkreślił.

- Sztuczka z rzekomą analizą się nie udała.

Świadek Kopankiewicz przecież

nie

ma pojęcia o chemii i pierwszy raz w życiu asystował przy dokonywaniu analizy. Nie pamięta, coście wtedy robili, i nie jest w stanie stwierdzić, czy te czynności były prawidłowe, czy też nie.

Jeszcze mniej orientuje się w osiągniętych wynikach.

Wasze oświadczenie, że herbatanie zawiera trucizny, przyjął na wiarę.

Kostrzewa słuchał bez specjalnego napięcia.

Cyjanek w próbce?

To był od przewidzenia.

I właściwie jak mogło to zmienić sytuację?

Jeżeli okaże się, że Świrski został zamordowany, prawdopodobnie znowu wyskoczą jakieś bezpośrednie dowody świadczące, że to właśnie on go zamordował.

Motywy już mieli.

Generalny motyw.

Resztę zawsze da się jakiś sposób doczepić.

- Jak sobie wyobrażacie dosypywanie przez mnie cyjanku do tamtej herbaty?

- Zapytał, aby coś powiedzieć.

- Nie wchodziłem wtedy do kuchni.

Skąd mogłem przewidzieć, z jakiej szklanki będzie pił Zawadzki?

- Wiedzieliście dokładnie.

Z zeznań świadka Berkuć wynika, że pytaliście o Zawadzkiego.

- Pytałem?

- Tak.

Zawadzki wskazał mi wtedy podstawkę, oświadczając, że lubi pić tylko z własnego naczynia.

Było tak?

Kostrzewa przypomniał sobie pierwszą wizytę w kuchni.

- Nie pytałem, ale Zawadzki coś wspominał o szklance - przyznał bezbarwnie.

Co krok grzązł głębiej.

Jak w jakimś koszmarze, z którego nie można się zbudzić.

- Nowięc.

Jeżeli chodzi o możliwość dosypania trucizny.

Drzwi prowadzące z kuchni na podwórze stały otworem.

Świadek Kazimiera Berkuć przebywała akurat w służbowym i nie widziała, co się dzieje w kuchni.

'Wy zaś na parę minut przed podaniem omawianej herbaty wstaliście od stołu i powróciliście po pewnym czasie.

Przypominacie sobie?

Owszem, Kostrzewa przypominał sobie.

Akurat zabrakł mu papierosów i skoczył do swego pokoju po nową paczkę.

Totrwało bardzo krótko, ale w tym czasie niewątpliwie zdążyłby wpaść do kuchni.

Bzdura, dla kogoś jednak patrzącego na całą sprawę z boku mogła się wydawać bezsporną prawdą.

Co tam mogła.

musiała się wydawać.

232

- Czy chcecie coś wyjaśnić?

- Nie.

- Co tu było do wyjaśniania?

Sytuacja gorsza, niż byłoby stanie sobie wyobrazić w najczarniejszych przewidywaniach.

I jednocześnie jak najbardziej idiotyczna.

-W takim razie dzisiaj koniec - prokurator odczytał protokół.

Głos monotony i bez wyrazu.

On chyba również miał tego wszystkiego powyżej uszu.

Wargi raz po raz drgały w kurczowych wysiłkach powstrzymywania ataków ziewania.

- Podpiszcie.

Wciąż nie tracę nadziei, że gdy sobie to wszystko przemyślicie w spokoju ducha, dojdziecie do wniosku, że wasza dotychczasowa taktyka pozbawiona jest zupełnie sensu.

Ale radziłbym powiedzieć prawdę jeszcze przed zamknięciem śledztwa.

Później to będzie już nie to.

Miejcie to na uwadze.

- Tu wszystko jest pozbawione sensu - skonstratował Kostrzewa.

- A jeżeli chodzi o zmianę taktyki, kto wie, czy właśnie ja będę tym, który uzna, że należy ją zmienić.

Czas pokaże.

I jeszcze jedno.

- Właściwie nie mógł nic zarzucić tym ludziom.

Śledztwo było prowadzone prawidłowo.

Nie okazywał stronniczości ani uprzedzeń.

Każda okoliczność została przeanalizowana w sposób zgodny z przepisami.

Orzeczenia biegłych, zeznania świadków.

Trudno by nawet twierdzić, że ci ostatni mówili nieprawdę.

Tylko że to niezmieniało wniczym stanu rzeczy.

Coś, co nieistniało i nie mogło istnieć, nabierała, zamieniając się w pozór rzeczywistości.

Cóż można na to poradzić?

Masował mocno kolana.

Obawiał się, że nie zdoła wstać z krzesła.

Dopiero mieliby przedstawienie, gdyby tak runął na podłogę.

Byliby pewni, że nowa komedia.

A to tylko odrętwiałe wskutek długiego bezruchu mięśnie.

- W czym rzecz?

- Chciałbym zawiadomić kogoś o moim aresztowaniu.

- Macie przecież prawo wysyłania listów przez kancelarię więzienną.

- Chodźmy o rozmowę telefoniczną.

Znowu niemawymiana spojrzeń.

- Kogo chcecie zawiadomić.

- Komendę Główną MO.

233.

Prokurator szeroko otworzył oczy.

- Komendę?

Po co?

- Co wy sobie właściwie wyobrażacie?

- pięść Kosiorka z rozmachu walnęła o stół.

- Że kumoterskie chody spowodują zatuszowanie podwójnego morderstwa?

Kostrzewa popatrzył na niego chłodno.

- Nic sobie nie wyobrażam.

Pragnę jedynie zawiadomić Komendę o moim aresztowaniu.

I proszę, by mi prokuratorze chciała toudzielić zezwolenia.

- Ale.

- prokurator rozmyślał przez chwilę -nie widzę żadnych podstaw prawnych.

Dochodzenie milicyjne zostało już zakończone.

Teraz prowadzi je prokuratura.

Jeżeli macie jakieś zażalenia na postępowanie organów milicji.

- Nie mam żadnych zażaleń.

Więc prokurator mi odmawia?

- Nie widzę podstaw - powtórzył.

- W takim razie proszę wyznaczenie mi obrońcy.

- Już w śledztwie?

- zdziwił się ostentacyjnie Kosiorek.

- Jest taki przepis w kodeksie postępowania karnego.

zaczął Kostrzewa, prokurator jednak mu przerwał.

- Oskarżony ma prawo żądać wyznaczenia obrońcy.

Czy chodzi o jakiegoś konkretnego adwokata?

- Nie znam tu żadnych.

- W takim razie zostanie wyznaczony z listy.

- Prosiłbym, żeby możliwie jak najprędzej - miał w tym swój określony cel.

Dręczyła go bawą, żeby gonie przejrżeli.

Zestrony prokuratora raczej pod tym względem niegroziło większe niebezpieczeństwo.

Za to Kosiorek.

Zmarszczone brwi świadczyły, że próbował rozgryźć w czym rzecz.

- Dobrze - napisał kilka słów u dołu protokołu.

- Wasz wniosek zostanie załatwiony bezzwłocznie.

Nie chciałbym, żebyście potem wysuwali jakieś zarzuty.

Co więcej?

- Nic.

- W porządku.

Odłożył pióro i zamknął obwolotę.

Uczył to znieukrywaną ulgą.

234

VI

Znowu cela.

Te same natrętne Odgłosy odmierzające bieg więziennego dnia.

Ale teraz nie docierały do jego świadomości.

Tylerzecz musiał przemyśleć.

Kula, od której poniósł śmierć Lesiewicz, została wystrzelona z jego pistoletu?

Oczywisty nonsens.

Nie mógł przecież tak być.

Ale w jaki sposób prawdziwy morderca zdołał wprowadzić błąd nawet biegłym?

Rusznikarstwo wątpliwie musiał mieć do czynienia z kulą wystrzeloną z Waltera.
Co do tego nie mogło być dwóch zdań.

Pistolet pochodził jeszcze z czasów wojny i był oddawna w użyciu.

Starciagwintu lufy były tak charakterystyczne, że nie mogły budzić najmniejszych wątpliwości.

Wycelował w ranę, która spowodowała śmierć i przestrzelił ją powtórnie?

To wymagałoby bezpośredniego przytknięcia lufy.

Strzał z najmniejszej choćby odległości spowodowałby podwójny kanał.

Bezpośredni strzał, a więc osmalenie skóry dookoła kanału wlotowego.

Nie wiedział, czy naprawdę była osmalona.

Do tego konieczne było szczegółowe zapoznanie się z protokołem obdukcji.

Prokurator nie miał obowiązku udostępniania oskarżonemu materiału zawartego w aktach od momentu zamknięcia śledztwa.

Chodziło jednak o to, żeby do tego zamknięcia w tym stanie, „rzeczyw ogóle nie dopuścić.

Oskarżony nie ma szans.

Ale adwokat.

O ile tylko potrafi znaleźć przekonujące argumenty.

Licho wie, jakiego mu wyznaczą.

- Obiad!

Parząca blacha miski.

W nozdrza uderzyła intensywna woń gorącej strawy.

Gdy tylko zamknął drzwi celi, odstawił miskę i pogrążył się z powrotem w rozmyślaniach.

Zwłoki Lesiewicza znaleziono w tej samej pozycji, w jakiej zostały przez niego sfotografowane.

A więc leżały nawznak.

Co z tego wynikało?

Absolutnie nic.

Nie pozostawały przecież całych lasów w lesie.

Pokój Świrskiego, potem lodownia.

Dwudziesty kilometr, licząc od nadleśnictwa?

Dokąd właściwie dotarła woda w czasie powodzi?

Podczas swojej wyprawy na zatopioną szo235.

sę nie sprawdzał kilometrowych słupków.

Może więcej niż dwadzieścia kilometrów, może mniej.

Szkoda, że nie sprawdzał.

W miejscu, gdzie wszedł na szosę, pozostawały wprawdzie podwoda, ale tam, dokąd powódź nie sięgnęła, można było ustalić granicę.

To mogło mieć pierwszorzędne znaczenie.

Jeszcze jedna bezsenna noc.

Następnego dnia rano strażnikoznajmił donośnie:

- Obrońca.

Mężczyzna wpuszczony przez niego do celi nie dawał najmniejszych powodów do entuzjazmu.

Lat sześćdziesiąt kilka, może nawet po siedemdziesiątce.

Oczy wodniste i bez wyrazu.

Seneczy też po prostu bezmyślne.

Ciało, wciśnięte na siłę w zbyt ciasne ubranie, pofałdowane i obwisłe.

Marynarka niechlujna.

Pełno tłustych plam, okruchów tytoniu, popiołu i diabli wiedzą czego jeszcze.

Buty zablocone.

Żadna szczotka nie miała chyba z nimi nic wspólnego od niepamiętnych czasów.

Raczej pensjonariusz domustarców niż członek palestry.

Kostrzewa, który z taką niecierpliwością oczekiwał na jego przyście, nagle osowiał.

Co za przekłety pech.

Skąd oni go właściwie wykopali?

- Adwokat Zapiatko wyciągnięta na powitanie dłoń była tak samo brudna jak cała reszta.

Kostrzewa uściskując, pokonując z trudem uczucie obrzydzenia.

Zupełnie jakby miał wręku oślizłą galaretę.

Albo zdechłą ropuchę.

Może jednak pomimo wszystko.

- Zostałem wyznaczony pańskim obrońcą.

- odchrząknął zastanowieniem - tego.

zurzędu.

To znaczy bezpłatnie.

Ale jeżeli pan mógłby pokryć choć część kosztów.

A więc od tego zaczynał.

Jakby w tym wszystkim sprawa honorarium była najważniejsza.

Cóż.

dla niego na pewno była

najważniejsza.

- Owszem.

To będzie do załatwienia.

Posiadam w depozycie więziennym pewną sumę.

- Świetnie - od razu nabrał wigoru - ile pan będzie mógł dać?

- Na początek, powiedzmy.

pięćset złotych.

- No, jeśli tylko na początek - usiadł na pryczy.

Zatrzeszczała pod ciężarem nieforemnej cielski.

Sto kilogramów?

Stodwadzieścia?

Chyba coś koło tego.

236

- Przystudiowałem pańską sprawę.

- posapywał przez nos przy każdym słowie.

No, panie tego.

oczywiście.

To wie pan, wspaniała sprawa.

Z odpowiednim tego.

posmaczkiem.

Motywy działania.

Prawo zapomniało i wybaczyło, ale oskarżony.

Mówił długo, podkreślając słowa patetyczną gestykulacją.

Kostrzewa słuchał z roztargnieniem.

Rosło uczucie niesmaku.

- Tu.

panietego, nie ma mowy o najwyższym wymiarze kary.

.. Skąd.

Jakiś symboliczny wyrok.

- Nie może być mowy o żadnym wymiarze kary wpadł muw słowo.

-Jak to?

- wytrzeszczył oczy.

-Dowody, panietego - podniósł sztywno wyprostowany palec.

Ale fakt, że był brudny, pozbawił gest całego efektu - i zamordowanie.

Chciałem powiedzieć pozbawienie życia dwóch ludzi.

- Nie zabiłem żadnego z nich - stwierdził niemal obojętnie Kostrzewa.

-Zaprzeczanie?

Nie, to nam nic nie da.

Musimy się przyznać.

"Zabiłem" - walnął się w pierś.

- "Zbrodnią popełnioną przez tych ludzi przed trzynastu laty nie mogła pozostać bezkarnie.

Zdaję sobie sprawę, że postąpiłem wbrew prawu, ale to było silniejsze ode mnie.

" Wrażenie na sali kolosalne.

Prokurator zapomina języka w gębie.

Wszyscy są sędziomieni.

Triumf, panie tego, na całej linii.

"Wszystkich ogarniają mdłości" - dopowiedział sobie Kostrzewa.

- Nie ma mowy o żadnym przyznawaniu się - oświadczył nagle.

- Nie popełniłem żadnego z zarzucanych przestępstw.

Zdaję sobie sprawę, że dotychczasowe ustalenia śledztwa przemawiają przeciwko mnie.

- Dowody.

- adwokat znowu próbował zabrać głos, ale Kostrzewa dotego nie dopuścił.

- Dowody są, wbrew wszelkim pozorom, nieprawdziwe.

I właśnie pańskim zadaniem będzie to ustalić.

Tylko pod tym warunkiem gotów jestem powierzyć panu obronę.

W przeciwnym wypadku nie pozostaniemi nic innego jak wystąpienie o zmianę adwokata.

To zabrzmiało wprost nieuprzejmie.

Ale sytuacja była zbyt poważna, by bawić się w subtelności.

Zresztą Zapiatko również

237

postawił sprawę całkiem wyraźnie: chodziło przede wszystkim o pieniądze.
Dostanie je.

Ale niech w zamian zrobi to, czego
wymaga klient.

- Jak pan uważa - otarł zmiętoszoną chustką krople potu z szarawej łysiny.

W celi rzeczywiście było bardzo gorąco.

- Tylko że to nie da nam już tego efektu.

Ja, panie tego, żeby zjadłem na obronach.

- osamotniony ząb górnej szczęści świadczył, że nie było to bezpodstawne twierdzenie - i.

- Więc zgadza się pan czy nie?

- przerwał mu ostro.

- Zgadzam się - zapewnił pospiesznie adwokat widocznie przestraszony, że
zapowiedziana zaliczka wpadnie w inne ręce.

- Można ostatecznie poprowadzić sprawę i w tym kierunku.

- W porządku.

Zresztą obrona przed sądem to dzisiaj historia.

Mam nadzieję, że do niej w ogóle nie dojdzie.

Teraz prosiłbym o załatwienie następujących spraw.

A więc, po pierwsze, zatelefonuje pan do Warszawy i zawiadomi o moim aresztowaniu.

- Do.

kogoś z rodziny?

- Nie.

Do Komendy Głównej Milicji.

Proszę zanotować numer.

Długo grzebał po wszystkich kieszeniach, zanim wreszcie znalazł podartą okładkę od notesu,
pełną luźnych kartek.

- A więc?

Kostrzewa podyktował numer, patrząc bez przekonania na swistki, które wymykały się
z pękających palców.

Pogubi to wszystko przy pierwszej sposobności.

- Z kim mam rozmawiać?

- Z pułkownikiem lub z jego zastępcą.

Powie pan tylko, że siedzę w tym więzieniu pod zarzutem podwójnego morderstwa.

- To będzie kosztowało co najmniej trzydzieści złotych.

"Piętnaście" - skorygował w myśli Kostrzewa, nie zrobił jednak żadnej uwagi na ten temat.

- Poproszę, żeby panu tę kwotę wypłacili dodatkowo.

Tylko niech pan zatelefonuje jeszcze dziś.

To dla mnie niezmiernie

ważne.

- Zatelefonuję.

- Następnie trzeba będzie zrobić odpis protokołu oględzin
i sekcji zwłok Lesiewicza.

238

- Myśli pan, że to tak łatwo?

- łypnął niechętnie okiem.

- Myślę, że prokurator nie powinien robić specjalnych trudności.

Ostatecznie wynik badań sądowo-lekarskich nie stanowi żadnej tajemnicy.

Gdyby nie udało się odpisać z akt, niech pan spróbuje w zakładzie medycyny sądowej.

- Nie mamy tu niczego w tym rodzaju.

-No więc w szpitalu, gdzie dokonywano sekcji.
Wzruszył ramionami.

- Bo to takie dokumenty pokazują każdemu?

-Każdemu zapewne nie.

Ale obrońcy oskarżonego.

Jeszcze kilka poleceń, stanowiących plon wielogodzinnych chrozmysłań.

Przy każdym powstawała podobna dyskusja.

Zapiatko traktował je niemal jako osobistą obrazę.

Chciał brać pieniądze, nie dając nic w zamian.

W końcu wyszedł, chowając pieczołowicie upoważnienie do podjęcia pieniędzy.

Szkoda że pieczołowitość ta nie dotyczyła również isporządzonych w celinotatek.

Traktował je raczej jak nikomu niepotrzebne śmiecie.

- Wszystko zostanie załatwione - zapewnił jeszcze od progu.

"Żeby choć tylko część" - pomyślał sceptycznie Kostrzewa.

-Jutro da mi panznać?

- Tak - ale to zabrzmiało jakby niezdecydowanie.

Jutro" ciągnęło się w nieskończoność.

Kostrzewa nadsluchiwał kroków za ścianą.

Zapadł mrok.

Zapiatko nie przyszedł.

O tej porze nie udzielano już żadnych widzeń.

Zjawił się dopiero po dwóch dniach.

To były bardzo ciężkie dni.

- Co powiedzieli w Komendzie?

- natarł na niegoniecierpliwie Kostrzewa.

-Nic.

-Jak to?

- Nie mogłem się do nich dodzwonić.

Stale zajęte i zajęte.

Straciłem całe dwa przedpołudnia.

Pan rozumie, ile mnie to kosztowało?

Ani załatwić klientów, ani nic.

- Z tego wynika, że nie był pan u prokuratora?

-Nie zdążyłem - patrzyłem inną stronę.

- Bzdura - Kostrzewa ledwo panował nad sobą.

Dwa dni zmarnowane, gdy chodziło o każdą godzinę.

- Co pan powiedział?

- zapatrzył się na niego tępo.

239.

- Powiedziałem: bzdura - chlasnął na odlew.

- W ogóle nigdzie pannie telefonował ani niczego nie próbował załatwić.

Tylko pieniądze brać i.

- Pieniądze.

- prychnął pogardliwie -myślałby kto: wielkie co.

Pięćset złotych.

Mogę jępanu zwrócić w każdej chwili.

- Właśnie o to proszę.

-Co? - oklapł nagle jak przekłuty balon.

- Chce pan pozostać bez obrony?

- Wyznaczą mi innegoadwokata.

Takiego, który zechce cośzrobić w zamian za honorarium.

- Niech się pannie denerwuje.

-Jestempokojny, na ile to w tych warunkach możliwe -włożył ręce do kieszeni i tam dopiero zacisnął je w pięści.

- Zmiana adwokata.

Tego się nie praktykuje.

- Złożę na pana skargę do Rady Adwokackiej.

-Wszystko przezten nieszczęsnytelefon?

- Nie będę panu w nieskończoność tłumaczyć, jak niezmiernie nanimzależy.

Uczyniłemto już za pierwszymrazem.

- Dziś jeszcze to załatwię.

-Nie wierzę.

- Z całą pewnością.

Tylko musi pan uzupełnić zaliczkę.

- Pięćset trzydzieści złotych nie wystarczypanuna jeden telefon do Warszawy?

-Miałem wydatki.

- W mojej sprawie?

Adwokat posapywał.

Łysinacoraz bardziej lśniła od potu.

Kostrzewa odwrócił się do okna.

Zwykły naciągacz.

Nic nie załatwił i nic nigdy nie załatwi.

Wyobraża sobie, że trafił na głupiego, który da zsiebiepompaćpieniądze w nieskończoność.

- Moim obowiązkiem jest właściwie tylko obrona przed sądem - próbował się tłumaczyć Zapiatko.

-A pan zaraz.

Kostrzewa milczał.

Bał się stracić re-sztki opanowania.

Wiedział, że awantura w celi więziennej pociąga za sobą przykrekonsekwencje.

Pobył w karcerze wcale go nie nęcił.

Zapiatkojeszcze coś mamrotał.

W końcu stuknięcie drzwi oznajmiło, że wyszedł.

Kostrzewa opadł bezradnie na pryzę.

I co dalej?

240

VII

- To oczywiście moja rzecz strażnik mówił bardzocicho, oglądając się podejrzliwie przez ramię -ależeby akurat Zapiatko.

On..

Prawdę mówiąc, nie bardzo dobrze trafiliście.

- Chybanie można już gorzej - stwierdził ponuro Kostrzewa.

- Tylko opieniądze.

Zgardłaby człowiekowi wyciągnął.

Ależeby choć palcem kiwnąć.

- Zgadzasie.

Znają go tu jak złyszela.

Miejscowi omijają jego kancelarię jak zapowietrzoną.

-Jest jednak wciąż adwokatem.

-Ano jest.

Łowi takich, co to przyjeżdżają do miasta z jakiegoś zapadłego kąta.

Języka jeszcze niezdążyli zasięgnąć, to iniewiedzą.

Ale inni.

- Inni - Kostrzewa poskrobał podbródek.

Dawnonależałoby się ogolić.

Ale w więzieniu najprostsze nawet czynności stają się niekiedy bardzo skomplikowane.

- Właśnie ja miałem to szczęście.

Omało go niepobiłem- przyznał się.

Strażnik pokiwał ze zrozumieniem głową.

-Jego klienci często wychodzą z nerw.

Kiedyś to mu wszystkie szyby wytłukli.

A innyżnów połamał krzesło czy coś takiego.

Może i na nim.

Mętny typ.

- Mętny.

To widać od pierwszego rzutu okiem.

Ale gdy człowiek siedzi za kratkami i nie zna nikogo.

- Adwokatów u nasnie brak.

-Moglibyście mi wskazać jakiegoś z głową na karku?

Przestąpił znogi na nogę.

- To jednak jakoś.

Moglibyście pomyśleć, że jestem naganiaczem.

- Nie pomyślę.

Znowu spojrzał w głąb korytarza.

- No.

cóż.

Bardzo chciałbym wam pomóc.

Tyle owas słyszałem i w gazetach.

A teraz.

Dobrze widzę, Jak wam ciężko.

- Cholernie ciężko.

No więc ten adwokat?

Tylko żeby chłopz ikrą.

Bo inaczej jedzą mnie żywcem.

Rozmyślał przez chwilę.

- Gdyby tak wziąć Kosińskiego?

-Dobry adwokat?

241.

- Ludzie mówią o nim jak najlepiej.

I powiadacie, żeby "zika".

Ten nie da sobie napluć w kaszę.

- Takiego mi właśnie potrzeba.

Zaraz napiszę podanie.

A... -zawahał się - czy moglibyście mi wyświadczyć jeszcze jedną przysługę?

- To zależy - nieco zeszywniał - bo jednak regulamin.

-Pragnąłbym zawiadomić Warszawę o swojej sytuacji.

Sprawa niezmiernie pilna.

Jeślibyście chcieli zatelefonować.

- Do kogo?

-Do Komendy Głównej Milicji.

Odchrząknął zakłopotaniem.

- Czy ja wiem.

-Chyba nie będzie bardzo sprzeczne z regulaminem?

- nastawał Kostrzewa.

-Tak mi niezmiernie zależy.

- Pracowaliście tam jako ekspert?

-Tak.

Przez długi czas.

- Milicja - mruknął- więc chyba nie karygodnego.

Ale, prawdę powiedziawszy, nie wyobrażam sobie, w czym mogliby wam pomóc?

- Tu cała masa rzeczy sprawia wrażenie bezspornych dowodów.

Jeżeli ich nie potrafię obalić, leżę na obie łopatki.

Aby jednak obalić, potrzeba najwyższej klasy specjalistów.

Niekiedy wypuklenie jakiejś drobnej, trudnej do zauważenia różnicy potrafi uczynić z czarnego białe.

-Jeżeli chodzi o specjalistów, to u nas rzeczywiście.

Więc dobrze, zatelefonuję.

Będziecie mi jednak musieli zakredytować koszty rozmowy.

Roześmiał się.

- Wytrzymam.

Jakby to wyglądało, żeby strażnik podejmował w imieniu więźnia pieniądze z depozytu?

Zjawił się po dwóch godzinach.

- Załatwione.

Zwolniłem się do dentysty.

- Co powiedzieli?

- "Przyjęte.

" Jakoś nie za wiele.

-Może i wiele.

Znowu długie godziny rozmyślań.

A jeżeli pułkownik uzna, że sprawanie obchodzi Komendy?

Nie wierzył, żeby się tak mogło stać.

Rozstali się sposobem niezbyt przyjemny, ale.

242

Podanie o zmianę obrońcy załatwiono w zdumiewającym tempie.

Już nad drugi dzień przyszedł adwokat Kosiński.

Młody, pełen energii.

To było zupełnie co innego.

- Skoro nie mamy zamiaru się przyznawać, nie pójdzie łatwo.

Dowody, które zdołało zebrać oskarżenie.

- Nie dougryzienia?

-Spróbuję pomimo wszystko ugryźć.

Gdybym choć wiedział, z której strony się dotego zabrać.

Ma panjakiś koncepcje?

Kostrzewa westchnął.

- Tymczasem noc i mgła.

Najgorzej, że nie mam dostępu do materiałów śledztwa.

- Gdy zostanie zamknięte.

-Wolałbym zapoznać się z niektórymi jeszcze teraz.

Powtórzy instrukcje, których poprzednio udzielił Zapiatce.

Adwokat zastanowił się.

- Właściwie nic, co na zdrowy rozum musiałyby być zachowane w tajemnicy.

Ale zdrowy rozum.

- machnął ręką.

-Zobaczmy, co się da zrobić.

- Chciałbym, żeby pan mecenas zadzwonił pod ten numer telefonu i zawiadomił o podjęciu sprawy - podyktował numer.

-Tylko zawiadomić i nic więcej?

- Tylko.

-I co z tego ma wynikać?

- Mam nadzieję, że coś wyniknie.

-Dobrze.

Gdy pod koniec widzenia Kostrzewa napomknęło sprawie honorarium, Kosiński wzruszył ramionami.

- To przecież nie najważniejsze.

Na wszystko przyjdzie czas.

- Ale koszty.

Roześmiał się.

- Telefondo Warszawy?

Jeszcze nie jest u mnie tak źle, żeby nie mógł wyłożyć piętnastu złotych z własnych pieniędzy.

VIII

-Już?

- zawołał ze zdumieniem Kostrzewa.

Spodziewał się go najwcześniej dopiero jutro.

- Tempo - przysiadł na brzegu pryczy.

- Sytuacja zresztą nie

243.

bardzo upoważnia do kunktatorstwa - otworzył teczkę.
- Protokół sekcji zwłok odpisałem do ostatniej kropki.
Tak samo jeżeli chodzi o wstępne oględziny.
Prokurator nie robił specjalnych trudności.
Jest jak najbardziej przekonany, że na jego do'wodach mucha nie siada.
".. - - Każdy byłby przekonany.
- Fotografii rany natomiast nie udało mi się zdobyć.
Pańskie szczęście, że mam pewne zdolności plastyczne.
Odrysowałem, jak umiałem.
Może wypadłoby zbyt pięknie.
Za to na
 pewno wiernie.
 Kostrzewa zamierzał od razu przystąpić do studiowania dokumentów.
Kosiński jednak do tego niedopuszczył.
- Może później.
Owszem, sam zauważyłem pewne szczegóły, zastanawiające z punktu widzenia medycyny sądowej.
Muszę przyznać, że ten dział wiedzy stanowi moją prawdziwą pasję.
Niestety udzielono mi dzisiaj widzenia w drodze wyjątku i tylko ościsłe na dziesięć minut.
Ze względu na to, że jutro będę musiał znówu pana odwiedzić.
 Kostrzewa spojrziała na niego badawczo.
Szczególna intonacja ostatnich słów dawała wieledo myślenia.
Tak jakby zamierzał podkreślić coś, czego nie mógł powiedzieć.
- Jutro?
- Tak.
Są pewne okoliczności wymagające wspólnego przedyskutowania.
Przyjdę albo ja.
albo mój współpracownik.
To bardzo dobry.
specjalista.
Z Warszawy - zamknął teczkę.
 Długo po jego wyjściu Kostrzewa siedział pograżony w bezruchu.
Z Warszawy?
To było jednoznaczne.
Porządny chłopz tego pułkownika.
Potem otrząsnął się.
Nie można siedzieć beczynn timer założonymi rękoma.
Już jutro.
Notatki Kosińskiego wymagały jak najuważniejszego przestudiowania.
Czas znówu odzyskał swą wartość.
 Protokół obdukcji.
Pominała wstępną część.
Kosiński rzeczywiście był zabójczo dokładny.
"Rana postrzałowa polewej stronie piersi umiejscowiona na pięć centymetrów pod sutkiem.
Strzał został prawdopodobnie oddany z broni krótkiej, z odległości od metra do półtora.
Średnica kanału wlotowego pocisku około siedmiu i siedmiu dziesiątych milimetra.
Na plecach otwór wylotowy.
"

Wylotowy?
Kostrzewa zapatrzył się w kąt celi.
A więc kuli niewydobytoz ciała.
To zupełniezmieniało obraz.
Ale w takim razie gdzie ją znaleziono?
 Sięgnął po odpis szkicu sytuacyjnego.
Tu leżałyzwłoki, tuzaś.
Aha, więc wydłubano ją z drzewa.
Weszła przez klatkęsercową, przebiła lewą komoręserca, wyszła plecami i utkwila w drzewie.
Na okowszystko Jak najbardziej przekonujące.
Alejakież ułatwienie jeżeli chodziło o inscenizację.
 Bardzo pobieżnie przejrzał ekspertyzęrusznikarską.
Treśćjej była zgóry do przewidzenia, pocisk pochodził z jego waltera.
Nietrudno mniej więcejjoliczyć kąt balistyczny i trafićw odpowiednie miejsce znajdujące się
za plecami ofiary.
Jakajednak kulązastrzelono naprawdę Lesiewicza?
 Średnica otworu wlotowego odpowiadałaby kalibrowisiedem sześćdziesiąt pięć.
Czyż morderca był jednakw stanieprzewidzieć, że właśnie ten kaliber będzie wchodził w
rachubę?
Początkowo zresztąpróbowano przecież stworzyćpozory, zemorderstwa dokonał Świrski.
Diabli wiedzą, jaki kaliber miałpożyczony mu przez Zawadzkiego pistolet.
Trzy pistolety o tym samym kalibrze?
To jednak wydawało się już całkiem nieprawdopodobne.
 Cośw rodzaju abstrakcyjnegokrajobrazu.
Była to kopia fotografii otworu wlotowego rany.
Kosiński nie przechwalał się, wspominając o swych zdolnościach plastycznych.
Każdy najdrobniejszy nawet szczegół występowałz plastyką nieustępującą zdjęciu.
 Otwór wlotowy - patrzył w zamyśleniu- w jaki sposób powstało to zmiżdżenie
tkanek?
Biegły orzekł: "Strzał oddano z odległości odmetra do półtora".
A więc pocisk zdążył już nabrać odpowiedniej szybkości.
Przy tej sile uderzenia krawędzie otworu powinny być gładkie i równe Tu zaś.
 Otwór wlotowy.
Uderzeniowa prędkość pocisku znacznie malała.
Ale kształtobrzemienia nie odpowiadał temu, co powinno być.
Zamiast wydęcia tkanek raczej ich wgniecenie.
"Zastanawiająca punktu widzenia medycyny sądowej"?
Jeszcze"jak zastanawiające.
A gdyby Lesiewicz został zastrzelony z pistoletu o mniejszym kalibrze?
Dla lekarza decydujący był przekrójotworu wlotowego.
Natomiast jeżeli chodzi o kanał, sonda nie
 245.

daje żadnych wskazówek, co do jego średnicy.
Tylko kierunek.
Powiększenie otworu rany już na trupie?
Jeżeli na dodatek dokonano tego w momencie zamrożenia.
Nie.
Musiałbyś bawtedy już odtajać.
Tak, to mogło dać podobny obraz.
Rzecz jasna nie był to jeszcze jakiś bardziej konkretny dowód, ale za pewien punkt zaczepienia można od biedy uznać.
Ekshumacja izbadanie całego kanału w przekroju?
Zależy od tego, w jaki sposób przeprowadzono sekcję.
Trzeba się będzie jednak nad tym poważniej zastanowić.
Półtora czy dwa milimetry różnicy, stanowiłoby przeciwieństwo wszystkim.
Kiedy przeprowadzono tę operację?
Pistolet zginął trzynastego.
Ale dopiero w trzy dni później zwłoki Lesiewicza znalazły się na łóżku Świrskiego.
Jeżeli teraz posiadany przez niego pistolet ma inny kaliber.
Zaklął ze złością.
Tę okoliczność należałoby sprawdzić.
Okazji nie brakło.
Choćby w czasie wyprawy do lodowca.
Skoro tamten potrafił sięgnąć niespostrzeżenie do kieszeni doświadczonego detektywa.
Doświadczony - o mało nie splunął.
Powstrzymał go ostatniej chwili świadomość, że sam musiałby sprzątać.
Pęta, a nie detektyw.
Teraz przez własne gapiostwo jak tabaka w rogu.
Ani marki, ani kalibru, ani nic.
Tylko że w ogóle pistolet.
I to jedynie na podstawie oświadczenia Zawadzkiego.
Sknociła tę sprawę, z trudnością było gorzej.
Był w paskudnej formie, to fakt.
Ale forma nie stanowiła żadnego wytłumaczenia.
Skoro nie czułeś na siłach, mógł nie
przyjeżdżać.
Ogarnęło go zniechęcenie, niemal apatia.
Upłynęło dużo czasu, zanim powrócił do jakiejś takiej równowagi.
ŚWIATŁA WMROKU
- Hm.
pan magister Koterba?
- trudno o bardziej rozlazły i niepewne ruchy.
- Doktor Kostrzewa - sprostował dobitnie strażnik.
Był niemal zgorszony.
Wszedł z ociąganiem.
Spojrzenie, jakim obrzucił celę, świadczyło o tym, jak bardzo go peszy otoczenie.
- Bardzo przepraszam - długa seria zakłopotanych pochrząkiwań.
- Ja.
przychodzę z kancelarii mecenasa Kosińskiego.
Polecił mi, żeby uzgodnić z panem pewne rzeczy.
Kostrzewa patrzyła na niego w taki sposób, jakby go widziała po raz pierwszy w życiu.

Kapitan Więclawek.

Dobrze, że przysłano właśnie jego.

Wiele lat współpracowali ze sobą w Komendzie.

- Widzenie trzydzieści minut - strażnik obrzucił przybysza świadrującym spojrzeniem i odszedł.

Więclawek coś plótł zająkliwie, dopóki odgłos kroków nie ucichł w głębi korytarza.

- Cześć - uścisnął mocno dłoń Kostrzewy.

- Czy on coś podejrzewa?

- Nie sędzę.

Ale gdyby nawet.

To bardzo życzliwy człowiek.

- Niech mu będzie - kapitan przyciągnął sobietaboret.

- Czy musiałeś koniecznie uziemić tych dwóch typków?

- Nie wiem, czymusiałem - Kostrzewa uśmiechnął się mimo woli.

Ogarnęło go uczucie niezmiernej ulgi.

Cóż z tego, że w dalszym ciągu tkwił w tej pułapce po uszy?

Już nie był sam.

- W każdym razie ja ich nie uziemiłem.

- Stary od razu to powiedział.

- Co mianowicie?

- "Skoro nas zawiadamia, to w tym musi coś tkwić.

"

- Bardzo głęboka uwaga.

247.

-A jakąż inną mógł uczynić?

Przecież wtedy jeszcze nic nie wiedzieliśmy.

- A teraz już wiesz?

-Niewiele i jednocześnie za dużo.

Krótko mówiąc: to, co mi referował Kosiński.

Pewno zechcesz całą historię uzupełnić, bo chyba nie wszystko jest w aktach.

-Jasne.

A więc słuchaj - szybko rzucał zwięzłe zdania, starając się, żeby wypadło jak najbardziej zrozumiale.

Po wyrażeniu warzygościa widział, że jakoś mu się nie udawało.

Gdy skończył, Więclawek patrzył na niego osłupiałym wzrokiem.

- Czy to ma być seans czarnej magii, czy też uczciwa sprawa kryminalna?

-Nieuczciwa sprawa kryminalna.

Wszystko w niej okazuje się po koleinie takie, jakby można sądzić, biorąc na zdrowy rozum.

- Kroki ludzi, których nie ma.

- Więclawek ssał niezapalony papierosa - znikające zwłoki.

No, mniejsza z akcesoriami.

Niemam ochoty trafić do czubków.

Słuchaj, a jak twoje nerwy?

W końcu pobyt w więzieniu.

Kostrzewa poklepał go po ramieniu.

- Nie baw się w psychiatrię.

Jeszcze mi nie potrzebny.

Zresztą w aktach są zeznania Kopankiewicza.

Zarówno o tych krokach, jaki o trupie Lesiewicza, którego widział Świrski.

Dokompletu dochodzi jeszcze twarz w oknie, umieszczonym cztery metry nad ziemią, ale nie chcę, żebyś od razu wysiadł.

- Twarz szybująca w powietrzu?

-Właśnie.

I do tego wieczorową porą.

- Frankenstein to przy tym wszystkim istny szczeniak - podszedł do kibla, wrzucił rozmiękłego papierosa, wsadził do ustnowego.

Tym razem jednak nie zapomniał go zapalić.

- Co z tych wszystkich dodatkowych cudów wynika?

-Nie wiem.

Może coś, w czym kryje się rozwiązanie całej zagadki.

Więclawek spojrzął na zegarek.

- Koniec pierwszego aktu.

Pozostaje nam dwadzieścia minut.

To wcale nie wieczność.

Jaki gryplan?

- W pierwszym okresie chyba konspiracja.

-Masz jakieś zastrzeżenia co do czynności tutejszej milicji?

248

- Nie.

Robią wszystko, co mogą.

A że mnie to akurat nieuszcęśliwia.

-machnął ręką.

- Tylko mam wrażenie, że ten ktoś widzi wszystko, co tu się dzieje.

- Również czynności śledcze?

-Wszystko.

No..

cóż, wrażenie - powtórzył.

- Kiedyś oglądałem taki rysunek: olbrzymi pająk isieć zdająca się obejmować świat.

Ioczy.

Mądre i złe.

Dla których nie było tajemnic.

-Jeszcze trochę i staniesz się poetą grozy.

Czyją twarz, czyje oczy ma tutejszypająk?

- Ba.

,gdybym to wiedział.

Logikawskazywałyaby, że chybaKopankiewicza albojego żony.

Ale logika w tym wypadku niema najmniejszego zastosowania.

-Jeżeli logika nie, to w takim razie co?

Wzruszył ramionami.

- Nie wiem.

Możeabsurd.

Ale.

- zastanowił się - trzebajednak zacząć od logiki.

Awięc obstawa obojga Kopankiewiczów.

Kto wie, czy coś niewyskoczy.

Poza tymJózef.

Nie było gowprawdzie w nadleśnictwie w momencie śmierci Zawadzkiego,ale przedtem.

No i Zawadzka.

Więclawek nachylił się nad nim.

-Jakiego rodzaju to kobieta?

- Dziwna.

-Wydra?

- Zimno.

Szukaj dalej.

- Szałowa lalunia?

-Jeszcze zimniej.

Podlotek model z ubiegłego stulecia.

Krewz mlekiem,żadnej sztuki, buzia w ciup, ręce w małdrzyk i tak dalej.

Jak widzisz, sam zacząłem używać stylu tamtych czasów.

-Jeszcze nie byłocię nawetw planie.

- Czyta się coś ostateczniew chwilach wolnych od innychzając.

Logicznie rzecz biorąc, sprawa wygląda tak: kasetka zeskarbem.

Lesiewiczcoś podejrzewał i został zastrzelony.

Świrskicoś podejrzewał imusiał zniknąć.

- Sądziś, że również morderstwo?

-Czyja wiem.

Ale raczej nie.

Spluwa w garści i ucieczkaw momencie, gdy nikt się tego nie spodziewa.

To daje pewnezansę.

Ale jeżeli tak się stało, to znaczy, że wiedział ojakimścałkiem konkretnym zagrożeniu.

249.

- Konkretniejszym od wściekłego kota?

- Trzeba przyjąć, że tak.

Wtedy nawet niepróbował opuścić nadleśnictwa.

- Prawda.

- Idźmy dalej.

Jeżeli Zawadzka nie tylko podejrzewała, ale wiedziała pewne rzeczy?

O kasetce i dalszym ciągu.

Może i naiwna, ale nie do tego stopnia, by nie umiała dodać dwa do dwóch.

Jedyną szansą to natychmiastowa ucieczka.

Zawadzki przecież się nie spodziewał, że ona zamierza zniknąć.

Namówiła Józefa, żeby uruchomił mój wóz.

- W jaki sposób go namówiła?

- Mniejsza z tym.

Teraz następny akt.

Zawadzki widzi, że wszystko stracone.

Ktoś, kto wie o wszystkim, znalazł się poza zasięgiem jego interwencji.

Każdej chwili grozi niebezpieczeństwo wsypy.

Usiłuje się zastrzelić.

Przeszkadzam mu w tym.

Wówczas sięgają po cyjanek potasu.

- Ale wątek tego aktu nie pasowałby do poprzednich - zauważył w zamyśleniu

Więclawek.

- Bowtedy pająkmiałby twarz Zawadzkiego.

I w jaki sposób wytłumaczyć obecność słów twojej walizce?

Kostrzewa zasępił się.

- Tu wiele rzeczy nie pasuje do innych.

Czekaj - potarł czoło.

A gdyby chciał doprowadzić inscenizację poza chwilę własnej śmierci?

Mógł znaleźć okazję do odwiedzenia tegodnia mojego pokoju.

Nie było mnie tam przez długi czas.

I nie od razu po zejściu na dół zetknąłem się z Zawadzkiem.

- To znaczyłoby, że chce kogoś ochronić od podejrzeń?

Kogoś, kto również był winny i komu groziła wsypa.

- Tak.

To chyba właśnie to.

Ale nie twierdę, że bieg rzeczywistych zdarzeń był zgodny z moją hipotezą.

Jest to reszta tylko jednej hipotezy, którą można wysunąć.

Gdyby jednak była trafna, dalszy rozwój sytuacji rozwija się planowo.

Świrski powiedział mi zbyt wiele.

Trzeba więc również i mnie unieszkodliwić.

Rezultat?

Łąduje w więzieniu, a dowody, że popełniłem podwójne morderstwo, są jak najbardziej przekonujące.

- Kogo chciał osłaniać za cenę własnego życia?

- Nie wiem.

Ale z tego wynika, że nasze wiośniane dziewczątka musi być obstawione ze wszystkich stron.

Niezależnie od tego.

- Chwileczkę- przerwał mu Więclawek.
- Mamy obstawiać, kogosięda, a poza tym wykonać całą masę innych czynności.
Oczywiście wszystko w pościgowym tempie.
Sam rozumiem, że sytuacja.
Ale wybacz.
Ja jestem tylko skromnym człowiekiem bez żadnych nadprzyrodzonych właściwości.
Nawet rozdzielić porządnie nie umiem, a cóż dopiero mówić o jednoczesnej obecności w czterech czy ilu tam miejscach?
- Musisz poprosić "starego", żeby przysłał jeszcze kogoś.
- Całą brygadę?
- Przydałaby się.
Sądzę jednak, że od biedy wystarczy dwóch ludzi.
- Będzie się krzywił.
- On się zawsze krzywi i stroszy kolce.
Ale w środku.
- Spróbuję.
Jak wyglądają te inne rzeczy, o których zacząłem mówić?
- Zbadanie miejsca, gdzie znaleziono zwłoki Lesiewicza.
A więc kwestia powodzi.
Jeżeliby się okazało, że woda tam dotarła, to.
- Rozumiem, zwłoki nie kamień, żeby leżały sobie spokojnie w jednym miejscu.
No dobrze, zasięgnę języka i obejrzę drzew.
To ostatecznie nie takie trudne.
- Drzew?
- Kostrzewie nagle coś się przypomniało.
- Musisz przy okazji ustalić, co to było za drzewo, z którego wydobyłokulę.
- Co to było za drzewo?
- nie zrozumiał.
- Tak.
Byłoby dobrze, gdyby iglaste.
Gość znowu przyjrzał mu się podejrzliwie.
- Słuchaj.
- Nie, nie - uśmiechnął się.
- Wciąż jeszcze jestem przytomny.
Ale iglaste, to znaczy żywica.
Znam kogoś, kto potrafi na podstawie stanu jej zakrzepnięcia określić czas, przez który była bezpośrednio pod działaniem powietrza.
Nie wiem, z jaką dokładnością, ale nie wolno nam pomijać najmniejszej nawet szansy.
To jest piekielna sprawa.
- Piekielna - zgodził się - jeżeli jednak średnica kanału przelotowego kuli, jeżeli żywica.
jeżeli manipulacje kosmetyczne przy obu otworach jamy.
W drzwiach stanął strażnik.
251.

- Trzydzieści minut.

Proszę kończyć odwiedzin.

-Jeszcze chwileczkę.

znowu głos człowieka, który jest spieszony do ostateczności.

- Widzi pan.

dopiero niedawna pracuję w kancelarii adwokackiej i nie potrafiłem.

-coraz to zmieniał pozycje rąk, jakby nie wiedząc, co nim zrobić.

"Wspaniała gra - stwierdził w duchu Kostrzewa - mógłbyz powodzeniem występować na scenie.

" Ale tutaj też była scena.

-No więc dobrze- pobłażliwy uśmiech- jeszcze dwie minuty.

Ale niewięcej.

W końcu regulamin.

-odszedł.

- Rzeczywiście poczciwy chłop.

A więc wyruszam, by rozpocząć koncert na wiele razy po cztery ręce.

Będziemy pruć nacały regulator.

A ty tymczasem wypoczywaj sobie spokojnie w zaciszczterech ścian.

- Nieżyczyłbym ci takiego odpoczynku.

Roześmiał się.

-Ja, prawdę powiedziawszy, też bym sobie nieżyczył.

- Zresztą muszę porozmyślać nad tym wszystkim.

-Rozmyślaj - uściśnął mu dłoń.

Za drzwiami zbliżały się powolne kroki strażnika.

- To też jakieś zajęcie.

Aby tylko z umiarem.

Nietrudno dostać kręćka, jeżeli się tego nadużywa.

Postaram się odwiedzać cię jak najczęściej.

II

Oślanianie kogoś za cenę własnego życia?

Wtedy jednak napierwszy plan wysuwałaby się pani Zosia.

Bo gdyby w grę wchodził ktoś inny, postępek Zawadzkiego byłby niewytłumaczalny.

Mała dłoń w czarnej rękawiczce.

Ale to wynikało jedynie ze słów Kopankiewiczów.

Gdyby byli zainteresowani przetrzucaniem podejrzeń na kogoś innego.

Tylko że dla wybielenia Kopankiewiczów Zawadzki nie popełniłby samobójstwa.

Stop.

Znowu błąd w rozumowaniu.

Popełnił samobójstwo, ponieważ nie widział innego wyjścia.

"Gdyby pan wiedział.

"I ten całkiem obłądny wyraz oczu.

Czyżby jednak, stojąc na progu śmierci, rozmyślało kimś, kto nie jest mu najbliższy?

Bardzo kochał tę swoją dziewczęcą żonę.

To się wprost rzucało w oczy.

Ale pani Zosia.

Kostrzewa nie potrafił uwierzyć, żeby mogła mieć coś wspólnego z tą całą makabrą.

252

Powoli zarysował się odmienny obraz.

A jeżeli tym kimś, kogo pragnął wybielić Zawadzki przez stworzenie fałszywych dowodów, był on sam?
Odchodzi, pragnie jednak, aby jego pamięć.
Zdarza się przecież.
Żona zaczyna podejrzewać, że maż jest mordercą.
Zwykle samobójstwo jeszcze bardziej utwierdziłoby ją w tych przypuszczeniach.
Ale tu nie ma samobójstwa.
Jeszcze jedno morderstwo.
Trzecie czy może nawet czwarte z rzędu.
I jednocześnie okazujesz się, że również te poprzednie popełnił ktoś trzeci.
A kasetka?
Kostrzewa ziewnął, przewracając się naskrzypiącej pryczy.
Dokoła panowała martwa cisza.
Była głucha noc.
Nie miał zegarka, żeby sprawdzić, która godzina, ale z całą pewnością doświtu było jeszcze daleko.
Mrok za okratowanym okienkiem był ciemnogrnatowy i jednolity.
Znowuatak ziewania.
Raczej zresztą nerwowo.
Nie odczuwał najmniejszej senności.
Wstał cicho i podszedł do stolika.
Wodaw blaszanym kubku była ciepła i mdła.
Choć wypił do ostatniej kropli, w gardle pozostało tak samo sucho jak przedtem.
I gorzyc w ustach.
Może to od papierosów?
Tyle ich wypalił, korzystając z zyczliwej nieuwagi strażnika.
Mógł sobie nie żałować.
Więćławek podrzucił mu solidny zapas.
Wrócił na posłanie.
Kasetka, jeżeli Świrski mówił prawdę, zawierała skarb, dla którego nie jeden powazyłby się na wszystko.
Ale skarb ten istniał przed trzynastu laty.
Jakie były właściwie szanse, że przetrwał do dziś?
Czy zresztą Zawadzki rzeczywiście zdołał ją wtedy wynieść z pobojuwiska?
Pomimo wszystko zachodziła możliwość, że wtedy zaginęła.
Ale gdyby ją wyłączyć z układu, jaki mógłby być inny cel tego wszystkiego, co działo się w nadleśnictwie?
Przyjąć, że anonimowe groźby stanowiły rzeczywiście zapowiedź zemsty za śmierć sprzed lat?
Nie.
Jeszcze raz obrócił się, szukając najwygodniejszej pozycji.
Wszystkie były tak samo niewygodne.
Jednak chybanie miał racji, że wszystko się powtarza.
Nic się nie powtarza w tej samej dokładnie formie.
Prawda, że nie można wejść dwa razy do tej samej rzeki.
Kto to powiedział?
Mniejsza z tym.
253.

A więc nie ktoś tajemniczy z zewnątrz, tylko jeden z ludzi przebywających w nadleśnictwie.
Wizja obojga Kopankiewiczów powracała z uporem.

Czerń mrocząc zaczęła powoli nasiąkać szarością przedświt.

Gdzieś korytarzu rozległ się czyjeś kroki.

III

Wystarczyło pierwsze spojrzenie.

Więclawek przynosił coś

pomyślnego.

- Sosna - oznajmił, gdy tylko postać strażnikazniknęła z pola widzenia.

- Zadowolony?

- I to bardzo.

- Kostrzewa w jednej chwili zapomniał o bezsennej nocy.

- Zatelefonuj do profesora Barczyńskiego.

Szczecin - podyktował numer - tylko zrób to jeszcze dziś.

Być może każda godzina może utrudnić ściśle określenie czasu.

A tu przecież właśnie od tego wszystko zależy.

- Będzie chciał przyjechać?

Taki szmat drogi.

- Jestem pewny, że przyjedzie.

Kiedyś wyciągnąłem go z paskudnej sytuacji.

Powiedział wtedy, że dałby wiele, żeby móc się

odwdzięczyć.

- Powiedział - Więclawek strzepnął palcami - kiedyś.

- Nie sądzę, żeby należało do osób rzucających słowa nawiątr.

Chyba że zupełnie nie znam się na ludziach.

Miejmy jednak nadzieję, że się nie mylę.

Powiedz mu, o co chodzi, i uprzedź, żeby przywiózł pieczątki i wszystko, co potrzeba do oficjalnego stwierdzenia stanu rzeczy.

- Oficjalnego?

- Tak.

Jest profesorem wyższej uczelni i biegłym sądowym.

Czegóż można wymagać więcej?

- Biegłym odżywczy?

Jak żyje takim nie słyszałem.

- Botanik.

Dałbym sobie rękę uciąć, że będzie tu już jutro.

Choćby mu przyszło dwoływać wykłady.

Ma zresztą samochód.

Więclawek podsunął mu papierosy.

- Zatkaj się na sekundę.

Karabin maszynowy to przy tobie bardzo powolne narzędzie dowydawania dźwięków.

Kostrzewa zapalił.

- Nie zapominaj, że nie bardzo mam tu okazję do gadania.

254

- To prawda.

Zdołałeś mnie jednak dokładnie ogłuszyć.

A ostatecznie moja zdolność myślenia też ma jakieś znaczenie.

- Jak największe.

- Kostrzewa wypuścił z ust grabie kółkodymu.

-Jak sprawapowodzi?

- To nie takie proste.

Owszem woda dotarła dotego miejsca.

I ludzie tomówią, iosad mułu na korze drzew.

Sęk jednakw tym, że niebyło jejtam zbyt wiele.

Na wysokośćmniejwięcejtrzydziestu pięciu, czterdziestu pięciu centymetrów.

Zbyt płytko więc dla uniesienia zwłok.

- Zbyt płytko - Kostrzewa zamyślił się ale dostatecznie głęboko, dla całkowitego ich pokrycia skoro leżały na wznak.

-Czy ztego wynika coś konkretnego?

- Więclawek spojrzalna niego z nagłymzaciekawieniem.

- Może i konkretnego - wydobył spod materaca notatkisporządzone przezadwokata.

Protokół oględzin -rozprostował arkusz na kolanach.

- Zaraz,gdzie to jest?

- Posłuchaj: "

na plecach rozległe plamy rozpadowe,świadczące o pozostawaniu wwodzie.

".Na plecach - podkreślił naciskiem - ale na piersiach nie.

Siedem dni.

W normalnych warunkach powinny wystąpić już na całej powierzchni ciała.

Nie wystąpiły jednak.

Dlaczego?

Zamrożenie zahamowało proces rozkładu.

Lekarz nieanalizował bliższej anomalii.

Powinien był jednak.

Na plecach wpływ wody nadrobił proces opóźnionyprzez hibernację.

Zresztą plamy opadowe.

Przednia jednak strona ciała nie pozostawała w wodzie.

Skutek: nierównomiernyrozkładzwłok.

Powiedziałbym nawet w stopniu rzucającym się w oczy.

Więclawek słuchał z napiętą uwagą.

- To już jednak daje chyba coś w rodzaju zaczepienia?

-I ja tak uważam.

Zresztą mamy jeszcze jedno: stan ubraniaLesiewicza.

O tu.

"...

plecy kurtki zbutwiały.

W paru miejscach materiał nadgnił do tego stopnia, że rozerwano go przyprzenoszeniu zwłok.

To samo dotyczy tylnej strony spodni.

"Natomiast o przedniej stronie nie ma najmniejszej wzmianki,co świadczy, że materiał nie był tam ani zbutwiały,ani zgniły.

- Czy jednakmógł przegnić do tego stopnia w ciągu zaledwie paru dni?

- zauważył z powątpiewaniemWięclawek.

-Bojeśli odliczyć czas, przez który zwłoki pozostawały w lodowni.

255.

- Nie mamy do czynienia z czystą wodą, tylko z mułem, który bardzo sprzyja postępowi zgnilizny.

Zresztą.

- wetknąw zęby tępy koniec ołówka - parę dni?

To..

Poczekaj.

Przynoszą zamrożone zwłoki.

kładą w wodzie.

Czy tam jest bardzo mokro?

- Kałuża.

Nie wlewa się do półbutów górą, ale prawie.

- Toznaczyokoło ośmiu centymetrów.

Gdy kładli trupa, musiało być głębiej.

Oczywiście czterdzieści centymetrów jak w czasie największej kulminacji.

Świadczy o tym dobitnie stan ciała i odzieży.

Ale powiedzmy jakieś piętnaście czy dwadzieścia.

Już mała woda, za to dużo błota.

Jednak.

- Zamyślił się, obgryzając ołówek.

- A jeżeli ubranie nie zostało rozdarte

tylko połamane?

- Połamane?

- Więclawek zamrugał oczyma.

- Mięka wena?

- Twardajak blacha.

Nie, źle to określiłem.

Jak krucheszko.

Wpierw nawilgła od topniejącego lodu, potem została zamrożona.

Jakiś nieostrożny ruch i.

- Już sobie to wyobraziłem - przerwał Więclawek.

- Mogłaulec połamaniu.

Awieć fałszywe posunięcie, dające punkt naszą korzyść.

Gdyby wrzucili zwłoki do wody w jakimś głębszym miejscu.

- Nie mogli tego zrobić.

Wtedy wodajuz zaczęła opadać.

Głębsze, to znaczy takie, które było o wiele głębsze w punkcie kulminacyjnym powodzi.

Odrazu nasunęło się pytanie: dlaczego woda nie uniosła zwłok?

Nie zapominaj, że chcieli stworzyć pozór, jakoby zwłoki pozostawały w tym samym miejscu jeszcze od dnia poprzedzającego wylanie rzeki.

Powiadasz:

punkt na naszą korzyść.

Zgadza się.

I to punkt, którego już nic nie zdoła nam wydrzeć.

Na szczęście protokół oględzin został sporządzony z drobiazgową dokładnością.

A że nie wyciągnięto właściwych wniosków i nawet ich nie szukano.

Zaraz, kto badał zwłoki?

- zajął do nagłówka.

- Doktor Bajkowski.

Nie wypada mi tak mówić o kolegach po fachu, ale to jakiś cholerny patałach.

- przyduśił niedopałek o pokrywę kibla i od razu zapalił nowego papierosa.

- Prosiłeś starego o przysłanie ludzi?

- Owszem - miał przy tym dziwną minę.

- I co?

- Sklął mnie jak psa.

- Odmówił?

256

- Oczywiście, że odmówił.

On przecież zawsze odmawia w takich wypadkach.

Fakt jednak, że od wczorajszego wieczoru Ciepłowski i Śliwa są już tutaj i obstawiają na wyrwyki ludzi z twojej listy.

Na razie zresztą bez specjalnych sukcesów.

- Ciepłowski i Śliwa?

To dobrzy pracownicy.

- I Więclawek - uzupełnił ze śmiechem kapitan - dał najlepszych, jakich tylko miał.

A sam wiesz, co dla niego znaczy wyłączenie choćby jednego człowieka z obiegu.

Niczym pelikan karmiący własną krwią.

Pamiętasz, jak go wtedy objechałeś naszaro?

- Objechałem tomało.

Kosiorzek naprzykład jest święcie przekonany, że doszło do głośnej awantury, po której wyłanomie z milicji na zbity pysk.

- Powinno ich być wylać.

Choćby już tylko za to, że sam od nas wyszedłeś - stwierdził bez cienia logiki Więclawek.

IV

Barczyński nie rzucał wtedy obietnic wiatr.

Przyjechał w parę godzin po telefonie Więclawka.

Już na drugi dzień rano Kostrzewa ostrożnie rozkładał na blacie więziennego stolika arkusz upstrzony czerwonymi odbitkami pieczęci: "Profesor doktor Stanisław Barczyński", "Zaprzysiężony biegły sądowy".

Wstęp jak najbardziej urzędowy: "W wyniku przeprowadzonej na zlecenie Komendy Głównej MO w Warszawie ekspertyzy, stwierdzam co następuje.

".

Kostrzewa przebiegł szybko wzrokiem.

Wreszcie rozstrzelone litery orzeczenia:

"na podstawie dokonanych badań stwierdzam, że:

1) jeżeli chodzi o okres czasu, przez który żywica zebrana z okolic otworu w drzewie oznaczonym na załączonym szkicu sytuacyjnym znakiem x, pozostawała pod bezpośrednim działaniem powietrza - to należy próbki podzielić na dwie kategorie:

a) żywica wcześniejszego pochodzenia.

Najprawdopodobniej wyciekła ona w momencie uderzenia pocisku.

Przypuszczenie to znajduje potwierdzenie w obrazie zmian zachodzących w miąższu drewna.

Żywica ta wyciekła na zewnątrz około stu osiemdziesięciu godzin

przed momentem przystąpienia do ba257.

dań. W każdym razie nie mogło to nastąpić wcześniej niż przed dwustugodzinami,

b) żywica późniejszego pochodzenia.

Wypłynęła prawdopodobnie w czasie, wydobywania pocisków drzewa.

Pozostaje otwartym powietrzem nie dłużej niż przez sto dwadzieścia godzin.

Żywicy pochodzącej z innych okresów czasu w pobliżu otworu nie znaleziono".

- Ta druga część - Więclawekustawicznie zaglądał Kostrzewie przez ramię, choć niewątpliwie znał treść orzeczenia - oczywiście nieważna.

Może tylko jako sprawdzian dokładności ustaleń.

Barczyński nie wiedział, kiedy wydobyto pocisk.

Nie zaglądał do akt.

Sprawdziłem: różnica wynosi niecałe dwie godziny, czyli tyleco nic.

Za to punkt "a".

Zawiłe?

Owszem.

W końcu to profesor.

Ale na uparte go można wszystko zrozumieć nawet bezwódką.

Dwieście godzin, to znaczy osiem dni z niewielkim hakiem.

Dziś mamy dwudziestego siódmego.

Ekspertyza została przeprowadzona wczoraj.

Obejdzie się bez wyższej matematyki, żeby obliczyć.

Dwadzieścia sześć mniej osiem daje osiemnaście.

Czyli kula, która rzekomo przeszła przez Lesiewicza jedenastego, kręciła się na przestrzeni trzech i pół metra, bo tyle właśnie wynosi odległość do drzewa, pełne siedem dni.

Rezultat: żelazny dotychczas dowód oskarżenia trzeszczy we wszystkich szwach.

Albo pocisk nie ten, albo rana nie ta, albo wszystko nie to.

- Oznaki nierównomiernego rozkładu ciała.

- wtracił Kostrzewa.

- I to, i ubranie.

Muchanie siada - zawołał entuzjastycznie.

- Ktoś z majstrował cały ten interes, ale my nietutejsi.

Żywica - podniósł rękę - komu by to wpadło do głowy?

A tobie owszem.

Powiedziałeś: "Będę rozmyślać".

I rzeczywiście, proszę wysokiego sądu.

Baśka pracuje na medal.

Sprawa zamordowania Lesiewicza dla nas tak jakby skończona.

- Niezupełnie.

- Jak to?

- Łatwo powiedzieć: "Ktoś z majstrował".

Ale kto?

Więclawek się zmieszał.

- Cóż, jeżeli to patrzeć pod tym kątem.

- A pod jakim innym możemy patrzeć?

Milicja i ktoś, kto się podjął rozwikłania tej ponurej zagadki.

258

- Podejrzewasz kogoś?

- Wszystkich z wyjątkiem siebie.

Sęk jednak w tym, że ci wszyscy podejrzewają właśnie mnie.

- No, teraz gdy przedłożymy tę historię - wskazał palcem rozłożony na stoliku dokument.

- Nic jeszcze nie będziemy przedkładać.

- Masz ochotę posiedzieć tu dłużej?

- I takbym siedział.

Pamiętasz o tym pająku, który wszystkim widzi?

Ostrzeżemy go idiabli wiedzą, co zdoła wykombinować nowego.

A mnie i tak nic by tymczasem nie pomogło.

Dopóki okoliczności śmierci Zawadzkiego nie zostaną wyjaśnione.

- Tak - kapitan nachmurzył się - racja.

Odciski palców na szklance i słoik w twojej walizce.

Orzeszek niełatwy do zgryzienia.

Jak się do tego zabierzemy?

- Żebym to ja wiedział.

Dziś w nocy kombinowałem nawszystkie strony, ale wciąż coś nie wychodziło.

Jak jedno zdołałem doczepić, to drugie wyskakuje.

I tak dookoła Wojtek.

W końcu doszedłem do wniosku, że to może jednak ja.

Wybałuszył oczy.

- Ty?

- Jedna z prawdopodobnych hipotez.

- Co takiego?

- aż cofnął się.

- Twoja hipoteza, że otrułeś Zawadzkiego?

I do tego tylko prawdopodobna?

Ktoś tu makręcka!

- Nie przejmuj się.

U mnie na górze wszystko w porządku.

- Niech mnie szlag, jeżeli coś rozumiem.

- Zaraz zrozumiesz.

Otóż hipoteza polega na tym, że to ja mu podałem truciznę, ale ktoś inny ją do herbaty wsypał. Jasne?

- Sam przecieź nalewałeś do szklanki.

- Zgadza się.

Ale co nalewałem?

Czajnik odpada bez dyskusji.

Za to imbryczek.

Mocna esencja o silnym zapachu.

- Nie poczułbyś janku?

- Mógłbym nie poczuć.

Byłem.

no, co tu dużo gadać, byłem jednak zdenerwowany.

Wypadki tego poranka toczyły się niczym lawina.

Poza tym esencja ma bardzo intensywną woń.

Szczególnie póki gorąca.

Zupełnie prawdopodobne, że zagłuszyła w znacznej mierze albo nawet prawie zupełnie zapach cy259.

Janku.

Gdy przyszedliśmy z Kosiorkiem, herbata była już zimna.

Być może właśnie dlatego poczułam gorzkie migdały.

-Więclawek pokręcił głową.

- To niedobra hipoteza.

Całkiem niedobra.

- Uważasz ją za nieprawdopodobną?

-Nie zrozumiałeś mnie.

Owszem, jest prawdopodobna.

Ale jeżeli tak było w rzeczywistości, to niedobrze dla ciebie.

- Dlaczego?

-No bo odcisk palców.

Brałeś przecież imbryczek gołą

ręką.

- Za uszko.

Trucizny zaś napewno nie wsypywano przez otwór dziobka.

Ktoś zdejmował pokrywkę.

Być może tym razem zapomniał o rękawiczkach.

- Myślisz, że nie umyło by imbryczka przez tyle czasu?

- Jeżeli rzeczywiście znajdował się tam cyjanek, to nie bawiono by się w mycie.

Zbyt łatwo wywołać niepotrzebne domysły czy nawet podejrzenia.

Trucizny przecież nie wsypała Kaziaczy Antoniowa.

Ten, co ją wsypał, wyrzuciłby po prostu śmietnik.

Tam nie ma zwyczajnie zbyt częstego wywożenia odpadków.

Pojedź i sprawdź.

- Jak ten imbryczek wygląda?

- Żółta porcelana w niebieskie kwiatki.

I złocenia.

Aha.

również i środkiem ucha biegnie złota linia.

- Wizyta w nadleśnictwie to znaczy dekonspiracja?

- W każdym razie tylko twoja.

Śliwa i Ciepłowski niech nadal pozostaną w cieniu.

Zna ich ktoś z tutejszych?

- Nie.

- Pokazywaliście się razem?

Oburzył się.

- Za kogo ty mnie masz?

Wyrosłem z pieluch.

- Jasne, że nadal nikt nie może wiedzieć, co was łączy.

Jakże pełnomocnictwami?

- Znakomite.

Stary o wszystkim pomyślał.

Inspekcja.

W razie potrzeby mógłbym całą tutejszą komendę postawić do kąta.

- W porządku.

Nie sądzę zresztą, żeby zaszła potrzeba stawiania kogoś do kąta.

Ale pewne rzeczy wymagają ponownego przepracowania.

- Fotografie zwłok w lodowni?
-To przede wszystkim.
Dokonywał ekspertyzy tutejszy fotograf, a nam potrzebny prawdziwy ekspert.
Jak tylko zobaczył ciemne smugi, w te pędy: "podejrzenie fotomontażu".
Patałach.
Sam pewno nigdy nie robił kompozycji.
Inaczej by wiedział, że nawet przy średniozręcznym montażu nie widać fastrygi.
- Komu przesłaliśmy?
- Myślałem o Kobylskim.
To spec najwyższej klasy.
Jeszcze się nie zdarzyło, żeby ktoś podważył jego opinię.
- Potem ekshumacja zwłok Lesiewicza?
Kostrzewa bawił się ołówkiem.
- Mam nadzieję, że się bez niej obejdzie.
Protokół oględzin jest bardzo drobiazgowy.
Cóż z tego, że niezbyt inteligentny?
Może właśnie tym lepiej.
Niekonsekwencje aż biją w oczy.
Oczywiście trzeba pozostawić pewne tezy naprowadzające.
"Oskarżony twierdzi, że dnia szesnastego października widział zwłoki w stanie zupełnego zamrożenia.
" Opis miejsca, gdzie je znaleziono.
Poziom wody.
Od najwyższego punktu, po ten, który był przypuszczalnie w dniu odkrycia zwłok.
Podkreśl wątpliwości co do średnicy otworu wlotowego rany.
To żadna sugestia.
Milicja może mieć wątpliwości, a rzeczą biegłego jerozstrzygać.
Dołącz fotografię rany.
Może byłoby dobrze, gdyby Kobylskiją odpowiednio powiększył.
Więclawek notował skrótami.
- Jednym słowem przesyłamy cały komplet.
Niech się poci.
A co mam robić w nadleśnictwie poza szukaniem imbryczka?
- Rozejrzyj się.
Chwilowo nic konkretnego nie przychodzi mi na myśl, ale może na miejscu.
V
Starszy pan przesunął na czoło okulary, odsłaniając zmęczone oczy.
- Księgowy z Rejonu?
Nareszcie.
Więclawek zwięźle wyjaśnił nieporozumienie.
- Z milicji?
- nie ukrywał rozczarowania.
- Bardzo przepraszam, ale myślałem.
Diabli wiedzą, co oni sobie tam wyobrażają w tym Rejonie.
Urywam telefon i nic.
A tu bałagan, że

szlag może człowieka trafić.

Inspektor Sokalski - dopiero teraz przypomniał sobie, że trzeba się przedstawić.

- Przysłano mi tu z Rejonu dla skontrolowania spraw nadleśnictwa.

Pod względem finansowym i w ogóle.

No cóż.

wobec milicji nie potrzebuję robić sekretu.

Bagno.

- Jakies nadużycia?

- To nie ulega najmniejszej wątpliwości.

Nie chciałem żłemować o zmarłym koledze, ale fakt pozostaje niestety faktem.

Już opierając się na tym, do czego sam zdołałem się dokopać, sądzę, że chodzi o setki tysięcy złotych.

A co jeszcze wyskoczy przy dokładniejszym sprawdzaniu?

Więclawek bąknął ni to, ni owo.

Nie bardzo wiedział, jak się ustosunkować do tej wiadomości.

Była więcej niż niespodziewana.

Skarb milionowej wartości i nadużycia finansowe?

Znowu coś tu nie grało.

- Przyjechał pan w sprawie gwałtownej śmierci Zawadzkiego?

- W sprawie jego zamordowania - sprostował.

- Morderstwo.

- przewracał w stercie papierów zalegających biurko - owszem, słyszałem.

Ale ja osobiście nie wierzę.

Zapłatał się i widząc, że jest w położeniu bez wyjścia.

Musiąsobie przecież zdawać sprawę, że topacznie długoletnim kryminałem.

Nie - pokręcił głową.

- Niewierzę w morderstwo.

- Nie mają jednak żadnych danych wskazujących na samobójstwo.

Zostawiłby jakiś list, jakieś wyjaśnienie.

- List?

- klepnął się z rozmachem w czoło.

- Prawda.

Chciałem to już dawno przesłać milicji.

Ale tu człowiek nie wie poprostu, na jakim świecie żyje.

- Pożegnalny list?

- zawołał Więclawek.

- Niezupełnie - inspektor podszedł do żelaznej szafy.

Szukał przez chwilę na półkach, wreszcie wyciągnął arkusz papieru.

- Tylko to - podał go Więclawkowi.

Ten zaklął.

- "Do Prokuratora", dalej czysty papier.

- Zaczął i nie skończył - pokiwał ubolewaniem głową inspektor.

- Wiem, że to nie ma żadnego znaczenia, ale.

- Może ima znaczenie - Więclawek nie odrywał oczu od arkusza.

- Nie wiadomo nawet, czy to on pisał.

262

- To chyba zdołamy ustalić.

- Jeżeli tak, to mamy początek listu samobójcy.

A ktoś siedzi w więzieniu oskarżony spowodowanie tej śmierci.

- Siedzi - burknął przez zęby Więclawek.
- Ale do prokuratora piszą nie tylko ci, którzy mają zamiar popełnić samobójstwo.
- Sądzi pan, że chciał się oskarżyć o nadużycia - w głosie brzmiało powątpiewanie.
- "Może nie siebie i nieo nadużycia" - pomyślał Więclawek.

Nic jednak nie powiedział.

- Czy ten arkusz, kiedy został znaleziony, był już tak samowymięty?

- Ja go w każdym razie nie pogmiotłem.

Obchodziłem się jak z jajkiem.

Bo jednak.

- Z tego wynika, że bardzo gwałtownie został wyciągnięty z maszyny - badał wzrokiem załomy papieru.

- Jeżeli te słowa napisano na tutejszej maszynie.

- Nie trzeba być ekspertem, aby to stwierdzić.

Wzemy pierwsze lepsze piśmko - wybrał na chybił trafił ze sterty podsunął kapitanowi.

- Stary adler, jeszcze chyba sprzed pierwszej wojny światowej.

Niech pan spojrzy, jak rozrzuca czcionki.

To widać pierwszy rzut oka.

- Widać - zgodził się Więclawek.

Wziął z biurki czysty papier i ostrożnie zapakował arkusik.

Inspektor obserwował go z zaciekawieniem.

- Odcisk palców?

- Miejmy nadzieję.

Gdzie pan to znalazł?

- W papierach leżących na podłodze obok biurki.

- Nasamym wierzchu?

- Niezupełnie.

Pod kilkoma innymi.

Od razu zwróciłem uwagę.

"Do Prokuratora" - to jednak ma swoją wymowę, choćby więcej nie było ani słowa.

Tym bardziej w takiej sytuacji.

- Jakiej treści były piśmka leżące na wierzchu?

- Dotyczyły spraw nadleśnictwa.

- Datowane z ostatnich dni?

- Nie wszystkie.

Tu wogóle groch z kapustą.

- Niczego więcej w tym rodzaju pan nie odkrył?

- Powiedziałbym przecież.

Ale w tych stertach - wskazał ręką na stosy papierów może jeszcze tkwić licho wie co.

Rzecz

jasna, że każdy świstek obejrzą na wszystkie strony, zanim wrzucę do kosza.
I gdyby tylko coś, zaraz zawiadomię.

- Zaraz - przerwał mu Więclawek.

- Tu każda godzina ma swoją cenę.

Tymczasem chciałbym się trochę rozejrzeć pod domu.

- Proszę bardzo.

Niestety nie będę w stanie nic panu pomóc.

Cała moja przestrzeń życiowa to takancelaria i porębyw lesie.

Nawet niebardzo zdążyłem się zorientować w rozkładzie tutejszych pomieszczeń.

Taki los.

Zanim Więclawek przestąpił próg kancelarii, inspektor już się pogрузił w studiowaniu dokumentów.

Kuchnia.

Trafił do niej od razu.

Sporządzony przez Kostrzewę szkic sytuacyjny ułatwiał poruszanie się, choć został odtworzony z pamięci.

Pulchna dziewczyna w brudnym fartuchu powitała go niechętnym spojrzeniem.

- Pan tu czego?

Nie spodobała mu się.

Dlaczego patrzy wilkiem?

Z tym cyjankiem mogło być rozmaicie.

Ona przecież miała najwięcej sposobności.

Kostrzewa wprowadził z góry to wykluczył.

"Nie Kazia ani Antoniowa.

" Więc cóż z tego, że wykluczył?

Człowiek jestomylny.

Nawet taki spec.

Pobyty w więzieniu niewpływa dodatnio na przejrzystość myśli.

Ta dziewczyna mataką minę, jakby własną matkę zarznęła.

Rzecz jasna, że jakogłówna sprężyna niewchodzi w rachubę.

Ale jako wykonawczynie?

Nietrzeba specjalnej inteligencji, by wsypać szczyptę trucizny do imbryczka.

- Milicja - wyjaśnił ostrym tonem.

- Obywatelka Kazimiera

Berkuć?

Potwierdziła opryskliwym burknięciem.

Jednocześnie

w oczach jakby wyraz spłoszenia.

-A w czym rzecz?

- To się okaże - uznał, że ten sposób rozmowy będzie w tym wypadku najodpowiedniejszy.

Podszedł do pieca kuchennego.

Wielki blaszany czajnik, nanim imbryczek.

Żółtawa porcelana, niebieskie kwiatki, uchwyty pokrywki lekko wyszczerbiony.

Wszystko się zgadzało.

Nawet loty pasek biegnący przez środekuszka.

Ale podobnych imbryczków mogły być dziesiątki.

- Oddawna tego używacie?

264

- Czego?
- udało, że nie rozumie, choć przecież wyraźnie wskazywał palcem.
- Imbryczka.
- Od świętej pamięci.
- To nie jest odpowiedź.
Obywatelka nie rozmawia z kumą, tylko z milicją.
Zrozumiano?
- Co pan tak.
- przestraszyła się.
- Trzeba odpowiadać, kiedy pytają.
Tu nie ma żartów.
- Bo ja wiem od kiedy?
Jak nastąpiłam, to już był.
- Ten sam?
- Innego nie widziałam.
- A ten, który przed kilkoma dniami wyrzuciliście?
- Żadnego wyrzucaliśmy.
Po co by zresztą?
Ten jeszcze całkiem dobry.
Sprawiało wrażenie, że mówi prawdę.
- Sprawdzimy.
Wzruszyła ramionami.
- Może pan sobie sprawdzać.
Co bym miała kłamać?
- Nie radziłbym kłamać - podkreślił naciskiem - ani w tym, ani w niczym innym.
Kłamstwo w czasie śledztwa może bardzo drogo kosztować - wciążnie mógł opędzić się od myśli, że wie coś, czego nie chce powiedzieć.
Może zresztą nie dotyczyło wcale imbryczka.
- Świadek będzie jeszcze przesłuchany na komendzie - oznajmił nieoczekiwanie dla samego siebie.
Ten pomysł wpadł mu do głowy dopiero w tej chwili.
Jeżeli rzeczywiście coś ukrywa, lepiej będzie z nią porozmawiać w urzędowym lokalu.
Wpływ otoczenia?
Tego nie można lekceważyć.
Szczególnie jeżeli chodzi o takie prymitywy.
Coś w rodzaju presji psychicznej.
- Ja..
na komendę?
- wyciągnęła rękę przed siebie.
- Niby po co?
Wszystko, co miałam do powiedzenia, powiedziałam już sto razy.
- To naszarzecz po co - ofuknął ją.
- Przyjdzie obywatelka pojutrze, to jest trzydziestego pierwszego, o godzinie dziewiętej rano.
Proszę zapytać o kapitana Więclawka.
Jasne?
- Ale.
- Nie ma żadnego "ale".
Potrafimy doprowadzić podprzymusem.
Jeżeli obywatelka woli paradować przez całe miasto

pod eskortą milicyjną.

- wyjął z kieszeni notes, naszkicował coś w rodzaju prowizorycznego wezwania, wydarł kartkę.

Tupokwitować - podał jej ołówki.

Nabazgrała z wysiłkiem kilka niezdarnych kulfonów.

Widać było, że jest całkiem zgnębiona.

- Czy Kopankiewiczowie już wyjechali?

- Dziś wyjeżdżają.

Mieli wcześniej, ale że to pogrzeb naszego nieboszczyka pana inżyniera.

- głos niemal pokorny.

- Radzę sobie wszystko dokładnie przemyśleć - rzucił groźnie jeszcze od progu - bo może być źle.

Przez te dwa dni powinna chyba skruszeć do reszty - obrzucił ją na pożegnanie twardym spojrzeniem.

Zobaczymy.

Poszedł w kierunku śmietnika.

Znowu nie musiał nikogo pytać o drogę.

Szkic Kostrzewy był nieoceniony.

W nozdrzauderzył ciężki odór.

Stery gnijących odpadków.

Z całą pewnością nie wywożono ich od dawna.

Wstrzymując oddech, obszedł go dookoła.

Na wierzchnic, co by przypominało porcelanową stłuczkę.

A tym mniej imbryczek w niebieskie kwiatki.

Ale powierzchnia to jeszcze nie wszystko.

Przy bramie kręcił się barczyście mężczyzna w kurtce gajowego.

- Halo!

- przywołał go ruchem ręki.

Podszedł bez pośpiechu.

- O co chodzi?

- Milicja - podsunął mu legitymację pod sam nos.

Musi my trochę przegarnąć.

Splunął.

- Śmiecie?

- Tak.

Oczywiście zostaniecie wynagrodzeni za tę robotę.

Ostatnie słowa podziałały magicznie.

Od razu się rozpogodził.

- Ano jak trzeba.

- Jakież widły czy coś w tym rodzaju?

Dla mnie też.

Nie chciałbym stać z założonymi rękoma.

Sprawa cholernie pilna.

- Znajdą się.

Chwileczkę - ruszył w kierunku sklecone go

z desek budynku.

Więclawek niemal machinalnie poszedł w ślad za nim.

Szopa?

Nie zaszkodziłoby rozejrzeć się przy sposobności.

Tyle dziwnych rzeczy działo się w tym domu.

Zaświecił latarkę.

266

- No więc gdzie te widły?

- ale światłomyszkowało po wszystkich kątach, błędząc wśród stert najrozmaitszych rupieci.

Coś jakby bambusowe kolanki z metalowymi obręczkami.

Podszedł bliżej, nie zwracając już uwagi na wyciągane przez gajowego widły.

Wędką?

Jakieś mgliste jeszcze skojarzenia plątały się w myśli.

Cztery bambusowe człony.

Po złożeniu na pewno ponad trzy metry.

Może nawet około czterech.

Nagle obraz wystąpił całą plastycznością.

Tajemnicza twarz szybująca w powietrzu.

Okno na wysokość czterech metrów.

Właśnie czterech.

- Kto tu łowi ryby?

Gajowy stuknął widłami o beton, jakby chcąc sprawdzić, czy są mocno osadzone na styliskach.

- Ryby?

Niby gdzie?

Do błotnistej przeszłości mat drogi.

W jeden dzień za nic się nie obróci.

A bliżej żadnej wody ani lekarstwa.

Chyba żeby żaby na bagnie - roześmiał się.

Więdlawek wyciągnął bambusową kątę.

- A ta wędką?

- Nie wiem.

Ja tu tylko przychodziłem od czasu do czasu, jak było potrzeba.

Teraz to pan inspektor kazał, żeby na stałe, bo to i Józef odszedł, i Koryciuka przetrąciło.

Ale przedtem.

VI

Przeszukiwanie śmieci trwało długo i nie dało nic.

To było resztą z góry do przewidzenia.

Imbryczek w kuchni dokładnie odpowiadał opisowi Kostrzewy.

I jedyniedla całkowitego spokoju sumienia.

Gajowy strząsał z wideł odpadki.

- Cała robota popróznicy.

Więdlawek uśmiechnął się.

- Jak dla kogo.

Wystawcie rachunek, to wam zapłacę - spojrzął na szkic.

- To jest okno od gabinetu?

- wskazał.

- Tak.

Czy będę jeszcze panu śledczemu potrzebny?

- Tymczasem dziękuję.

Odszedł ku szopie, unosząc widły.

Więdlawek przeczekał, zanim nie zniknie w jej wnętrzu, po czym złożył wędkę.

Wystarczyło unieść ją trochę, by koniec sięgnął szyby.

Gdyby ucześć odpowiednio wycięty kawałek sztywnego papieru.

Twarz?
Nietrudno
267.

sprokurować coś w tym rodzaju.

Trochę fosforowej farby w miejscu oczu.

Może nawet zwykłej.

Widziane przez szybę sprawia zupełnie inne wrażenie.

Do tego nastrój niesamowitości.

W domu dzieje się coś strasznego.

Migoczące światło świec.

Kostrzewa wspominał o czymś szarym, comignęło za oknem.

Kopankiewicz twierdził, że to była twarz.

Twierdził?

Ale on.

Logika wskazuje na któreś z Kopankiewiczów.

Oboje jednak znajdowali się wtedy w gabinecie.

Jeszcze raz obejrzał ścianę okna.

Gdyby przystawić całą tę konstrukcję tuż obok, przymurze.

Wystarczyłby silniejszy poryw wiatru, żeby makieta przesunęła się przed szybą.

"Mignęło się.

" Otóż to.

Jednakróciutkachwila i potem jak kamień w wodę.

Kostrzewa wprawdzie oświetlał latarką podwórze, ale szukał raczej czegoś znacznie większego.

Człowiek, drabina, występy w murze.

Cienki pręt bambusa mógł łatwo ująć jego uwagę.

Tym bardziej jeżeli

upadł pod ścianę.

Mogłotak być.

A jak było naprawdę?

Rozłożył z powrotem wędkę na części.

Ciekawe do kogo należała i kto miał do niej
dostęp?

Znowu zawrócił w kierunku kuchni.

Za okratowanym oknem jakby jakieś nagłe zamieszanie.

Gdy wszedł, zastał tylko starszą kobietę w czystym fartuchu.

Kazia widocznie nie miała ochoty na powtórny rozmowę i wołała zniknąć gdzieś w głębi
budynku.

- Obywatelka Leokadia Okoniowa?

- To ja - oczy patrzyły spokojnie i bez lęku.

- Świadek tu pracuje od dawna?

- ostry ton był raczej niepotrzebny.

Musiałaby mieć zupełnie czyste sumienie.

- Ponad osiem lat.

- Proszę mi powiedzieć, do kogo należała ta wędka?

Potrząsnęła głową.

- Nie wiem.

Nie widziałam, żeby u nas kto chodził z wędką.

- Naryby nikt nie wyjeżdżał?

- W każdym razie nic mi o tym nie wiadomo.

Zresztą kto by miał?

Nasz pan nadleśny, Panie, świeć nad jego duszą, tak był zaharowany, że światła bożego nie widział.

A pani.

Nie, do niej w ogóle takierzeczy nie pasują.

- Ktoś z gości?

- to nie było przypadkowe pytanie.

Miałamyśli całkiem konkretne osoby.

268

- Także nie.

Przynajmniej za mojej pamięci.

Ja myślę, że to chyba pozostało jeszcze po Niemcach.

Znalazł pan w szopie?

- Tak.

Kto miał odnieść klucze?

- Józef.

A jak wychodził gdzieś dłużej, to oddawał Koryciukowi.

Bo tam przecież wszystkie narzędzia.

- Kto oprócz Józefa i Koryciuka wchodziło szopy w ostatnich czasach, przed śmiercią

Zawadzkiego?

Zamyśliła się.

- Bo ja wiem.

- Pani Zawadzka?

podsunął.

Nie chciał się zdradzić, o kogomu chodziło.

Jeżeli podejrzenia był słyszalne, ostrzeżenie zainteresowanych mogło spowodować nowe komplikacje.

- Ona?

- wytrzeszczyła oczy.

- Co też pan.

Nasza pani i szopa!

Tam przecież brudno.

Nawet do kuchni rzadko zaglądała.

A cóż dopiero tam.

- Więcnik?

- No to.

wszedł tam kiedyś pan Kopankiewicz.

- Kopankiewicz!

Więcnik z trudem zachował obojętny wyraz twarzy.

- Właśnie on!

- Po co?

- ton jak najbardziej zdawkowy.

- Potrzebował jakiegoś dłułka, bo akurat mu się coś w maszynie do pisania zepsuło.

- I musiał tego dłułka sam szukać w szopie?

- Józef mu różne dawał, ale żadne nie pasowało.

Powiedział, że woli sobie odpowiednie dobrać na miejscu.

- Kiedy to było?

- Nie pamiętam jakiego dnia.

- Może wtedy, gdy wszyscy grali w karty w gabinecie?

patrzył gdzieś w bok, aby ukryć rosnące zainteresowanie.

- To chyba właśnie wtedy.

To znaczy pan Kopankiewicz poto dłutko chodził przed południem, a grali wieczorem.
Sześćświec wtedy musiałam oprawiać.
A nasza pani potem mówiła, że ją coś za oknem wystraszyło.

269.

VII

Pootwierane walizki.
Stery bielizny na łóżku.
Drzwiczki szafyotwarte na oścież.
Wyciągnięte do połowy szuflady.
Wszystkowskazywało, że przygotowania do odjazdu wchodzą w ostatni stadium.
Więclawek stanął sztywno w drzwiach.
- Bardzo państwa przepraszam, aleja w sprawie urzędowej.
ZKomendyGłównej MO - okazał legitymację.
Kobieta podniosła się z klęczek.
Zgrabna brunetka lat około trzydziestu.
Pomimo dość ostrych chryśców niewątpliwie bardzo przystojna.
Usta świadczyły o niepospolitej energii.
Tak samo bystro patrzące oczy.
Poznał ją od razu.
Rysopis podany przez Kostrzewę uderzał wprost fotograficzną dokładnością.
Ta kobieta rzeczywiście byłaby zdolna do niejednego.
W dobrym czy złym.
- Milicja- westchnęła - a my już się pakowaliśmy.
- Popatrzyła z rozbrajającym uśmiechem na walizki.
- Za dwie godziny ma po nas przyjechać auto.
Podszedł Kopankiewicz.
Tego również poznałby na podstawie opisu nawet w tłumie przechodniów.
- Jakież niespodziewane komplikacje?
Więclawek ocenił go dyskretnym spojrzeniem.
Miękkie fałdki przy kącikach ust.
Słabo zarysowany podbródek.
Łagodny wyraz oczu.
Na pozór nawet muchy nie potrafiłby skrzywdzić.
Ale okładka nie zawsze odpowiada treści.
I bardzo wielu przestępców ma minę dobrotliwego wujaszka.
Twarz za oknem.
Właśnie on wchodził do szopy.
Wystarczyło nie przekręcić klucza w kłódce, by zapewnić sobie powrót, gdy nikt tego nie będzie widział.
Wszystkie zjawiska występujące w tym domu musiały być w jakiś tam sposób ze sobą związane.
Zjawy, kroki, morderstwa.
Jeżeli Zawadzki został otruty, tylko oni dwoje mogli wchodzić w rachubę.
Nie wahał się już dłużej.
- Bardzo mi przykro, jeżeli to pomiesza państwu plany na przyszłość, ale musimy państwa wezwać na trzydziestego pierwszym celem ponownego przesłuchania.
- Jeszcze jedno przesłuchanie- jęknął Kopankiewicz.
- Przeklinam chwilę, w której zdecydowałem się tu przyjechać.
- Na trzydziestego pierwszego?
- Kopankiewiczowa podeszła do kapitana.
- Czy nie można by tego zrobić dziś?
Będziemy akurat przejeżdżać przez Kozłów.

- No pewno - zawtórował Kopankiewicz.
- Skoro będziemy na miejscu.
Specjalny przyjazd Warszawy nie miałby sensu.
Musielibyśmy niemal cały czas spędzić w pociągu.
Ale Więclawek pragnął ich zatrzymać jak najdłużej na miejscu.
Sprawa była niewyraźna i wymagała dokładnego przeanalizowania.
Skoro zaś brakło podstaw do zastosowania jakichś bardziej oficjalnych posunięć.
Zobaczy się, co przyniosą te dwa dni.
Niespodzianki wyskakiwały na każdym kroku niczym grzyby po deszczu.
- Niestety nie jestem w stanie pomóc państwu w tej sprawie.
To nie zależy ode mnie - skłamał gładko.
Kopankiewicz kopnął ze złością walizkę i zamruczał pod nosem coś, co bardzo przypominało zdławione przekleństwo.
Ona natomiast podeszła do sprawy w sposób znacznie bardziej rzeczowy.
- Nie od pana?
- powtórzyła.
- A od kogo?
- Od Komendy Głównej w Warszawie - to zresztą odpowiadał prawdzie.
On przeciętnie komendę tej chwili reprezentował.
VIII Kosiorek był dotknięty i wcale tego nie ukrywał.
- Więc jednak Kostrzewa znalazł sposób, żeby się naskarżyć.
- Nie składał żadnych skarg - zaprzeczył kapitan z powściągliwym uśmiechem.
Prokurator trzymał się bardzo sztywno.
- Skoro zdaniem oskarżonego dochodzenie wstępne było prowadzone w sposób niewłaściwy.
- Oskarżony wcale tak nie uważa.
Natomiast ja, jako przedstawiciel Komendy Głównej, sądzę, że pewne punkty wymagają dodatkowego przepracowania.
- Jakie?
- Nastroszyli się Kosiorek.
- Weźmy choćby sprawę odfotografowania przez oskarżonego zwłok Lesiewicz w lodowni.
- Biegły stwierdził, że to fotomontaż.
- Biegły stwierdził, że zachodzi podejrzenie fotomontażu - sprostował łagodnie Więclawek.
W grę wchodziły momenty ambicjonalne i pragnął w miarę możliwości uniknąć dalszego zadrażnienia.
Czy jest to biegły sądowy?
271.

- Nie mamy tu biegłych wszelkich specjalności.

Miejscowy

fotograf.

Został zaprzysiężony do tej sprawy.

- Z tego wynika, że nie ma zbyt wielkiego doświadczenia jako rzeczoznawca.

- Jakby tu było potrzebne wielkie doświadczenie - Kosiorek jeździł palcem ponad błyszczącą powierzchnią odbitek.

- Tych

smug chyba ślepy bynie dojrzał.

- Smugi nie zawsze świadczą o fotomontażu.

Powiedziałbym raczej, że bardzo rzadko.

- A o czym?

- O zanieczyszczeniu obiektywu bądź wadach emulsji.

Nie

jestem wprawdzie fachowcem.

- No właśnie, nie jesteście.

- Dlatego też odbitki przesłane zostaną do Warszawy celem przeprowadzenia ponownej ekspertyzy.

Oczywiście za zgodą obywatela prokuratora - dodał uprzejmym półukłonem.

Brwi prokuratora, które zaczynały się już marszczyć, rozluźniły się z powrotem.

- Sądźcie, kapitanie, że druga ekspertyza da coś więcej?

- Jestem niemal pewny, że tak.

Jeżeli zaś zostanie ustalone, że zdjęcia niosą montażem, cała sytuacja ulegnie radykalnej zmianie.

Kosiorek wydał pogardliwie wargi.

- Radykalnej?

Nie wyobrażaj sobie.

Skoro istnieje pewność, że Lesiewicz został zastrzelony z pistoletu stanowiącego własność oskarżonego.

Więclawek z trudem się powstrzymał, żeby nie wyłożyć nastół całego ładunku: żywica, krążąca całymi dniami kula, woda, która powinna być, a której nie było.

Nie zająknął się jednak.

Kostrzewa bardzo nalegał, żeby jak najdłużej opóźnić otwarcie nowo zdobytych atutów.

"Pająk, który wszystko widzi"?

Może miał rację.

Kto zresztą wie, ile było tych pajaków?

- Zastrzelony - powtórzył, mrużąc lekko oczy - to łatwo powiedzieć.

Jeżeli jednak zwłoki rzeczywiście znajdowały się w lodowni, to kiedy zastrzelony i gdzie?

- Nie, poruczniku - prokurator wpatrywał się w odbitki z takim natężeniem, jakby je widział dopiero po raz pierwszy - tonie jest takie proste.

Musimy te zdjęcia przesłać do Warszawy.

272

Chcicie, żeby potem mówili, że ze względów prestiżowych odrzuciliśmy szansę ustalenia prawdy materialnej.

- Przesyłajmy - Kosiorek wykrzywił się, jakby zmuszono go do przełknięcia czegoś, na co wcale nie ma ochoty - ale dałbym sobie głowę uciąć, że cała prawda materialna znajduje się tu - stuknął palcem w sztywną obwolotę akt.

- Być może - Więclawek wciąż był bardzo przyjacielski i bardzo uprzejmy - chodzi jedynie o to, jak się ją rozumie.

MYŚLENIE TO OSTATECZNIE TEŻ ZAJĘCIE

- Przychodziły już takie chwile - Kostrzewa siedział nieruchomo z rękami na kolanach - że biegalem po tej przeklętej celi jak zwierzę w klatce.

Dusiłem się.

Chciałomi sięwyć z rozpacz.

Przecież tam na zewnątrz wciąż dzieje się coś, od czego zależymójlos.

A tu kamienny worek bezwyjścia.

Potem jednak przyszło opamiętanie.

Możnaprzecież brać udział w rozwoju akcji, będąc odcięty od możliwości fizycznego wniej udziału.

Dziękitobie jestemw stałej łączności z przebiegiem wypadków.

Mogęprzemyśleć każdy szczegół na wszystkie strony.

Analiza logiczna, jedna, druga, dziesiąta.

Za każdym razem na tę samą rzecz padainne światło.

Wiesz, jak w teatrze, gdzie dekoracje zastępuje sięgrą barwnych reflektorów.

Gdy człowiekjest w ruchu, to jednaktrochę rozprasza.

Niekiedy nawet mocno rozprasza.

Powiadasz, że Kopankiewiczowie stają się coraz bardziej podejrzani.

Sam twierdziłem, że są podejrzani.

Czyjednak rzeczywiściecoraz bardziej?

Wizyta Kopankiewicza w szopie, twarz zaoknem.

Owszem, to stwarza możliwość, że właśnie on zainscenizował nocne zjawisko.

Rzecz jasna, że tascena musi mieć jakieśpowiązanie z resztą zdarzeń.

Czyliże o ile on jest autoremtegoogniwa, musi być również autorem pozostałych.

- Względnie współautorem - wtrącił Więclawek.

- Współautorem - zgodził się Kostrzewa - ale kim jest drugiwspółtwórca?

Kopankiewiczowie są ludźmiobcymi na terenieadleśnictwa.

Zmowa z gajowymiczyze służbą odpada.

Świrski?

Nie zapominajmy o wściekłym kocie.

Jego reakcja z całą pewnością nie była komedią.

Naprawdę chciał lyknać kilkanaście ampułek morfiny.

Nie mógłzadną miarą przewidzieć, że zdążę sforsować drzwi łazienki.

Zawadzki?

Ale przecież jeżeliprzyjmiemy nasze założenie wyjściowe, został on otruty przezktóreś z Kopankiewiczów.

Musisz przyznać, że coś w tymwszystkim nie gra?

274

- Nie gra - przyznał westchnieniem Więclawek.

- Imwięcejznajdujemy punktów zaczepienia, tym bardziej cała sprawastaje się mglista.

Szlag może trafić.

- Powróćmy do oceny zachowania Kopankiewiczów.

Niewątpliwiew jakimś tam sensie jest podejrzane.

Tylko w jakim?

Zakładamy, że motywemich działania mogła być kasetka zeskarbem.

Innego motywu działaniatrudno by się dopatrzeć.

No więc: zamordowali Lesiewicza, w jakiś sposób spowodowali zniknięcie Świrskiego, wreszcie zdołali wyeliminować największą przeszkodę, czyli Zawadzkiego.

Ico dalej?

Znaleźli kasetkę?

Nie udało się im z tych czy innych względów?

Gdyby ją mieli, postaraliby się jak najszybciej zniknąć.

Kto w takiej sytuacji czekałby na pogrzeb swojej ofiary?

Nietrudno byłoby wymyślić jakiś prawdopodobny pretekst, zmuszający ich do natychmiastowego wyjazdu.

Ktoś, kto potrafił zbudować tak zawiłą inscenizację wypadków.

- A jeżeli dotychczas nie znaleźli kasetki?

- W takim wypadku pozostaliby na terenie nadleśnictwa dopóty, dopóki poszukiwania nie zostałyby uwieńczone sukcesem.

Albo do momentu, gdy się okaże, że nie można jej znaleźć.

Nato ostatnie jest jeszcze stanowczo zbyt wcześnie.

Pomyśl o skrytkach i zakamarkach budynku wchodzącego w system urządzeń obronnych.

Tymczasem, jak stwierdziłeś, szykowali się do wyjazdu.

W sposób jak najbardziej konkretny.

Walizki, rzeczy przygotowane do spakowania leżą na łóżku.

Wreszcie samochód, który ma po nich przyjechać za dwie godziny.

Sprawdziłeś przecież, że rzeczywiście miał przyjechać.

Czy zachodzi jakakolwiek możliwość zainscenizowania tego wszystkiego na twoją cześć?

Nie, nie zachodzi.

Nie byli w stanie przewidzieć, że akurat przyjedziesz do nadleśnictwa.

Niemieli w ogóle pojęcia o twoim istnieniu.

Z tego wynika, że naprawdę zamierzali wyjechać.

- Jeżeli jednak znaleźli kasetkę akurat tego dnia?

- Cóż.

- odchrząknął.

- Czy wiadomość o tym, że Jesteś Komendy Głównej wywołała u nich panikę, czy choćby tylko przestraszyła?

Znasz się dobrze na ludziach i umiesz rozszyfrować ich mimowolne odruchy.

Jakiś tam choćby najkrótszy moment, gdy każde opanowanie zawodzi.

Zauważyłeś u niego albo u niej coś w tym rodzaju?

275.

Więclawek zastanowił się.

- Nie.

Byli wściekli, gdy powiedziałem, że za dwa dni mają
stawić się w Kozłowie.

- To zupełnie zrozumiałe.

Alestrach?

Moment psychologiczny, gdy człowiek już pewny sukcesu, widzi nagle otwierającą się tuż
przed nim przepaść?

- Nie - powtórzył Więclawek - nie było takiego momentu.

Muszę przyznać, że żadne nie przestraszyło się na mój widok.

Nawet gdy oznajmiłem, czym przychodzę.

- No widzisz.

Kasetka znaleziona tego samego dnia - potrząsnął głową.

- Gdzieby ją ukryli?

Walizki?

Ktoś wchodzi nieoczekiwanie do pokoju.

Milicjant.

Ma możliwość zajrzenia w każdy kąt.

Walizki potwierdane.

I najmniejszej choćby reakcji?

Poza tym sam sposób szykowania się do wyjazdu.

Żadnych oznak popłochu czy choćby specjalnego pośpiechu.

Żadnych prób zakonspirowania terminu opuszczenia nadleśnictwa.

Samochód zamówiony na kilka godzin przedtem.

Kozłów to mała miejscina.

Wiadomość zamówieniu samochodu mogła łatwo dotrzeć do milicji czy prokuratora.

Szczególnie w tego rodzaju

sytuacji: dwa gwałtowne zgony.

- Człowiek oskarżony o ich spowodowanie przebywa w więzieniu - podsunął

Więclawek.

- Zgadza się.

Ale śledztwo pomimo tego zostało jeszcze definitywnie zakończone.

Niewątpliwie dawali sobie z tego sprawę.

Przestępca, unoszący łup czy choćby tylko uciekający z miejsca zbrodni, nie postępuje w ten
sposób.

To byłoby nieprawdziwe pod względem psychologicznym.

- Może i nieprawdziwe - Więclawek pograżał się w coraz
głębszą zadumę.

- I codalej?

- Przejdźmy do wdowy.

Nie widzę logicznego powodu uzasadniającego jej pozostawanie w tym mieście.

Czy otrzymała jakieś wezwanie od milicji bądź prokuratora?

- Nie.

- Nie rozumiem - Kostrzewa obejrzał z roztargnieniem ołówki i odłożył go na stół.

Możemy tu jakąś rodzinę?

- Nie zdołaliśmy tego ustalić.

Prawdę powiedziawszy.

hm...

nie ustalaliśmy.

W każdym razie nie składa żadnych wizyt ani jej niktnie odwiedza.
Mieszka w wynajętym pokoju.

276

- Nie wraca do nadleśnictwa, nie zabiera swych rzeczy, nierobi przygotowań do przeprowadzki.

- rozmyślał na głos Kostrzewa.

-Zawisła w jakiejś kompletnej próżni.

Pochodził z Warszawy.

Nic jej z tym miasteczkiem niełączy.

Siedzi jednak kamieniem.

Dlaczego?

- To już drugie "dlaczego"- zauważył Więclawek.

- Będzie ich więcej.

Od samego początku zresztą, gdy tu przyjechałem, natykam się ustawicznie na to cholerne słówko.

I co gorsza ani razu nie potrafiłem znaleźć przekonującej odpowiedzi.

Ale teraz muszę znaleźć.

Gdy człowiek jest w takiej sytuacji, że.

-przejechał kantem dłoni po gardle -to po prostu musi.

Reasumujmy tymczasem: Kopankiewiczowie coś chowają w zanadrzu, to samo Józef, to samo Kazia.

- Świrski oczywiście też.

Nie natrafiono na jakiś jego ślad?

- Dotychczas nie, choć telefonogramy z dokładnym rysopisem zostały rozesłane po całym kraju.

-Jednym słowem: jak kamień w wodę.

Swoją drogą też dziwaczna historia.

Człowiek dosłownie rozplywa się w powietrzu.

Wróćmy jednak do tych, których jeszcze mamy pod ręką.

Wdowa.

Pomimo wszelkich pozorów jej również nie można wyłączyć naszej serii.

- Powiadasz, że Antoniowa ma czyste sumienie?

-Chyba tak.

- Niech jej będzie.

Na mnie sprawiła takie same wrażenie.

Wystarczy dotychczasowej serii.

Pięćoroludzi, którzy mają coś do powiedzenia, ale nie chcą powiedzieć.

Ach, prawda.

Sześcioro.

Bo jednak Koryciuk.

Inteligent udający analfabetę.

Może okazać się najciekawszym z całej galerii.

Jutro przesłuchanie?

- Lekarz oznajmił prokuratorowi, że z zachowaniem wszelkiej ostrożności.

-Co zrobić, aby tych ludzi przenicować podszewką nawierzch?

Co zrobić?

Poczekaj -zaciśnął mocno palcami skronie - przemyślałem wprawdzie każdą najdrobniejszą nawet rzecz na wszystkie możliwe strony, ale.

- umilkł.

Głęboko zamarszczka przecięła pionową brzdąjącego czoła, nikał gdzieś u nasady brwi.

- Być może jednaknie na wszystkie możliwe - mruknął po długiej chwili.
-Bo.
Spróbujmy naszkico277.

wać plan postępowania.

Popierwsze - wyprostował sztywnowskazujący palec - Koryciuk.

Skoro zaczyna odzyskiwać przytomność, trzeba go chwilowo odizolować od świata zewnętrznego.

Posadź przy jego łóżku milicjanta.

Dla pewności niez tejsekcji, w której pracuje Kosiorek.

Niemam wprawdzie przeciwnemu żadnych specjalnych zastrzeżeń, ale strzeżonego tak dalej.

- Mogę posadzić - powiedział Więclawek.

- Co jednak ten

milicjant marobić?

- Siedzieć i nadstawiać ucha.

Żadnych kontaktów, żadnych wiadomości z zewnątrz.

Niech siedzi przez cały czas.

Dzień

i noc, to niegra roli.

-Z tego wynika, że co najmniej dwóch.

- Choćby nawet trzech.

Od czego ostatecznie masz pełnomocnictwa?

Tak, na trzy zmiany będzie lepiej.

Niech nie odchodzą od łóżka ani na chwilę.

Po osiem godzin zdołają chyba jakoś wytrzymać.

Ani na chwilę - powtórzył - nawet w czasie badania lekarskiego.

Ktowie, jak daleko sięgają macki naszegopajaka.

Poza tym poleć, żeby zapisywaną każdą osobę, która będzie chciała odwiedzić Koryciuka.

- Personel szpitalny może podnieść gwałt.

- Niech sobie podnosi.

Ty będziesz nieugięty jak skała.

"Tego wymaga dobro śledztwa".

i tak dalej.

Czyż zresztą muszę ci odpowiadać.

Sam wiesz, co należy zaśpiewać w takiej sytuacji.

A więc niech pozostanie w pudełku wyłożonym watą aż do momentu przesłuchania.

I wtedy rzucisz niespodziewanie

bombę.

- Bombę?

- otworzył szeroko oczy.

- Kilka bomb.

Dla każdego coś miłego.

Aleskończmy wpierw z Koryciukiem.

Powiesz mu.

- zaczął rozwijać swą

myśl.

W pewnym momencie Więclawek zachnął się gwałtownie.

-Ależ.

Jak zareaguje Kosiorek?

I prokurator.

- Musisz brać Kosioraka?

-Wypada jednak.
Nie widzę podstaw do wykluczania go
z czynności śledczych.
-Może i racja.
Zapowiesz, żeby wcale nie reagowali.
Że uważasz ten chwyt za konieczny dla wydobycia prawdy materialnej.
278
Z twoich słów wynika, że prokurator jest pod tym względem bardzo czuły.
-Blef.
- zaczął Więclawek.
Kostrzewa jednak przerwałmu porywczo.
- Wielki blef.
W pokerze nieraz decydujemy wyerań.
Atacholerna historia diabła przypomina pokera; nikt nie wie co partnerzy mają w ręku.
- Dobrze -Więclawek poskrobał się z nieukrywanym zakłopotaniem za uchem.
- Zrobię to.
Chociaż.
Myślisz że to coś da?
- Może nic, może bardzo dużo.
Okazuje się, nie wolno pomijać żadnej szansy.
Teraz jeżeli chodzi o przesłuchanie Kazi.
- Znowu bomba?
- Więclawek był już nie na żarty zaniepokojony.
- Gdy rzucisz bombę w jezioro, ryby wypływają nawierzchnię -
rzekł sentencjonalnie Kostrzewa.
- Wolałbym jednak żebyś prowadził to badanie bez udziału Kosiorka.
Potrafisz chyba tak urządzić, żeby akurat wypadło mu do roboty coś innego.
Natomiast prokurator i jakiś inny przedstawiciel miejscowej milicji.
.. czemu nie.
Wygłosisz do nich przedtem odpowiednią mowę, potem zaś.
Oczywiście Więclawka stawały się coraz większe.
Raz po raz ocierał z wilgotniałą od potu szyję.
- Diabli wiedzą co takiego - stęknął, gdy Kostrzewa skończył wreszcie.
-Wpakujesz mnie w kabałę, o której nie dadzą mi zapomnieć do końca życia.
- Zależy, w jaki sposób będą ci o tym przypominać.
-Ja myślę o tym najmniej przyjemnym.
- Pomyśl więc o przyjemniejszym.
I nie przejmuj się.
- Niech cię gęskopnie - wstał, bo już od dłuższej chwili spoza drzwi dobiegało
znaczące pogrążenie kluczami.
-W głowie mętlik, jakbym sobie strzelił ćwiartkę swoją drogą -strzepywał machinalnie jakieś
paprochy ze spodni. - co za paradoksalna sytuacja: więzień prowadzący śledztwo w
sprawie przestępstw, o które sam jest podejrzany.
- Biorący udział w śledztwie - sprostował Kostrzewa.
-Nie zalewaj.
Ty przecież je prowadzisz.
Kierujesz mną jak pionkiem na szachownicy.
279.

- Zgódź się choć na rolę hetmana.

-Niech ci będzie.

Ale oczymś podobnym nikt chyba jeszcze

""

nie słyszał.

II

Białe ściany separatki.

Białe łóżko.

Białetaborety, białe fartuchy lekarza i pielęgniarki.

"Do cholery z tą bielą - klątw ducha Więclawek - aż pstro w oczach.

" Wniosek wprowadzie daleko odbiegał od logiki, ale kapitan był zdenerwowany i nic na tonie potrafił poradzić.

Nikt by zresztą tego po nim nie poznał, ale torównież kosztowało go niemało wysiłku.

Do tego aptecznewonie, przesycające bez reszty powietrze.

Nie znosił wszystkiego, co przypominało chorobie i lekarstwach.

Biel, zapachy - nie o to przecież chodziło.

Chwył, który miał zastosować za chwilę.

Uzgodnił to jeszcze przed wejściem do szpitala.

"Nie zaprzeczajcie niczemu, co powiem.

Nie róbciezdziwionych min, choćbyście byli zdziwieni jak wszyscy diabli.

Podejrzewam, że Koryciuk mógłby dużo powiedzieć.

I pragnęz niego to za wszelką cenę wyluskać.

Coś w rodzaju pokerowego blefa.

"

Prokurator niewdawał się w dociekania.

"Skoro uważacie,

że tegowymaga dobro śledztwa.

"

Kosiorka aż rozsadzała ciekawość.

Być może zresztą byłotocoś więcej.

Nikt nie lubi by mu rozwalać dopiero co wzniesioną budowlę.

Widać było, że wprost go dławią niewypowiedziane pytania.

Nie zapytałjednak o nic.

"Blef?

- machnął niby to obojętnie ręką- Cóż, śledztwo nieraz wymaga różnych blefów.

Zobaczymy, co w tym wypadku z tegowyniknie.

"

Teraz siedziałnieco na uboczu, przeglądając rozłożony nakolanach blok.

Ale ruch palców, którymi przewracał kartki, nieświadczył bynajmniej o spokoju.

Prokurator kręciłnasadką wiecznego pióra.

Nie wiadomozresztą, w jakim celu jedydobył.

Nieon przecież miałnotować

zeznania.

Protokolant, młody chłopak, mógł mieć najwyżej ze dwadzieścia pięć lat, wyglądał rozłożony na teczce blankiet protokołu.

Spojrzenie czarnych oczu jakby niecomętne.

280

"Poeta?

Zakochany?

Czy też po prostu cała noc na jakiejś imprezie?

" - pomyślał przelotnie Więclawek.

W każdym razie w tej sytuacji człowiek w jego wieku powinien zdradzać znacznie większe ożywienie.

Przesłuchiwanie w szpitalu nie należało chyba do powszednich zdarzeń.

Nawet dla kogoś, kto od dawna pracuje w prokuraturze.

On zaś z całą pewnością nie mógł pracować tam zbyt długo.

Na poduszce spowita w zwoje bandaży głowa.

Twarz Koryciuka ledwo widoczna spod opatrunków.

Porośnięte rudawym włosem ręce błędziły niespokojnie po szpitalnym kocu.

Lekarz stał w pogotowiu, nie spuszczał z pacjenta czujnego wzroku.

Pielęgniarka z dwoma czarnymi paskami na sztywno wykrochmalonym czepku snuła się po sali bez wyraźnej potrzeby.

Szmer miękkich podeszew jeszcze bardziej drażnił Więclawka.

Tylko jej tu brakowało.

Teatr sobie urządzili!

Opanował się jakoś i przystąpił do zadawania pytań.

Głos Koryciuka brzmiał słabo i zająkliwie.

Ale był to niewątpliwie głos kulturalnego człowieka.

Zaniechał już dotychczasowej komedii.

Widocznie ktoś mu powtórzył słowa wypowiedziane na śmietniku.

Kto i w jakim celu?

I właściwie kiedy?

Skoro dotychczas był zupełnie nieprzytomny, a od wczorajszego dnia milicjanci siedzieli bez przerwy przy jego łóżku.

Sam diabełby się z tym wszystkim nie rozeznał.

- ...

Paweł Koryciuk.

lat czterdzieści dwa, wykształcenie filolog.

- Czterdzieści dwa?

- Więclawek nie zwracając uwagi na protokolanta, notował stenograficznymi skrótami.

Facet sprawiał wrażenie znacznie starszego.

- Karany?

Chwila wahania.

- Tak.

- Za kradzież?

- Za kradzież.

W tym momencie Więclawko coś tknęło.

Manipulacje przyotworze wlotowym rany.

Jeżeli by.

- Filologia - podkreślił długopisem w powietrzu.

- Czy jednaknie mieliście czegoś wspólnego z medycyną?

- zapytał szybko.

281.

- Owszem.

Studiowałem dwa lata na warszawskiej Akademii Medycznej.

Ponieważ jednak z różnych względów sobie nie radziłem, przeszedłem na filologię.

- Kto wasporanił i z jakiego powodu?

- Nie wiem.

Ni stąd, ni zowąd jakby drzewo zważyło mi się naczaszkę.

Nie widziałem nikogo.

Napadł mnie od tyłu.

- Nie podejrzewacie, kto to mógł być?

- Nie.

- Ani z jakiego powodu?

Długa pauza.

- Nie wyobrażam sobie, żeby ktoś mógł mieć powód.

- To stało się pod śmietnikiem?

- Tak.

- Po co tam szliście?

Ruch palców wędrujących po kocu był szybki i chaotyczny.

- Nie.

mogę sobie przypomnieć.

- Postarajcie się jednak - powiedział przyjaźnie Więclawek.

- Musicie nam pomóc w ustaleniu wszystkich okoliczności.

Niemamy żadnych innych świadków.

Pani Zawadzka wyjechała niewiadomo dokąd.

Józef również.

...

Protokolant zamrugnął gwałtownie powiekami.

Kosiorękotworzył usta, jakby chcąc coś powiedzieć.

Więclawek przywołał go ostrym spojrzeniem do porządku.

Prokurator wsadził nieswiadomym ruchem nasadkę wiecznego pióra do ust.

Lekarz postąpił o krok w kierunku łóżka.

Kapitan obserwował goz ukosa.

Ten znowu co?

- Wyjechali.

- Koryciuk potrząsnął, jakby w buncie, głową.

- Nie wiadomo dokąd?

- Pomimo poszukiwań nie zdołaliśmy ustalić, gdzie przebywają - stwierdził niewzruszenie Więclawek.

- Zabrali samochód doktora Kostrzewy i.

- Nie zatrzymali się w Kozłowie?

Więclawek aż sięku niemu pochylił.

Kostrzewa miał postokroć rację.

Blef zaczynał odnosić skutek.

- Mieli się tam zatrzymać?

- zapytał z naciskiem.

- Nie.

wiem - ręce nieruchomiały.

- Nic nie wiem.

Myślałem, że.

- Nie zatrzymali się - Więclawek ogarniał wyczekującym

wzrokiem wszystkich obecnych w pokoju.

- Być może tyłkoprzejechał tędy.

- Razem.

- palce zaczęły szarpać koc.

- Wszystko na to wskazuje.

- Oni.

A mnie jak psa.

Jak parszywego psa.

Na śmietnik.

Zdychaj.

Dobrze.

Skoro tak, powiem.

Wszystko powiem.

Ja też.

Nie będę ukrywać.

Ale oni.

ale ona.

Nagle rozległo się czyjeś ostrzegawcze chrząknięcie.

Więclawek nie zdolał zauważyć z czyich ust padło.

Ręka lekarza wykonała jakiś ruch.

Kapitan zerwał się gwałtownie.

Coś zaszło.

Nie zdawał sobie sprawy, co mianowicie.

Podbiegł do łóżka.

Totrwał jakieś drobne ułamki sekundy.

Ale lekarz zdążył góprzedzić.

Już trzymał w palcach nadgarstek Koryciuka.

Już przykładł ucho do jego piersi.

- Co: ona?

- niemal wrzasnął Więclawek.

Mówcie dalej!

Lekarz podniósł rękę, jakby go zamierzał odepchnąć siłą.

Nie zrobił tego jednak.

Dłoń zawisła w powietrzu.

- Zmuszony jestem przerwać przesłuchanie.

Chory stracił przytomność.

Więclawek wpatrywał się w obandażowaną twarz.

Zamknięte oczy i na wpół rozchylone usta.

Owszem, oddechu nie było słychać.

Ale to nietrudno zainscenizować.

- Czy aby naprawdę stracił przytomność?

- To ja tu jestem lekarzem i to ja za wszystko odpowiadam.

- Proszę pamiętać, że za wszystko - sarknął zgroźbą.

Lekarz nie zwrócił na te słowa uwagi.

- Siostrze, zastrzyk.

Proszę wszystkich obecnych o opuszczenie sali.

Prokurator podniósł się.

- W takim razie.

Kapitanowi opadły ręce.

Co za przeklęty pech.

Żeby tak był Kostrzewa, on potrafiłby już zbadać, czy omdlenie jest prawdziwe.

III

Kosiorek próbował wszystko lekceważyć:

- No więc cóż.

Powiedzmy, że kochał się beznadziejnie

283.

w Zawadzkiej.

Wolno psu wyc do księżycyca.

Wersja skomponowana przez kapitana walnęła go jak obuchem w łeb.

Tylko pomyślcie: ona i Józef.

Mnie samego diabli brali.

Cóż dziwnego,

że chłopina stracił przytomność?

- "Oni", "ona".

- to można różnie tłumaczyć.

-Prokurator wcale nie był przekonany.

- Powiadacie, był beznadziejnie zakochany w Zawadzkiej.

Ale na mnie to sprawiło wrażenie początku rewelacji na całkiem innym temat.

I żeby nie zemdlął akurat w najciekawszym momencie.

- Zemdlął?

- mruknął ponuro Więclawek.

-Nie dałbym ani

złamanego guzika.

- Przecież lekarz to stwierdził - uwaga Kosiorka zabrzmiała jak wykrzyknik zamykający dyskusję.

Więclawek machnął ręką w zgoła nieokreślonym geście.

- Ba.

lekarz.

W czasie rozmowy z Kostrzewą rozwinął to znacznie szerzej.

-Od samego początku jego zachowanie było podejrzane.

- To znaczy?

-Czujność.

Posunięta do ostatnich granic.

Pełna napięcia.

Widać było, że w każdej chwili gotów jest do błyskawicznej interwencji.

Takich rzeczy nie da się ukryć.

-Jeżeli stan pacjenta budzi bezpośrednie obawy.

- Tylko jakiego rodzaju obawy?

W tym właśnie sęk.

Nawet nie wiem, czy schwycił go za rękę dlatego, że umilkł, czy też poto, aby zamknął gębę.

Łatwo powiedzieć: ktoś chrząknął, bomu akurat zaschło w gardle.

Ale ja nie wierzę, choćby mnie rąbano na kawałki.

To się czuje przez skórę.

Rozumiesz: ogólna inscenizacja i akurat krytyczny moment.

Kto?

- rozłożył bezradnie ręce.

-To mógł być każdy z obecnych.

Choćby i pielęgniarka, która pętała się nie wiadomo po co.

Ale ja.

jak ślepy szczeniak.

Powinienem być wszystko widzieć, a nie widziałem nic.

- Łatwo przeoczyć okoliczności takiego nagłego incydentu.

-Nie powinienem być przeoczyć - powtórzył tonem samooskarżenia.

- Twój strzał był wspaniały.

Askutek.

Cholera!

Chłop strzela.

Pan Bóg kule nosi.

- Czy jednak nie przesadzasz odrobinę z przyjmowaniem na siebie roli Pana Boga?

Ale żartobliwa uwaga spłynęła po Więclawku bez wrażenia.

284

Wciąż był rozżalony.

Na siebie, na wszystko, na cały świat.

Najwięcej na samego siebie.

- Rozłożyłem dobrą grę - wpatrywał się w poszczerbiony beton podłogi - szkoda każdego słowa.

Gdybyś ty był na miejscu.

- Prawdopodobnie byłoby tak samo - przerwał mu Kostrzewa.

- Teraz spróbujmy wyciągnąć wnioski.

Jeżeli jest tak, jak podejrzewasz, nie ma co liczyć na to, by Koryciuk w najbliższym czasie przemówił.

- Może nie przemówi już nigdy.

Katarynka zagra, jak Janakręca.

- Może.

Ale jeżeli chodzi o nakręcenie, to chyba ci milicjanci przy jego łóżku nie śpią jak susły?

- Diabli ich wiedzą.

Tu wszystko jest jakieś pogmatwane.

- Spróbujmy się więc obyć bez Koryciuka.

Przynajmniej narazie.

W każdym razie jeżeli chodzi o przesłuchanie Kazi i Kopankiewiczów, musisz jednak urządzić, żeby nikt nie chrząkał w nieodpowiednim momencie ani nikogo nie łapano za rękę.

Zawadzka.

Józef.

te dwie osoby zostały przez Koryciuka w jakimś tam sensie podkreślone.

Musimy im poświęcić więcej uwagi.

Trudno przewidzieć, co z tego w końcu wyjdzie.

Fakt, że pozostają bez widocznego powodu w mieście, może mieć niebyle jakie znaczenie.

Koryciuk pytał wprost: "Nie zatrzymali się w Kozłowie?"

". Twój wniosek był jak najbardziej logiczny: oczywiście mogło być umówione, że będą na coś czekać.

Dotychczas myślałem, że Zawadzka znalazła się tu w zupełnej próżni.

Teraz nasuwają się wątpliwości, czy jednak naprawdę ta próżnia jest tak zupełna.

Kosiorek wspomniał, że bywał w nadleśnictwie jako gość.

O tym też nie można zapominać.

Kto wie, czy Zawadzcy ze swej strony nie przyjeżdżali do Kozłowa w celach towarzyskich?

Zawadzcy albo tylko ona.

Jakieś bliższe powiązania na miejscu.

Musimy tego szukać.

Czy w tutejszej komendzie znalazłby się ktoś, kogo mógłbyś wykorzystać dla ustalenia tych okoliczności?

Więclawek klepnął się w kolano.

- Będzki.

Odbywa tu staż prowincjonalny.

Aż piszczy na wspomnienie Warszawy.

Wylazłby ze skóry.

- Dawno tu jest?

285.

- Przeszło rok.

-No więc.

- omawianie szczegółów trwało jeszcze długo.

Powojściu z celi Więclawek przypomniał sobie zwrotkę Berangera: "

Sam czartprowadzi bal.

". Trudno chyba o coś bardziej odpowiedniego do określenia tego, co się tutaj działo.

IV

Kosiorok został wydelegowany do nadleśnictwa dla przeprowadzania konferencji z inspektorem kontroli.

Prokurator dał się łatwo przekonać o konieczności tego kroku.

"Rzeczywiście. Józef mógł brać udział w nadużyciach dokonanych przez Zawadzkiego.

I dopóki go mamy pod ręką.

" Stanowiło to zresztą niemal dosłowne powtórzenie tez podsuniętych przez Więclawka.

Dopiero potem kapitan przystąpił do omawiania metody

przesłuchaniawezwanych na dziś świadków, Prokurator trochę się marszczył.

- Rozumiem, że niekiedy nie można uniknąć pewnych

nadzwyczajnych chwytów.

Musimy jednak pamiętać o legalizmie śledztwa.

- Daleki jestem od niedozwolonych metod - zapewnił go

Więclawek.

Jako zastępcę Kosiorok ściągnął Będzkiego.

Mając tego rodzaju pełnomocnictwa, nietrudno było zaaranżować.

- Sam będę protokołował zeznania - wspomnienie mętnego wzroku protokolanta działało mu na nerwy.

Licho wie, czy to nie on właśnie wtedy chrząknął.

Prokurator nie miał żadnych zastrzeżeń:

-Jak uważacie, kapitanie.

Na pierwszy ogień poszła Kazia.

Więclawek długo świdrowała w milczeniu kłującym wzrokiem.

Dopiero gdy pobladła i zaczęła się kręcić na krześle, jakby ją przypiekano, natarł ostro.

- Dlaczego świadek powiedział nieprawdę?

Uprzedzałem przecież, że to nie żarty.

-Ja..

- wytrzeszczyła oczy.

- Proszę nam tu nie pleść bajeczek huknął ostro, choć jeszcze nic nie zdążyła powiedzieć.

- Świadek wylądował prosto w kryminale.

286

-W kry.

mi..

na..

le? Najświętsza Panienko!

Ja? - o małonie opadła na ziemię.

- Przyzywanie świętych nic nie pomoże.

Trzeba mówić prawdę.

Całą prawdę.

Co świadek wtedy wsypał do czajnika?

-nie dawał jej czasu na opamiętanie się.

palnęła się z rozmachem w pierś.

Na czole wystąpiły grube krople - Cała pizgata twarz lśniła od potu.

Niech mnie na miejscu piorun.
Miałabym wsypać.
Przysięgam.
Więc kto?
DuchŚwięty?
Inżynier Zawadzki otruł się herbatą nalaną właśnie z tego imbryczka.
Nikogo oprócz świadkanie było w tymczasie w kuchni.
prokurator nachylił się nisko nad rozłożonymi na biurkuaktami.
- Widać było, że tylko z trudem wstrzymuje się od interwencji- Będzki zarysował kartkę
błoczka masą geometrycznychfigur- Wargi jego drgały aprobującym uśmiechem.
Więcławekjednak nie zwracał na nich uwagi.
W tej chwili istniała dla niego tylko dziewczyna siedząca podrugiej stroniebiurka.
- No więc?
- krzyknął ponagląjąco.
-Czekam.
palce skubały nerwowo materiał sukienki.
Wchodził przecież pan doktor.
Skąd świadek wie?
Ja..
go widziałam.
Widziała?
To było zaskakujące.
- Gdzie się świadek w tym momencie znajdował?
W...
służbowym - drżałanacałym ciele.
Głos coraz bardziej zająkliwy i niepewny.
- W służbowym - wciąż coś nowego.
Kostrzewa miał rację, że w tej skorupce tkwi jądro, które trzeba za wszelką cenę wyłuskać.
- W takimrazie musiał świadek słyszeć wołanie inżyniera?
- Słyszałam.
głowa chwiała się miękko, jakby kręgosłupnagle stracił zdolnośćutrzymywania jej ciężaru.
jakwołał doktor Kostrzewa?
-Tak.
- Dlaczego świadek nie zareagował?
- Byłam jak bez zmysłów.
Koryciuk.
Nie wiedziałam, czybędzie żyć.
Płakałam.
modliłam się.
- po kuchni nie wchodził nikt poza doktorem Kostrzewą?
287.
- Nikt, ale przecież... - jakby chwila wahania się zanim padła odpowiedź.
- Z tego wynika, że tylko świadek mógł podsypać truciznę. Więc jak było? Gadać! Prędko!
Tu nie ma miejsca na żadne namysły.
- Wchodził jeszcze ktoś. Ale...
- Kto? - niemal ryknął. - Mówić! I żadne tam wykręty. Do więzienia tylko jeden krok!
- Pani... pani inżynierowa...
Kapitana zatkało. Prokurator szybko podniósł głowę, wlepiając oczy w Kazię. Będzki nagle przestał się uśmiechać.

- Kiedy weszła? - Więclawek opanował się w jednej chwili. Tu nie było czasu do stracenia. Jeżeli zacznie się zastanawiać...

- To... było już po tym, jak pan doktor brał herbatę.

- Ale - nie wytrzymał prokurator - przecież odjechała samochodem co najmniej przed dwiema godzinami.

-Wiem... Widać zawróciła z drogi.

Więclawek nie spuszczał z jej twarzy ostrego spojrzenia.

- Co pani Zawadzka robiła w kuchni?

- Nic... Tylko przeszła.

- Rozmawiała ze świadkiem? Tylko mi tu nie zmyślać. I tak dowiemy się prawdy. I jeżeli świadek skłamie...

- Zapytała tylko, gdzie pan inżynier, i zaraz na korytarz.

- To było już po tym, jak świadek zaglądał do kancelarii?

- Po tym.

- Wtedy na terenie nadleśnictwa znajdowała się milicja. Jeden pilnował bramy. W jaki sposób mógł nie zauważyć Zawadzkiej?

- Bo ona pewno nie przez bramę.

- Tylko którądy?

-Jest takie jedno miejsce, gdzie można odczepić druty. Tuż przy naszej sionce. Józef swego czasu zmajstrował, że to nie zawsze przez bramę wygodnie.

- Zawadzka o tym wiedziała?

- Czyja wiem... Ale przecież był z nią Józef.

- Wchodził do kuchni?

- Nie. Nie widziałam go. Tylko że to razem, tym samochodem...

288

- Zawadzka wyszła również przez kuchnię? -Tak...

-Wjaki czas po wejściu?

- Nie patrzałam na zegarek. Ale chyba trwało z jakiś kwadrans. Może zresztą i tego nie.

-W jaki sposób wyszła?

- Kazała mi wpierw wyjrzeć względem tego milicjanta przy bramie. Bo ten, co stał na podwórzu, i tak nie mógł nic zobaczyć. No to ja powiedziałam, że akurat odwrócił się plecami. Ona wtedy myk i jakby jej w ogóle nie było.

- Co było dalej? - Więclawek czuł, że sam też już zaczyna się pocić. To piorunujące tempo każdego by w końcu ścięło z nóg. Kazia była blada jak papier.

- Nic nie było... Nic nie wiem... Ani mi przez myśl nie przeszło, żeby coś podsypać. Jak Bóg na niebie... Pani też nie. Nawet nie podchodziła do płyty...

Chwiała się niepokojąco na krześle. Jeszcze chwila i zemdleje. Tym razem nie byłoby wątpliwości, że naprawdę. Machnął ręką.

- Na tymczasem wystarczy. Proszę tu podpisać - wskazał palcem.

Ruszyła ku drzwiom niemal po omacku. W gabinecie trwało przeciągłe milczenie. Więclawek ocierał chustką czoło. Ogłuszona? Zapewne tak. Ale inaczej nie puściłaby pary z ust. Tyle razy ją przesłuchiowano i żeby się choć zająknęła.

- Dobra robota - stwierdził z uznaniem Będzki.

- Wróciła - prokurator szukał czegoś w aktach. - Kto by przypuszczał?

-Jestjednak ktoś taki, kto przypuszczał - Więclawek przypomniał sobie przebieg rozmowy z Kostrzewą.

Prokurator tymczasem doznał do serii pierwszych dokumentów wszytych w obwolucie.

- No, proszę - dźgnął palcem w ćwiartkę szarego papieru -zdeponowała wóz w tutejszej komendzie. „Wypożyczyłam sobie samochód doktora Kostrzewy, ponieważ czułam, że znajduję się na skraju obłądu. Natychmiastowe zaciągnięcie porady neurologa stało się dla

mnie sprawą życia lub śmierci. Proszę zawiadomić doktora, że wóz jest do jego dyspozycji.
Jestem gotowa
289

pokryć wszelkie koszty, jakie z tego tytułu wynikną" sięgnąłpo leżącą obok paczkę papierosów i przez chwilę obracał jąw palcach.

- Nieo to zresztą chodzi.

Czternasta piętnaście -powtórzył.

- Z nadleśnictwa zaś wyjechała o świcie.

Że też nikomu nie przyszło na myśl zapytać, co przezten cały czas robiła.

Porada u neurologa?

Chybadoktor Gawlina?

Prokurator podjął słuchawkę.

Musiał dwukrotnie wykręcaćnumer, zanim wreszcie otrzymał połączenie.

- Owszem, była u niego - oznajmił, gdy odłożył słuchawkę.

-Tego samego dnia.

Ale dopieropo szesnastej.

Co najmniejcztery godziny bez pokrycia.

Tojednak - zapatrzył się w połyskliwą skrzynkę aparatu telefonicznego - rzuca nieco odmiennieświatło na całąhistorię.

V

Przesłuchanie Kopankiewiczowej nie wniosło do sprawy nicowego.

Przez cały czas pozostawała spokojna i niewzruszona.

Żadne manewry Więclawka nie były w stanie wytrącić jej z równowagi.

Z doskonałą obojętnością przyjąłado wiadomościświadczenie, że z powoduwykrycia nowych okolicznosciytuacja uległa radykalnej zmianie, wobec czego na wszystkichmieszkańcach nadleśnictwa pada w pewnej mierze cień podejrzenia.

Jej uśmiech był niemal współczujący.

- To bardzoprzykre.

Niestety nie jestem wstanie na to poradzić.

Jeszcze raz powtórzyła o krokach wkorytarzu, o dłoniw czarnej rękawicze, trzymającej pistolet, wreszcie o czymś, comignęło zaoknem gabinetu.

- Mąż twierdzi, że to była czyjaś twarz.

Ja wto nie wierzę.

Ostateczniecztery metry nad podwórkiem i żadnych możliwości wspięcia się po murze.

Raczej jakaś wielka ćma, zwabiona

światłem.

- Czy pani widzi jakiś sens w tych wszystkich zjawiskach?

Potrząsnęła głową.

- Nie bardzo.

Owszem zastanawiałam się.

Trudnobyło tamnie rozmyślać na ten temat.

Ale.

To jednak zbyt już jakieś.

dziwaczne.

290

- Co pani wiadomo ośmierci Lesiewicza?

-Tylko to, co słyzałam odinnych.

Mąż powtarzał mi opowiadanie Świrskiego.

Alejeżeli chodziło słowa człowieka, któryprawie nigdy nie bywa trzeźwy.

Ja osobiście sądziłam, że musiało mu się to przywidzieć.

Potem wprawdzie mówiono cośo podziemnychkorytarzach, mnie Jednak, prawdę mówiąc, tonie przekonało.

Za bardzo już trąci powieścią.

- Co świadek sądzi oprzyczynach zamordowania Lesiewicza?

-Cóż.

- tkwiące wrękawicze palce gładziły przez chwilęmięsistawelne spódnicy.

-Ktoś, kto groził mu śmiercią, w końcu wprowadził swą groźbę wczyn.

- To samo jeżeli chodzi o Zawadzkiego?

-Niewiem.

Słyszałam, że oto zabójstwo podejrzanyjestpan Kostrzewa.

Ale śledztwo.

Niebardzo się tymznam, choćmoże powinnam ze względu na zawódmego męża - znowu ujmującyuśmiech.

Zachowywała się jak w czasie towarzyskiej pogawędki.

Ja osobiście byłabym skłonna przypuszczać, że pan Jerzy.

żeZawadzki -poprawiła się popełnił samobójstwo.

- Na czym świadek opiera tego rodzaju przypuszczenie?

-On był ostatnio niezmiernie przygnębiony.

I niekiedy wyraz jego oczu.

Szczególnie gdy nie wiedział, że się na niegopatrzy.

To było martwe spojrzenie.

- Czy pani coś wiadomo o jakichś powodach, które go mogły skłonić do samobójstwa?

- "Pani".

Coraz częściej powracałdo tej formy niezbyt stosownej w czasie oficjalnego przesłuchiwania.

I czynił to zupełnie bezwiednie.

Właściwie to ona nadawała ton całejtej rozmowie.

- Nie - lakoniczność odpowiedzi nie pozwalała wyczuć, czykłamie.

Podejrzewałjednak, że musi wiedzieć coś, czego nie mówi.

Nie widział jednak sposobu,aby ją skłonićdo powiedzenia.

Kilka dalszych pytań na ten tematpadło w próżnię.

Próbyzastraszenia w tymwypadku nie rokowały żadnych szans.

Kostrzewa uprzedził z góry: "Cholernie twarda sztuka.

Nie wyrąbiesz z niej nic nawet toporem.

Raczej już on.

".

Kopankiewicz wszedł zuśmiechem.

Zachowywał się z przesadną swobodą.

Właśnie ten wyraźny odcieńprzesady nasuwałprzypuszczenie, że wcale nie jest tak spokojny, za jakiego bypragnął uchodzić.

Więclawek przystąpił do przesłuchania bez

291.

pośpiechu i jakby z namysłem.

Również i tu wszystko zostało szczegółowo omówione z Kostrzewą.

- Stoimy wobec zagadki.

W pewnym momencie sądziliśmy, że jest rozwiązana.

Ale nowe okoliczności, które ostatniowyszły najaw, pozbawiły nas tego złudzenia.

Musimy właściwie niemal wszystko rozpoczynać od samego początku - zerknął ku prokuratorowi, ten jednak siedział nieruchomo nad rozłożonymi aktami.

Porozumiewawczy błysk okularów oznajmił, że niezamierza się wtrącać niezależnie od tego, co zostanie powiedziane.

- W tej trudnej sytuacji - ciągnął dalej Więclawek - liczymy na pańską pomoc.

Kopankiewicz poruszył się na krześle.

- Rad bym z całego serca.

Uważam po prostu za swój obowiązek.

Prawdejjednak mówiąc, niebardzo potrafisz sobie wyobrazić, na czym moja pomoc może polegać.

- Obserwacje, wnioski.

Któż bardziej niż autor powieści kryminalnych jest do nich powołany.

Był pan przecież bezpośrednim świadkiem tego wszystkiego, co się tam działo.

- To właśnie komplikuje sytuację - westchnął.

- Człowiek, który znalazł się woku tajfunu, mniej o nim wie niż ktoś, kto obserwuje go z pewnej odległości.

- Pragnęlibyśmy się jednak zapoznać z pańskimi dedukcjami na temat tych tragicznych wypadków.

Kto wie, czy nie będą bliższe prawdy niż ustalenia śledztwa.

Rzecz jasna nie chodziło o żadne dedukcje.

Pragnął jedynie wprowadzić Kopankiewicza w odpowiedni nastrój.

Przesłuchanie trwało dalej, pytania stawały się coraz bardziej zwięzłe i rzeczowe.

- Jak dawno znał pan Zawadzkiego?

- Parę lat.

- Ścisłej mówiąc?

- Około ośmiu.

- Często przyjeżdżał pan do nadleśnictwa?

- Byłem kilka razy.

Prokurator nachylił się nad aktami, udając, że czegoś w nich szuka.

Będzki spoglądał wokno.

Więclawek z trudem zachowywał obojętny wyraz twarzy.

Kilka razy!

Dotychczas wszyscy byli pewni, że Kopankiewiczowie są naterenie nadleśnictwa ludźmi zupełnie obcymi.

292

- Kiedy po raz ostatni?

- Przeszło rok temu.

- Aż rok?

- Tak.

- Przedtem bywał pan częściej?

Znowu potwierdził.

- Czy istnieje jakaś konkretna przyczyna, że od roku przestał pan przyjeżdżać?

- Nie, nie ma żadnej przyczyny.

Tak się jakoś złożyło.

Więclawek wyczuł jednak coś w rodzaju wahania.

Rok? Świrski i Lesiewicz natrafili naślada Zawadzkięomniej więcej w tym samym czasie.

Czyżby pomiędzy tymidwoma faktamizachodził jakiś związek?

Kasetka, wyrażaneotwarciepodejrzenia Lesiewicza.

O tym nie wolno zapominać.

Położył obie ręce na stole i wpatrzył się badawczow twarz pisarza.

- Spotykał się panz nim w tymokresie wWarszawie?

-Przedtem spotykaliśmy się również wWarszawie.

Zawadzki dość często przyjeżdżał.

- Pytam o ostatni rok - podkreślił.

-W ostatnim roku nie.

- Czy Zawadzki przestałprzyjeżdżać do stolicy?

-Być może przyjeżdżał, ale nie spotykaliśmy się.

- Tojednak trochę dziwne.

Ni stąd, ni zowąd przestać widywać się z przyjacielem.

Milczał długą chwilę.

- A więc?

-Poprostu niechciałem mu zakłócać miodowych miesięcy.

Znowu moment zaskoczenia.

Co krok wyskakiwało coś nowego.

- Zawadzki ożenił się dopiero przed rokiem?

-Rok i kilka miesięcy.

W czerwcu ubiegłego roku.

- Czy możenam pan powiedzieć, w jakisposób doszło dotego małżeństwa?

-Zwyczajnie.

Poznali się.

Zawadzki zaczął się starać ojej rękę.

Ślub.

To wszystko - ale ton nie zgadzał się jakoś z treścią.

Musiało nie być całkiem zwyczajnie.

- W jakich okolicznościach się poznali?

293.

- Ona była kierowniczką sklepu, do którego Zawadzki wstąpił po zakupy.
Zakochał się od pierwszego wejrzenia.

- Od pierwszego wejrzenia?

W jego wieku?

- Cóż -wzruszył lekko ramionami.

- Widocznie miał młode serce.

-I ona też zakochała się nim od pierwszego wejrzenia?

- Tego nie wiem.

Musiała się widocznie zakochać, skoro za
niego wyszła.

- Pannie mówi nam całej prawdy -wzrok Więclawka stał się
nagle kłujący.

- Tak nie wolno.

-Jakiego może mieć znaczenie dla sprawy?

- Tu wszystko może mieć znaczenie.

Roztargnionym ruchem podciągnął spodnie na kolanach.

Założył nogę na nogę.

Potem wyciągnął obie przed siebie.

Widać było, że czuje się bardzo nieswojo.

- Nie chciałbym robić plotek.

-Nie ma mowy o żadnych plotkach- oświadczył twardo kapitan.

- Proszę nie zapominać, że prowadzimy śledztwo w sprawie dwóch morderstw.

- Więc dobrze.

Powiem.

Proszę jednak, żeby to do niej nie dotarło.

Byłoby jej bardzo przykro, że o tym opowiadam.

- Sam pan chyba się orientuje, co to jest tajemnica śledztwa.

A więc słucham.

- Pierwsza część jest zupełnie ściśła.

Jerzy.

Zawadzki rzeczywiście zakochał się w pani Zosi od pierwszego wejrzenia.

Trudno mi się zresztą dziwić.

Jest naprawdę śliczna.

To każdy musi przyznać.

Natomiast ona.

Czyja wiem.

W każdym razie starał się o nią dość długo, aż w sklepie, którego kierowniczką była pani
Zosia, wykryto manko.

Bardzo poważne, nawiasem mówiąc.

Zdaje się, że chodziło o sto kilkadziesiąt tysięcy złotych.

Mówiono naweto dwustu.

Sprawa miała być skierowana do prokuratora.

Pani Zosi groziła surowa kara.

- Sprawie nie nadano dalszego biegu?

-Nie.

Jerzy interweniował jakoś to zatuszowano.

- W jaki sposób interweniował?

-Sądzę, że w tego rodzaju sytuacjach istnieje tylko jedensposób: pokrycie brakującej
sumy.

- Dwieścietysięczyłotych?
- przeciągnął kapitan.
Iod razupomyślał: kasetka.
294
Kopankiewicz milczał wymownie.
- Skąd Zawadzki wziął tyle pieniędzy?
-Nie mówił mi o tym, choć, szczerze mówiąc, sam nie potrafiłem ukryć zdumienia.
Niedopytywałem się, uważając, że to
przekraczałoby wszelkie normy.
Przypuszczam, że musiały być oszczędności.
- Niezłe oszczędności - mruknął Więclawek.
Zanim jeszcze przebrzmiało echo tych słów, zdał sobie sprawę, że byłyby zupełnie niepotrzebne.
Kasetka albo i nie kasetka.
Trzeba będzie ustalić, od kiedy zaczęły się finansowe machinacje w nadleśnictwie.
Prokurator z szeptem przewrócił kilkakartek.
- Dopiero po zatuszowaniu tej sprawy panna Paciorek wyszła za inżyniera
Zawadzkiego?
Kopankiewicz obrócił się ku niemu.
-Tak.
- Z tego właśnie powodu?
-Być może był to jeden z powodów jej decyzji - przyznał przejmie.
- Sądzi pan, że Zawadzki popełnił samobójstwo?
-Tak sądzę.
- Z czego pan to wnosi?
-Był niezmiernie przygnębiony.

I...

- znowu urwał z wahaniem.
- I co?
- ponaglił łagodnie kapitan.
- Odniosłem wrażenie, że w jego małżeństwie coś zaczęło się psuć.
Wprawdzie o tym nie wspominał, ale pewne oznaki.
Takie rzeczy trudno wyczuć w codziennych kontaktach.
- Odnosili się państwo negatywnie do jego małżeństwa?
-Nie byliśmy zachwyceni.

Fakt.

Przeszło trzydzieści lat różnic niewątpliwie ma swoje znaczenie.
Miałem wrażenie, że nie przyniesie mu szczęścia.
Nie robiliśmy jednak na ten temat żadnych uwag.
Proszę nie zapominać, że był ode mnie dużo starszy i występując w roli mentora, postąpiłbym.
delikatnie mówiąc, śmiesznie.
Ale odsunęliśmy się trochę od nich.
On i reszta też nie szukali specjalnie naszego towarzystwa.
Jerzy nie zawiadamiał nas o swoich przyjazdach do Warszawy.
Być może był to do pewnego stopnia wpływ pani Zosi.
Ostatecznie nie należy do specjalnych przyjemności spotykać
295.

się z kimś, kto wie o takiej bądź co bądź nie nazbyt milej historii.

Jeszcze parę minut i kapitan pożegnałgo uprzejmiem.

- Bardzo dziękujemy.

Być może zajdzie potrzeba zasięgnięcia od państwa jakichś nowych informacji.

Żachnął się.

- To znaczy, że nie możemy stąd jeszcze wyjechać?

- Niezmiernie przykro, ale sam pan powinien zrozumieć.

W tym stadium śledztwa musimy bez przerwy trzymać rękę na pulsie.

Zresztą to kwestia najwyższej parudni.

Gdy zostali sami, prokurator długo przecierał szkła swych okularów.

- "Zofia Anabela Zawadzka.

Z domu Paciorek - zaczął odczytywać z akt tak cicho, jakby to czynił jedynie dla siebie - lat dwadzieścia.

" - oderwał wzrok od protokołu.

- Z tego wynika, że wtedy miała osiemnaście.

I stanowisko kierowniczkisklepu, w którym można dokonać manka na dwieście tysięcy.

- Ładnej kobiecie zawsze łatwiej - stwierdził sentencjonalnie Będzki.

- Swoją drogą dziwne.

Znała tutaj tylu ludzi i żeby ktoś choć się domyślał czegoś w tym rodzaju.

Tylu ludzi?

Więclawek postanowił nie odkładać dłużej poufnej konferencji z Będzkim na ten temat.

Gdy tylko skończą

przesłuchania.

Prokurator zdjął okulary i położył je na otwartych aktach.

Miał bardzo zmęczoną twarz.

- Smetana napisał operę pod tytułem Sprzedana narzeczona,

Gdyby znał podobną historię tytuł brzmiałby

prawdopodobnie inaczej: Kupiona narzeczona - głos był głuchy i bezbarwny.

VI

Więclawek wypalił w milczeniu dwa papierosy.

Pragnął trochę odsapnąć.

Ostatni świadek dzisiejszej listy został wezwany dopiero przed kilkoma godzinami.

"Nie bardzo ufaj temu, co człowiek mówi, będąc w swoim zwykłym otoczeniu - powiedział Kostrzewa.

- To dodaje pewności siebie.

Atmosfera urzędowego miejsca.

prokurator.

milicja.

widmo kryminału.

To jednak ma swoje znaczenie.

Spróbuj.

Nie bardzo wierzę, żeby było tak, jak ontwierdzi.

Czegoś mi w tym wszystkim brakuje.

"

296

Odźwierny szpitala został wezwany na godzinę dwunastą czekał w korytarzu, dopóki wszyscy pozostali świadkowie nie zostaną przesłuchani.

To trwało niezgorzszy kawał czasu.

Atmosfera?

Racja.

Niech więc nią dokładnie nasiąknie.

- Paweł Hoff.

Lat pięćdziesiąt.

Niekarany.

Pracownik szpitala miejskiego.

Kapitan potrząsnął wiecznym piórem.

Starczy atramentu?

Powinno chyba starczyć.

Tu niebędzie zbyt wiele do pisania.

- Uprzedzam świadka o odpowiedzialności - zafałszywe zeznanie grozi karą więzienia do lat pięciu - i od razu bez żadnych wstępów: - dlaczego świadek skłamał?

Tęskno za kryminałemco?

Przestraszył się.

Zresztą nic dziwnego.

Ton kapitana był bardzo groźny i bardzo agresywny.

-Ja..

skłamałem?

- wyjąkał.

- Tak.

Świadek skłamał - potwierdził Więclawek.

- I to jak jeszcze.

Pytałem świadka, czy nikt nie chciał odwiedzić Koryciuka.

Świadek powiedział, że nikt.

- No.

bo..

- Zaraz!

- walnął pięścią wstół.

- Proszę mi nie przerywać.

Co świadek sobie wyobraża?

Tu nie karczma.

"Nikt"- przedrzeźnił kpiąco - a ta osoba, która wetknęła świadkowi w łapę pieniądze, żeby nic niemówił?

Fałszywe zeznanie zaforse?

-atakował na oślepa.

A jeśli się myli?

No cóż, omyłka ludzkarzecz.

- Czy mam powtarzać, co świadkowi za to grozi?

My i tak wszystko wiemy - "Guzik wiemy" - pomyślał przy tym z wisielczym humorem.

Ale za chwilę się dowiemy.

Albo inie.

- Gadać!

Znami nie ma żartów.

To zbyt poważna sprawa nie dawał mu się opamiętać.

- To.

Ona tak prosiła.

Kapitan odetchnął z ulgą.

Strzałw sedno.

Trudno było niezauważyć, jak prokurator zaczął się krzywić.

Ale teraz sam zobaczy, że z takimi inaczej niemożna.

- Ona?

Imię, nazwisko, kiedy to było?

- walił w niegogwałtownymi pytaniami.

- Pani.

Zawadzka.

Przyszła przedwczoraj.

Jak powiedziałem, że milicja, to dała dwudziestaka, żeby nic nie mówić.

Że to niby Koryciuk może się niepotrzebnie zdenerwować, a z nim ibez tegomarnie.

297.

- Przedtem przecież także przychodziła - brnął dalej Więclawek.

- A świadek, że nikt nigdy.

Pięć lat więzienia - stuknął palcem w blankiet protokołu - to nie bułka za grosz.

Jestnadczyz się zastanowić.

-Ja..

przecież nieumyślnie - odźwierny był już zupełnieugotowany.

- No więc przychodziła, ale co ztego?

Za każdymrazem odeszła z kwitkiem.

Koryciuk był jeszcze całkiem bezprzytomności i pan doktor zakazał do niego puszczać.

- Ile razy przychodziła?

-Ze dwa.

Może trzy- poprawił się szybko.

- I nigdy się do niego nie dostała?

-Nigdy.

- Za każdym razem dawała świadkowi pieniądze?

-Wożnemu wolno brać, jakkto coś z własnej woli.

- Zależyza co.

Wchodziłana teren szpitala?

Zawahał się.

Ale Więclawek nie miał zamiaru dawać sposobności dorozmyślenia.

- Coza kombinowanie?

- znowu podniósł głos.

-Dalejchce świadek kręcić?

Nie radzę!

- Weszła.

- wykrztusił, jakby mu siłą wydzierano słowaz gardła.

-Ale tylko żeby zapytać doktora, jak zKoryciukiem.

- Którego doktora?

-Wojtkowiaka.

On miał go na swoim oddziale.

- Taki młody, szczupły, szrama nagórnej wardze?

- kapitanpodawał rysopis lekarza asystującego przy przesłuchaniu.

- Tak.

To ten.

- Czy aby na pewno nie rozmawiałaz Koryciukiem?

Hoff podniósł rękęjak do przysięgi.

-JakBóg na niebie.

Zresztą niby kiedy?

Wpierw leżałnieprzytomny, a potem zaraz przyszła milicja i już przezcały czasani na krok od jego łózka.

Więclawek postawił kropkę.

- Świadka szczęście, że w końcu poszedł po rozum do głowy.

Inaczej byłoby z nim całkiem marnie.

Proszę zapamiętaćsobie na przyszłość.

Kłamstwem z nami daleko się nie ujedzie.

- Mogę iść?

- zapytał niepewnie.

- Tymczasem.

Ale niech choć jeszcze jedno najmniejszekłamstwo.

- Będzki również okazał się pod tym względem nieocenioną wprost kopalnią wiadomości - Więclawek spacerował podnieceniem po celi.

Roznosiło go.

Nie był wstanie usiedzieć choćby przez chwilę na miejscu.

- Owszem przyjeżdżała tudość często.

Początkowo razem z mężem, potem sama.

Dość rozległy krąg znajomości.

I co ważniejsze bardzo dla nas ciekawy krąg.

Słuchaj tylko: doktor Wojtkowiak.

Ten szczeniak Cechnowski z prokuratury.

Od razu wiedziałem, że z nim coś nie w porządku.

Gdy ktoś ma takie mętne spojrzenie.

Przedewszystkim zaś.

- wytrzymał efektowną pauzę - sam obywatel porucznik Kosiorek.

- Kosiorek?

- Kostrzewa siedział na pryczy, śledząc wzrokiem niespokojną wędrówkę przyjaciela.

- We własnej swej osobie.

Na różne tam dansingi, lokale.

Ale i potańcówki w prywatnych lokalach.

- U Kosiorka też?

- Owszem, jak najbardziej.

Kto wie, czy nie w dwie pary.

oczku.

No, ja mu pokażę.

- Nie widzę podstawy do wyciągania jakichkolwiek konsekwencji.

- Jak to?

Skoro zadurzony w niej po uszy?

Zresztą oni wszyscy wzdychają do pięknej Zosi jak do księżycy.

Ale może nawet romans.

- Więc cóż z tego?

Dotychczas nie była ani oskarżoną, ani poszkodowaną.

Nie była stroną.

Żaden przepis nie wykluczał Kosiorka od prowadzenia dochodzeń.

- Ale teraz.

- Teraz?

- powtórzył w zamyśleniu - Tak, teraz lepiej go będzie odsunąć od sprawy.

Bo jednak.

Choć, biorąc rzecz ściśle, w dalszym ciągu brak podstaw do uznania Zawadzkiej za osobę numer jeden w tej sprawie.

Cóż właściwie zdołaliśmy ustalić?

Wróciła wtedy do nadleśnictwa.

Fakt.

Weszła do męża.

Mogła mu wsypać truciznę do szklanki.

Mogła też powiedzieć coś takiego, co spowodowało powtórny zamach samobójczy, tym razem już udany.

Ale herbatę podawał denatowi oskarżony Kostrzewa.

I na szklance zawierającej truciznę wykryto odciski tylko jego palców.

Dalej: chciała odwiedzić gajowego
299.

w szpitalu.

Bardzo ładny postępek.

Pracował tak długo w jej domu.

- Nie tak znów długo - wtrącił Więclawek - około roku.

- Rok?

- Tak.

Najął się dopracy w nadleśnictwie dopiero w pewien czas po jej ślubie z Zawadzkim.

Magister filologii udający analfabeta.

Oboje pochodzą z Warszawy.

To jednak daj trochę domyslenia?

- Owszem, daje.

Co mamy jeszcze?

Żelączyły ją jakieś tam stosunki z osobami biorącymi udział w prowadzeniu śledztwa.

- Doktor Wojtkowiak - przypomniał ze złością kapitan.

- W ogóle wzorcowe przesłuchanie.

Aż trzy osoby zainteresowane, żeby nic nie pograżało najdroższej.

Jeden chrząka ostrzegawczo, drugi łapie zeznającego za rękę.

Cóż dziwnego, że w rezultacie gość zamyka usta na dobre?

- Towszystko brzmi niewątpliwie sensacyjnie.

Ale jeżeli chodzi o materiał dowodowy.

- Dowód to nie jest - przyznał niechętnie, zatrzymując się wreszcie przed Kostrzewą - jednak jako podstawa do wyciągania odpowiednich wniosków.

- Wnioski - skrzywił się Kostrzewa - czemu nie.

Oskarżonym jednak pozostaje nadal Jerzy Kostrzewa.

- Cholera - kapitan oparł dłoń o olejno malowaną ścianę - zdawałoby się, trzymamy w garści wszystko, co trzeba, a przypatrzeć się bliżej.

Co robimy?

- To jest pytanie.

Kostrzewa masował końcomi palców skronie, jakby chcąc pobudzić mózg do bardziej intensywnej pracy.

Więclawek znowu rozpoczął swój spacer, Kostrzewa jednak go

powstrzymał niecierpliwym gestem.

- Przestań się wreszcie wiercić.

Człowiek myśli nie może zebrać.

- Myśl - usiadł potulnie na taborecie.

- Jak dotychczas daję tonienajgorsze wyniki.

Milczenie Kostrzewy przeciągało się.

Więclawek znowu zaczął się wiercić niespokojnie.

Nie wstawał jednak, zaciskając palce na twardych krawędziach drewna.

300

Wreszcie Kostrzewa podniósł wolno głowę.

- Ludzie ze szczepu Kuali powiadają: Jeżeli chcesz wyabić drapieżnika z legowiska, podnieś wielki hałas i sam stań się

przynętą".

- Szczep Kuali?

- kapitan obrzucił go podejrzliwym wzrokiem.

- Skąd go znowu wykopałeś?

- Żyję w środku dżungli Ameryki Południowej.

- Byłeś kiedy w Ameryce?

- Nie.
Ale czytałem.
Machnął ręką.
- Z tobą się dogadać.
Tusprawa naostrzu noża, a ty o jakichś dzikusach.
- Przecież to jest plan.
- Plan?
- popatrzał na niego z niedowierzaniem, potem aż się ku niemu przechylił.
- Tak.
Plan naszej dalszej akcji.
- Hałas i przynęta.
Jak sobie to wyobrażasz?
- Hałas: awięc wezwanie pięknej pani do prokuratury.
Bezzaznaczenia w jakim charakterze.
A więc aresztowanie Józefa.
Nie potrafił ukryć zdumienia.
- Na jakiej podstawie?
Bo to jednak tego, co zdążył powiedzieć Koryciuk.
- Jasne, że zamało - dokończył za niego.
- Koryciuk nie ma tu nic do rzeczy.
Ale nadużycia w nadleśnictwie.
Mało prawdopodobne, żeby Zawadzki mógł sprzedawać sagina lewo bezudziału Józefa.
W każdym razie bez jego wiedzy.
Nie przypuszczam, żebyś miał specjalne trudności z wyjedaniem nakazu aresztowania.
Zerwał się porywczo.
Nie był już w stanie dłużej wytrwać w bezruchu.
- Odciski można sobie u ciebie wysiedzieć - stęknął.
- A więc nakaz.
Aż tak oficjalnie?
- Jak najbardziej oficjalnie.
Zostanie aresztowany w sprawie nadużyć, ale ponieważ rozejść się musi wiadomość, że
chodziło o morderstwa popełnione w leśniczówce.
Jasne?
- Jak pałą w łeb.
Hałas już więc będziemy mieli.
Teraz następuje sprawa przynęty.
- Niestety, ty będziesz musiał przyjąć na siebie tę rolę.
Jeże301.

li nasze przypuszczenia okażą się słuszne, drapieżnik będzie chciał za wszelką cenę umknąć z dotychczasowego legowiska.

Zawszelką - powtórzył - rozumiesz?

- Kto by nie zrozumiał.

- Śliwa zaś.

To on w dalszym ciągu obstawia naszą piękną?

- On.

- Może się okazać niedość szybki.

W momencie, gdy drapieżnik widzi, że wszystko zawisło na włosku, przestaje się liczyć z czymkolwiek.

Jedno morderstwo mniej, jedno więcej - to już w ostatecznym obrachunku niewiele znaczy.

Przyzwójciej wypadłoby, gdyby nadstawił własnego karku, ale.

- zatoczył ręką

dookoła.

- Dam sobie jakoś radę.

Przypuszczasz, że ma broń?

- To trzeba w każdym razie wziąć pod uwagę.

Może ona, może Józef.

Nie wolno zapominać ani na chwilę, że według wszelkiego prawdopodobieństwa w tej sprawie istnieje jeszcze trzeci pistolet.

Ktowie zresztą, czynie ma ich więcej.

Upredź ludzi, którzy zostaną wysłani celem zatrzymania Józefa.

- Sam z nimi pójdę.

No dobrze - przeciwną się aż w stawach zatrzeszczało.

Idę bić wtam-tamy, czyjak się tam zwa.

DRAPIEŻNIK POKAZUJE PAZURY

Józefa zatrzymano w restauracji.

To był pomysł Więclawka.

Jak hałas, to hałas.

Józef próbował dopaść drzwi, potem się szarpał.

Powstało duże zamieszanie.

W lokalubyło akurat pełno.

Funkcjonariusze milicji, zgodnie z otrzymanymi uprzednio instrukcjami, poprzewracali nieco więcej krzesel, niż zachodziła istotna potrzeba.

Z trudem zdołano opanować panikę.

Wszyscy obecni oczekiwali, że lada chwila wybuchnie strzelanina.

Józef jednak nie był uzbrojony.

Z całą ostentacją nałożono mu kajdanki.

To zresztą było jak najbardziej usprawiedliwione wściekłym oporem, jaki stawiał w dalszym ciągu.

Musiano goniemal wynieść do samochodu.

Kapitan zwrócił się do towarzyszącego mu Będzkiego.

- Nareszcie sprawa tych morderstw zaczyna się wyjaśniać.

Dobitnie, głośno, jakby nie dostrzegł stłoczonych wokoło ludzi.

To było sprzeczne z regulaminem, ale za to zgodne z planem.

Nie pojechał z Józefem.

Skoro miano go przesłuchiwać tylko w sprawach dużej finansowych.

Były znaczenie pilniejsze rzeczy do załatwienia.

Wiadomości rozchodzą się w takim małym miasteczku lotem błyskawicy.

Kto wie, w jakim momencie rozpocznie się akcja ostatniego aktu.

O ile - zapalił papierosa, nie zwalniając kroku - w ogóle się coś rozpocznie.
Bo całe uderzenie równie dobrze mogło paść w próżnię.

Jeżeli jednak.

Śliwa był niewątpliwie doświadczonym wywiadowcą, mógł się jednak okazać nie dość szybki.

A wtedy.

Nie - puszczał z ust gęste kłęby dymu niczym parowóz w miniaturze - do tego nie wolno dopuścić.

Został na posterunku.

Doskonale wybrane miejsce, zanieczyszczonym kioskiem gazety.

Pozostając w ukryciu, miała widoku zarówno bramę, jak i oba okna pokoju, w którym zamieszkiwała Zawadzka.

-I jak tam?

303.

- Bez zmian, szefie - przytknął dwa palce do opuszczonego nosa na twarz runda kapelusza.
- Ptaszyna w gniazdku.

- Odwiedzałaś kogo?

- Przed jakimś kwadransiem ten miedziak z prokuratury.

Zapomniałem jego nazwiska.

- Cechnowski?

- Tak.

Właśnie on.

- Siedzisz jeszcze?

- Nie.

Wpadł jak po ogień.

- Już?

- mruknął podziwem kapitan.

Wyobraził sobie kręgi rozchodzące się po wodzie.

- Szybko.

Zmęczony jesteś?

- Tak sobie, można od biedy wytrzymać.

Tylko z nogami gorzej.

Wrosły mi za przeproszeniem w.

- Nie przepraszaj - uśmiechnął się mimo woli.

- Tymczasem idź trochę posiedzieć, żeby wróciły na dawne miejsce.

- Dokąd mam iść?

- Herbaciarnia zaraz zarogiem.

Wolałbym, żebyś nie odchodził zbyt daleko.

Każdej chwili mogę cię potrzebować.

Splunął.

- Bardzo podejrzany lokal.

- Bo?

- Podejrzany - powtórzył z przekonaniem - za Boga nie podadzą nic mocniejszego niż herbata.

Dałbym dużo, żeby kapinkę łyknąć.

Myślisz, że tu nad ranem było jak w uchu?

- Wiem, że paskudnie wiało.

Ale gorąca herbata musi ci narazie wystarczyć.

Głębszy z kropelkami?

Czemu nie.

Ale nie teraz.

Obawiam się, że cena mogłaby być za wysoka.

- Wiem - skrzywił się.

- Na coto człowiekowi przyszło.

Herbata!

Tylko ty tu na siebie uważaj.

- Będę uważał - potwierdził poważnie.

- I w razie czego.

Wystarczy krzyknąć.

Nie pozwolę zamykać drzwi, to usłyszę.

- W razie czego.

krzyknę - powtórzył jak echo.

- Być może tobie przypadnie rola drugiej linii obrony.

- Nie gadaj głupstw - wreszcie odszedł, zgarniając płaszcza piersiach.
Musiał porządnie zziębnąć.
Nad ranem była rzeczywiście pieska pogoda.
I stać sześć bitych godzin bez przerwy.
Więclawek obserwował, jak oddalał się elastycznym krokiem.
"Twardy - pomyślał z uznaniem.
- Taki nie zawiedzie w potrzebie.
"

Potem myśli zmieniły bieg.
A więc już ją zawiadomiono.
Drapieżnik powinien się szykować do opuszczenia legowiska.
W jaki sposób będzie usiłował touczynić?
Koleją?
To byłoby zbyt proste.
I raczej w tych warunkach mało prawdopodobne.
Dworzec zresztą obsadzony.
Będzkiotrzymał dokładne instrukcje.
Ale chyba nie będzie miał okazji wprowadzania ich w czyn!
Motocykl stanowiący własność Kosiora?
Ten sektor przedstawiał się znacznie bardziej interesująco.
Szopa zamknięta nazwy skobel, wyjście prowadzące na sąsiednią ulicę.
Piękna Zosia powiedziała swego czasu Kostrzewie: "Nie umiem prowadzić samochodu.
Nie odważyłabym się za nic.
Niepotrafię niestety stać się nowoczesną kobietą".
Model z dziewiętnastego wieku?
Nie bardzo jednak.
Na wiosnę tego roku skończyła właśnie tu, w Kozłowie, kurs samochodowy.
Otrzymała prawo jazdy.
Nieraz widywano ją na motorze Kosiora.
Czasami na tylnym siedelku, czasami sama prowadziła.
I to w całkiem wariackim tempie.
Ciekawe, czy Zawadzki o tym wiedział?
Mógł niewiedzieć.
Przebywała wtedy w mieście bez męża.

Motor.

Ta ewentualność została rozpracowana do najdrobniejszego szczegółu.
Byłoby najtrudniej, gdyby chciała ułotnić się bezpośrednio z tego domu.
Podjeżdża jakiś samochód i
do widzenia.

Zaklął.

Trzeba by i tu coś urządzić.
Żeby tylko starczyło czasu.

II

Cichyszczękostroźnie otwieranych drzwi.
Więclawek przylgnął całym ciałem do muru.
Wyszła jakaś babina.
Gospodyni, o której Zawadzki odnajmował pokój.
Rozglądała się podejrzliwie w wszystkie strony.
Upstrzony siecią fioletowych żyłek nos marszczył się, jakby wahała powietrze.

Nie dojrzałego.
Niemogła dojrzeć, w tym osłoniętym z trzech stron kącie.
Choćby nawet przeszła tuż obok.
Znak ręką i z bramy wynurzyła się Zawadzka.
Sportowakurtka, obcisłe spodnie.
I tylko jedna niewielkatorba.
Zrodzajutych do noszenia gospodarskich zakupów.
Pojemność niewielkiej walizki.
305.

"Chytrze skonstatował w duchu kapitan.
- Torbainic więcej.
Kto by mógł podejrzewać, że wybiera się gdzieś dalej?
Jeżelizresztą naprawdę się gdzieś wybierała.
"

Wcisnął się dla pewności pomiędzy tylną ścianę kioska a mur domu.
Szła właśnie w jego stronę.
Minęła kiosk.
To była ciężka chwila.
Poszła dalej.
Nie oglądała się.
Ale błysk lusterka podnoszonego raz po raz do oczu, kazał się mieć na baczności.
"Stary kawał" - pomyślał ze złością.
Stary, ale tym niemniej mocno utrudniał śledzenie.
Musiał wyczekać, aż oddali się na bezpieczną odległość.
Wreszcie wychynął ukradkiem spoza osłony.
W jaki sposób zawiadomić Śliwę?
To wszystko nastąpiło znacznie szybciej, niż przewidywał.
Trudno.
Niech sobie pijeswą herbatę w spokoju.
Zaledwie jednak zdążył ująć kilka kroków, gorący szept oparzył ucho:
- Jestem!
Aż drgnął zaskoczenia.
Swoją drogą, jak ten człowiek miał się bezszelestnie poruszać.
Minęli jedną ulicę, drugą.
Wciąż w tej samej odległości.
I znowu.
Ledwo dosłyszalny szept:
- Do Kosiorka?
Skinął milcząco głową.
Diabło na to wyglądało, że własnie tam.
A to znaczyłoby, że drapieznik jest drapieznikiem i że hałas wpadł dostatecznie alarmująco.
Jeszcze kilka minut marszu i zniknęły ostatnie wątpliwości.
Zawadzka weszła szybko do bramy domu, w którym mieszkał Kosiorek.
Z sąsiedniej bramy ostrożnie wyłoniła się sylwetka mężczyzny.
Rondo kapelusza niemal całkowicie zasłaniało twarz.
Kołnierz wysokopodniesiony.
- Wszystko przygotowane - zaraportował, prawie dotykając wargami ucha Więclawka.
- W porządku.
On jest w domu?
- Nie ma.
Od samego gorana.
Więclawek ruszył biegiem ku przecznicy.
Tuż za nim pędził Śliwa.
Więclawek zresztą bardziej tym wiedział, niż słyszał.
Wzięli ostre tempo.
Znacznie prawdopodobniejsze, że będzie próbowała wyjechać tamtą ulicą.
Ta wprawdzie też dość odludna, ale od czasu do czasu zjawiał się jakiś przechodzień.
Tam

zaś o tej porze dnia -absolutnie pusto.
 Żadnych okien, z których ktoś mógłby obserwować.
 Odrapane płoty ciągnęły się całymi kilometrami.
 Zatrzymali się przy tylnej ścianieszopy.
 Więclawek zadyszał się lekko.
 Śliwa był w zdumiewająco świeżej kondycji.
 Przez chwilę nad słuchiwał z niepokojem.
 Jeżeli zdołała ich wyprzedzić?
 Z wewnątrz dobiegały jednak odgłosy jakiejś krzątaniny.
 Kapitan wciągnął głęboko powietrze do płuc.
 Zbliżała się ostatni akt.
 - Idź tam - wskazał gruby pień drzewa - i znikaj!
 Śliwa zawałał się.
 - Tak daleko?
 - do drzewa było dobrych dziesięć metrów.
 - Ruszaj!
 - pchnął go lekko.
 - Lada chwila.
 Odszedł, oglądając się ustawicznie.
 Widać było, że nie jest zachwycony.
 Więclawek też wolałby, żeby to było gdzieś bliżej.
 Skoro jednak nie można inaczej.
 Zbite z desek drzwi zaczęły się powoli otwierać.
 Uskoczył błyskawicznie.
 Jeszcze za wcześnie, żeby go zobaczyła, dopiero w ostatniej chwili.
 Moment psychologiczny w całej tej inscenizacji miał również odegrać decydującą rolę.
 Na szczęście nie wpadło jej dogłowy, żeby zamknąć szerokie skrzydło drzwi.
 Przywarowała nim jak za parawanem.
 Już wyprowadziła motor.
 Torba tkwiła bez przerwy w zaciśniętej dłoni, choć mogłaby umieścić ją na bagażniku i w ten sposób odzyskać swobodę ruchów.
 W chwili, gdy Zawadzka zamierzała wskoczyć na siodełko, Więclawek wyrósł niespodziewanie tuż przed nią.
 - Przepraszam - lekkie uchylenie kapelusza.
 - Zofia Zawadzka?
 Oczy zaiskrzyły się, potem je przymrużyła.
 - Omyłka.
 - Milicja - wyjaśnił lakonicznie, łapiąc mocno za kierownicę.
 - Dokumenty proszę.
 Pod długimi rzęsami błysk zielonkawych ogników.
 Ściągnięte rysy twarzy w jednej chwili straciły całą swą dziewczęcą świeżość.
 Rozjuszony drapieznik.
 To było właśnie tak.
 Nie spuszczał oczu z prawej kieszeni jej kurtki.
 Chybatam?
 307.

- Dowód - powtórzył nagłać albo proszę pozwolić zemną.
Wprzecznicy zagrzehotała ogłuszająco ciężarówka.
Sceneria działała bez zarzutu.
Był napięty jak struna.
Wszystko w nim wibrowało.
Zdawał sobie doskonale sprawę, że rozgrywka jest bardzo ryzykowna.
Najmniejsza chwila nieuwagi mogłakosztować życie.
Uczył ruch, jakby chciał ją ująć za ramię.
Jej prawa rękamignęła przed oczyma.
W kierunku paska.
Nie spodziewał się tego.
Ułamek sekundyopóźnienia reakcji.
Czarnywylot pistoletowejlufy zajrzałmu prosto w oczy.
Przypadł doziemi w momencie, gdy rozkwitł nagłą czerwienią język płomienia.
Gdzieś tyłu rozległ się jęk.
Śliwa?
Skoczyłjak puszczoneawolno sprężyna.
Palce twardo zacisnęły napięstek kobiety.
Ostrychwyt ibrońwyślizgnęła się z palców.
Walczyła jak wściekła kotka.
Spiczastepaznokcie orały mu twarz.
Wykręcił jej ramiędo tyłu.
- Spokój - warknął ostrzegawczo.
Pod czaszką wciąż tłukła się natrętna myśl: Śliwa.
Nagle zrobiło sięciasno.
Kilka par silnych rąk spadło na szalejącą kobietę.
Terazwszystko poszło piorunem.
Unieruchomiono ją w mgnieniu oka.
- Trzymajcie mocno.
Kajdanki!
-już biegł w kierunku drzewa.
Śliwa śłaniał się podparkanem.
Spod dłoni przyciśniętej dolewej strony głowy, obficie broczyłakrew.
- Ukąsiła cię?
- podtrzymał go.
-Gdzie?
- Głupstwo - próbował sięuśmiechnąć.
To stworzyło niesamowity obraz: biel zębów na tle krwawej maski twarzy.
- Tylkokawałek ucha - wyjąkał.
-I mam nadzieję, żecałkiem małykawałek.
III
- W dalszym ciągu nie chce mówić.
Absolutnie.
Kostrzewa nie wydawał siębynajmniej zdziwiony.
- To byłodo przewidzenia.
Pistolet piątka czy szóstka?
- Sześć trzydzieści pięć.
Pokiwałgłową.
- Jasne.

Musieli nadsztukować półtora milimetra.
Swoją drogą koronkowadłubanina.

308

- Cholera -zaklął przez zęby kapitan.

- Wściekła bestia, żeby ją.

Strzela doludzi jak do kaczek, a mnie.

- dotknął ostrożnie plastrów natwarzy.

-Jak ze Śliwą?

Lepiej?

- Lata jak stary.

Dziś ranoprzyłapałem go na zagłądaniu do herbatki z kropelkami, chociaż doktor mu zakazał.

Ale gdyby tak kula poszła odrobinę bardziej w lewo.

Zresztą co tu dużo gadać.

I tak chłop poszkodowany.

Nie należy do specjalnych przyjemności paradowanie z połówką ucha.

Dobrze choć, że już przynajmniej żonaty - palec znowu powędrował do plastra.

- Piecze jak wszyscy diabli.

Kocica.

- zmełł w zębach jakieś słowa.

-A teraz, proszę bardzo: nabrał wody w usta i rób cię sobie, co serce dyktuje - przysiadł na brzeżku pryczy, znowu się zerwał.

- Co zrobimy z tym fantem dalej?

Materiału dowodowego zebrało się sporo.

Nie można narzekać.

Alekońca wciąż jeszcze nie widać.

- Widać -zaprzeczył spokojnie Kostrzewa - nawet moim zdaniem całkiem niedaleko.

-Zapominasz o Zawadzkim.

- O niczym nie zapominam - pociągnął gozarekawką tak gwałtownie, że gruchnął z rozmachu na taboret.

Siadaj!

-Już siedzę - stęknął.

- Całe szczęście.

Kręćka z tobą można dostać.

Uważasz, że brak na świecie odpowiedniejszych terenów na dalsze spacerzy?

- O mało mnie nie połamał i jeszcze pyskuje.

-Więc słuchaj, co będziemy robić.

Skoro ona nie chce cinić powiedzieć, w takim razie nie pozostaje nic innego, jak tylko to, że ty jej wszystko powiesz.

- Co takiego?

- wlepił w niego osłupiały wzrok.

-Mam zaniąskładać zeznania?

Niezupełnie - roześmiał się - i nie masz, co się tak namnie gapić.

Otóż przemyślałem sobie jeszcze raz całą historię.

I taknie byłbym w stanie zmrużyć oka.

Byłem owas bardzo niespokojny.

Widziałeś kiedyś, jak się układamozaikę?

Nie?

Ja także nie widziałem.

Wyobrażam sobie Jednak, że to mniej więcej coś w tym rodzaju.

Kawałeczek do kawałeczka itakdalej, aż do skutku.

Mam nadzieję, że tym razem stworzony przeze mnie obraz odpowiada prawdzie.

309.

- Obraz... czego?

- Zdarzeń, które miały miejsce w nadleśnictwie. Od początku aż do samego końca.

Znalezienie w jej torbie kasetki z biżuterią właściwie postawiło kropkę. Rozumiesz?

- Tak - poskrobał się w zalepioną plastermi twarz i syknął. - Ale właściwie nie bardzo. Nic nie rozumiem - chciał się zerwać, ale Kostrzewa go powstrzymał. - Siedź! Potem sobie będziesz spacerować. Ale nie tu. Stawiamy znowu na moment psychologiczny. Raz się udało, może więc... Zaśpiewasz jej balladę, której treść za chwilę ci wyłożę. Jeżeli pudło, nic straconego... Jeżeli natomiast trafimy... Człowiek, który widzi, że i tak wszystko wiadomo, traci ochotę do zaprzeczania. Nadstawiaj uszu i notuj. Zaczynam.

IV

Prokurator potrząsał z niedowierzaniem głową.

- Darujcie, ale nie jestem w stanie uwierzyć. Dotychczas wprawdzie wasze metody dały pełny sukces, ale żeby...

- Zobaczymy.

W gabinecie zapanował nastrój podniecenia. Będzki zerkał wyczekująco ku drzwiom, prokurator nie wiadomo w jakim celu przerzucał karty akt. Śliwa nerwowo obmacywał opatrunek na uchu. Protokolant, nie był nim oczywiście Cechnowski, sprawdzał pedantycznie, czy atrament spływa prawidłowo w piórze.

Wprowadzono Zawadzką. Usiadła automatycznym ruchem na krześle, wlepiając oczy w wydłużone szpice swych pantofli.

- Imię, nazwisko, wiek... - rozpoczął Więclawek. Milczenie. Wzrok ani na ułamek sekundy nie odrywał się od obuwia.

- Czy podejrzana przyznaje się do tego, że dnia... Najmniejszej reakcji. Jakby dźwięk jego głosu nie docierał do jej świadomości.

Jeszcze parę następnych pytań, które tak samo utonęły bez echa. Więclawek odchrząknął. Z podobną sytuacją spotykał się po raz pierwszy w ciągu wielu lat pracy w śledztwie.

- Podejrzana nie będzie odpowiadać?

Znowu nic. Protokolant kręcił niezdecydowanie piórem.

310

- W takim razie ja podejrzaną powiem, jak to wszystko było — zauważył drgnięcie jej ust. Po chwili jednak twarz znowu zakrzepła w martwym bezruchu.

- Zacznę od czasów panińskich - kapitan rozsiadł się wygodnie w fotelu. - Podejrzana poznała życie i... mężczyzn bardzo wcześnie. Pierwszą poważniejszą ofiarą stał się pan magister Paweł Koryciuk. Oddawał jej wszystkie swoje zarobki. Podejrzaną było mało. Miała duże wymagania. Zaczął sprzedawać swoje rzeczy. Nie na długo starczyło. Wciąż domagała się pieniędzy. Wreszcie popełnił kradzież. Ujęto go. Na rozprawie nie ujawnił motywów przestępstwa. Poszedł do więzienia, na podejrzaną nie padł najmniejszy cień. Teraz przyszła kolej najednego z dyrektorów uspołecznionego handlu. Solidny starszy pan. Fakt, że posiadał rodzinę, bynajmniej podejrzaną nie przeszkadzał. W pewnym momencie zresztą potrafiła tę okoliczność zdyskontować na swoją korzyść. Starszy pan może nie był zbyt atrakcyjny w roli kochanka, miał za to pieniądze. Okazało się jednak, że tych pieniędzy nie było zbyt wiele. Po pewnym czasie oświadczył: „Nie mogę już więcej dawać. Jestem zrujnowany. Pozaciągałem pożyczki wszędzie, gdzie to było możliwe”. Wówczas oskarżona sięgnęła po szantaż. Groźba zawiadomienia o wszystkim żony, groźba skandalu.

Rzeczywiście nie był w stanie zdobyć pieniędzy. Dał natomiast co innego. Osiemnastoletnia dziewczyna została kierowniczką dużego sklepu. Tu można było czerpać pełną ręką. Tysiące

urośli w dziesiątki tysięcy, potem w setki. Dawny kochanek czuwał. Kontrola przez długi czas omijała ten sklep. W tym czasie na horyzoncie pojawił się inżynier Zawadzki. Znowu starszy pan. Podejrzana miała już doświadczenie. Nietrudno przyszło go upolować. Tylko że on traktował sprawę poważnie: chciał się żenić. Ale nadleśniczy na posadzie w dalekich lasach to żadna atrakcja. W tym czasie pada grom z jasnego nieba. Do sklepu przychodzi komisja. Remanent daje skandaliczne wyniki. Manko sięgające dwustu tysięcy złotych. Oskarżonej grozi wieloletnie więzienie. Nieoczekiwanie Zawadzki okazuje się krezusem. Pokrywa od ręki całą brakującą sumę. Sprawa zostaje zatuszowana, oskarżoną jednak wyrzucają z pracy. Dawny kochanek proponuje jakiś mały sklepik na głębokiej prowincji. To nie dla oskarżonej.

Tymczasem Zawadzki opowiada o zdobytym w czasie wojny

majątku.

Bizuteria wartości już nawet nie setek tysięcy, a milionów.

To decyduje.

Cichy ślub, potem wyjazd do puszczy.

Nietrudno namówić starszego o trzydzieści lat mężczyznę na wypad do stolicy.

Są pieniądze.

Jest dużo pieniędzy.

Ale szaleństwom towarzyszy starego męża prędko przestają bawić.

Okazuje się jednak, że nawet w takiej małej miejscinie jak Kozłów można spędzać wesoło czas.

I co ważniejsze znaleźć młodszego towarzystwo.

Oficer milicji, chirurg, wreszcie pracownik prokuratury.

Są zresztą również i inni.

Życie toczy się gładko i wesoło.

Nadejdzie przecież czas, gdy maż zamknie oczy, a wówczas kasetka z biżuterią.

- Zasłomiu w gardle.

Sięgnął po przygotowaną na stole szklanę z wodą.

Popijał przez chwilę małymi łykami.

Zawadzka wciąż była nieruchoma i niema.

Ale w jej postawie jakby zasła jakaś ledwo możliwa do uchwycenia zmiana.

Więćławek odstawił szklanę.

- Odzywa się magister Paweł Koryciuk.

Został zwolniony z więzienia, znalazł się jednak bez pracy i środków do życia.

W jakiś sposób zdobył nowy adres oskarżonej.

Podejrzaną w pierwszym momencie ogarnia przerażenie.

Co będzie, jeżeli maż dowie się o zdarzeniach z tamtego okresu?

Potem przychodzi pomysł: agdyby go tak zainstalować w nadleśnictwie?

Człowiek gotów uczynić dla podejrzaną wszystko, czego zresztą dał już dowody.

I ostatecznie kilkanaście lat młodszego od męża.

Podejrzaną zawsze uważała, że im liczniejsi mężczyźni ją otaczają, tym lepiej.

Chodzi teraz tylko o uniknięcie jakichkolwiek podejrzeń ze strony męża.

Znajomy magister z Warszawy, to jednak mogłoby dać do myślenia.

Natomiast zupełnie co innego pólanalfabeta, dopiero co zwolniony z więzienia.

Bardzo nieszcześliwy człowiek.

Pracował u kogoś z dalszych znajomych.

To chyba nie powinno budzić żadnych niebezpiecznych skojarzeń.

Rzeczywiście nie budzi.

Sprawa zostaje omówiona i Koryciuk rozpoczyna pracę w charakterze gajowego.

Przydzielono go bezpośrednio do nadleśnictwa.

Tymczasem pojawiają się nowe komplikacje.

Nader zresztą groźne.

Dawniko ledy męża chcąc się koniecznie dowiedzieć, co się stało z kasetką.

Lesiewicz stawia sprawę na ostrzu noża:

"Musiałeś ją zabrać".

Świrski wprawdzie tego niemówi wprost,

312

ale widać po nim, że jest tego samego zdania.

Podejrzaną wpada w panikę.

Jeżeli odbiorą mężowi skarb?

Gdyby nawet zażądali tylko podziału, na niego przypadłoby bardzo mało albo ogóle nic.

Od chwili, kiedy ją poznał, czerpał z kasetki bez zastanowienia, być może sięgał do niej również i przedtem.

Corobić?

Każdy z trzech współników otrzymuje anonimowe listy grożące śmiercią.

Podejrzana w tym czasie nie opuszcza nadleśnictwa, więc, rzecz jasna, nanią niemożną paść podejrzenia co do ich autorstwa.

Podejrzanie wyjeżdża, natomiast Koryciuk bierze akurat kilkudniowy urlop w sprawach rodzinnych.

Listy zostają wrzucone we wskazanych miastach i docierają do adresatów.

Cel: wzbudzić przerażenie, które by ich powstrzymało od stykania się ze sobą.

Może resztą myśl o śmiercinie pozwoli im pamiętać o kasetce.

Termin realizacji gróźb: trzynaście lat od tamtego dnia.

Ale gdyby podstęp chwycił, nietrudno wykombinować wystarczająco wiarygodny pretekst, do odroczenia zemsty.

Skutek listów jest jednak wręcz przeciwny.

Być może nie bez wpływu była tu okoliczność, że podejrzana nie odważyła się wtajemniczyć męża.

Trzej byli towarzysze zjeżdżają się.

Lesiewicz zaprasza do nadleśnictwa znanego specjalistę od zagadek kryminalnych.

Rozmowa w Warszawie odbyła się w obecności osoby trzeciej.

To nie pozwalało wspomnieć o kasetce.

Ale teraz Lesiewicz zamierza spotkać doktora Kostrzewę nadrodze.

Niewątpliwie powie wszystko.

Podejrzana postanowiła tego nie dopuścić.

Koryciuk musi pokazać, co naprawdę jest gotów dla niej uczynić.

Otrzymuje pistolet.

Ten sam pistolet, który przed dwoma dniami tkwił za pasem podejrzanej.

"Zabij.

" Wychodzi Lesiewicz i to widzi kilka osób.

Wychodzi również Koryciuk, ale tego nie zauważa nikt.

Tuż obok kuchni ze słupków ogrodzenia można bez trudu usunąć gwoździe.

Koryciuk wraca tak samo niepostrzeżenie, jak wyszedł.

Lesiewicz nie powróci już nigdy.

Co zrobić z trupem?

Najprościej byłoby zakopać gdzieś w głębi lasu.

Ale zniknięcie człowieka pociągają za sobą dochodzenie.

W tej sytuacji groziłoby to różnym konsekwencjami, z których najmniej groźną dla podejrzanej byłoby uwięzienie Koryciuka.

Poza tym w nadleśnictwie pozostają dwie osoby, które wiedzą zbyt wiele i których należy się pozbyć: Świrski i doktor Ko313.

strzewa.

Koryciuk przypomina sobie o swych niedokończonych studiach medycznych.

"A gdybytak zamrozić zwłoki?"

"Być może przydadzą się w dalszej rozgrywce.

To tyłkokwestiaodpowiedniej inscenizacji.

Zwłoki zostają przeniesionedo lodowni.

Kto jeprzenosi?"

Koryciuk i.

Józef.

Skąd sięw tej sprawie wziął Józef?"

To już przecież nie żaden magister udającypółanalfabetę.

To prawdziwy półanalfabeta.

Ale jednocześnie silny i brutalny mężczyzna.

Taki, co to nie cofnie się przed niczym.

Ta okoliczność nie jest obojętna dla podejrzanej.

Bezwahania zostajejego kochanką.

Józef wie o Koryciuku i to mu nie przeszkadza.

NatomiastKoryciuk niewie oJózefie.

Podejrzana obawiasię, żejakiekolwiek domysły w tym względziemogłyby jeszcze bardziej skomplikować sytuację.

Stara sięwciąż, by Koryciuk niczego się nie domyślił.

I to się jej udaje.

doczasu.

Unieszkodliwienie Świrskiego ma zostać według planuprzeprowadzone w pierwszej kolejności.

Trudno ustalić, cozdażył powiedzieć doktorowi i czy powiedział otym najważniejszym, czyli o kasetce.

Powódzułatwia zadanie: wyspa zostaje odcięta odświata.

Chodzi o to, żeby została zupełnie odcięta.

Telefon do kogoś z zewnątrz może być groźny.

Jeden zkochankówtrzytuje polecenie przecięcia przewodów.

Światło.

Sąrzeczy, które znacznie łatwiej urządzić po ciemku.

Inscenizacjatrwa: kroki człowieka, który znika jakby pod ziemią, twarz zaoknem na wysokościczterech metrów.

W gruncie rzeczy dziecinne kawały.

Pantofle uwiązane na sznurku, makieta twarzyprzyczepionado bambusowej wędki.

Chodzi owowołanienastroju grozy: ktośobcy, dla kogo nic nie znaczą żadne przeszkody.

Nie uchronią przed nim ani zamknięte drzwi, ani sfera psów, ani stalowe okiennice.

Następuje akcja "wściekłego kota".

Pomysł wynikł znowu z medycznych reminiscencji Koryciuka.

Nie byłoby źle, gdybyŚwirski popadł w obłąd.

Jeszcze lepiej, gdyby popełnił samobójstwo.

Posiadał pożyczony od mężaoskarżonej pistolet.

Niestety, kaliber trochę nieodpowiedni.

Ale to można wyretuszować.

A więc: wściekliczna, niemożność sprowadzenia szczepionki, widmo śmierci w strasznych męczarniach.

Podejrzana podsunęła Świrskiemu odpowiedni ustęp książki popularno-medycz314

nej, aby zobaczył czarno na białym, jaki go czeka koniec.
I jednocześnie morfina w dostępnej dla wszystkich domowników apteczce.
Podejrzana kilkakrotnie rozmawia o tym z mężem.
Że trzeba by ampułki przenieść w jakieś bezpieczniejsze miejsce, bo to w końcu trucizna.
Oczywiście za każdym razem w obecności Świrskiego.
Wbija mu się w głowę: "Oto masz podręką środek przynoszący bezbolesną śmierć".
Niewiele brakowało, żeby skorzystał z tych sugestii.
I gdyby doktor Kostrzewa otworzył drzwi łazienki o parę sekund później.
Akcja spala na panewce.
Badania Kostrzewy dowodzą, że niema mowy o wściekłości.
Świrski nabiera coraz większego zaufania do swego zbawcy.
Jest rzeczą oczywistą, że lada chwila powie mu o kasetce.
Teraz na warsztat wchodzi następny punkt programu.
Trzeba stworzyć niezbite dowody, że Lesiewicza zastrzelił Świrski.
Należy wykorzystać nieobecność Świrskiego, zapowiedzianą kilka godzin.
Józef rozpala w kotłowni.
Kaloryfery mają grzać tylko w pokoju Świrskiego.
Powstaje mały szkopuł: grzejnik w pokoju Kostrzewy nie udaje się zamknąć.
Zapasy wyłącznie otwiera jego drzwi.
Widocznie coś z majstrował w zamku.
Niema jednak czasu na bliższe badanie tej kwestii.
Zwłoki zostają przeniesione podziemnym korytarzem.
Tymczasem składają je na łóżku.
Później miały zająć inną, bardziej odpowiednią pozycję.
Koryciuk czeka, aż ustąpi stwierdzenie ciała.
Operowanie rany w stanie zamrożenia pozostawiłoby zbyt widoczne ślady.
Pozostawiają zwłoki w tropikalnym upale i wychodzą.
To musi potrwać pewien czas.
Niespodziewany powrót Świrskiego niweczy cały plan.
Zapomniał pistoletu?
Wcale nie.
Pistolet mu skradziono.
Konieczny rekwizyt dla inscenizacji sceny mordu.
Pocisk przeszył ciało Lesiewicza nawylot.
Wystarczyło więc teraz wystrzelić w ścianę pod odpowiednim kątem.
O tym jednak na razie nie ma mowy.
Świrski wchodzi do swojego pokoju, w którym na łóżku leżą zwłoki, jeszcze nieprzygotowane do odegrania swojej roli.
Muszą zniknąć.
Następuje błyskawiczna akcja.
Gdy Świrski wrócił do nadleśnictwa, wykonawcy dotarli zaminowanymi schodami na górę jeszcze przed nim.
Nie zdążyli jednak usunąć zwłok.
Teraz jest to kwestia sekund.
Pistolet Świrskiego zostaje podrzucony z powrotem.
Dwa

znikające pistolety to jednak za dużo.

Sytuacja zaczyna być coraz bardziej nagła.

Doktor Kostrzewa odkrywa tajemnicę opieczętowanych drzwi i podziemnego połączenia z lodownią.

Zawadzki nie ma przed żoną żadnych tajemnic.

Woda opada.

W nadleśnictwie rano dzień zjawi się milicja.

Podejrzana nie ma nadziei, aby oficer, z którym pozostaje w intymnych stosunkach, posunął się aż do zatuszowania dowodów zbrodni.

Trzeba wszystko ułatwić, zanim przyjedzie milicja.

W pistolecie podejrzanej są jeszcze naboje.

Mówi do Koryciuka: "Świrski musi zginąć.

Inaczej wszyscy przepadliśmy".

Koryciuk nie protestuje.

Nie wiadomo, czy przed popełnieniem pierwszego morderstwa miał jakieś opory moralne.

Teraz już nie ma żadnych.

Zbrodnia rodzi zbrodnię i tak dalej.

Ale Świrski dowiaduje się o projektowanym zamachu odmęza podejrzanej, korzystając z jego pomocy, ucieka.

Tak - kiwnął głową.

- Zawadzki wtedy już wie o wszystkim.

Świrski znika.

Jest jednak tak wystraszony, że prawdopodobnie zaszyje się w jakimś niedostępnym kącie i będzie milczał.

Pozostaje doktor Kostrzewa.

Zbyt długo rozmawiał ze Świrskim i podąża zbyt wieloma tropami.

Być może wszystko już wie.

Trzeba go unieszkodliwić.

Do planu, który miał być zastosowany w wypadku Świrskiego, trzeba wprowadzić tylko terenową poprawkę.

Nie w pokoju, a w lesie.

Lesiewicz spotkał się naszost z Kostrzewą i został przez niego zastrzelony.

Dlaczego?

Tu przychodzi z pomocą fotografia przywieziona przez Lesiewicza.

Obok jednego z członków grupy Zawadzkiego stoi mężczyzna w narciarskiej czapce.

Twarz jego jest podobna do twarzy doktora Kostrzewy.

Okazuje się, że na zdjęciu znajduje się on sam.

Zbieg okoliczności?

Zapewne.

W tej sprawie wiele zbiegów okoliczności sprzyja zbrodniarzom w urzeczywistnieniu ich planów.

Zwłoki Lesiewicza zostają przetransportowane do lasu.

Koryciuk wymierza krupalnie kąt kanału przelotowego kuli.

Wystrzelenie z pistoletu doktora Kostrzewy w odpowiednie miejsce drzewa jest teraz niezmiernie łatwe.

Skąd wziął się ten pistolet?

Bardzo proste.

Podejrzana kilkadziesiąt dni przedtem powiedziała do męża: .

Jestem pewna, że to on zastrzelił Lesiewicza.

Mści się za swojego przyjaciela.

Jeżeli mnie zabierzesz pistoletu, wymorduje nas wszystkich".

316

Zawadzki w tym momencie jeszcze niezdawał sobie sprawy, kto jest naprawdę mordercą.

Skorzystał z tłoku na schodach.

Nie, oczywiście nie oddał pistoletu żonie.

Schował go w swoim biurku.

Ale to nie przedstawiało dla niej najmniejszej przeszkody.

Teraz sprawa cyjanku.

Cyjank ma całą swoją historię we wszystkich tych zdarzeniach.

Słoik tej trucizny znajdował się w pracowni nadleśnictwa.

Używasz jej do sporządzania zatruwaczek przeciwko szkodnikom drzewnym.

Ten sam słoik znaleziono w walizce doktora Kostrzewy.

Podejrzana zobaczyła go przy pewnej okazji.

Zabranie ukrycie nie stanowiło problemu.

Może się przydać.

Historia z herbatą.

W tym czasie podejrzana jeszcze nie miała zamiaru pozbywać się męża.

Właśnie on miał dokryć zapach nasuwający przypuszczenie obecności cyjanku.

Tymczasem w herbacie był tylko olejek migdałowy.

Cyjank postanowiła wsypać oskarżona dopiero później.

Bo gdyby mąż wypił herbatę, zanim zwrócił uwagę na dziwny zapach?

Chodziło o stworzenie pozorów, że autor anonimów próbuje realizować groźby w stosunku do wszystkich trzech ofiar.

Zapowiedź doktora Kostrzewy, że przeprowadzi analizę, spowodowała pewne zamieszanie.

Podejrzana jednak wynalazła sposób: jeden z jej kochanków zamknął się w kancelarii i narobił rumoru.

Gdy Zawadzki przybiegł na górę po broń, poradziła mu, aby się zwrócił po pomoc do Kostrzewy.

Korzystając z jego nieobecności w pokoju, zabrała próbki, sądząc, że analiza została jeszcze skończona.

Okazało się jednak, że wynik jej jest już znany.

Ale to nie stanowi przeszkody.

Kostrzewanie jest chemikami występuje jako osoba prywatna.

Sporządzony przez niego protokół nie ma mocy prawnej.

Próbki z cyjankiem zostały podrzucone bezpośrednio przed przybyciem milicji.

W rezultacie jeszcze jeden dowód przeciwko Kostrzewie.

W przeddzień przybycia milicji mąż podejrzanej oświadcza:

"Wiem o wszystkim.

Tak dalej być nie może.

Musimy coś postanowić".

Podejrzana traci nagle grunt pod nogami.

Gotów ją wydać milicji.

Próbuję uspokoić: "Mylisz się.

Jestem niewinna.

Być może pewne pozory.

Jutro o tym pomówimy".

Postanawia zniknąć.

Oczywiście razem z kasetką.

Tu ziemiazaczynapłonać.
Tego samego dnia Koryciuk porusza sprawęJózefa.
Nie wiadomo, wjaki sposóbto odkrył, faktjednak, że ta
317.

sprawa niejestjuż dla niego tajemnicą.

"Ty ztym chamem?

Zabiję cię.

Powiemwszystko przedsądem.

"

"Samego cię to zgubi.

" Nie przestraszył się: Już mi nie zależy na życiu".

Więclawek wypił resztę wody.

Zawadzkanie siedziałjuż taknieruchomo jak na początku.

Raz po raz przebiegało ją drżenie.

"Dobrzeidzie - skonstatował z zadowoleniem.

Oby tak dalej.

"

- Przystępujemy teraz do ostatniego aktu - podjął znowu.

-Podejrzana skoczyłaKoryciukowi dooczu z pazurami.

Jakśmiesz coś podobnego podejrzewać?

Ja i Józef?

Żenujące!

"Zdołała zasiać w nim wątpliwości.

Co więcej przekonała go o konieczności swego wyjazdu z nadleśnictwa.

"Tu może się stać bardzonibezpiecznie.

Będę na ciebie czekać w Kozłowie.

Przyjedź, jak tylko milicja się stąd wyniesie.

" O Józefie ani słowa.

Aleto właśnie on miał prowadzić samochód doktora Kostrzewy.

Józefowi powiedziała:"Koryciuk chce nas syznąć.

Trzeba gozałatwić".

Potem przypomniała sobie, że przedkilkoma miesiącami ojciec Józefa napadł na jednego z gajowych i omal go niezamordował.

Podsunęła: "Gdyby tak twój ojciec?

". Wystarczy goposzczuć i zostawić drzwi otwarte.

Jest tam przecież wyjścieprzez piwnicę.

Józefowi nie potrzeba było powtarzać dwa razy.

Rano następnego dnia dał ojcu wódki w butelce od wina.

Wiedział, żealkohol doprowadza go doataków furii.

"Koryciuk, wiesz, który to jest?

No więc on chce, żebyciebie związać i polewać wodą.

" Może zresztą nie użył dokładnietych słów, ale to nieważne.

Dość, że go poszczuł.

Drzwi zamykające podziemne wyjście zpiwnicy postawił otworem.

Pokazał mu je, choć kiedyśjuż ojciec, korzystając z jego nieuwagi, wydostał się tamtędyna dwór.

Jak go zobaczysz, zróbz niegobigos.

Tą butelką.

" Potem odjechali samochodemKostrzewy.

W pewnej odległości od nadleśnictwa podejrzanaказаła Józefowi zatrzymać wóz.

Zawadzkipowiedział wczoraj:

Jeżeli ode mnie odejdiesz, zabiję się".

To nie byłoby zlerozwiązanie.

Ojciec Józefa miał zabić Koryciuka.
Ale tych dwóch spraw niemożna było pozostawić na łasce przypadku.
Ci ludzie musieli umrzeć.
Stanowili zbyt wielkie niebezpieczeństwo.
Należało się dowiedzieć, czy rzeczywiście zginęli.
Poza tym ewentualność jakiegoś przedśmiertnego listu męża.
.. Postanowiła to wszystko sprawdzić.
Las, pustka, potrafiła zająć sobą kierowcę, żeby musieć czas nie dłużyć.
Zależało jej na jak najmocniejszym przywiązaniu godo siebie.
Byli przecież współnikami.
Na dźwięk milicyjnej syreny, zawrócili wóz.
Tam biegnie polna droga dookoła ogrodzenia nadleśnictwa.
Przedostanie się na podwórze nie było trudne.
Właśnie te gwoździe, które można wyjmować ze słupka.
Dopiero później ze służbowego wyjrzała Kazia.
Podejrzana rozkazuje, żeby nikomu nie mówiła o jej powrocie.
Koryciuk został wykończony.
Przynajmniej tak się wtedy wydawało.
Ale mąż?
Kazi nic o tym nie wiadomo.
Podejrzana wchodzi do kancelarii.
Mąż nie tylko żyje, ale siedzi przed maszyną do pisania.
Na arkuszu papieru nagłówek.
"Prokurator"?
A więc niewiele brakowało, żeby ją oskarżył.
Nieznaczny ruch szczypta cyjanku łąduje w szklance.
Jesteś okropnie błądy.
Napij się herbaty.
"Czeka w kancelarii do momentu, gdy znikają już resztki wątpliwości.
Tym razem naprawdę nie żyje.
Wyszarpuje papier z maszyny.
Może się nie obawiać odciski palców.
Jest w rękawiczkach.
Zawsze zresztą występuje w rękawiczkach, gdy zachodzi niebezpieczeństwo
ogłędzindowodów.
Co zrobić z arkusikiem?
Podrzeć?
Zabrać z sobą?
Jedno idrugie zbyt ryzykowne.
Jeżeli znajdą przy niej albo przeszukają kosz.
Wsuwa arkusz pomiędzy stertę papierów leżących na ziemi.
Niech sami to wyrzucą.
Kilka słów napisanych nie wiadomo przez kogo na maszynie.
Reszta.
Nie skończył.
Zerwała się z krzesła.
Ostre paznokcie sięgały już ku jego oczom.
To było tak nieoczekiwane, że osłupiał.
Będzki na szczęście okazał się szybszy.

Złapał od tyłu Zawadzkązaramiona.

Posadził twardo na krześle.

- Siedzieć!

- nie rozluźniał chwytu palców.

- Ty -szarpała się, zakrzywiając palce na kształt szponów.

Prokurator wstał, odsuwając z trzaskiem swój fotel.

Stałwciążza biurkiem i widaćbyło, że nie wie, co ma dalej robić.

Protokolantowi wypadło pióro z palcówi potoczyło sięna podłogę.

Schylił się, aby je podnieść.

319.

- Ty.

z kącików ust Zawadzkiej pryskały bąbelki śliny.

- Tak było?

- puszczał mimo uszu wyzwiska, jakimi go obsypywała.

- Skąd wiesz?

- Wspólnicy nie uważali za stosowne milczeć.

- Niech wam będzie.

Wspólnicy?

- roześmiała się chrapliwie.

-Gówniana hołota.

Oderwała guzik od kurtki.

Zanim jednak zdążyła włożyć godo ust, Będzki wyłuskał go z jej palców.

- Zapewne cyjanek - odłożył ostrożnie na stół.

-Więc co mamy zapisywać?

- prokuratorusiadł z powrotem.

- Piszcie sobie, cochcecie.

-Tak było, jak to kapitan przedstawił?

- Ten zapowietrzony szpicel.

- znowu seria rysztołowychwyzwisk.

Więclawek zasygnalizował, żeby nie reagować.

Nowięc.

wszystko jedno.

piszcie.

Kapitan rozbił teraz swą opowieść na szereg pytań.

- Tak było?

-Tak.

Po podpisaniu protokołu dostała ataku hysterii.

Zaszła konieczność wezwania pogotowia.

- Aby tylko nie doktor Wojtkowiak - zastrzegł szeptem kapitan.

Prokurator powtórzył do mikrofonu nieco zmienionej formie:

- Czy przyjedzie doktorWojtkowiak?

To nie jest zranienie

tylko przypadłość nerwowa.

- Na urlopie - wyjaśnił cicho.

Więclawek chrząknął.

- Aha.

no więc tak.

Po wyprowadzeniu Zawadzkiej otoczyli go ciasnym kołem.

- Wprost nie do wiary.

Pierwszy raz wżyciu jestemświadkiem, żeby metoda psychologiczna przyniosła tak wielki sukces.

Zupełniejakbyście wszystko widzieli na własne oczy - przekrzykiwali się nawzajem.

- Dedukcja - strzelił palcami - Ot co.

-Wspaniaładedukcja - stwierdził zachwytem prokurator.

- Tylko że nie ja jej dokonałem.

-A kto?

-zapytali niemal równocześnie.

- Ktoś, kto siedzi w więzieniu oskarżony owszystkie teźbrodnie.
Kostrzewa - oznajmił uroczyście.

V

Koryciuk został przewieziony do szpitala więziennego.
Urzędujący tam lekarz stwierdził, że nie zachodzą przeszkody do ponownego przesłuchania.
Na wiadomość o przyznaniu się Zawadzkiej machnął ręką.

- Mnie i tak nie zależy nanczym.

A więc piszcie.

Zeznania niemal dokładnie pokrywały się z tym, co wysnuł Kostrzewa.

Józefowi trzeba było odczytać całe zeznanie Zawadzkiej, żeby zaczął mówić.

- Szmata!

Załatwiła mnie na amen.

Zgniję w kryminale przez taką.

Dziwkajeszczę, cały szereg mnie jenczuralnych chępitetów.

- Zgadza się, sypiałem i z nią.

Ja, Koryciuk, ci panowie miasta.

Każdy, kto tylko miał ochotę.

Przenosiłem trupa, botak kazała.

Taka suka potrafi zrobić człowiekiem wszystko.

Ale nikogo nie zabijałem.

Zapomniałem zamknąć drzwi do tego wyjścia z piwnicy.

Fakt.

Ale żeby miał szcuć na Koryciuka mego ojca?

Wariat to sam z siebie każdego atakuje.

Owszem, dałem mu wódki.

Chciałem, żeby zasnął.

Potem zmienił nieco zeznania.

- Może i co powiedziałem przy ojcu na niego.

Jak człowiek w złości.

Zresztą jakby było o kogo się kramarzyć.

Niby kto zastrzelił Lesiewicz jak nie on?

i potem dłuwał przy trupie, aż

rzygać się chciało.

Pana Świrskiego teżby wykończył, żeby ten nie zdążył w porę zwać.

Przyszedł telefonogram o odnalezieniu Świrskiego.

Siedział w zapadłej miejscinie na Podkarpaciu i pił na umór.

O mało niepostrzelił sierżanta milicji, którygo przyszedł przesłuchać.

Opowiadając o przyczynach swej ucieczki, wyjaśnił: "Zawadzki przedził, że jego żona poleciła jednemu z gajowych, aby mnie zastrzelił.

I że on jest bezsilny.

Chciałem go ze sobą zabrać, ale powiedział, że już nie warto.

Wypuściłem go przez to miejsce w ogrodzeniu, w którym można zdejmować druty".

Zamknięto go za nielegalne posiadanie broni.

Niemal się ucieszył, że idzie siedzieć.

321.

- Przynajmniej trochę sobie odpocznę.

Bo tu.

Złamane życie!

Dwóch wykończonych ptaków podły sposób, a trzeci.

Zemnie też już nic nie będzie.

Niby to jakieś tam ideały.

No boczłówek miał je przecież.

A kończy się na kasetce z biżuterią.

Zafajdany świat.

Z Warszawy nadszedł plik dokumentów.

Więclawek rozkładał je systematycznie na biurku prokuratora.

- Nie trzeba będzie nawet przeprowadzać ekshumacji zwłok Lesiewicza.

Zakład Medycyny Sądowej stwierdził wszystko na podstawie odpowiednio powiększonej fotografii otworu wlotowego rany i w oparciu o analizę protokołu oględzin.

- Proszę - wodził w powietrzu długopisem.

- "Widać dokładnie manipulacje mające na celu powiększenie średnicy otworu wlotowego kuli.

Rzeczywista średnica wynosiła mniej niż sześć i pół milimetra.

" Pistolet Zawadzkiej ma kaliber sześć trzydzieści pięć.

Wszystko więc się zgadza do joty.

Znowu się nachylił i czytał dalej:

- "Po zbadaniu fotografii miejsca, gdzie zostały znalezione zwłoki, i widocznego na tym zdjęciu osadu mułu na korze okolicznych drzew Zakład stwierdza, że zwłoki nie mogły znajdować się na tym miejscu w momencie kulminacji powodziowej.

Okoliczność tę wyklucza sposób rozmieszczenia plam rozkładowych na zwłokach.

W wodzie pozostawała jedynie tylna część zwłok, przy czym woda sięgała wyżej niż piętnaście, dwadzieścia centymetrów.

"

Orzeczenie profesora Barczyńskiego stwierdzające czas utkwienia kuli w drzewie.

Orzeczenie biegłego fotografa, stwierdzające, że zdjęcia dokonane przez doktora Kostrzewę w lodowni żadną miarą nie mogą stanowić fotomontażu.

- To wszystko właściwie już niepotrzebne - prokurator był jakby nieco zażenowany.

- Doktor Kostrzewa został przeciezwolniony z więzienia już wczoraj.

Nie chciał nawet słyszeć żądnych przeprosin.

Powiedział, że byliśmy w pełnym porządku.

- W pełnym?

- Więclawek miał zamiar coś powiedzieć, nie powiedział jednak.

- NO mniejsza z tym.

Pragniemy, żeby sprawa została zapięta na ostatni guzik.

Jego sprawa.

322

Rozmowa trwała jeszcze długo.

- Więc rzeczywiście on prowadził całe to śledztwo?

- prokurator wciąż jeszcze nie był w stanie uwierzyć.

- Tak.

I to niemal wyłącznie.

- Talent.

- Cholerny talent.

- Czy uważacie, kapitanie, że ta sprawa jest już całkowicie zakończona?

- zapytał w pewnym momencie prokurator.

- Co macie namyśli?

- Jednak pewne.

hm..

okoliczności.

- Wlepił wzrok w akta.

Więclawek był przekonany, że chodzi tylko o to, by nie spojrzeć mu w oczy.

- Okoliczności?

- kapitan postukiwał paznokciem w kant biurka, jakby chcąc zbadać, czy nie zawiera żadnej skrytki.

- Cóż.

prawdę mówiąc, trudno zaprzeczyć.

Trochę niewyraźnych punktów w tym wszystkim jeszcze zostało.

VI

Kostrzewa siedział w wannie całe godziny.

Wciąż prześladował go więzienny zapach.

Do drzwi ustawicznie ktoś się dobijał.

To była jedyna łazienka w całym hotelu.

Przewrażliwienie.

Kostrzewa wreszcie sięgnął powłochaty ręcznik.

Chyba już czas skończyć z dzieleniem włosa na czworo.

Potem do pokoju przyszli Ciepłowski i Śliwa.

- Majstersztyk, doktorze - oczy Ciepłowskiego błyszczały - prowadzić śledztwo, nie wychylając nosa poza próg więziennej celi?

To można by do jakiegoś podręcznika służby śledczej.

Młodziakinauczyłyby się, jak należy myśleć.

- Majstersztyk - potwierdził z przekonaniem Śliwa.

- Co tu dużo gadać.

Łatwo iść po nitce do kłębka, ale znaleźć koniec właściwej nitki?

Tu mieliśmy tych nitek do diabła i trochę.

Tylko że żadna nie ta.

Kostrzewa badał ucho Śliwy.

- Było całe - westchnął Śliwa - a teraz jak trzy ćwiartki.

Dawniej to się chyba nazywało: "oszelmować"?

- uśmiech towarzyszący tym słowom był nieco smutny.

323.

- Coś tam doszyjemy - oświadczył Kostrzewa, nakładając z powrotem opatrunek. - I będzie jak nowe.

- Niechby choć było takie jak dawniej. Ja człowiek skromny. Tylko że to pewno kosztuje kupę forsy?

Kostrzewa roześmiał się.

- Głupstwo. Ma się ostatecznie kumoterskie chody u kogo trzeba. Nie wezmą złamanego grosza.

Śliwa wyszczerzył radośnie zęby. W tym momencie właśnie wszedł Więclawek.

- Jaka tu radocha - niby to też się śmiał, ale Kostrzewa zauważył, że musi mieć coś na wątrobie.

- Pewno - poświadczył Śliwa. - Jak komuś całkiem za friko chcą przeprowadzić generalny remont ucha...

Kostrzewa ujął kapitana pod ramię.

- No, co cię gnębi?

- Nic... Skądże by... Tylko...

- Właśnie: tylko - podprowadził go do krzesła. - Siadaj. Ruch to zdrowie, ale nie wszędzie. Wciąż widzę cię w roli baka wirującego po celi. W czym rzecz?

- Zostaniesz tu jeszcze kilka dni?

- Ani mi nawet w głowie. Wskoczę do wieczornego pociągu, żeby zobaczyć, czy mnie przypadkiem nie ma w moim szpitalu. A ty zakochałeś się w tym sławetnym grodzie? Masz zamiar założyć tu ognisko domowe?

- Widzisz... ta cała sprawa - masował podbródek.

- No więc co?

- Prokurator i... ja chcieliśmy cię prosić...

- Na wódkę?

- To swoją drogą. Ale pewne powiązania. Choćby Kosio-rek...

- Kosiorek? Co do niego masz? Fabrykował jakieś dowody na moją niekorzyść? Nie. Może jakieś ukrywał? Także nie. Prowadził dochodzenia, jak kodeks przykazał.

- Był jednak kochankiem Zawadzkiej.

- Więc cóż z tego? Niech mu idzie na zdrowie. Ja osobiście nie mam do niego najmniejszej pretensji. Czy to jego wina, że wszystko przemawiało na moją niekorzyść? Dowody wprost pchały się same w rękę...

324

- Ty jednak będąc na jego miejscu...

- Czyja wiem... Widzisz, że mną to całkiem inna historia: nie mam zaufania do tego, co włązi natrętnie w oczy. Ale to wcale nie znaczy, żeby każdy miał oceniać rzecz z tego samego punktu widzenia. Trudno mu robić zarzut, że uznaje inną metodę śledztwa.

- To nie jest takie proste. Poza tym doktor Wojtkowiak i cały ten protokolan. W czasie pierwszego przesłuchania Koryciu-ka któryś z nich przeszkodził mu złożyć zeznania. Może nawet wszyscy razem.

Kostrzewa wzruszył ramionami.

- Licho wie, jak z tym było naprawdę.

- Licho. Ale prokurator też chciałby wiedzieć. Bo ostatecznie...

Długo jeszcze mówił na ten temat. Kostrzewa ziewał coraz szerzej, w końcu wypchnął go po przyjacielsku za drzwi.

- Przemyślę to sobie. Na razie jakaś tam mała drzemka. Prycze w tutejszym więzieniu potrzebują jak najszybszej interwencji tapicera. Możesz mi wierzyć na słowo. Tymczasem się trochę przewietrz.

- O której mam przyjść? - wciąż stał na progu.

- O szóstej.

- Ale... - patrzył na niego podejrzliwie. - Ty tymczasem nie zwiejesz?

- Pociąg odchodzi dopiero dziewiętnasta pięćdziesiąt - odpowiedział.

- Przyjdę przed szóstą.

- Dobra. Bywaj - mocno uściśnął mu rękę.

Potem patrzył w zamyśleniu na brudną płytę drzwi.

Powiązania, sposób prowadzenia śledztwa... może i rzeczywiście można by się czegoś w tym dokopać. Kosiorek, doktor, protokolan. Trzech młodych mężczyzn. Przypomniał sobie wiośnianą twarzyczkę Zawadzkiej. I pełne niewinności spojrzenie jasnych oczu. Sam przecież stawiał ją poza wszelkimi podejrzeniami.

- Madonna, psiakrew - nachylił się nad walizką. Więclawek powrócił na długo przed piątą.

Ale Kostrzewy

już nie było w hotelu. Portier wręczył mu list:

325

"Wybacz, mój drogi, ale naprawdę mam już całej tej sprawypowyżej uszu.
Dostaję się skórki na samą myśl, że musiałbym się z nią jeszcze zetknąć.
Zresztą kuracja mocnychwstrząsów"poskutkowała.
Tamte myśli należą już do przeszłości.
Wiem, że znówu mogę operować i ręka mi nie drgnie.
Nie kluj, że ci zełgałem.
Pociąg naprawdę odchodzi stąd o dziewiętnastej pięćdziesiąt.
Zapomniałeś jednak, że mam samochód.
Dziś ranowydano mi go z komendy i jest gotowy do drogi.
Jeszcze razdziękuję za wszystko.
Uściśnij ode mnie Ciepłowskiego i Śliwę.
Powiedz temu ostatniemu, że o jego uchu to zupełnie poważnie.
Rozpakowujcie sobie sami tendodatkowy bagaż sprawy.
Zastanów się jednak, czy warto.
".

Czy warto?

- zamyślonywzrok kapitana utkwiał w zakurzonych szybach drzwi.

-Diabli wiedzą.

SPIS TREŚCI

Dom na wzgórzu .

5

Ten, który niepowrócił, i ten, który nie przybył.

23

Partia brydża i inne rzeczy .

43

Wściekły kot .

64

Martwy punkt.

76

Dzień bywa niekiedy straszniejszy odnocy.

94

Woda zaczyna opadać.

125

Po świcie przychodzi.

noc .

160

W matni .

187

Łańcuchdowodów .

213

Światła w mroku .

247

Myślenie to ostatecznie też zajęcie .

274

Drapieżnik pokazuje pazury .

303.

POLECAMY

Tadeusz Kostecki

Kaliber 6,35

Płk Reginald Pentham na własną rękę próbuje rozwikłać zagadkę śmierci prezesa Niklowego Trustu oraz całej serii niewyjaśnionych zdarzeń.

Od niego zależą dalsze losy oskarżonego o zabójstwo sir Gordona.

Czy uda mu się przechrzyć nadgorliwego inspektora Mallone'a?

Jaką rolę w tej sprawie odgrywa tajemniczy rewolwer kalibru 6,35?

Szybka, dynamiczna akcja trzyma Czytelnika w napięciu aż do ostatniej strony.

Tadeusz Kostecki

Kanion Słonej Rzeki Jacek Banderawyrusza do Ameryki, aby poznać okoliczności śmierci stryjki i odebrać spadek.

Niestety sprawa okazuje się bardzo skomplikowana - Jacek zostaje oskarżony o morderstwo i uwięziony, szeryf dąży do skazania go na śmierć.

Czy uda mu się rozwiązać zagadkę śmierci sprzed lat, obronić honor nazwiska Banderów i zdobyć miłość pięknej kobiety?